ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I.

ZESZYT II.

LUTY.

WARSZAWA.
DRUKIEM JÓZEFA UNGRA
Nowolipki, Nr. 2406 (3).
1876.

Дозволено Цензурою
Варшава 5 Февраля 1876 г.

KSIĄŻECZKA JADWIGI

ALBO

NAWOJKI Z XV-go WIEKU.

STUDYUM LITERACKIE

napisał

Dr. Jan Rymarkiewicz.

Gromadzą się około nowego wydania Książeczki Jadwigi, sporządzonego przez radcę sądowego Stanisława Mottego (J. K. Żupański, Poznań 1875) coraz liczniejsze i dokładniejsze wiadomości.

Po nici do kłębka—doszło się już do wielu pewników rzucających niepomierne światło na ten arcy ważny pomnik piśmiennictwa z dni wielkiéj chwały naszéj; zbudziła się nań niemniéj pożądana uwaga i czujność publiczności naszéj.

Drugi wydawca poznański tego zabytku średniowiecznéj polszczyzny, odbył w przedmowie do swego wydania (str. IV.) przegląd krytyczny wszystkich dotychczasowych badań onego; a pod koniec tegorocznéj pory kąpielnéj odezwała się—po pięćdziesięcioletniém milczeniu—w Dzienniku Poznańskim (Nr. 195) wieść, która niepomału zelektryzowała znawców i lubowników literatury na-

széj, wieść o odnalezieniu się rękopisu oryginalnego, w oryginalnéj, staroświeckiéj puszce srebrnéj, w kształcie futeralika do książki, na któréj, zupełnie jak opisuje pierwszy wydawca ś. p. *Jan* (nie *Józef*, jak mylnie pisze Maciejowski. Piśm. I. 363) *Motty*, znajduje się wyryty napis następujący:

LIBELLUS — PRECARIUS
QUO — UTEBATUR — S = —
HEDVIGIS — DUCISSA — AB
EMINENTISSIMO = —
CARDINALI — BERNARDO
MACIEJOWSKI — ILLMAE
SORORI — SUAE — ANNAE = —
WAPOWSKA — CASTELLANAE
PRAMISLIENSI — ET — PER
EJUS — NEPOTEM — STANI
SLAUM — WAPOWSKI
SOCIETATIS — JESU HUIC
TEMPLO — MUNERI — DATUS
ANNO — 1634 11 OCTOBRIS.

Futeralik ten staroświecki znajduje się na Szlązku w zamku Fischbach, własności królowéj bawarskiéj, około półtory mili od kąpieli warmbruńskich. W natłoku turystów oglądających zamek fischbachski ledwo zdążono odpisać powyższy napis; nie dozwoliła zaś dozorczyni, po odsunięciu górnéj ścianki, gdzie się ten futeralik otwiera, wydobyć z niego książeczki mocno wciśniętéj. O ile mógł jednak naprędce dojrzeć, i o ile sobie przypomina szan. p. J. L. podający tę wiadomość, jak mi to ustnie opowiadał, zdawało się jemu, jakoby obok kart pisanych dojrzał był także karty drukowane; co gdyby tak było, oczywiście odejmowałoby poniekąd otuchę odnalezienia się rękopisu oryginalnego wraz z oryginalem futerału.

Bądź co bądź, doszliśmy do rezultatów w ogóle dość znacznych i jesteśmy na śladzie nieoszacowanego rękopisu, a to dzięki przypomnieniu się publiczności. Przypominanie to zatém dopóty ustawać nie powinno, dopóki rękopis z ukrycia całkowicie się nie wynurzy. To właśnie było też pierwszym dla mnie powodem do ogłoszenia niniejszych uwag kilku o książeczce Jadwigi, które czy-

tanie drugiego wydania poznańskiego mi nastręczyło. Chciałem przytém wywiązać się z danéj przyjaciołom swoim obietnicy, oraz przyczynić się do sprostowania mylnych, i do uzupełnienia niektórych niedostatecznych o tym utworze literackim wiadomości; mianowicie zaś tych, które się tyczą: *własności*, *autorstwa* i *kompozycyi* tego prawdziwego klejnotu pisarstwa średniowiecznego.

I.

Habent sua fata libelli! Żaden atoli z utworów staroświeckiego piśmiennictwa naszego nie doznał losów tak szczególnych, tak osobliwych, a pod względem właścicieli przedewszystkiém tak świetnych, jak książeczka Jadwigi. I to w oczach naszych niezmiernie już zalecać ją powinno powszechności, że osoby i stanu i wykształcenia najwyższego w kraju, tak ją wysoko ceniły, iż ją tylko najgodniejszym po sobie następcom, jako świętość jaką, przekazywały!... Była ta książeczka własnością Świętéj; znajdowała się w rękach kardynalskich; zdobiła komnaty i cele najznakomitszych kasztelanek i kasztelaniców, zkąd przeszła na własność kościoła; a po splondrowaniu onego dostała się w ręce prywatne; poczém zapewne na drodze handlarskiéj przeszła w posiadanie królowéj, któréj komnaty dziś zdobi! Zaiste, godziwą jest, czego dotąd nie uczyniono, by takim właścicielom klejnotu, o którym mowa, bliżéj się przyjrzeć; ile że przez to rozświeci się niejeden szczegół, który dotąd pozostał w zaćmieniu.

Nim jednak o pierwszym właścicielu coś stanowczego orzec będziemy mogli, trzeba będzie wprzód oznaczyć czas powstania tego pomnika: gdyż jedno od drugiego jest nierozłączne. A czas powstania książeczki, ponieważ nigdzie nie jest oznaczony, odgadnąć da się znowu jedynie tylko po języku, w którym jest napisana.

Co do tego punktu, zdania krytyków dotychczasowych bardzo się różnią. Sądzą jedni, iż język Modlitewnika sięgać może wieku XIV-go; drudzy mienią go być językiem z końca wieku XV-go; reszta krytyków uważa go w ogóle za język XV-go wieku.

Przypatrzmy się własnemi oczyma niektórym, choćby tylko najwydatniejszym własnościom Modlitewnika, byśmy z nich własny sąd o czasie napisania jego powzięli.

Najwydatniejszą i najogólniejszą własnością jest to, iż język książeczki jest *mieszaniną* dyalektów, jako też stopni wykształcenia naszego języka.

Drugi wydawca poznański (na stronie 85 przedmowy swojéj), mówi, iżby to był „ważny przyczynek do historyi naszego pomnika, gdyby wykazano, o ile Modlitewnik zawiera ślady pokrewnych słowiańskich narzeczy, a w szczególności *czeskiego* i *ruskiego*.“ Otoż jesteśmy w możności wykazania owych śladów narzeczowych:

Na str. 66, 67 II wyd. czytamy: Przez tę radość *yaszesz* (*czesk.* = jążeś = którąś) tedy miała, gdyś własnyma oczyma *szlava* (*rusk.* = sławę = chwałę) wszystkiéj świętéj Trojcy obejźrzała, y przez tę miłość *yasz* (= którąś) od wszech *zbożnych* (*czesk.* = jak w Bogarodzicy: zbożny = błogosławiony) miała i masz na ziemi, i przez te wszystkie radości *gesz* (*czesk.* = któreż) ci napomina (przypomina) *czerkyew* (*rusk.* = cerkiew = kościół) święta w swoich chwałach (polsk.)…. Również na str. 50 czytamy: Matko zlitowania, proszę zlitowania twego przez tę *szlawa* (*rusk.* = sławę = chwałę) *yazesz* (= którąś) przyjęła (odebrała) od Boga w Trójcy jedynego. Podobnie na str. 137:… *genże* (*czesk.* = który) oświecasz twoją świętą *czerkew* (*rusk.* = cerkiew = kościół). Także na str. 79: A już tam daléj chleba *nye* (*rusk.* = niet, polsk. = *niema*) kiedy kapłan ciało samo prawego Boga ukazuje. Albo na str. 87:… miłosierdzie liczby *nye* (*rusk.* = *niema*). I daléj: Jakom ja przecie śmiała wniść w twój dom modlitwy, niemając na sobie cnot odzienia anielskiego, jako tu *przyslucha* (*rusk.* = przysłusza = przynależy się). A na str. 149: miły *gospodynye* (= panie) i t. p.

Mieszaniną zaś jest to, gdy obok pobratymczych różnic narzeczowych znajdujemy wyrazy czysto polskie tegoż samego znaczenia, jak n. p. zamiast *yenze* bardzo często widzimy *który*, zamiast *szlawa* często *chwała*, obok *gospodyn* = pan i t. p.

Aleź i stopnie wykształcenia języka polskiego niemniéj uderzającą przedstawiają tu mieszaninę. Obok *kształtów mowy* wykończonych do tego stopnia, iż się zdają przypominać złoty wiek literatury naszéj, są tam w obiegu kształty bardzo dawne, bardzo osobliwe, a niekiedy i bardzo piękne. Zamiast dobroć znajdujemy *dobrota*; zam. podróż *podrożstwo;* zam. modlitwa = *modła;* zamiast cześć = *poczta;* zam. stateczność = *ustawictwo;* zam. potrzeba = *potrzebizna*.

O śmierci niespodzianéj mówi Książeczka: śmierć *nieobeźrzana*; o ostatecznéj straszliwéj godzinie mówi, że to jest: owa godzina *drżąca!* i t. p.

Całe sposoby mówienia i *konstrukcye* nader osobliwe mieszają się ze składnią zwyczajną, już ustaloną. Jako takie osobliwości między innemi znajdują się wyrażenia, jak np. *Aniolem* zawitana, zamiast: *przez* Anioła pozdrowiona; — któregoś widziała *wstając* z zmarłych, zamiast: zmartwych wstają*cego;* — *wyaczsche* (większe) twoje zmiłowanie, niż me *czyasche* (cięższe) zgrzeszenie; zamiast: *większe* zmiłowanie, niż *ciężkie* zgrzeszenie i t. p.

Również *odmiany* wyrazów nader staroświeckie mieszają się z odmianami wykształconemi, zwyczajnemi. Zamiast: cierpnę widzimy *scirpam;* zam. w smutku = w *smętce;* zam. w końcu = w *konyczu;* zamiast krew (accus) = *krewy*, np. str. 67: twą drogą *krewy* ku napiciu dałeś; albo: przez twą drogą *krewy* i t. d. Zamiast: wyszli znajdujemy: wyszli są; zamiast dałeś = *dalyesz*; zam. pokazałeś = *pokazal yesz;* zam. narodził się, znajdujemy: narodził się *yest*. Tę dostojną karmię *dwyemanaczcye* (dwunastu) apostołom dostojna twoja ręka *yest podala*, zamiast: podała. Zamiast: nie zostawiaj mię, czytamy: nie *ostay* mie; zam. przyjmij mię = *przyyay* mię; zam. zapal, rozżarz = *zazyy*... i t. d.

Z tych wszystkich osobliwości, a mianowicie ztąd, iż obok bardzo staroświeckich znajdujemy znamiona języka późniejszego, wypada wniosek oczywisty, że język Modlitewnika ma *charakter chwiejny*, *przejściowy*. Należy zatém do tego czasu, w którym język nasz ze stanu form stałych i pełnych, jakie miał w dawniejszéj epoce, (wspólnych z drugiemi narzeczami), zaczął w ogóle przechodzić w stadyum form łatwych, dogodnych, płynnych, które go też ostatecznie od narzeczy drugich odróżniły.

Działo się to w *polowie wieku XV*, gdzie widzimy „początki epoki (jak mówi p. Nehring), która w końcu XV-go wieku rozwinęła się w pełni". (Porównaj: Dr. Nehring: Iter Florianense 32, 35).

To też wszyscy niemal krytycy dotychczasowi w tém są zgodni, że uważają Modlitewnik jako płód wieku XV-go. Różnica między nimi w tém tylko, iż jedni chcą go mieć owocem *drugiéj* połowy tego wieku, inni *pierwszéj*. Maciejowski, Małecki, a za nimi wydawca drugi poznański (str. LXXV) przechylają się na *drugą* połowę, a to głównie z powodu, iż język już tak pięknie (w ustępach niektórych) wyrobiony, że się zdaje być zabytkiem blizkim wieku XVI-go.

Argument ten wszakże nie zupełnie jest przekonywającym. W wykształcaniu się języka nie zawsze i nie najgłówniejszym czynnikiem jest czas. Ważniejszym daleko jest tu uzdolnienie i wykształcenie piszącego, który jeśli jest geniuszem, czas wyprzedza i od siebie epokę udoskonalenia języka zaczyna. Więc i tu

zasadę tę zastosować można témbardziéj, im jednozgodniéj wszyscy krytycy, a za nimi i drugi wydawca poznański (XXXIX) w autorze Książeczki Jadwigi nader uzdolnionego i wykształconego uznają pisarza. Do czego dodać trzeba ku uwzględnieniu i ową gorącą wymowność, z jaką mianowicie niektóre modlitwy są napisane, — a dla któréj, jak wiemy, wszystkie formy językowe sztywne, chropowate dziwnym sposobem zwykle się upłynniają i wygładzają.

Zważywszy te okoliczności, przestaniemy kłaść tak wielki przycisk na wpływ czasu przy ocenieniu udoskonalenia się języka: a własności jego w wielkiéj części raczéj na karb uzdolnienia autora policzymy.

Wreszcie wątpliwą jest rzeczą, czy w Modlitewniku więcéj uderzającémi są, że je tak nazwę, neologizmy, przechylające szalę zwycięztwa na *drugą* połowę XV-go wieku, czy też archaizmy przeważające ją na *pierwszą* połowę?

Jeżeli zważymy tę okoliczność, że oprócz wyrazów osobliwych, przestarzałych, któreśmy dotąd już przytoczyli, jako też oprócz takich, z których prof. Nehring przy Psałterzu, jak prof. Małecki przy Biblii uznali za potrzebę osobny słownik ułożyć, znajdują się w Modlitewniku Jadwigi jeszcze wyrazy, których nigdzieindziéj nie znajdujemy, — to zaiste słusznie będziemy mogl twierdzić, że pomnik ten języka polskiego do bardzo odległéj przeszłości — a zatém i do pierwszéj połowy wieku XV należeć może.

Wyrazy i wyrażenia arcy dawne, jakichbyśmy gdzieindziéj daremnie szukali, są tu następujące. Na str. 79 czytamy: ciało samo prawego boga, jako za nas na krzyżu *pnyalo* (pniało, — co Maciejowski w Dodatku do Piśm. str. 77 tłómaczy przez ufało (?!) sprzecznie z myślą, a co oczywiście tłómaczyć należy przez: *rozpięte wisialo*, od słowa piąć, pnieć, od którego pochodzi i *pień* (część drzewa, która się *pnie* w górę). Na str. 29: zdrowa bądź gospodze (yzesch syna bożego *dogyla* (doijła = karmiła) y yegozesch *kambla-la* (kolebała, kołysała, huśtała); podobnież na str. 40, gdzie znowu czytamy: chwała i modła błogosławionym piersiom, iż *dogyly* idoiły) zbawiciela..., gdzie *doić* nie jak dziś znaczy z piersi (lub z wymienia) dobywać,—ale raczéj przeciwnie, mléko z piersi dobyte wpajać, niém kogo karmić, *poić*. Ślad tak przeciwstawnego znaczenia wyrazu *doić* znajduje się w mowie ludowéj, gminnéj, gdzie się jeszcze mówi: *zdoił się*, zam. spoił się, upił się; albo *wydoił* całą szklenicę, zamiast wypił jednym ciągiem. Tak to przez cztery wieki pierwotne znaczenie wyrazu postępując w rozwijaniu się co-

raz dalszém, dochodzi do znaczenia wręcz przeciwnego. Podobną przemianę znaczenia widzimy w wyrazie *spowiednik* wyrażającym dziś tego, który wyznanie od kogoś odbiera, podczas kiedy tenże wyraz w Modlitewniku Jadwigi oznacza tego, który wyznanie czyni, coś wyznaje, czyli jest *wyznawcą*, jak np. na str. 45 gdzie powiedziano: wschyczczy Apostholij Maczennyczy y *spowyednyczy* (wyznawcy) y dzyewycze krysthowy y wschysthczy korowye (chóry) nyebyesczy... Taka przemiana widoczną jest także w wyżéj przytoczoném wyrażeniu: w ową *godzinę drżącą* (t. j. straszliwą, ostatnią), gdzie dawniejsze objektywne znaczenie wyrazu, widzimy w czasach późniejszych w znaczeniu subjektywném, przeciwstawném; dawniéj *drżący* znaczyło tego, który straszył, był *straszliwym*; dziś znaczy tego, który jest przestraszony, który *drży od strachu*. Zdaje mi się w ogóle, iż niedość uwagi zwrócono dotąd na tę przeciwstawna zmianę znaczenia wyrazów w czasie kształcenia się języka. A okoliczność to wszakże i leksykograficznie ważna i dla poetycznego języka nader ponętna! W każdym razie świadczy o niezmiernéj dawności języka taka metateza w znaczeniu wyrazów. Inne prastare wyrazy, jakie się w najdawniejszych pomnikach znachodzą, znajdujemy także w Książeczce Jadwigi.

Na st. 157: *sczycz* (szczyć) nas od grzechu śmiertelnego (zasłaniaj: bo szczyt znaczyło tarczę); str. 99... kolana tobie *zgybają* (zginają; jak dziś jeszcze: gibki); str. 69: *zgloba* = złość; podobnie: *czyelne* (cielne, zamiast: cielesne); *ulekczenye* = uleczenie (leki, lekarstwo); *velmy* (wielmi) = wielce, bardzo. Niezrozumiałym zaś jest wyraz *lakotky* na str. 58, gdzie napisano: „Przez twe dobroty ciebie proszę, obejźrzy moją nagotę, która jestem obnażona od wszéj *lakotky*; chyba żeby wyraz ten oznaczał pojęcie ponęty, powabu (porównaj Knapski, Słownik z r. 1643). Chociaż w pisaniu mógłby i ten wyraz być zepsuty, jak na stronie 75: czytamy zepsuty wyraz: *przezwyeczony*, zamiast: przezwieczny, t. j. bez wszelkiego wieku, przedwieczny; albo na str. 62: iż bych mogła przebywać w *nottiach*, zapewne zamiast: w cnotach i t. d.

Jakkolwiekbądź, wszystkie tu przytoczone właściwości języka świadczą o jego wielkiéj dawności, i wszystkie za tém przemawiają, że Modlitewnik Jadwigi do pierwszéj połowy XV-go wieku śmiało odnieść można; wszakże znawcy języka jak Maciejowski i Wiszniewski, początki rękopisu w daleko dalszą przeszłość posuwają.

Wszakże Maciejowski (Piśmien. I, 339) twierdzi, że książeczka, na któréj się może Jadwiga św. niegdyś modliła, przerabiana i w różnych podług różnego prawopisu przepisywana wiekach, do-

szła nas z XIII-go wieku, w którym żyła Św. Jadwiga, zmarła r. 1243. A przytoczone przez niego w Pamięt. Słowian. str. 354 pieśni z r. 1400 tak uderzające mają podobieństwo do modlitw książeczki, że język tego Modlitewnika bez pochyby za współczesny z niemi poczytać można. — Wiszniewski zaś bez namysłu widzi tu wprost utwór z XIV wieku, mieniąc język „równie starożytnym jak w *Psalterzu*, choć może piórem przepisującego odświeżonym.“ (Hist. Lit., Krak 1840. I, 421).

Nie osłabiają także twierdzenia naszego o pochodzeniu Modlitewnika z *pierwszéj* połowy XV-go wieku mniemania tych, którzy w całym rękopisie, a w szczególności w wyżéj oznaczonéj mieszaninie języka widzą nie przemienianie się mowy konieczne w postępowym jéj rozwoju,—ale raczéj tylko *modernizowanie* jakiegoś dawniejszego zabytku jak Małecki i drugi wyd. pozn. (str. LXXXI), albo też tylko *mozaikę* układaną z części nader różnych, i z nader różnego czasu pochodzących,—jak Maciejowski (Piśmien. I. 364).—Zmodernizowanie pomnika,—przypominając poniekąd konia anglizowanie, — wszakże istoty nie zmienia, a następnie zawsze tylko może być naśladowaniem mody z pewnego jakiegoś czasu; — dla czegoż więc tu nie miałoby zmodernizowanie być naśladowaniem mody panującéj w pierwszéj połowie XV-go wieku?—Gdyby zaś Modlitewnik miał być tylko mozaiką, złożoną z najróżnorodniejszych i najróżnocześniejszych modlitw i pieśni, a nie miał zawierać w sobie niemal *„nic oryginalnego,“* natenczas chodziłoby o to, z jakiego czasu pochodziłaby większa ilość modlitw w nim zamieszczonych, i do jakiego czasu należą te mianowicie, które są najpóźniejsze?— Że zaś Maciejowski (l. c.) do ostatnich, zalicza pieśni niemal żywcem przepisane z Jędrzeja ze Słupia, przeora Benedyktynów na Łyséj Górze, a ten już mógł słynąć w pierwszéj połowie XV wieku, — przeto i ten pogląd na Książęczkę Jadwigi, twierdzenia naszego, co do czasu jéj napisania, nie zbija.

Popierają natomiast twierdzenie nasze rysy pisma, w którém rękopis czasów naszych doszedł. Porównywając podobiznę tego pisma z podobizną Bogarodzicy z r. 1408 (Maciejowski. Dod. str. 40), jako też z Psalmem Swidzińskiego (Bandtke r. 1390—1430) i z innemi w ogóle znajdujemy w piśmie wiele podobieństwa, a mianowicie znajdujemy tam jak tu literę *y*, pisaną z dwiema kreseczkami, czyli kropkami u góry. Samogłoski nosowe w mniemanych dawniejszych od Modlitewnika pomnikach nie są „bez różnicy wyrażane głoską *o* prostopadle przekreśloną,“ (jak twierdzi drugi wyd. p. str. LXXVII), ale są także, jak w Modlitewniku, oznaczane przez *a*, lub *an*. Że w książeczce Jadwigi nie znaj-

dujemy podwójnych samogłosek, (jak *chleeb)* długość samogłoski wyrażających, co się znajduje w niektórych starszych manuskryptach, jak np.: w Psałterzu, Biblii, Statutach, to tylko na nowo dowodzi, że ortografia przez Jakóba Parkosza, rektora akademii krakowskiéj (r. 1440) proponowana, nie znalazła powszechnego w narodzie przyjęcia, albo że w ogóle nie była jeszcze znana, gdy książęczkę Jadwigi pisano. Obstajemy zatém niezmiennie przy zdaniu swojém, że rękopis Książeczki Jadwigi z *pierwszéj* połowy XV-go w. pochodzić może; a poparcie jego znajdujemy także u Małkowskiego w „Przeglądzie najdawniejszych pomników języka polskiego." Warszawa 1872 str. 107.

II.

Czas powstania Książeczki wskazuje czas życia pierwszego jéj właściciela. Powierzchowność książeczki zaś, szczęściem nader wymowna, świadczy o stanie jego i rodzie wysokim. Wydawca drugi poznański (str. LXXXIX) mówi, „iż w wydaniu swojém ściśle naśladował pierwsze wydanie: w podobiźnie, w formacie i w okładce, celem ułatwienia późniejszym krytykom za pomocą zewnętrznéj nawet formy dotarcia do bliższéj znajomości tego ważnego pomnika piśmiennictwa naszego." Nam zaś tylko znowu powtórzyć tu trzeba słowa, któreśmy na czele I-go ustępu rozprawki umieścili: Habent sua fata libelli! Kiedy bowiem szanowny wydawca mniema, że wydanie jego, będąc wierném naśladowaniem wydania ś. p. ojca, jest oraz wierném odtworzeniem samego oryginału, to (co do powierzchowności książeczki) nietylko sam w wielkim znajduje się błędzie, ale i publiczność mimo woli i chęci w błąd wprawia Kompatura bowiem książeczki drugiego wydania w niczém zgoła nie jest podobną do kompatury ani oryginału, ani pierwszego wydania. Poświadczają to nietylko wszystkie pozostające jeszcze egzemplarze pierwszego wydania, z wyjątkiem właśnie familijnego egzemplarza szan. wydawcy, ale i słowa żyjącego dotąd świadka, który o wydaniu pierwszém słusznie powiedzieć może: quorum magna pars fui! Żyje bowiem dotąd w Poznaniu malarz, czcigodny p. Fabian Sarnecki, który (jak mówi wyd. I. str. 23), „naśladowaniem rysunku i pisma odciśnionego na kamieniu, przyłożył się do nadania dzielku zewnętrznéj zalety." Swiadek ten wiarogodny na zapytanie moje (dnia 21 Czerwca r. z.) oświadczył, że „podobizna okładziny u książeczki drugiego wydania zupełnie nie zgadza się z kompaturą oryginalną. Oryginalny rękopis, oprawny

w skórkę wieprzową miał na niéj wyciski, jakie on dla litografisty pierwszego wydania wiernie skopiował—i jakie się też w wiernym rysunku na okładce egzemplarzy I-széj edycyi znajdują; jak to między innemi widzieć można na kompaturze egzemplarza, otrzymanego w darze od ś. p. pierwszego wydawcy a przez siebie (p. Sarneckiego) darowanego Bibliotece Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego.“

Zkąd zaś poszło, że właśnie jedyny ten egzemplarz, który się w rodzinie Mottych przechował, a o którym drugi wydawca musiał oczywiście mieć przekonanie, iż jest najwierniejszém oryginału we wszystkiém naśladowaniem, inaczéj jest oprawny, niż wszystkie inne, trudno dociec. Domyślać się tylko można, iż ś. p. Jan Motty dla lepszego i trwalszego przechowania, kazał egzemplarz ten w skórkę oprawić, ze zleceniem, iżby naśladowano ile możności oprawę oryginalną. Introligator poznański, nie mogąc się zdobyć na nic lepszego, użył klisz, jakie w warsztacie swym znalazł, i—przyozdobił kompaturę tego egzemplarza familijnego — złotemi kratami i orłami pruskiemi!

Tymczasem rysunek wyciśnięty na kompaturze oryginalnéj, i wiernie odlitografowany na pierwszém wydaniu, zupełnie jest inny. Ściana frontowa drobnéj téj książeczki, ledwo 4 cale długości mającéj, obwiedziona jest z brzega czworobokiem linii podwójnéj; w tym czworoboku mieści się podłużna sześcioboczna, z nieco wgiętemi bokami dłuższemi, tarcz herbowa Jagiellońska; w niéj na środku bardzo gustownie splecione z sobą dwie litery: J K, w kształcie nie gotyckim, ale łacińskim, niemal dzisiejszym kaligraficznym wypisane, jakich używano także do wpisywania inicyałów w drukach pierwotnych czyli inkunabułach. Po nad tym podłużnym, ślicznie wykaligrafowanym monogramem, unosi się korona, ale nie książęca mitra (podająca się do tytułu ducissa, na futerale przydanego Św. Jadwidze), tylko wyraźnie krenelowana korona królewska, Piastowska. Pod monogramem herbowa lilia andegaweńska, w narożnikach, po za ścianami tarczy, r o zetki z ga łązek astrowych, z kwiatkiem i pąkowkami. Podobny parament znajduje się także na tylnéj ścianie kompatury, tylko że w sześciobocznéj tarczy Jagiellońskiéj, zamiast monogramu (J K), znajdujemy wielkiego orła Jagiellońskiego, z głową na lewy bok obróconą, nad którą taż sama co na froncie unosi się korona królewska. Orzeł ten ze skrzydłami rozpiętemi, z pierścieniem przez pierś jednym, a pod udźcami drugim, z ogonem długim, w trzy kondygnacye coraz węższe, na kształt gałązki świerku odwróconéj, ułożonym, jest właśnie takim, jaki się znajduje w kaplicy Jagiellońskiéj w Kra-

kowie i na froncie *Śpiewów Historycznych* w piątém wydaniu. Wreszcie na grzbiecie książeczki w dwóch polach znowu herb andegaweński, lilia. Na futeraliku nawet, tak po jednéj jak po drugiéj stronie, herb lilia we wszystkich czterech narożnikach się powtarza.

Czyż godła, któremi oprawę książęczki i futeralik srebrny przyozdobiono, niedość wyraźnie powiadają, dla kogo taka oprawa była przeznaczona? kto i jakiego stanu musiał być właściciel tak oprawnéj książeczki? Oczywiście klejnocik ten należeć musiał do osoby, do rodziny, do książnicy wreszcie *królewskiéj, Jagiellońskiéj.*

Tak monogram na kompaturze, jako i napis na futeraliku, wskazują jakąś *Jadwigę*, jako pierwszą właścicielkę Książeczki. Monogram dodaje dla bliższego jéj oznaczenia literę K (którą w owem spleceniu z literą J możnaby ostatecznie wziąć za R jakoby znaczyć miało: Hedvigis Regina, Reginula, t. j. Jadwiga królowa, królewna); ks. Stanisław Wapowski zaś na futeraliku dodaje literę S jakoby Sancta.

Zastanawiając się nad tą głoską *S*, czytano ją powszechnie jako *Sancta*. Że zaś to znaczenie nie dało się pogodzić z historyą, która tylko zna jednę *Świętą Jadwigę* t. j. Trzebnicką, czyli Szlązką, o któréj wyraźnie mówi, że to była Niemka, z tyrolskiego Meranu, niemieckim obyczajem się rządząca i niemczyznę wkoło siebie krzewiąca, a żyjąca w bardzo odległych czasach, bo w pierwszéj połowie XIII-go wieku, gdy język polski jeszcze nie mógł być takim, jakim go Modlitewnik przedstawia,—przeto drugi wydawca poznański idąc torem Małkowskiego, w bystrym swoim sposobie odczytał głoskę *S*, poprzedzającą imię Hedvigis, na futeraliku, nie jako *Sancta,* ale jako *„Serenissima,* co jest przydomkiem właściwym książętom i księżniczkom z królewskiego rodu“ (str. XIX).

My atoli na tę konjekturę jego zgodzić się nie możemy: właśnie dla tego, iż jest natury dyplomatycznéj. Albowiem styl kancelaryjny dyplomatyczny, w żadnym razie nie pozwala na łączenie przydomka Serenissima z imieniem, — jak tu: Hedvigis, — tylko zawsze łączy go z tytułem, godnością jak np.: Serenissimus rex, dux i t. p. Widzimy to już w tymże napisie z tytułu: Eminentissimo Cardinali, a potém: Bernardo. Widać to, niemniéj we wszystkich listach i adresach, jakie nam zachował hr. Przezdziecki przy dziele „Jagiellonki Polskie XVI wieku.“ Zygmunt August np. list do narzeczonéj swéj, królewny Elżbiety, tak adresuje: Serenissimae Principi, Virgini Elisabeth... Taż Elżbieta, jako królowa, pisze do męża: Serenissime rex; a w II tomie tegoż dzieła

znajduje się podobizna włoskiego adresu jak następuje: Alla Serenissima Principissa Sofia. — Gdyby więc *S* w napisie futeralika miało oznaczać Serenissima, byłby nader wykształcony kasztelanic, jezuita Wapowski, jak: Eminentissimo Cardinali, niechybnie także napisał: Serenissima Ducissa — a potém — Hedvigis, — nie zaś odwrotnie!

Wypada zatém pozostać przy czytaniu głoski *S* jako *Sancta:* ale nie w znaczeniu zwyczajném, kościelném, t. j. w znaczeniu świętéj kanonizowanéj, kalendarzowéj, w świecie katolickim powszechnie znanéj, a tu w tym razie nawet jedynéj,—niepotrzebującéj przeto nawet dodatku ducissa; tylko w znaczeniu, w jakiém wyraz *święty* poniekąd i dziś jeszcze, a dawnemi czasy zwyczajnie był używany. I dziś mówimy jeszcze: święta prawda; święte twoje słowa, świętéj pamięci i t. p., a dawniéj mówiono: święci przodkowie nasi, święte ich kości i t. p.; jak czytamy np. w Bielskim: „Pan Bóg że to wie, jakąby wdzięczność onym świętym zmarłym przodkom swoim pokazywać każdy z nas miał; uzłocićby groby ich a kostki ich za święte sobie mieć i tąż drogą za nimi iść, jeślibyśmy chcieli prawdziwymi syny ich być a nie za wyrodki miani.“

Święty zatém oznacza tu tego, kto cnotliwy i bogobojny. Szajnocha (w dziele Jagiełło i Jadwiga III, 421) mówi, że „królową Jadwigę pisarze, mianowicie późniejszych wieków, z prosta nazywali *świętą*, chociaż kanonizacya spodziewana nigdy nie nastąpiła, była ona bowiem in odore sanctitatis u publiczności ówczesnéj.

Toż i ta Jadwiga, którą wskazuje napis na książeczce naszéj, nie inną zapewne była świętą, tylko taką, jak królowa Jadwiga. A że przytém mianowana jest na futerale Ducissa, a na kompaturze K... (królewna po łacinie jak w średnich wiekach: (reginula), więc Książeczka do nabożeństwa, o któréj mowa, nie mogła do kogo innego należeć tylko do *Jadwigi*, za *świętą mianéj* i to *królewny* (czyli księżniczki) z rodu *Jagiellowego.*

Gdyby nie wysoki już stopień ukształcenia języka, jaki się w Książeczce pokazuje, możnaby zaiste pokusić się o przysądzenie pierwszego właścicielstwa, nawet nie zważając na dwieście lat późniejszy, a zatém mniéj pewny napis *Ducissa*) samejże świętéj pamięci królowéj Jadwidze. Tak tu zaiste wszystko licuje z tém co nam kroniki o téj świętéj królowéj podają. Wzgląd atoli na głos większości krytyków, którzyby język książeczki chcieli odnieść nawet aż do drugiéj późnéj połowy XV wieku, nakazuje nam stanowczo od pokuszenia tego odstąpić, kiedy wiadomo, że bogobojna mianowicie w ostatnich latach królowa, zeszła z tego świata

już z końcem XIV wieku. Emblemata jednakże na książeczce wyciśnione w każdym razie mogłyby, jak stałe znamiona *książnicy królewskiéj*, pochodzić jeszcze z czasów Jadwigi królowéj. Skoro więc ani Św. Jadwiga Trzebnicka, ani królowa Jadwiga, za pierwsze właścicielki książeczki uważanemi być nie mogą, „pozostają przeto, jak mówi drugi wydawca poznański (str. XVI), najprawdopodobniéj dwie księżniczki polskie (królewny), które mogły używać Książeczki do modlitwy, t. j.: Jadwiga, córka Jagiełły (+1431), i Jadwiga, córka Kazimierza Jagiellończyka, wydana r. 1474 za Jerzego księcia bawarskiego.“ „Która z nich była właścicielką, rozstrzygnąć trudno; być może, iż ostatnia, opuszczając ojczyznę na zawsze, zostawiła blizkim sercu osobom książeczkę na pamiątkę.“

Atoli właśnie dla tego ostatniego powodu, który przytacza szanowny wydawca, nie możemy się zgodzić na jego przypuszczenie. Albowiem nieprawdopodobną widzi się, iżby królewna polska opuszczając ojczyznę na zawsze, miała w kraju zostawiać pamiątkę, która właśnie w obczyznie tém droższą, tém niezbędniejszą staćby się była musiała, im bardziéj zwykle niewiasty do książek od nabożeństwa nierozdzielnie się przywiązują. Rozdział z krajem do przeciwnego raczéj daje powód wniosku; t. j., że byłaby ją niechybnie z sobą zabrała, choćby jéj przyszło i daleko kosztowniejsze pamiątki osobom sercu drogim zostawić!

Przechylamy się przeto na stronę p. Małkowskiego, i mniemamy, iż nie tak łatwo byłaby ta książeczka znowu do kraju wróciła, gdyby raz z niego była wyszła. Jeżeliby zaś dla języka zbliżającego się do drugiéj połowy XV wieku, jak to czynią inni, książeczkę przysądzić chciano, jako późniéj żyjącéj tejże księżnie bawarskiéj, to i w takim razie nie moglibyśmy się na to zgodzić, ponieważ, jakeśmy to wyżéj okazali, właśnie w tymże języku znajdują się dowody, iż Książeczka pochodzi z *pierwszéj* wieku XV-go połowy.

Małkowski (Przegląd pomników str. 105) słusznie przeto utrzymuje, „iż Modlitewnik musiał należeć do królewny, która w kraju umarła“—do Jagiełłówny, córki Jagiełły, ur. 1408 a zmarłéj w panieństwie r. 1431.

Dziwna rzecz, iż nikt dotąd nie pokusił się o to, by bliżéj poznać tę właśnie królewnę, chociażby tylko dla tego, by się przekonać, czy okoliczności jéj życia czynią prawdopodobném, iżby ona właśnie mogła być Modlitewnika właścicielką. — Snać nietylko książeczki,—ale i księżniczki, swoje fata mają!

Zobaczmy, azali nam się nie uda udowodnić, że z czterech

Jadwig, któreby mogły do właścicielstwa tego zabytku historycznie *pretendować*, najodpowiedniejszą ta być może, o której niemal wszyscy właśnie zapomnieli. Wszystkie okoliczności z życia *Jadwigi Jagiellówny* z tém przypuszczeniem w najzupełniejszéj są zgodzie. Posłuchajmy, co mówi historya. Jadwiga, córka Jagiełły i Anny hrabianki cyllejskiej pochodziła z téj gałęzi rodu Kazimierzowego, nad którym szczególne jakieś fatum zawisło, z rodu, który aż do trzeciego pokolenia największych doznawał przeciwności, któremu los wrogi bezustanne mianowicie w osiągnięciu tronu ojcowskiego stawiał przeszkody. Zaraz po śmierci Kazimierza W-go Ludwik, król węgierski, objąwszy rządy w Polsce, uwiózł do Węgier z sobą dwie pozostałe sieroty, córki po Kazimierzu. Na obczyznie chciał je na zawsze odsądzić od praw do korony Polskiéj. Rzuciwszy więc oszczerczą wieść, jakoby szły z nieprawego małżeństwa, starał się krom tego wprawić je w takie stosunki życia, iżby niepodobna im nawet było zamarzyć o dochodzeniu praw swoich do korony! „Uwięził sieroty w podłém małżeństwie, mającém być dla nich strażą przeciw wszelkim do dziedzictwa korony zamysłom" (Szajnocha, Jadwiga i Jagiełło I str. 65. III str. 412). Annę, starszą siostrę, oddał w małżeństwo grafowi cyllejskiemu, Wilhelmowi, z zamku Cylleja rządzącemu małém napół udzielném hrabstwem, między Panonią a pobrzeżem Weneckiém. Wtrąciwszy ją tym sposobem w „istne piekło zepsucia, sądził, że krew Kazimierza W. tym sposobem osławiona, na wieki będzie zapomnianą." Anna, hrabina cyllejska, o wszystkiém zapomnieć zniewolona, rzeczywiście nawet mowy ojczystéj zapomniała! Po śmierci grafa Wilhelma, z smutnego tego małżeństwa pozostała córka, imieniem także Anna, Hrabina cyllejska powtórnie zamąż wyszła za jakiegoś hrabiego Deka, a sierotka *Anna* pod opieką stryja pozostała na zamku cyllejskim, „w pokątnéj poniewierce, w zwyczajném zaniedbaniu sierocém, na wolą Opatrzności zdana." Wszystkie okoliczności złożyły się na to, by biedną wnuczkę Kazimierza W. najdolegliwszemi dręczyć utrapieniami. „Wziął jéj Bóg koronę przodków, zabrał ojca, rozłączył z matką, a od rodu cyllejskiego nieuśmiechały się biednéj sierocie uczucia przyjaźni, ani miłosierdzia! „Nie miała nieboga żadnéj z powszednich pociech nieszczęścia: nie miała nawet zwykłéj krasy dziewiczéj, ujmującéj oczy i serca ludzkie." Dorastała zatém w smutku i zapomnieniu. Wtém zdawało się, iż nastąpił kres jéj niedoli. Posłowie z Polski przybyli i zażądali jéj w małżeństwo dla króla Jagiełły. Na zamku cyllejskim radość; orszak przyszłéj królowéj niebawem w drogę do Krakowa wyprawiony.

Wtém los Anny nagle znów się zaćmiewa. Dnia 16 Lipca 1401 r. gdy cała stolica wyszła na spotkanie „powracającego orlęcia“ wnuki Piastów, i „kiedy wszędy rozlegały się okrzyki radości dziwnie uszczęśliwionego narodu,“ król ujrzawszy Annę, znalazł ją niedość urodziwą i — chciał zerwać ułożone małżeństwo! Jakże upokorzoną uczuła się znowu sierota Anna! Wreszcie udobruchano króla i nastąpiło odroczenie sprawy na 7 miesięcy, pod pozorem, że hrabianka cyllejska najprzód wyuczyć się winna języka krajowego, nim mogła tron posiąść. Skrócono wszakże potém czas ciężkiego doświadczenia—i dnia 29 Stycznia 1402 r. nastąpiły zaślubiny a potém i koronacya uroczysta... Małżeństwo to dla dłuższego braku potomstwa nie było szczęśliwe. Roku 1408 urodziła się wreszcie córka, której imię dano *Jadwiga*, a która mimo to drogie imię nie mogła w oczach Jagiełły zastąpić pożądanego potomka płci męzkiéj. Wreszcie królowa, po czternastu latach królowania w udręczeniu, zstąpiła do grobu i zostawiła po sobie tylko tę córkę Jadwigę. Ta zaś królewna, o której nam rzecz, sierota po matce prześladowanej losem, równie smutnych w życiu doznawała kolei.

Na dworze rodzica królewskiego następowały macocha po macosze. Po znienawidzonéj od narodu Elżbiecie Pileckiej, nastąpiła Zofia (Sonka, jakoby: Zosieńka Zońka) księżniczka kijowska. Królewna lubo tronu następczyni, a jako taka nawet z ośmioletnim margrabią brandeburskim, na dworze polskim wychowanym zaręczona, w coraz większém zostawała zapomnieniu. Wypadła wreszcie całkiem z łaski królewskiéj, gdy pojawiło się liczne potomstwo płci męzkiéj. Macocha, królowa Zofia, pragnąca swoje potomstwo na tron wynieść, znienawidziła Jadwigę—i tak ta nie szczęśliwa królewna, „wśród ustawicznych przykrości i udręczeń dni smutne na dworze rodzica pędziła“ (Długosz II. str. 600), aż wreszcie „nie bez podejrzenia zdradnie przez macochę podanéj sobie trucizny“ (Wapowski II, 450), w stanie panieństwa dokonała żywota zawodów, smutków i udręczeń pełnego r. 1431, licząc 23 lata wieku. „A była to latorośl Kazimierzowska w niewysłowionéj miłości u ludu kwitnąca (Wapowski l. c.); „było to istne zwierciadło cnoty i obyczajów, sam szmaragd czystości!“ (mówi Adam Świnka, kanonik katedralny krakowski w długim wierszu wielbiącym który przechował Długosz, a powtórzył M. Wiszniewski w Lit. p. I, 367). Otoż stosunki życia, oto charakter téj królewny Jadwigi Jagiełłowny, która jako taka, stosowniejszą nam się Modlitewnika właścicielką być widzi, aniżeli ta Jadwiga Jagiellończówna, która wyszła za księcia bawarskiego Jerzego, a która,

wedle zdania drugiego wydawcy, miała być tak obojętną na rzeczy ojczyste, iżby opuszczając ojczyznę, oraz i ten istny skarb modlitewny miałaby opuścić.

Dla jakiejże osoby losem znękanéj mógł bardziéj być pożądanym, bardziéj upragnionym taki właśnie pokarm duchowy, jaki nam Modlitewnik przedstawia? któraż osoba nieszczęśliwa mogłaby go bardziéj łaknąć, niż istota właśnie tak światem udręczona, jak nią była królewna Jadwiga? To też nie dla innéj, zaiste, jak dla téj Jadwigi, i zapewne na jéj żądanie, Modlitewnik w klasztorze z tak prostotną a tkliwą fioryturą został przepisany, a następnie w kompaturę i futeralik srebrny z insigniami domu królewskiego zaopatrzony; ją przeto za pierwszą posiedzicielkę Modlitewnika potąd uważać nie przestaniemy, dopokąd nie ujrzymy stanowczych dowodów przeciw temu twierdzeniu. A prawdziwą byłoby to dla nas pociechą, gdybyśmy po tylu zdołali wiekach choć prawa do właścicielstwa Książeczki przywrócić téj królewnie, która praw do tronu w sposób tak dokuczliwy została pozbawiona, która tronu tego, „jako w niewysłowionéj miłości u ludu kwitnąca,“ była tak godna, a która co do cnoty, obyczajów i czystości, istną była *Świętą* jak ją też napis na futerale mianować się zdaje. A zatém: Restituatur in integrum!

III.

Bezpośrednio po zgonie nieszczęśliwéj pierwszéj właścicielki, jakie były losy Książeczki, żadnéj dotąd nie posiadamy wiadomości. Czy była jakiéj osobie sercu Jadwigi drogiéj przekazaną; czy w skarbcu familii królewskiéj złożoną i tam jako pamiątka niemiłych dla dworu królewskiego wspomnień zaniedbaną—nie wiadomo. Dosyć, że przez lat przeszło sto, t. j. przez czas panowania Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta I, pozostawała w ukryciu.

Dopiero po upływie tego czasu wynurza się z niepamięci, jako w posiadaniu familii Maciejowskich. Jakim sposobem z domu królewskiego dostała się w dom Maciejowskich, — milczy o tém napis na futerale srebrnym wyryty.

Czy już przez Samuela Maciejowskiego biskupa krakowskiego i kancierza koronnego, którego w takim majestacie godności opisał nam Górnicki w swoim Dworzaninie? — Małkowski (str. 105) mówi, że stanowisko wysokie, jakie Samuel Maciejowski zajął przy królu w początku XVI-go wieku, dostatecznie tłómaczy, że *mógł*

dostać sobie Modlitewnik i chować go jako drogi upominek; że ten upominek przeszedł potém w ręce kardynała Maciejowskiego, — rzecz naturalna.“ Zgadzamy się najzupełniéj na to przypuszczenie i orzeczenie Małkowskiego, ile że i nam niejednokrotnie toż samo na myśl przychodziło. Wszakże nie mając pewności w téj mierze, przejść musimy do dalszego odczytywania napisu na futerale, wedle którego, książeczka do nabożeństwa, któréj używała święta królewna Jadwiga, była w rzeczywistém posiadaniu Jego Eminencyi (Eminentissimi) kardynała *Bernarda Maciejowskiego*. Ten kardynał Maciejowski, rodzony synowiec kanclerza Samuela (Niesiecki III str. 197) a syn Bernarda, kasztelana lubelskiego, by osobistością w kraju i za granicą, na dworze królewskim i cesarskim nader znakomitą. Z młodszych lat swoich na dworze cesarzów Ferdynanda i Maxymiliana wysoko ceniony dworzanin, kiedy następnie wielkie w obozie o sobie wzniecił nadzieje, przez Zygmunta Augusta do godności chorążego wyniesiony. Następnie przypadł do serca królowi Henrykowi a po nim szczególniéj także królowi Stefanowi, gdy w ekspedycyach moskiewskich nadzwyczajnie się był odznaczył. Późniéj stan duchowny obrał, a gdy biskupem łuckim został i od Zygmunta III poselstwo do Rzymu odprawił, otrzymał biskupstwo krakowskie, a następnie arcybiskupstwo gnieźnieńskie; w r. zaś 1604 nawet biret otrzymał kardynalski; umarł r. 1608, jako ,,kapłan bardzo świątobliwy, jako pisarz światły, pan dla nieporównanéj ludzkości swojéj wszystkim nader miły.“

Ten to kardynał Maciejowski darował następnie Książeczkę, o któréj mowa, siostrze swojéj (sorori suae) Jaśnie Wielmożnéj (Illimae) kasztelanowéj przemyskiéj, Annie Wapowskiéj. Ta zaś, wedle genealogii z podań Niesieckiego wysnutéj, nie była rodzoną, tylko stryjeczną siostrą kardynała, od Stanisława Maciejowskiego, najstarszego brata kanclerza Samuela, idącą, któréj Niesiecki imię także Katarzyny nadaje. A była taż Anna Wapowska wielką znowuż i znamienitą w dziejach naszych osobistością. Niesiecki nader obszerny podaje jéj opis. Była to bowiem żona owego tak głośnym sposobem, gdy wjeżdżał na zamek królewski, przez Samuela Zborowskiego śmiertelnie ranionego Jędrzeja Wapowskiego, kasztelana przemyskiego. W młodym wieku, owdowiawszy i ,,odtrąciwszy tłumy cisnących się do niezmiernego jéj majątku i niepospolitéj urody zalotników, i rozdawszy świetne szaty na ozdobę kościołów, a sama w czarnym niekosztownym, ubiorze chodząc, wiecznym się ślubem czystości w kościele dynowskim obowiązała.“ Wiodąc na zamku dynowskim (Mich. Baliński

Starożyt Pols. str. 680) surowy żywot ascetyczny i ukarcając ciało swoje—niezmierne dochody z majątków na budowanie kościołów, na urządzanie instytutów dobroczynnych i na wszelkiego rodzaju uczynki miłosierne obracała. „Medytacyą codzień, rekollekcye corocznie czyniła, z których wzięte objaśnienia własną ręką spisywała tak, że serca czytających przerażały." „W czytaniu ksiąg o Naśladowaniu Chrystusa, oraz o żywocie i śmierci księżny parmeńskiéj największe upodobanie miała, — i tak świątobliwego żywota swego r. 1596 dokonała." (Niesiecki III, 199). Nie mógł zaiste, jak widzimy, klejnotu tego w godniejsze kardynał oddać ręce!

Od téj bogobojnéj, światłéj a w całym kraju głośnéj matrony wysokiego rodu, przeszedł Modlitewnik do rąk wnuka jéj (nepotis) kasztelanica, Stanisława Wapowskiego, jak daléj opiewa napis na futerale wyryty. Był to syn Stanisława Wapowskiego, kasztelana przemyskiego, syna onego to Jędrzeja tak rozgłośnym sposobem zabitego; był przeto nie siostrzanem (co wyraz nepos, neveu, Neffe, także oznaczać może), lecz rzeczywiście wnukiem bogobojnéj matrony Anny Wapowskiéj, (Niesiecki l. c. 456). Ten mając dwie siostry w zakonie Ś-go Benedykta, sam także na służbę Bożą do zakonu Jezuitów wstąpił. Tu odznaczał się „pobożnością, nauką i gorliwością w służbie kościelnéj; słynął jako „mówca z najpryncypalniejszych ambon przemawiający" i był rektorem kollegiów: w Jarosławiu, Lublinie, *Poznaniu...*, w końcu jako wiceprowincyał polski życia dokonał w Krakowie r. 1673. On to kazał wyryć wyżéj przytoczony napis na srebrnym futeraliku książeczki, choć nie kazał dopiero jak mniema wydawca drugi pozn. (str. IX) „skrzyneczki téj srebrnéj dorabiać." Uważając bowiem rysunek na powierzchni futeralika wyryty w obu wydaniach z oryginałem zgodny, łatwo w nim dostrzedz dwojakiego czasu znamiona. Ozdoby i fiorytura przy klamerkach; daléj lilie andegaweńskie w rogach ścian głównych, nareszcie kwiateczki na grzbiecie futeralu, zgodne z fiorytura i ozdobami wyciśniętemi na kompaturze książeczki, jako też z ozdobami narysowanemi po brzegach rękopisu samego, zdają się oznaczać czas dawniejszy, wiek XV;— drugie zaś, jako to: czworobok z napisem wrysowany we frontową i słońce prawdy, ozdoba w czasach jezuickich bardzo zwyczajna, wrysowane w tylną ścianę, zdają się być robotą późniejszego t. j. XVII wieku. Z czego wynika, że ks. Stan. Wapowski w r. 1634 nie kazał do Książeczki dorabiać nowego futeralika, tylko że korzystając z próżnego pierwotnie na ścianach starego puzderka miejsca, kazał tam wyryć *napis* tylokrotnie tu przytaczany, a z drugiéj strony *słońce prawdy* dopiero co wspomniane.

Dla czego zaś on Modlitewnika tego, jak daléj głosi napis, na dniu 11 Października r. 1634 nie złożył w darze, jak dotąd bywało, któremu z członków rodziny; dla czego nie Zgromadzeniu Jezusowemu, nie bibliotece tegoż zgromadzenia,—tylko: *huic templo,* téj świątyni? Zagadnienie trudne do rozwiązania. Czyżby w tém była jakaś restytucya pokutnicza, jakaś ekspiacya błędu z dawnych czasów? Nie śmiemy daremnych czynić domysłów. W każdym razie dziwną ta darowizna kościołowi zdawać się musi, ile że książeczka do nabożeństwa, to nie krzyż, nie kielich, nie ornat, lub tym podobny sprzęt, jaki się kościołowi zwykł w darze składać. Ale i drugie jeszcze ważniejsze historycznie nasuwa się też pytanie: co tu oznacza zaimek wskazujący *huic* (templo)? Drugi wydawca pozn. (str. VIII) mówi, iż „według wszelkiego prawdopodobieństwa rozumieć tu należy *jeden* z kościołów jezuickich: ponieważ po zniesieniu zakonu Jezuitów, książeczka znajdowała się w posiadaniu ex-jezuity.“ Prawda to, wszakże dla zaimka *huic* niedostateczna! Ale zważywszy: 1) iż ks. Stan. Wapowski był rektorem kollegium jezuickiego w *Poznaniu;* 2) że ojciec jego kasztelan przemyski był oraz starostą *kościańskim;* 3) że matka jego, z domu Kostków, kasztelanka biecka, była oraz starościanką *kościerzyńską,* — łatwo się domyślimy, że rodzina Wapowskich, w czasie, o jakim tu mowa, w rozlicznych i nader blizkich stosunkach zostawać musiała z Poznaniem i Poznańskiém. Że zaś oprócz tego i ex-jezuita ów z Modlitewnikiem naszym nie w innéj stronie tylko się znalazł w Poznańskiém, ztąd więcéj niż prawdopodobny wypada wniosek, że *huic templo,* nie może wskazywać innéj świątyni, tylko kościół jezuicki *poznański,* który dziś jest kościołem farnym miasta Poznania.

Na tém kończą się wiadomości, któreśmy z napisu na futerale wyrytego wyczytać zdołali.

Pierwszy wydawca Książeczki Jadwigi ś. p. Jan Motty, professor (wyd. I, str. 12) donosi daléj, iż „książeczka ta po kasacie Jezuitów, była własnością *pewnego ex-jezuity,* który u familii Gozimirskich w Poznańskiém przyzwoite stanowi swemu odbierał utrzymanie.“ Jakim sposobem ten klejnot niegdyś familijny, a potém kościelny, po zniesieniu zakonu Jezuitów, dostał się w ręce jednego z rozbitków tegoż zakonu, dochodzić tego nie będziemy potrzebowali, skoro rozważymy, co w téj mierze (w Obrazie miasta Poznania II, 25) pisze Józef Łukaszewicz. „Po kasacie Jezuitów r. 1773, mówi on, wszystko znikło. Jako burza morska (słowa rękopisu współczesnego), która uderza o ląd okręt bogactwami naładowany, sprawuje, że w okamgnieniu wszystko znika, tak

i w owéj czasu stało się nawałności. Znikły złote i srebrne ołtarzów ozdoby, które tu przez półtora wieku ludzka składała pobożność; wypróżnioną została, z najpiękniejszych autorów złożona i wielu książkami wzbogacona biblioteka.... każde miejsce stało się łupem publicznéj i prywatnéj grabieży...“ Ex-jezuita darował książeczkę, do któréj i on, jak się zdaje, wielką wartość przywiązywał, dobrodziejom swoim, Gozimirskim, a ci zapewne na drodze handlarskiéj, wypuścili z domu ten klejnocik w świat, iż zginął bez wieści i przez lat 50 zostawał w ukryciu.

Dziś dopiero pokazuje się, że z rąk handlarzy dostał się na zamek fischbachski, gdzie z tytułu tego, że to mniemana pamiątka po Ś-téj Jadwidze Trzebnickiéj na Szlązku, albo że to pamiątka po Jadwidze księżnie bawarskiéj, znalazł godną siebie gościnę u dzisiejszéj swojéj właścicielki królowéj bawarskiéj.

IV.

Czas powstania Modlitewnika wskazał pierwszego *posiedziciela;* osnowa jego i sposób jéj pisania mogą przyczynić się do odkrycia usposobienia, stanu i osobistości *autora.*

Cała książeczka składa się z 12 modlitw, w główném części wystosowanych do Panny Maryi, w części do Pana Jezusa i Wszystkich Świętych. Pierwszy ustęp (od str. 24 do str. 75) obejmuje gorące, śmiałe parafrazowanie Pozdrowienia Anielskiego z prośbą o posłuszeństwo dla starszych, a miłosierdzie dla bliźnich, na końcu o szczęśliwą śmierć i o przyczynę, gdy przyjdzie stanąć w groźnym sądzie ostatecznym. Drugi ustęp zawiera modlitwy do Pana Jezusa (do str. 94); jest to jakoby rachunek sumienia i przygotowanie do stawienia się przed Sądem Bożym. Następnie krótka modlitwa z prośbą o win odpuszczenie i doprowadzenie do wiecznéj miłości Boga: jest to jakoby podczas podniesienia Hostyi (do 96). Daléj jakoby po podniesieniu do przyjęcia Komunii św., dziękczynienie (do 102). Idą potém modlitwy „welmy dobre“ jako przygotowanie na przyjęcie Ciała i Krwi Pańskiéj (do 129); za nimi modlitwa przed przyjęciem Komunii św. (do 145); daléj kilka modlitw po przyjęciu Bożego Ciała (do 154); daléj druga modlitwa o Bożém Ciele (rymowana do 158), po któréj jakoby Antyfona, następuje niejako po skończeniu się sakramentu ołtarza i po odbyciu spowiedzi powszechnéj z całego życia, modlitwa błagalna (do str. 172). Potém znowu modlitwy do Panny Maryi i do Wszystkich Świętych, (aż do końca, to jest do str. 186).

Są te modlitwy różnéj natury i różnéj postaci; są błagalne, są wielbiące, są dziękczynne; w kształcie modlitw zwykłych, antyfon, litanij i t. p. Przez wszystkie jednakże przechodzi jakby jedno tchnienie, jedno gorące pragnienie, i jedyna żądza, żądza najściślejszego połączenia i zjednoczenia się z Bogiem; i to nietylko w przyszłym, ale już na tym świecie! Stanowią przeto wszystkie te modlitwy, najrozmaitsze co do formy i osnowy, a do celu jednego zmierzające, jedną w sobie całość. A że środkiem do zaspokojenia żądzy pobożnéj, zjednoczenia się z Bogiem, nietylko symbolicznym, ale istotnym, jedynym, jest sakrament Ciała i Krwi Pańskiéj, przeto całą grupę modlitw książeczki na trzy główne ustępy najwłaściwiéj podzielić można, to jest na modlitwy *przed* komunią (do str. 75); modlitwy *przy* (do str. 145) i modlitwy *po* przyjęciu Ciała Bożego (do str. 186).

Wszystko zaś przedstawia się tu jakby jeden potok gorący nabożeństwa, z taką wylewający się czułością, namiętnością, a rzekłbym nawet natarczywością, że czytającemu niepodobna prawie nie dać się jemu porwać za sobą.

To też ta jedna okoliczność, to ciepło twórcze, którém całość jest przejęta, już dostatecznie znamionuje zbiór ten modlitw, jako utwór *oryginalny*, a nie mogący się żadną miarą uważać za *kompilacyą*. Jeżeli widzimy w Modlitewniku przypominające się tu i tam znane jakieś modlitwy i pieśni kościelne, to sposób wplatania się ich w ten potok nabożeństwa najdowodniéj okazuje, że to nie *kompilacya*. Dusza modląca się jest tu tak uniesiona, tak gorąco przejęta pragnieniem jedności z Bogiem, że wszystkich możebnych używa sposobów, by pragnienie to wypowiedzieć i cel tego pragnienia osiągnąć. Używa na to i swoich własnych słów, i od kościoła pożyczanych—niejako skuteczniejszych i świętszych sposobów przemawiania do Boga, i jest w téj chwili jak ona młoda niewiasta nad Księgą Żywota, która:

„Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi!“

Jeżeli w takiém usposobieniu nasuwają się w większéj lub mniejszéj mierze kościelne zkądinąd znane pienia i modły, nie są to wypisy lub przekłady, ani ścisłe ich odpisy, kompilacye, ale są to raczéj tylko *reminiscencye*, dowodzące, do jakiego stopnia dusza modlącéj się osoby była życiem kościelném przejętą i jak dalece była z literaturą nabożną kościelną, a nawet „i z teologią

spoufalona.“ Co do tego punktu więc najzupełniéj zgadzam się z Szan. drugim wydawcą poznańskim (str. 82, 91), jako też z Małkowskim, który mówi (str. 108), że „autor przechodząc z pieśni do modlitwy, czynił to bezwiednie; przejęty żarliwością przypomniał sobie mimowolnie pieśń umianą kiedyś na pamięć, ale przypomniał niedokładnie, więc jéj ściśle nie powtarza, lecz wychodzi raz wraz z materyi i dodatkami własnemi ją przeplata.“

Nie mogę się zaś zgodzić żadną miarą na zdanie uczonego professora W. A. Maciejowskiego, który (Piśm. I str. 367) mówi, że Modlitewnik „nie jest pierwotworem, czyli oryginałem, lecz tylko przepisaniem, czyli kopią;“ a na str. 364 sądzi, że „z różnych modlitw prozą i wierszem ułożonych niewiadomy pisarz skreślił ją w XV wieku.“

Mówi przeciw temu zdaniu najdobitniéj ta okoliczność, jak to Małkowski najdokładniéj wykazał (na str. 109 Przeglądu Najdaw. Pom.), że nawet modlitwy (do Pana Jezusa, poczynające się na str. 103 Modlitewnika) *wyłożone niby to z łacińskiego*, jak np. modlitwa brewiarzowa „Summe Sacerdos et vere Pontifex... nie są bynajmniéj *tłómaczeniem*, tylko popsutą dodatkami łataniną, reminiscencyą modlitw kościelnych łacińskich, niegdyś umianych i powtarzanych z pamięci, a nieodświeżanych czytaniem, i dla tego mchem i chwastem porosłych.“

Również kompilacyą, plagiatem, ani przepisaniem czyli kopią, nazwać nie można nawet i téj modlitwy, która ma być niejako żywcem przepisana z pieśni Jędrzeja ze Słupi albo pieśni Stanisława Piskorzewskiego r. 1419 (W. A. Maciejowski Dodatki do Piśm. pol. str. 77).

Pieśń ta bowiem (umieszczona także w Pamiętnikach Słowian. II, str. 354) brzmi jak następuje:

Witaj miły Jezu Chryste,
Tyś syn z prawéj dziewki czystéj,
Tyżeś za nas na krzyż wstąpił,
Swąś nas świętą krwią odkupił.
Witaj prawe boże ciało,
Tako jakożeś na krzyżu *pniało;*
Widzę cię w świętym opłatce,
Jakoś się począł w swojéj matce!
Proszę ciebie synu boży,
Tyeś król w rajskiem zboży,
Byś się raczył zmiłowaci
Nam grzesznym swą miłość daci! Amen.

W Modlitewniku zaś ma brzmienie następujące (str. 77):

O zawitaj żywy chlebie an*ielski*, jenżeeś ty z nieba zstąpił przed lud izra*elski*. O witaj wieczny Panie, Panie Jezu Chryste! O witaj miły synu z Panny Maryi narodzony: bo moja wiara ciebie zawżdy widzi, a mocnie i zupełnie zawżdy wierzy, podług twoich słów, iżeś Ty w białości chleba tego prawy Bóg. Tyś mój miły stworzy*ciel* i wszego świata odkup*iciel*. Ty, któryś z Panny Maryi naro*dzon* i na krzyżu umę*czon*. A już tam daléj chleba nie, kiedy kapłan ty słowa mówi: niźli ciało samo prawego Boga skrywa, jakoś za nas na krzyżu *pniało*, które kapłan w ręku pias*tuje*, nam grzesznym uka*zuje*. Tyś miły Panie nas swą krwią odkupił; bądź duszy méj dziś odpłatą i jéj oświeceniem,—którą ty przyjmiesz ku chwale królestwa swego... i t. d.

Tym sposobem przypominają się tu i inne pieśni, które Maciejowski (l. c.) przytacza, i których nie przytacza, jak np. Bogarodzica (Modlitewn. 67—68 zbożny, Dyablu odeymy, Anio*łem* zawitana i t. p.). Psalmy Dawida (Modlitew. oddział I i III) i inne. Wreszcie na samym końcu Modlitewnika przypomina się modlitwa, którą nam się wykryć udało. Jest to modlitwa do Ś-go Krzyża, którą pobożne niewiasty nasze przepisaną i poświęconą na drobnéj kartce dziś jeszcze w szkaplerzykach zaszytą jak amulet święty przeciw złemu przy sobie noszą. Brzmi ona jak następuje: „Za przyczyną Najświętszéj, Najchwalebniejszéj Panny Maryi, wszystkie niebieskie społeczności, wszyscy święci Aniołowie i Archaniołowie boży, przybądźcie mi największéj grzesznicy na pomoc. Proszę was, wszystkie władze niebieskie, żeby mi żaden nieprzyjaciel szkodzić nie mógł ani w domu, ani w drodze; ani ogień, ani żelazo, ani śpiąc, ani czując, ani co robiąc. Oto Krzyż Pana naszego † Jezusa Chrystusa; uciekajcie przeciwne strony! Zwyciężył lew z pokolenia Judy, korzeń Dawida. Ach, Zbawicielu nasz Jezu, Chryste zbaw nas, któryś przez krew i krzyż Twój zbawienie świata udzielić raczył.“ I tak ta modlitwa idzie daléj. W Modlitewniku zaś (str. 185), tak się odzywa:

—„I proszę Was, wszystkich mocy niebieskich dla tego, abyście mi dali moc i spomożenie, iżby mię żadny nieprzyjaciel nie mógł potępić na drodze i na wodzie, ani w ogniu, ani nagłą śmiercią, ani czuwając by mię mógł ogarnąć. Oto uciekajcie przed świętym Krzyżem strony; zwycięża jako lew z rodzaju żydowskiego. Zbawicielu wszystkiego świata, zbaw mię, któryś mię odkupił...“ I na tych słowach kończy się modlitwa, która w rzeczywistości jest daleko dłuższą; kończy się zarazem cały Modlitewnik.

A jest to okoliczność, która znowu dowodzi, że to nie plagiat, nie przepisanie, tylko reminiscencya i parafraza modlitwy innéj. Że zaś tak się urywa i nie ma najzwyczajniejszego nawet zakończenia „*Amen*," to pokazuje jakoby Modlitewnik oddany do oprawy, nie był jeszcze ukończonym. Zkąd to poszło? Dochodzić trudno.

Kompozycya Modlitewnika według tego wszystkiego nie jest zatém kompilacyą, tylko tworem oryginalnym, i to tém więcéj, gdy i najsurowsi recenzenci nawet przyznają, że mieści w sobie wiele modlitw zupełnie oryginalnych.

V.

Sama osnowa Modlitewnika i sposób jéj traktowania pokazują oczywiście, że mamy przed sobą duchowy owoc życia *klasztornego*, że osoba, która zbiór modlitw tych skomponowała, w ascetyzmie wysoko musiała być wzniesioną, i że czuła potrzebę wspierania się na tych żywiołach, któremi żył kościół, a nawet nie odstępowania od form i formuł, które w regule kościelnéj były w zwyczaju. Do tych ostatnich liczę mianowicie tę w Modlitewniku uderzającą osobliwość, że kiedy się ma zacząć niby to wykład łacińskich modlitw, wystosowanych do Pana Jezusa, każda z tych modlitw (od str. 103 do 124) na początku oznaczona jest przez abrewiacyą, czy anagram, którego przy innych modlitwach, jako to do Panny Maryi lub do Wszystkich Świętych, nie widzimy. Anagram ten *C— Ya* przed każdą modlitwą do Pana Jezusa umieszczony, zdaje się także być znamieniem klasztornego początku Modlitewnika. Albowiem, jak mi to światły prałat L. raczył wyjaśnić, podług jego przekonania abrewiacya ta nic innego nie znaczy, jak: *Chwalmy Jezusa*, odpowiednio do łacińskiego: Oremus, które się zwykło przed każdą kościelną modlitwą dodawać; lub odpowiednio do „Venite adoremus," które się na początku Brewiarza każdego dnia przed Matutinum, czyli przed Jutrznią, odmawia. Jakkolwiekbądź, jest ten znak niejako przekładem polskim naśladującym abrewiacye Brewiarza, jak: *V* (ersus) *R* (esponsorium) i t. p.; czyli jest to dowód życia i nawyknienia duchownego i trzymania się rytuału zapewne klasztornego, przez osobę, która Modlitewnik układała.

Wszyscy znawcy i recenzenci Książeczki zgadzają się daléj na to, że osoba zdolna takiego tworu, jak Modlitewnik, musiała być

„nietylko bardzo uzdolnioną, ale i wysoko wykształconą, uczoną, nawet w subtelnych kontrowersyach teologicznych biegłą" (Wyd. II, str. 39). Jakoż jest tak rzeczywiście, zważając mianowicie na trafność i ścisłość w wyrażaniu pojęć niezmiernie rozległych i głębokich, jakie w niektórych modlitwach znachodzimy.

Wypowiedzenie jednego gorącego uczucia w modulacyach tak licznych, tak rozmaitych, a tak serdecznych, a przytém tak tkliwych i pieściwych, może zaiste być tylko wypływem żarliwie rozmodlonéj duszy *niewieściéj*. Cały zakrój i ton utworu są tego dowodem. Przyczém wszystko tu wyprosić i stać się ma za przyczyną niewieścią, Najświętszéj Panny! Tajniki serca, duszy i wiary, tylko przez intuicyą niewieścią mogły być tak ogarnione i przeniknione, jak są w Książeczce Jadwigi. Wreszcie modląca się wszędzie odzywa się w rodzaju *żeńskim;* z wyjątkiem dwóch miejsc, gdzie się mianuje „człowiekiem ubogim, nieużytecznym" str. 106), a gdzie wyraz *człowiek*, oczywiście tyle znaczy tylko co kreatura, stworzenie w obec Stwórcy. Ztąd wnosimy i twierdzimy, że autorem Modlitewnika najniechybniéj mogła być tylko *niewiasta*.

Jeżeli zaś wydawca drugi poznański (na str. XLI) twierdzi przeciwnie, i mówi, że „z wewnętrznéj piękności modlitw, z ogładzonego stylu i poprawnego języka, czém żaden drugi pomnik ówczesny poszczycić się nie może, poznać tak wykształconego pisarza, jakim mógł być jedynie *mężczyzna*, że kobiety onych czasów nie posiadały tych wszystkich zalet, znajomość pisma nawet mało pomiędzy białogłowami była rozpowszechnioną; a gdyby która z nich tak dalece była w naukach celowała, iżby jéj można autorstwo Modlitewnika przypisać, to imię jéj byłoby niezawodnie przeszło do potomności, miasto zginąć w czasów pomroce," — to my na to oświadczyć musimy, że szanowny wydawca znajduje się w błędzie.

Posłuchajmy choć tylko tego, co o wykształceniu kobiet owego czasu mówi Szajnocha w dziele Jagiełło i Jadwiga III, str. 257 i inne.

„Po chwilowém przyćmieniu wschodzącéj zorzy nauk, obudził się u wszystkich narodów XIV stulecia nowy zapał do szukania i szerzenia światła. Stało się następnie nawet modą u książąt, zakładać akademie, które wiek XIV napełniły. Skutkiem tego popędu do nauk, świeccy magnaci celowali nieraz nauką, a za dni Jadwigi ceniono sobie fortunę głównie, jako środek do nabycia niedostępnéj ubóstwu nauki i wyższości moralnéj. Królowa Jadwiga podzielała w zupełności powszechną w swoim czasie żą-

dzę kształcenia się i cześć dla oświaty, i nie pragnęła niczego tak gorąco, jak chwały Bożéj. To też nie było dla niéj wyższego, poważniejszego zbudowania umysłu nad rozczytywanie się w pismach duchownych; wynikły ztąd rozkazy układania książek do nabożeństwa w zrozumiałéj dla wszystkich mowie, przekładów ksiąg duchownych na język polski, których pozostałe szczątki należą do najpierwszych zabytków mowy i literatury ojczystéj. Rodzona siostra Jadwigi, Marya, ceniła sobie wysoce uczonych i poetów. Cała rodzina andegaweńska słynęła z poloru i oświaty. A ta chciwość wiedzy takie w ówczesnéj Polsce wzbudzała zjawiska, jakich nigdzie indziéj nie widzimy....“

Możemyż w obec tego świadectwa historycznego mniemać jeszcze, że Polska w czasie, z którego pochodzi Modlitewnik, nie mogła mieć ani tak zdolnéj, ani tak wykształconéj, ani tak uczonéj, zwłaszcza w zakonie, niewiasty, jak ta, która nam się jako twórczyni modlitw Książeczki pokazuje?

Ale posłuchajmy co daléj mówi historyk o owych zjawiskach nigdzie indziéj niewidzianych, które u nas z chciwości wiedzy wynikały.

Mówi on za poręką *Wiedeńskiego Opata Marcina*, który był synem górnika ze Spiża, a uczniem naówczas Akademii krakowskiéj, i naocznym świadkiem zdarzenia, które opowiada: „Mało co po odnowieniu głównéj szkoły Kazimierza (r. 1400) przysłuchiwał się w niéj odczytom akademicznym pewny młody człowiek, kandydat bakalarstwa, który pewnego razu przypadkiem okazał się dziewczyną (1). Przywdzianie stroju męzkiego przez niewiastę

---

(1) Dialogus historicus Martini abbatis Scotorum Viennae austriac. (Pez. II. 623. Scriptores rerum austriacarum). *Senex*: accidit, cum ibi dem (Cracoviae) moram facerem quod prodita fuit quaedam puella, quae per duos annos in veste virili et studentis studium frequentavit et *vicina fuit ad Baccalauriatum* in *artibus*. In bursa stetit, cum aliis honeste se rexit, balnea non frequentavit, lectiones diligenter visitavit. *Patrem habuit in Magna Polonia scholasticum*, circa quem cum aliis pueris rudimenta puerorum didicit: et mortuis parentibus patrimonium suum recepit et latenter veste virili induta ad studium venit. *Juvenis:* Quomodo fuit deprehensa? et quid postea de ea actum est? *Senex:* Quidam miles videns eam transire in civitate, in domo civis qui dicebatur Kalthebrig, dixit ad socios suos: si persona illa in specie studentis vadens, non est puella, dabo vobis tantum; si est, dabitis mihi. Placuit illis. Postea cum prope portam domus venit, vocavit eam quasi locuturus, et coram sociis posuit eam ad mensam, et nudata ea, apparuit, cujus sexus esset. Deinde tradita fuit Judici. Interrogata, cur sexum occulasset, respondit, *amore studii*. Interrogatus conventor bursae sub juramento et socii, nihil inhonestum de ea dicere potuerunt. Optavit tradi ad monasterium monialium et ita factum est. Et facta est *magistra et abbatissa* omnium aliarum et puto, quod adhuc vivit, quia noviter habui scrutinium de ea a quodam, qui Cracoviae moratus est.

uchodziło w owych czasach za zbrodnią, która między innemi właśnie i Dziewicę Orleańską głównie na stos płomienny wprowadziła. To też dziewczynę krakowską zaprowadzono natychmiast przed trybunał duchowny. A gdy zapytana, dla czego męzki strój przywdziała? „*z miłości do nauk*“ odparła; spółuczniowie zaś i świadkowie także nic innego ani zdrożnego o niéj powiedzieć nie mogli więc złagodnieli sędziowie duchowni, i na własne żądanie do klasztoru ją oddali; gdzie żyła nauczycielką mniszek i ksienią została.“

W obec takiego sądu o niewiastach XV wieku, w obec takiéj mianowicie wiadomości szczegółowéj o żądzy do nauk i o wysokim stopniu wykształcenia w nich, czyż nie usprawiedliwioną jest pokusa do przypuszczenia, że twórczyni Modlitewnika mogła być równie oświeconą i równie wysoko wykształconą niewiastą, jak ta dziewica-student, którą nam Marcin opat wiedeński przedstawia; że wypowiedzmy śmiało swój domysł,—autorką Modlitewnika nie inna niewiasta, jak właśnie była *taż dziewica krakowska*, w klasztorze krakowskim żeńskim tak wysokie zajmująca stanowisko. Wszakże czas powstania Modlitewnika i czas tego uderzającego zjawiska dziewicy w akademii krakowskiéj — w najzupełniejszéj zostają zgodzie. Wszakże i Małkowskiego domniemanie (str. 104), że „burze żywota snać zniewoliły twórczynię Modlitewnika zapukać do fórty klasztornéj; że pokuta i życie świątobliwe skłoniły ją do napisania w celi klasztornéj książeczki do nabożeństwa; że wsławiona w zakonie świątobliwa ta niewiasta pokutą surową i życiem bogobojném zjednała sobie sławę w świecie i łaskę w kościele tak, że imię jéj otoczył urok świętości,“ z przypuszczeniem naszém najzupełniéj się zgadza.

Twierdzimy więc, że autorką Modlitewnika była świątobliwa w zakonie niewiasta, posiadająca obok wielkiego uzdolnienia tak wysoki stopień wykształcenia, jaki tylko w Akademii krakowskiéj naonczas niesłychanie kwitnącéj, a imionami jak św. Jana Kantego i in. wsławionéj, osiągnąć było można. Ależ i *imię* tejże autorki „przeszło do potomności i nie zginęło w czasów pomroce.“ Wszakże miasto raz jeden, jak to bywa na tytule, wymienione jest pięć razy w samym tekscie: a imieniem tém jest *Nawojka*.

Wprawdzie ta właśnie okoliczność wymieniania imienia autora w tekście dzieła, a w szczególności wymienianie go w ciągu modlitwy, w obliczu Boga, zdawała się być tak osobliwą, tak mało zwyczajną, tak dziwną, że faktowi przez W. A. Maciejowskiego po pierwszy raz na jaśnią dobytemu z razu uwierzyć nie chciano. Że zaś to wymienianie imienia *Nawojki*, (dziś w ogóle już tak mało znanego) następuje tu w miejscach, gdzie jest najgłębsze ko-

rzenie się i kajanie duszy przed Bogiem, sądzono nawet, iż wyraz Nawojka mógł tam być nie imieniem, ale rzeczownikiem przestarzałym, wyrażającym jakoby grzesznicę, winowajczynią i t. p. Skłoniło to i nas także do udzielenia Szan. wydawcy II edycyi poznańskiéj naszego wywodu etymologicznego w tym kierunku, który na tak zaszczytném miejscu, bo przy przedmowie jego umieszczono.

Dziś wszakże, po bliższém rzeczy rozjaśnieniu, widzimy się spowodowanymi do cofnięcia tego wywodu etymologicznego, przynajmniéj co do téj części, która w mniemanym pierwiastku *wi* znaczenia *winy* dotycze; i zostawiamy tylko pierwiastek, czy temat, *wit*, czyli *wić*, który do tego prowadzi, że nazwisko *Nawojka* mogłoby oznaczać tę, która się nawinęła, nadarzyła, którą matka powiła, coby łacińskiemu odpowiadało imieniu *Natalia;* albo też naszemu Bogdanka.

Przekonano się wreszcie, że imiona *Nawoj* i *Nawojka* rzeczywiście są imionami *chrzestnemi* (bo familijnych naonczas jeszcze nie było), a począwszy od wieku XIV (jak mówi Małkowski str. 112) często wspominanemi i to u osób wysokie stanowiska zajmujących. Znaleziono je w dokumentach archiwum grodzkiego poznańskiego (Książeczka, wydanie II, pozn. str. XXX); znajdowano w herbarzach heraldycznych (np. Wielądka IV 275); znaleźliśmy imię Nawoja i w historykach, jak w Bielskim (str. 328), gdzie królowa Zofia (Sonka, nasze Zońka) o nierządne chowanie się w stanie małżeńskim osławiona, odwołała się na przysięgę samosiedmą (w siedm osób), gdzie między sześciu przysięgającymi wymienia Bielski Klichnę, żonę *Nawoja* z Mokrska.

Skoro zaś *Nawojka* jest jak i Nawoj imieniem chrzestném, jakoby *Natalia*, to i mogło być także imieniem zakonném, przy wstępie do klasztoru przyjmowaném, na zastąpienie imienia chrzestnego światowego, Bogu ślubioném. A w takim razie mniéjby już uderzało, że „imię modlącéj się pięćkroć w modlitwach mogło być zamieszczone.“ Modląca się bowiem w żarliwości modlitwy mogła wymienić swoje nazwisko zakonne: gdyż w takim razie, jako znak oderwania się od świata, już to wymienienie tylko może mieć znaczenie przypominania ślubów w obec Boga złożonych, jakoby mówiła: ja twoja sługa, jako Nawojka tobie jedynie całą istotą oddana! Jest ta Nawojka jakoby synonim modlitewny za inne podobnego znaczenia wyrazy jak pokutnica, grzesznica w modlitwach Książeczki używane.

Autorem Modlitewnika była przèto osoba *zakonna*, bardzo wysoko *wykształcona niewiasta,* i to *właśnie* ta, którą jako dziewicę

przysłuchującą się pilnie odczytom akademicznym z Akademii krakowskiéj wprost do klasztoru odprowadzono, gdzie była nauczycielką zakonnic i ksienią, i gdzie nosząc imię *Nawojki* Modlitewnik ułożyła, który jako od osoby świątobliwéj, a zarazem tak wysoko wykształconéj pochodzący, mógł jak sama autorka być otoczony urokiem nadzwyczajności i świętości, a przeto być pożądaną karmią duchową dla dusz utrapionych i światowym zamętem znękanych, pragnących również jak Nawojka jednoczenia się z Bogiem.

A do takich należała wyżéj opisana *królewna* nasza, *Jadwiga Jagiellówna*, na któréj to życzenie w klasztorze z fiorytурą klasztorną Modlitewnik Nawojki przepisano, który ona następnie z insygniami królewskiéj książnicy oprawiony w puszce srebrnéj zawrzeć kazała, iżby, ile że tak drobniuchnego formatu, bez najmniejszéj niedogodności nie rozłącznym mógł być udręczonéj właścicielki towarzyszem.

Tyle zdołaliśmy w miarę dostępności źródeł swoich zbadać o Książeczce Jadwigi, w wielu miejscach uzupełnić, w niektórych sprostować dotychczasowe wiadomości. Nie są to jeszcze w niektórych zwłaszcza miejscach, datami historycznemi stwierdzone pewniki, mianowicie co się tycze tożsamości osoby autorki z osobą uczonéj dziewicy krakowskiéj, a téj znowu z osobą Nawojki. Wszystkie atoli okoliczności czasu, stosunków i osób tak się tu dziwnie z sobą zgadzają, że niemal zmuszają do przyjęcia twierdzenia jakieśmy powyżéj postawili. To też niewątpliwie znajdzie się po nas jaki młody Cuvier literacki, który z tych wskazówek i śladów przez nas wskazanych wytworzy prawdę historyczną w całym jéj ustroju; do czego wynurzający się dziś już z mniemanego zatracenia rękopis oryginalny, czyli kodeks fiszbachski, niemałym zapewne stanie się przyczynkiem.

Modlitewnik ten z równém prawem dwojakie nosić może nazwisko. Może się nazywać *Książeczką Jadwigi*, jeżeli baczyć będziemy na pierwszą jego właścicielkę, ową nieszczęśliwą udręczoną, a w takiéj miłości u ludzi będącą, bogobojną, świętą Królewnę Jadwigę, prawnukę Kazimierza W., po matce z domu cyllejskiego idącą księżniczkę. Może także zwać się *Modlitewnikiem Nawojki* z baczenia na to, iż autorem jego nie był zaiste kto inny, tylko Nawojka,

Co do nas, wolelibyśmy, iżby mu zachowano pierwotne nazwisko, a to częścią dla tego, iż od tak bardzo dawna służąc mu, stało się, niejako przez przedawnienie, jego własnością; częścią dla tego, że było mu nadane przez pierwszegowydawcę ś. p. professora Jana Mottego, który nie szczędząc pracy i nakładu, jakoby w prze-

czuciu wielkiéj jego wartości, utrzymał nam ten nieoceniony klejnot średniowiecznego piśmienniatwa, a przeto w wysokim stopniu zasłużył na to, byśmy we czci i pamięci wraz z imieniem jego chowali oraz nazwę, jaką on nadał Modlitewnikowi.

J. MICHELET.

Jego dzieła pośmiertne.

Przegląd krytyczny KAZIMIERZA JAROCHOWSKIEGO.

I. Histoire du XIX siècle. — Directoire. — Origine des Bonaparte, Paris, 1872. II. Jusqu'au 18 Brumaire. Paris, 1875. III. Jusqu'à Vaterloo. Paris, 1875.

Po pięcioletniéj przeszło przerwie, w roku 1872, po wielkiéj katastrofie, jaka w obu poprzedzających latach spotkała Francyą, ukazał się najniespodzianiéj, jeszcze za życia Micheleta, dalszy ciąg jego wielkiéj historyi francuzkiéj, którą po za dzieje Ludwika XVI i po za epokę napisanéj przez się do zamachu Termidorowego historyi rewolucyi, nie rozciągać wyraźnie zapowiedział. Nowa ta serya jego historyi, nosząca tytuł *Historyi Francyi w XIX wieku*, rozpoczęła się od charakterystyki rządów dyrektoryatu i pierwszego wstępu Bonapartych na scenę wypadków, od dziejów konspiracyi Babeufa, repressyi Vendemiairowéj i kampanii włoskiéj Napoleona w roku 1795. Przedmiot z pewnością zajmujący, mianowicie dla saméjże Francyi, a każde zapewne społeczeństwo cywilizowanego świata miałoby tylko powód szczerego zadowolenia, iż jego jego historyk nie dotrzymując danego słowa autorskiéj abstynencyi, postępuje daléj w swéj pracy, że się bierze do skreślenia dziejów epoki któréj tykać już sobie nie obiecywał. Na *ten* raz jednakże, na tęn raz wyjątkowy, nie wiemy doprawdy, czy tak w interesie imienia naukowego i pisarskiego autora, jak społeczeństwa, dla którego pisze, nie należało sobie życzyć, aby był słowa dotrzymał naprawdę, aby był oszczędził sobie i historyografii francuzkiéj widowiska istnie Sedanowego jéj popisu.... Upadek ten sławnego, *sławnego* według nas najniezasłużeniéj historyka francuzkiego, rozpoczyna się nie od dzisiaj i nie od jego *Historyi Francyi XIX wieku.* Jego historya *średnich wieków*, którą skończył na zgonie Karola VIII w r. 1498, miała bezwątpienia swą

naukową i artystyczną wartość. Cóż za świetne obrazy epoki Merowińskiéj i Karolowińskiéj, cóż za natchniona charakterystyka krucyaty Ludwika Świętego, cóż za piękne pojęcie i plastyczne przedstawienie postaci Dziewicy Orleańskiéj! Bezwątpienia i w *téj* części dziejów Francyi Micheleta, znalazło się szerokie miejsce dla frazesu i dla polowania na jaskrawy efekt. Cokolwiekbądź jednakże, trzeba było i prawdziwéj nauki, i prawdziwego talentu pisarskiego, by stworzyć dzieło, jakie stworzył autor w pierwszych dziesięciu tomach swych dziejów Francyi. Po ukończeniu epoki średniowiecznéj, nastąpiła przecież w jego dziejopisarskim zawodzie przynajmniéj dziesięcioletnia przerwa, wypełniona zatargami z obu rządami, tak Ludwika Filipa, jak Ludwika Napoleona; dwukrotną destytucyą w roku 1844 i 1852 po zamachu Grudniowym. Nawiasowo powiedziawszy, nie będziemy mimo naturalnych zawsze dla każdego prześladowanego sympatyi twierdzili, aby w zatargach owych była słuszność po stronie prześladowanego, i aby dwukrotna destytucya z professury historyi w *Collège de France,* była go spotkała niesprawiedliwie. Wolną niechaj będzie tak nauka, jak prassa; nie widzimy jednakże powodu, aby prawdziwie światły i dbały o dobro swych współobywateli rząd, miał pozwalać ze szkodą moralną i naukową dorastających generacyi na katedralną propagandę czy to rozkiełznanéj fantazyi, czy chorobliwych na jakiémbądź polu mrzonek. O ileż zaś niebezpieczniejsze i szkodliwsze jeszcze podobne próby we Francyi na polu dziejowéj nauki, zwłaszcza wobec naturalnéj skłonności do frazesu i dywagacyi, wobec wstrętu do pozytywnéj nauki, wobec rozmiłowania w deklamacyi, zamiast rozmiłowania zbadanéj wszechstronnie a dojrzale prawdy historycznéj! Nie znamy działalności professorskiéj Micheleta, ale to, co napisał i wydał w licznym szeregu tomów po jedenastoletniéj pauzie między rokiem 1844 a 1855, począwszy od tomu zatytułowanego *Rennaissance*, skończywszy na ostatnim, noszącym tytuł *Règne de Louis XVI,* wystawia mu niezaprzeczenie świetne świadectwo niedostatku wszelkiéj kwalifikacyi naukowéj i professorskiéj. Jeżeli w poprzedzających tomach frazes, koncept i ozdobki stylowe, były poważną często szatą *rzeczy*, to odtąd można bez przesady powiedzieć, stały się wszystkie te pieprzne przyprawy Micheletowego opowiadania, rzeczą *główną*, rzeczą pozbawioną często dobrego smaku i stosowności. *Forma* więc, by *nasamprzód* od *niéj* zacząć, stała się niesmaczną i męczącą, właśnie nadto daléj dla pretensyi powabu i lekkości, ciężką i nużącą. Co się tycze *treści*, niepodobna było przyjść jakokolwiek uważnemu czytelnikowi do przekonania,

aby to, co autor opowiada, było mogło być rezultatem jakichbądź sumienniejszych i poważniejszych studyów; widocznie zastępują tu wizye i fantazye rolę sumiennego i dojrzałego naukowego badania. Niedość na tém, nie jest autor nigdy prawie zdolnym pojąć charakteru epoki, ani też zgrupować swego opowiadania około jéj kulminacyjnych momentów i kulminacyjnych postaci. W dodatku zaś jeszcze do tego wszystkiego przenosi często własną swą najosobistszą indywidualność do ocenienia przeszłości, co jak zaraz zobaczymy, prowadzi najprostszą drogą niemniéj do bezsensu historyczno-logicznego, jak do zdrożności polityczno-narodowéj. Zarzuty te pośpieszamy stwierdzić przykładami. Panowanie Ludwika XIV np., rządy daléj Ludwika XV znajdują w nim niesłychanie powierzchownego historyka. Autor nie wie czy nie chce wiedzieć o owym mądrym i umiejętnym systemie polityki Ludwika XIV, wyłożonym analitycznie z tak zajmującą szczegółowością w pamiętnikach ministra jego spraw zagranicznych, markiza de Pomponne, systemie, który polegał na organizacyi przymierza *słabych* całéj Europy przeciw *silnym* i *potężnym*, który ogarniał całą ludzkość europejską siecią francuzkiego wpływu, który w ten sposób rozświeca i tłómaczy tajemnicę ówczesnéj potęgi Francyi, a zarazem wystawia świetne świadectwo zdolności politycznéj i talentowi organizacyjnemu Ludwika XIV i jego mężów stanu. Zamiast zwrócić opowiadanie swe ku *temu* naturalnemu punktowi ciężkości ówczesnych dziejów Francyi, mniejsza już wreszcie, czy w sposób sympatyczny lub niesympatyczny, zamiast rzucić światło na owę olbrzymią akcyą wojenną i dyplomatyczną, któréj prawdę faktyczną odsłania choćby najlżejsze dotknięcie się archiwalnych źródeł owéj epoki,—woli historyk francuzki wynosić na pierwszy plan prześladowanie Hugonotów, powstanie Kamizardów w Cevennach, poświęcać szerokie opisy współczesnym procesom czarownic. To samo dałoby się powiedzieć o epoce Ludwika XV-go i XVI-go. I tu nie widać owéj Francyi prawdziwéj, owéj Francyi, żyjącéj na zewnątrz wśród zabiegłéj na wszystkie strony roboty dyplomatycznéj, kierowanéj tradycyami Ludwika XIV-go, trawionéj wewnątrz rakiem zepsucia obyczajów i nędzy finansowéj; ale za to cóż za szerokie opisy egzekucyi Damiensa, znów jakiegoś procesu przeciw czarownicom! cóż za silne anatemata przeciw przymierzu z Austryą „*avec les maudits Kaiserlichs!*“ cóż za entuzyazmy dla samotnika z Sanssouci, męczennika pracy i ofiary pieczołowitości około dobra swych poddanych! W dziejach panowania Ludwika XVI uderza na pierwszy rzut oka nieobecność głównego czynnika epoki, owego postępu nowych wyo-

brażeń, które wcielają się w społeczność francuzką, czynią zrozumiałą rewolucyjną katastrofę. W całém tém traktowaniu rzeczy równy niedostatek *nauki*, jak *oka* historycznego. *Drugie* mogłoby dla czytelnika *nie* ze sfery specyalnéj zastąpić poniekąd *pierwszą*. Summa natomiast *obu* tych ujemnych czynników, zamienia całe te długie szeregi tomów, mimo rozgłosu imienia i sławy autora, na stosy bezużytecznéj makulatury. Nie koniec jednakże na tém.

Autor jest protestantem, jest daléj wyznawcą jakichś nieokreślonych i niesformułowanych bliżéj idei polityczno-postępowych. Jednego i drugiego nie myślimy mu brać za złe jako człowiekowi, ale jako od *historyka* mamy odeń prawo żądać, aby wyobrażeń swych nie narzucał nierozumiejącéj i niestojącéj na ich stanowisku *przeszłości;* jako od *Francuza*, mamy prawo odeń żądać, by im nie poświęcał obowiązków patryotyzmu narodowego. Posłuchajmy tymczasem, jak autor zakreśla bezogródkowo swe stanowisko: „Nie tylko stosunki me przyjaźni a potrosze i pokrewieństwa wiążą mnie z tym wielkim narodem Anglikami. Czynią to me zasady. Jestem za nim przeciw Filipowi II, Ludwikowi XIV i Napoleonowi. W czasie odwołania edyktu nanteńskiego jestem z naszymi protestantami i biegnę z nimi na koronacyą Wilhelma do Westminsteru.“ Otoż grzech i fałsz razem, ze stanowiska *narodowego!* Przekonania religijne niechaj będą swobodne i niechaj się zamykają w niezdobytéj twierdzy własnego sumienia. Inaczéj ma się jednakże rzecz z owemi religiami państwowemi czy kościołami narodowemi, które wcieliwszy się w życie narodowe jako moralno-polityczna *instytucya*, stały się jego cechą i wyrazem zewnętrznym, jego hasłem i sztandarem, jednym z wyników i warunków narodowéj akcyi, wobec innych żywiołów lub w wyraźnéj z niemi walce. Wojna podjęta przeciw skrystalizowanym podobnie w życiu narodowém i zespolonym z niém nierozłącznie instytucyom, w imię indywidualnego przekonania, prowadzi czy to w praktycznéj polityce, czy w dziedzinie jakiéjbądź nauki, do apostazyi narodowéj, a w obu razach ewentualność ani zaszczytna, ani zastosowana do specyalności historyograficznéj dla *téjże* dodatniéj natury. Tak np. byłby grzesznikiem i dziwakiem anormalnym Anglik, coby podjąwszy sprawę *katolicyzmu*, chciał wypowiedzieć wojnę rozwojowi całego życia narodowego, które się zespoliło z protestantyzmem, a wielkość swą i potęgę antagonizmowi właśnie z katolicyzmem zawdzięcza. Bohaterami narodowymi nie będą tu nigdy ani Jakób II ani Searsfieldy czy Tyrconelle, lecz Cromwell i Wilhelm Oranii, których sztandarem był protestantyzm. Podobnie kłamałby duchowi historyi Pruss, ktoby do zrozumienia jéj chciał przykładać

miarę wyobrażeń katolickich; podobnie kłamałby duchowi dziejów polskich, ktoby stanąwszy na stanowisku *protestanckiém* chciał np. w imię jego walczyć w przymierzu z Karolem Gustawem przeciw Czarnieckiemu, z Drewiczem przeciw Puławskiemu. Podobnie wyrzuciłby się dobrowolnie poza obręb normalności i prawdy dziejowéj swego społeczeństwa mahometanin, któryby uznając *indywidualnie* racyą chrześciaństwa, walczył duchem i intencyami czy to pod Wiedniem obok Sobieskiego, czy to pod Belgradem z Eugeniuszem przeciw narodowemu półksiężycowi. Na podobnie anormalny narodowo pojaw wychodzi Francuz, mniejsza o to, czy katolik, czy protestant, który jak Michelet, w imię idei wolności politycznéj, walczy z Wellingtonem przeciw Napoleonowi pod Waterloo lub w imię swobody religijnéj, idzie do Westminsteru namaszczać Wilhelma do walki przeciw Ludwikowi XIV. Czy to po za Ludwikiem XIV, czy poza Napoleonem, jest *Francya.* Wolno błędy i grzechy czy to Ludwika XIV czy Napoleona chłostać, ale chłostać jako błędy i grzechy własnego domu. Przenosić się z powodu tychże błędów i grzechów do obozu przeciwnego, jest to w dziedzinie dziejopisarskiéj przedstawiać widowisko czy to Ruvignych z epoki Ludwika XIV, czy to ludzi jak Moreau i Saint-Priest z epoki Napoleońskiéj. Niemiecka i angielska historyografia rozumieją tę prawdę wybornie; nie rozumieją jéj Francuzi, nie rozumie jéj Michelet, jakkolwiek niekiedy nie można zaprzeczyć, znajdują się w ciągu jego opowiadania w charakterystyce epoki, wypadków i ludzi, *di lucida intervalla*, światłe momenta, istne oazy pośród pustyni moralnéj i naukowéj *fantazyowania* nad historyą. Krytycyzm ów posuwający się aż do szarpania własnego łona, aż do zapierania się własnéj przeszłości, aż do przekreślania pierwszych przykazów należnéj każdemu narodowi miłości własnéj narodowéj, — jest smutną właściwością francuzkiéj historyografii i francuzkiéj literatury w ogóle, co zaś najsmutniejsza, właściwością niebędącą wynikiem zdrowego, zimnego i dojrzałego namysłu, ale raczéj wypływem podrażnionéj namiętności politycznéj lub wrażeniem doznanéj bezpośrednio szkody. Dwa razy już w ciągu bieżącego wieku powtarza się to samo widowisko na wielkiéj widowni francuzkiéj: pierwszy raz po upadku Napoleona I-go, drugi raz po upadku Napoleona III-go. Niepodobna być naturalnie ślepym ani na błędy pierwszego, ani na grzechy i błędy drugiego z Bonapartych. Czém jednakże krytycyzm francuzki ciężko błądzi, to *nasamprzód*, że w owym procesie wytoczonym pamięci Bonapartych, nie chce się dopatrzyć ani źdźbła udziału winy ze strony

narodu, który im w obawie przed grozą anarchii losy swe *sam* powierzał, w ręce ich poniekąd abdykował; daléj, że im zaprzecza tego nawet, co dobrego i wielkiego dla kraju zrobili, a co się z chwałą i wielkością narodową nierozerwanie zrosło; że *wreszcie*, co w specyalném *naszém* niniejszém zadaniu najważniejsza, anatematem rzuconym słusznie na bohatera z pod Sedanu, obejmuje nierozdzielnie bohatera z pod Marengo, Austerlitz i Jeny. Jeszcze za dni szczęśliwych Napoleona III miotała się opozycya jego polityczno-literacko-historyograficzna przeciw pamięci Napoleona I-go. Ofiary drugiego Grudnia, wygnańcy w Anglii, Belgii czy Szwajcaryi, czy to Charras, czy Quinet, czy Barni czy Lanfrey rzucali się jeden po drugim, w widocznéj chęci zemsty przeciw Oktawianowi dni grudniowych, na pamięć Cezara pierwszych lat bieżącego stulecia. Napoleon I odpowiadał im za swego synowca; szarpano laury austerlickie, wstrząsano kolumnę Vendomską, ściągano w błoto tragedyą z pod Waterloo, by zniszczyć legendę Napoleońską, by odpłacić choćby w ten sposób Napoleonowi III jego proskrypcye i konfiskaty, jego Lambessy i Cayenny. Jako broń politycznéj opozycyi, mogła podobna broń być dobrą i odpowiadać celowi. Czyż natomiast przeniesiona na pole *dziejowe* była godną i uczciwą? czyż szła na cześć i chwałę narodowi francuzkiemu? czyż nadewszystko służyła *prawdzie*? Otoż pytania, na które będziemy mieli sposobność odpowiedzieć, poświęcając kilka słów tylko treściwego rozbioru pośmiertnemu dziełu Micheleta, który stoi najzupełniéj na stanowisku wspomnianych co dopiero Zoilów Napoleona I, w przekonaniu jak się zdaje, iż ma zamiar pisać prawdę i zajmować postawę godną przedmiotowości dziejopisarskiéj.

„Co do mnie,“ mówi autor, „jakkolwiek daleki jestem od powtarzania śmiesznych powiastek ze Św. Heleny o dobrém sercu, o uczuciowości Bonapartego, odrzuciłem mimo to okrutne, krwawe satyry, jakie rojaliści miotali nań w dzień jego upadku. Są tak dalece niesmaczne, że je uważam raczéj za zdolne robić Bonapartystów. *Wilkolak korsykański*, a nawet słynny pamflet Chateaubrianda, publikacye te gwałtowne, przyjmowane naówczas chciwie przez Francyą w żałobie, chybiają celu zupełnie przez samże zbytek gwałtowności.“ Bardzo to dobrze; lecz jeżeli na kogo, z pewnością na siebie samego napisał autor w tych kilku słowach najlepszą i najprawdziwszą krytykę. Nie ma tu może owych krzywdzących i obelżywych epitetów, jakich publikacye rojalistyczne z roku 1814 i 1815 były pelne, chociaż i w opowiadaniu Micheleta jest Napoleon niekiedy *wampirem*, inny raz człowiekiem pospolitym, tchórzem czułym jedynie tylko na własne cierpienia i nie-

bezpieczeństwa. Za to nie pozostawiają stanowisko polityczne Micheletowego dzieła, zapatrywania się jego i intencye względem Napoleona nic do życzenia ani Szuanom Wandei, ani emigracyi koblenckiéj, ani dworowi gandawskiemu króla Ludwika XVIII z roku 1815. Przesada nienawiści do Napoleona staje się tu nie-inaczéj, jak w pamfletach rojalistowskich z roku 1814 i 1815, raz niesmaczną stylowo, inny raz śmieszną logicznie, inny raz jeszcze zdrożną politycznie ze stanowiska francuzkiego. Do pewnego stopnia wychodzi nawet autor po za miarę, jaką sobie kładli jeszcze w uczuciu pewnéj przyzwoitości panfleciarze Burbonów. Napoleon był u nich wilkołakiem korsykańskim, był u nich uzurpatorem, tyranem, rozbójnikiem *Buonapartem;* ale czego mu nie odmawiali nigdy, to geniuszu wojennego i organizatorskiego, to oka na polu bitwy, to niezmordowanéj czynności, czy to w wojnie, czy w gabinecie pracy. Jest to w rozumieniu ich *zły* geniusz wieku, ale jednakże *geniusz.* Wizyoner historyografii francuzkiej zaprzecza mu w swém godném snu malignowego opowiadaniu téj trudno zaprzeczalnéj strony. Napoleon, wyszedłszy po tanim tryumfie Vandemierowym na bruku paryzkim na klienta Carnota i Barrasa, jest według niego od pierwszéj chwili wstąpienia na wielką widownię dziejową, niczém więcéj, tylko zręcznym kuglarzem i szczęśliwym komedyantem, który oszukując systematycznie i z powodzeniem, choć bez prawdziwéj zdolności Francyą i Europę, potrafił sobie przez zamach z dnia 18 Brumaira *wystraszyć* najwyższą władzę na obawiającym się anarchii kraju. Początki wielkości wojennéj Bonapartego we Włoszech w roku 1795, to szereg szczęśliwych przypadków bez jego zasługi, przypadków, którym dopiero jego buletyny, jego umiejętna *mise en scene* blasku dodać umiały. Kampania roku 1796 owe pamiętne dni z pod Arcole i Mantui, to zasługa Masseny i Augereau, kiedy Bonaparte, same tylko strategiczne popełniał błędy, a co gorsza, kokietował z reakcyjnemi potęgami jak Austryą i papieżem ku żalowi rewolucyjnych Włoch i rewolucyjnéj Francyi. Autor analizuje w ten sposób chemicznie dziejową postać Napoleona, rozkłada ją na pierwiastki własnéj wielkości, odbiera jéj na rzecz innych wszelką zasługę dobrego, pozostawia wszelką winę złego. Procedura równie wstrętna moralnie jak nieprawdziwa historycznie. Czémże jest wielki człowiek każdéj epoki, jeżeli nie summą, jeżeli nie streszczeniem i wyrazem czynników jéj moralnych i politycznych, jeżeli nie rezultatem *zbiorowéj* pracy swego społeczeństwa i swego otoczenia? Rzecz zarówno duchowo, jak fizycznie niemożliwa, aby wielki człowiek dla tego, *że* człowiek, mógł *sam* wszystko w swéj

epoce i w obrębie swéj działalności dźwigać na własnych barkach i zrobić własną ręką, aby był równocześnie w Madrycie i w Moskwie, aby kartaczując Austryaków pod Droznem, był mógł być obecnym równocześnie ceremonii otwarcia portu w Boulogne czy w Hawrze, aby walcząc sam pod Jeną, mógł był razem z Davoust'em odnosić zwycięztwo pod Auerstädtem. Napoleon *dzieli* więc bezwątpienia swe zasługi, dzieli swą dziejową wielkość, jak wszyscy wielcy ludzie z licznymi swego dzieła współpracownikami. Nie ujmuje to jednakże ani definicyi, ani pojęciu tego, co nazywamy w dziejach *wielkim* człowiekiem, którego tajemnica wielkości i opatrznościowego namaszczenia zależy na owéj magnetycznéj właściwości ściągania około swéj osoby najrozmaitszych pierwiastków, by się niemi posługiwać, by je prowadzić ku wspólnym celom i zadaniom, mającym świecić następnie w dziejach pod *jego* nazwą i godłem. Ztąd to mówi się o kampaniach *napoleońskich*, o epoce *napoleońskiéj*, o kodeksie *Napoleona*, a chcieć wielkości tego rodzaju nietylko już detronizować, ale rozczyniać na pierwiastki, jest taką samą mimo pozornéj prawdy *nieprawdą*, jakąby było, gdyby pessymistyczny spleenista chciał pod wpływem chorobliwego usposobienia znane i sławne czy to w świecie natury, czy sztuki pojawy, czy to Righi-Culm, czy katedrę florencką pojmować *nie* w ich artystycznéj estetycznéj całości i indywidualności, ale gdyby wzdrygał ramionami nad cudownym krajobrazem szwajcarskim jako nad stosem tylko głazów i śniegów połyskujących promieniami zachodzącego czy wschodzącego słońca, nad arcydziełem Brunelleschiego jako nad kupą kamieni i wapna. Jakby podobnie *chemiczno-analityczna* procedura w ocenieniu piękności, przedmiotów sztuki i natury, mimo swéj względnéj prawdy, była potworną i *nieprawdziwą*, tak równie potworną i nieprawdziwą jest podobna teorya w zastosowaniu do sądu o postaciach i wielkościach dziejowych. Posługuje się zaś nią autor w szerokiéj mierze od początku do końca, posługuje się nią z krzywdą prawdy, z krzywdą swego narodu, ku ośmieszeniu wreszcie własnéj osoby. Cóż powiedzieć np., gdy Michelet zabiera się na seryo do krytyki wojennéj działalności Napoleona, gdy mówiąc o kampanii włoskiéj z roku 1796, zarzuca *on*, Michelet, Napoleonowi, że działając przeciw Alwinzi'emu i Wurmserowi, rozpraszał zanadto swe siły; że w roku 1805 po wzięciu do niewoli Macka pod Ulmem, nie umiał korzystać ze zwycięztwa; że w roku 1815 był miękkim i niezdecydowanym; że atakował niepotrzebnie Wellingtona, przejąwszy poprzednio list Blüchera z wiadomością, iż mu idzie na pomoc; że w kampanii 1814 roku, owém arcydziele sztuki strategicznéj, będącém przedmiotem podziwu wszystkich pisarzy,

wszystkich szkół wojskowych, odnosił tylko bezużyteczne, wymarzone przez własną fantazyą tryumfy! Wielki mąż wieku, pierwszorzędny wódz ludzkości przed *tego* rodzaju sądem, to widowisko wstrętne i śmieszne, zwłaszcza gdy sobie uprzytomnimy, że to *Francuz* policzkuje wielkość własnego narodu, składającą się współcześnie na wielkość Napoleona, to syn ojczyzny walczący przeciw niéj, prawda że piórem tylko, pod znakami nieprzyjaciół. Autor dotrzymuje wiernie słowa założeniu swemu, iż jest „z dzielnym i wolnym narodem angielskim przeciw naszemu tyranowi Bonapartemu." W roku 1809 w krytycznéj chwili z pod Esslingu i Aspernu, z jakąż tęsknotą wygląda ukazania się pruskiego na teatrze wojny, wystąpienia nowego przeciw Francyi nieprzyjaciela, któryby swoją obecnością spowodował może i Rossyą do porzucenia przymierza francuzkiego, położył jednym może zamachem koniec wojnie, ale zarazem też może koniec Napoleonowi i dwakroćstotysięcznéj, uwięzionéj na wyspie Dunaju armii francuzkiéj, koniec daléj wielkości i potędze Francyi! W jeszcze więcéj wstrętny i cyniczny sposób objawia się bluźniercza nienawiść autora do osoby Napoleona w ocenieniu bitwy Lipskiéj. „Nareszcie, mówi *dosłownie*, „dnia 18 Października, sprzymierzeni, wzmocnieni przez Bernadotte'a i Benningsena, przygnietli Napoleona. Gdyby byli usłuchali Jominiego, byliby zajęli jedyną drogę odwrotu, jaka mu pozostawała, i wzięli jego samego. Wielkie szczęście dla Europy i dla Francyi saméj, któraby sobie była oszczędziła podwójnéj inwazyi i Waterloo." Co zaś w owéj wojnie wytoczonéj Napoleonowi i Francyi napoleońskiéj przez autora, obok tylu herezyi narodowych i politycznych, któreby każde inne społeczeństwo napiętnowało predykatem odstępstwa, zaraz znów śmieszném i pocieszném, zaraz owém *ridicule* sąsiadującém nie z *sublime*, ale z *le revoltant*, to wprowadzanie całkiem na seryo w grę rozstrzygającą losy ludzkości, interesu swego *osobistego* i *rodzinnego*. Nie do wiary to, śmieszne i potworne, a jednakże dosłownie prawdziwe. Znany w ostatnich dniach umierającego w roku 1814 Cesarstwa, po wzięciu już Paryża zamiar Napoleona rzucenia się z siłami, jakie mu pozostawały, na Paryż, by w przymierzu z ludnością stolicy zgnieść koalicyą lub wraz z nią pogrzebać się w gruzach zhańbionego najazdem nieprzyjacielskim miasta. Pomysł wielki, tragiczny, godny zawodu swego autora, hekatomba wieńcząca ponuro i wspaniale dwudziestoletnie przeszło Francyi z Europą zapasy. Wykonaniu przeszkodziła znana kapitulacya korpusu Marmonta w Essonne i opór znużonych wojną marszałków. Posłuchajmy Micheleta, co o téj tragedyi mówi: „Tymczasem Bonaparte

w Fontainebleau powziął myśl bezsensowną i straszliwą, któraby była zrównała, przewyższyła nawet może klęskę z pod Moskwy. Zamiarem jego było z tém, co mu pozostało z ludzi, powrócić do Paryża i stoczyć tamże bitwę, starać się wypędzić zeń armią Europy. Czyn rozpaczliwy, w którym Paryż nie byłby mu z pewnością pomagał, lecz któryby mógł sprowadzić ruinę miasta. Tak tedy, wyprowadziwszy swą rodzinę w bezpieczne miejsce, nie zarządziwszy dla Paryża żadnych środków obrony, wezwał to bezbronne miasto do walki przeciw Europie. Wiele okoliczności byłoby ten wypadek uczyniło straszliwym. Nasamprzód było miasto zawalone ogromną massą uciekających ze wszystkich części państwa. Następnie, czyniły je zakłady przemysłowe i nowe fabryki, które pozakładano tamże bez ostrożności (mianowicie wyrobów chemicznych), w czasie bombardowania niesłychanie zapalném. Zachowałem tego okrutne wspomnienia. Mieszkaliśmy blizko jednéj z tych fabryk, a gdy kilka bomb padło na przedmieściu Temple, byłem przy matce mojéj umierającéj i niezdolnéj do przeniesienia. Jedna iskierka, któraby tam była padła, a bylibyśmy wszyscy spaleni żywo. Otoż to straszliwa ostateczność, do jakiéj nas doprowadził. Na szczęście, odmówili jego generałowie spełnienia *téj wielkiéj zbrodni*.“ Słowa te kreśli autor po roku 1870 i 1871. Kto w roku 1814 nie chciał widzieć pożogi miast francuzkich dla obrony kraju, niechaj na nią patrzy z powinną rezygnacyą w 56 lat późniéj, w znak upokorzenia i pogromu Francyi, a bomby pruskie nie pytały ani o zapalne fabryki, ani o umierające matki..... Że zajmując podobne stanowisko, autor nie sympatyzując z Burbonami i z restauracyą, przyjmuje tryumf zwycięzkiéj koalicyi i obecności wojsk jéj w Paryżu, z istném uczuciem jakoby wielkiego tryumfu narodowego, jest rzeczą równie naturalną jak konsekwentną. Dla klęski, dla upokorzenia, dla obciętych granic Francyi, nie znajdujemy ani jednego słowa żalu w całéj jego książce; natomiast uznanie dla „wspaniałomyślności“ Agamemnonów koalicyi i dziecinną radość na widok półnagich, celtyckich Szkotów, przygrywających sobie na góralskiéj kobzie, gdy wraz z Anglosaksonami Wellingtona oddają po Waterloo wizytę Paryżowi. „Dla mnie,“ mówi, „gdy widziałem, nawet w roku 1815, wśród okoliczności tak mało sprzyjających, górali. Szkocyi i ową wielką liczbę żołnierzy irlandzkich przybranych w strój szkocki, czułem wybornie, że wszystkie te klany celtyckie są naszymi krewnymi, naszymi powinnymi, pozbawionymi kraju.“ Że pośród podobnych objawów patryotyzmu francuzkiego autora, wygląda raz po raz tęsknota ku jakiéjś nadpowietrznéj, idealnéj Francyi, *la vraie France*, jak ją

nazywa, któréj niewiadomo jednakże gdzie szukać, gdyż nie jest ani Francyą Napoleona, ani Francyą Burbonów; że raz po raz wyrywa się pióru autora frazes czci dla Washingtona, Lafayetta, Tomasza Payna, Kościuszki czy Pavelego, kult idei i reprezentantów wolności, jest raczéj niesmaczną przyprawą, aniżeli ozdobą dzieła, którego zimnota dla bohaterów i wielkości *własnego* kraju ziębi, mimo gorących frazesów. Prócz tego co za nawał dziwactwa i przewrotności, co za ciągła oscyllacya między snem magnetycznym a dowcipkowaniem, między pospolitością a szukaniem effektu! Tutaj apokaliptyczny ustęp o mętnym i mistycznym poemacie Grainvilla *Le dernier homme;* tam zestawienie spowiedzi, alkoholu i romansu, jako trzech czynników zdenerwowania ludzkości w XIX wieku. Tutaj frazes czci dla nazwanego „*prorokiem*“ Towiańskiego; tam obraz Ludwika XVIII zjadającego stosy kotletów ze smacznym sosem. Koncepta podobne, podobne uwagi i spostrzeżenia, trącące raz po raz niby to dowcipem, *esprit* francuzkim, uszłyby może w salonie, zjednałyby może nawet posługującemu się niemi, niesfornemu paniczowi imię „*d'un Joujou qui n'est pas sans esprit,*“ ale jakże smutno, jak niesmacznie wyglądają w poważnéj niby to książce historycznéj! Również nie przekupują nas bynajmniéj znachodzące się co chwila w dziele Micheleta objawy sympatyi dla Polski, zwłaszcza że w nich nie widać dojrzałego i rozumnego przyjaciela, lecz frazes i anegdotę, z których obdarzonym sympatyą, ani moralna, a tém mniéj materyalna korzyść. Gdy jak już powiedziano co dopiero, nazywa Towiańskiego „*prorokiem,* w którym widzi ze wzruszeniem wzniosłą a ostatnią ekstazę nowéj religii;“ gdy opowiada, że w roku *1807* dwunastotysięczny zastęp Litwinów z Wilna, wybrał się na wędrówkę, by walczyć pod sztandarami Napoleona; gdy nie znając nawet prawdziwéj *Grudniowéj daty* przybycia Napoleona do Warszawy, mówi że zajechał tamże jak winowajca w cieniu wieczora *Październikowego;* gdy opowiada, że w roku 1809 Rossyanie nie pozwolili wejść Francuzom do Krakowa; gdy przytacza anegdotyczny dyalog, między żołnierzami francuzkimi a Napoleonem: „*Papa kleba!—nie ma kleba!*“ gdy przedstawia atamana Płatowa klękającego pod Fontainebleau w błocie przed Kościuszką, — czuje każdy choćby najmniéj krytyczny czytelnik mimowoli, z jakiego to rodzaju historykiem, z jakiego to rodzaju przyjacielem naszym przychodzi mu się spotykać. Sympatya to dla nas ckliwa, a powiedzielibyśmy nawet upokarzająca, sympatya felietonów dziennikarskich i *coupletów* teatralnych o znanéj zwrotce „*les braves et infortunés Polonais.*“

II.

Otoż to stanowisko, sposób zapatrywania się i pisania, otoż mozajkowe traktowanie rzeczy autora. Pozostaje nie obojętne dla sumiennéj i sprawiedliwéj krytyki pytanie, czy za temi wszystkiemi dziwactwami i zdrożnościami zapatrywań, pojęć i formy nie pojawia się może na spodzie jaki szczerozłoty osad nowozbadanéj i wydobytéj przez autora prawdy historycznéj? Są pisarze, do którychby się owo pytanie z bardzo dobrym skutkiem zastosować dało. Nie szukając daleko, np. Anglik Carlyle, jest historyk który posługując się grubiańsko-oryginalną formą, który wypowiadając z prawdziwie John-Bullowym cynizmem wojnę wszelkim, najcodzienniejszym prawidłom politycznéj moralności, dostarcza przecież *materyału*, z którego *cum grano salis* wielce korzystać można. Jakże się ma rzecz pod *tym* względem z Micheletem? Odpowiedź na to pytanie wymaga kilku słów nawiasu czy wstępu. Michelet, jak wielu bardzo kollegów jego na polu dziejopisarskiém, jak mianowicie Quinet, uważa dziedzinę *faktów* epoki rewolucyjnéj i Napoleońskiéj za wyczerpaną i kreśli hermafrodytowy istnie obraz tych czasów, obraz trzymający niefortunnie środek między historyą a filozofią historyi. Wielki w tém anachroniczny błąd i wielka razem zarozumiałość. Mimo *Historyi konsulatu i cesarstwa* Thiersa, mimo licznych historyi epoki rewolucyjnéj, gołoledzi, na któréj każdy niemal znakomity pisarz francuzki swych sił doświadczał, byłoby dla historyografii francuzkiéj bardzo pożądaną rzeczą przyjść do przekonania, jak wiele jeszcze do roboty w skromnéj dziedzinie *faktów*, jak użyteczną byłoby rzeczą odroczyć jeszcze *filozofią* dziejów owéj epoki, a dać jéj lepszą i prawdziwszą podstawę *materyału*. *Wszystkie* historye francuzkie rewolucyi i epoki Napoleońskiéj, nie wyjmując najlepszéj z nich i najtrzeźwiejszéj Thiersa, są niesłychanéj *jednostronności*, a ograniczając się wyłącznie prawie na źródłach francuzkich i na obozie francuzkim, nie przedstawiają pod względom naukowem wszechstronnego obrazu czasu i wypadków; moralnie zaś nie są bez szkodliwéj działalności, podsycając niewcześnie zarozumiałość narodową, przyczyniając się siłą nieustającéj propagandy do utrwalenia legendy, którą sumienna nauka odrzucić winna. Najlepszym tego przykładem jest przekazywana Francuzom z generacyi na generacyą wraz z Marsylianką powieść o 14 armiach, które miały zbawić Francyą od inwazyi koalicyjnéj. Najnowsze badania uczonych niemieckich, których Francuzi widocznie nie znają, a z których dotychczas przynajmniéj

nie korzystają, dzieła Sybla, Haüssera, Hüfnera, Vivenota, Rankego, sprowadzają ów tuman legendowy do prawdziwego jądra, a tłómaczą, że jedyną tajemnicą ówczesnego ocalenia Francyi jest poprostu współczesny podział Polski. Wojna zachodnia była przez mocarstwa koalicyjne prowadzona miękko i niedbale, ponieważ punkt ciężkości ich politycznego interesu znajdował się nad Wartą, Wisłą i Bugiem. Choćby ten jeden przykład, którego prawdy żaden z historyków francuzkich nie przeczuł, nie potrącił dotąd jeszcze ani jedném słowem, dowodzi, jak wieleby historyografii francuzkiéj pracować należało w dziedzinie faktów, jak wieleby się sama nauczyć powinna, by uczyć następnie dobrze a prawdziwie własne społeczeństwo. Takich przykładów znalazłoby się więcéj, zwłaszcza że w dziełach francuzkich traktujących historyą epoki rewolucyjnéj, nie widzimy niczego po za gilotyną placu rewolucyi i *maneżu*, w którym obraduje konwencya, w epoce Napoleońskiéj niczego po za sztabem i kancelaryą Napoleona, i po za biwakami wielkiéj armii. Sumienny i szczerze naukowy owéj epoki historyk mógłby tedy Francuzom bardzo jeszcze wiele nowych powiedzieć rzeczy, strącić wiele przesądów, wydobyć wiele prawd.

Jestże takim historykiem może Michelet w ostatnich swych trzech tomach dziejów Francyi? Retoryczne to tylko z naszéj strony pytanie, na które odpowiedź z góry już dana. Próżno szukalibyśmy nowych jakich szczegółów, nowych odkryć faktycznych, nowo zdobytego materyału. Nie nazwiemy bowiem zapewne nowém odkryciem, gdy autor z fantasty dyrektoryatu, reformatora religijno-socyalnego Lareveillère-Lepause robi największego swéj epoki obywatela; gdy wystawia Józefinę w charakterze Messaliny sprzedającéj córkę Hortensyą Napoleonowi gdy powiada, że Anglicy pozwolili umyślnie umknąć Napoleonowi z Egiptu do Francyi w przekonaniu, że odegra rolę Monka na rzecz restauracyi Burbonów; gdy się oburza na widok Napoleona nucącego w bitwie pod Austerlic w chwili załamywania się nieprzyjaciela na lodzie *couplet* z popularnéj wówczas operetki „*Ah, comme il y viendra!*“ lub gdy z istną drapieżnością lubuje się w obrzydłych obelgach, jakich przedmiotem był upadły cesarz Francyi podczas podróży swéj na wyspę Elbę. Dosłownie więc nie znajdujemy w całém dziele Micheleta ani jednego szczegółu, któryby nie był dobrze znany zkądinąd; za to, wręcz przeciwnie, znajdujemy na każdéj niemal stronnicy przeinaczonych, wykrzywionych mnóstwo rzeczy, które Thiers mianowicie jasno i prawdziwie przedstawił, odegrzanych mnóstwo zarzutów, na które również Thiers niewczesnym Zoilom Napoleona oddawna już zwycięzko odpowiedział. Tycze się to przedewszystkiém kam-

panii roku 1815, o któréj Michelet pisze fałsze i niedorzeczności, jak gdyby nie istniały relacye Thiersa, a choćby już nawet Charrasa i Quineta, które, jakkolwiek nieprzychylne Napoleonowi, starają się przecież być sumiennemi i prawdziwemi. Nie przedstawiając w ten sposób pod względem naukowym żadnéj dcdatniéj strony, nie przedstawiając niczego coby ocalało naukową nicość, wykazuje przecież, przyznajmy, dzieło Micheleta, od czasu do czasu, podobnie jak wszystkie dawniejsze jego prace, *dilucida intervalla*, pewne trafne spostrzeżenia i słuszne uwagi, perły tém drogocenniejsze, im rzadsze. Do takich należy opis kampanii egipskiéj, opis walki Tippo-Saiba przeciw panowaniu angielskiemu w Indyach, jakkolwiek zbytnią obszernością psuje może nieco symetryą dzieła; do takich należą daléj uwagi nad śmiercią księcia Enghien i ohydną komedyą odegraną z Burbonami Hiszpanii w Bayonnie, nad niesłychanym błędem Napoleona w rozczłonkowaniu wielkiéj armii pozostawieniem jéj części w Hiszpanii, rozwodnieniem reszty jéj w massie cudzodziemców i młodych rekrutów podczas kampanii r. 1812. Również trafne spostrzeżenia autora o pewnéj moralnéj stronie armii francuzkiéj w czasie odwrotu z Rossyi. „Wilson i Anglicy“, mówi: „którzy się znajdowali w armii, wyrzucali ostro Kutuzowowi, że nie zgniótł dzikiego zwierza, *(la bête féroce)*. Trzeba jednakże pamiętać, że Rossyanin, który stracił najlepszą część armii pod Moskwą i restaurował swą armią rekrutami, po większéj części na koniu, którzy przychodzili i odchodzili, którzy chwilami znikali, nie był pewnym swéj armii i szedł ciągle prawie za naszymi zdaleka. Przyznawał sam, że wczasie naszego odwrotu, sam widok bermyców przerażał jego żołnierza. Z drugiéj zaś strony, nasi, wycieńczeni, zgłodniali, bez siły, wystraszali się często zanadto burzą, *hurra* kozackiém, pogonią, która ich nie czekała, skoro się tylko zatrzymali. Tak więc, prócz niebezpieczeństwa rzeczywistego, (głodu, śniegu), była z obu stron straszliwa część dziełem wyobraźni.“ Podobne prawdy, podobnie rozsądne spostrzeżenia są prawdziwą rzadkością pośród konceptów o alkoholu, spowiedzi i romansie, pośród sentymentalnych uniesień nad Wattem, Malthusem i Grainvillem, pośród anatematów na Napoleona, pośród płytkich gadanin o machinie i systemie pożywienia w XIX wieku. Wszystko to zaś nie przeszkadza, ża autor sam sobie nie szczędzi pochwał i nie skąpo sam sobie kadzi. „Otoż,“ mówi autor w przedmowie do pierwszego tomu, „sens, główny przedmiot tomów, które ogłaszam. Jest dla mnie rozkoszą módz nareszcie wprowadzić sprawiedliwość do historyi tak dawno zaciemnianéj. Zwycięzcy i zwyciężeni cierpieli na tém porówno.

Będzie mojém staraniem naprawić im wszystkim dotychczasową krzywdę.“ Niedość na tém, dowiadujemy się z téjże saméj przedmowy, że podczas katastrofy z r. 1870 na 1871 Francya nie miała innego sprzymierzeńca zewnątrz, ani innego obrońcy wewnątrz,— prócz—*Micheleta*. Tutaj kończy się już samochwalcza deklamacya, rozpoczyna jakby obłąd umysłowy. „Podczas tego straszliwego milczenia, przemówiłem sam jeden w Europie. Moja książka, którą napisałem w ciągu czterdziestu dni, była pierwszą a długo *jedyną obroną* ojczyzny. Przełożona na różne języki' mianowicie na angielski, złamała jednolitość niechęci, którą złoto p. Bismarka z łatwością zdobyło. Młode głosy, wymowne, podniosły się nawet w Londynie za nami. Sumienie publiczne było ostrożne od Tamizy do Dunaju. Austrya i bohaterskie Węgry zamieściły ustępami książkę moję w swych dziennikach. Nazwałem ten krzyk serca: *Francyą wobec Europy*, dając mu za godło to przeważne ostrzeżenie przyszłości: *Sędziowie będą sądzeni*.“ Tak mówi daléj, oddawszy podobną sprawiedliwość swemu krzykowi serca, wydanemu *n. b.* ze schronienia w Lauzannie, w przedmowie do drugiego tomu. „Nigdy w ciągu mego zawodu nie straciłem z oka tego obowiązku historyka. Dałem wielu zmarłym zanadto zapomnianym pomoc, któréj sam będę potrzebował. Wydobyłem ich z grobu do drugiego życia.... Żyją teraz z nami, którzy się czujemy ich krewnymi, ich przyjaciołmi. Tak tworzy się jedna rodzina, społeczeństwo jednolite zmarłych i żywych....“ „Otoż dwa wielkie charaktery, które wróciłem Anglii, lepiéj niż to czyniono dotąd....“ „Aspiracye moje w tym względzie nie pochodzą z samego serca, są natchnione poważnym poglądem na świat....“ Jakieś pretensye mistycznéj spółki z Opatrznością, jakieś pyszno-natchnione pomiatanie „*mniemaną uczonością*“ (les pretendus savants), odwoływania się na sprawiedliwość i na *osobnego Boga (ce* Dieu, que j'invoquai à la mort de mon père),—otoż to próżno-messyaniczne zapędy autora w dziele, któreby miało wielki powód być przynajmniéj skromném. Nie zapominajmy zaś przytém wszystkiém, że mamy do czynienia ze sławą literacką Francyi, z professorem pierwszéj szkoły francuzkiéj, z naczelnikiem sekcyi historycznéj w archiwum państwa, z fałszywo-brylantową znakomitością, która rozgłosem swego imienia, rozkiełznaném piórem i rozkiełznaną fantazyą i nasze młode umysły do niefortunnego naśladowania swéj affektowanéj oryginalności kusićby mogła. Zważywszy obowiązek historyka nauczania swego społeczeństwa *prawdy*, zważywszy obowiązek *powagi* jego stanowiska, zważywszy trudy i mozoły, z jakiemi trzeba walczyć, by rozpierzchniony często po różnych stronach świa-

ta, niekiedy trudno-dostępny materyał zbierać, porządkować, a dopiero w ten sposób zdobyty drogi kruszec *rzeczywistéj prawdy*, o ile ją możności ludzkiéj zyskać dano, podawać swemu społeczeństwu,—wzdrygnąć istnie ramionami przychodzi na *podobną* metodę pisania historyi, na ów równie lekkomyślny przez się, jak lekceważący publiczność system zastępowania sumiennéj pracy pogadanką lub fantazyą, poważnych spostrzeżeń złemi konceptami lub gorszemi od nich bluźnierstwami przeciw duchowi i sprawie własnego narodu. Porównywając z Micheletem a nawet Lanfreyem historyków niemieckich tejże saméj epoki, Haüssera, Sybla, Rankego, Vivenota, choćby nawet Austryaka Helferta, jakże nie przyjść do przekonania o niezaprzeczonéj wyższości drugich nad pierwszymi?

Smutna rzecz dla tych, co kochają Francyą:—i *tu* jéj klęska widoczna; a chcieć równać historyografią francuzką nowego autoramentu ze współczesną niemiecką pod względem *wartości naukowéj*, byłoby to samo, co chcieć porównywać ochotniczych *franctireurów* armii loarskiéj z gwardyą ich pogromców. Gdyby jednakże przynajmniéj jeszcze podobni historycy przy nieudolności i niedostatku nauki mieli dobrą wolę, patryotyzm i miłość kraju biednych swych ochotników z r. 1870! Czyż jest tak istotnie?—Niestety *nie!* Głównym tak Micheleta, jak całéj téj wyrosłéj z krytycyzmu drugiego cesarstwa szkoły, względem Francyi *narodowym* grzechem pozostanie owo pastwienie się nad pamięcią Napoleona I, które wychodzi nie na co innego, jak na pomiatanie wielkością Francyi saméj. Cóż pozostanie Francyi, jeśli się jéj weźmie Napoleona I z jego wojenną sławą, z jego olbrzymią, organizatorską działalnością na wewnątrz? Pozostaną w dalekiéj przeszłości Turennowie i Villarsy Ludwika XIV, ze świeższemi i bliższemi wspomnieniami hańby Rossbachu za Ludwika XV, niedołęztwa wojennego epoki Ludwika XVI, nie mniejszego niedołęztwa generałów rewolucyjnych, a Trocadero z czasów restauracyi i Konstantyna, czy boje z Kabylami w Algierze za Ludwika Filipa, nie są zaiste zdolne figurować w rzędzie *gestorum Dei per Francos*. Bez Napoleona, bez jego magicznych zwycięztw, bez jego zbrojnéj wędrówki roznoszącéj po Europie zdobytki humanitarne rewolucyi francuzkiéj, czémby pozostała owa rewolucya, jeśli nie bałwanistym potokiem gubiącym się bez wyjścia i bez zasługi dla ludzkości w kałuży krwi i błota? Jeśli Francuzi, słusznie czy niesłusznie, ale ku zadowoleniu własnéj miłości narodowéj, a poniekąd i z uznaniem Europy nazywali się i byli *la grande nation* świata, jeźli Francya nawet jeszcze po klęskach r. 1815 świeciła Europie jako pierwszorzędna potęga, czyjąż to, pytamy, było zasługą, jeśli nie Napoleona i epoki

Napoleońskiéj? Francya restauracyi, Ludwika Filipa, drugiéj Rzeczypospolitéj i Ludwika Napoleona aż do r. 1870 żyła, jeżeli tak wolno powiedzieć, przesądem wielkości Napoleona I, straszyła jego pamięcią jak trupem Cyda, świeciła zapożyczoném odeń światłem, jak owe dawno zgasłe na firmamencie gwiazdy, co same nie istniejąc, jeszcze świeca pozornie blaskiem zapożyczonym od słońca. Historya winna hołd *prawdzie*, a bałwochwalstwo choćby nawet dla Cezarów czy Napoleonów byłoby nam wstrętném. Uderzyć jednakże w reprezentanta wielkości narodowéj, poddać go pod wpływem prądów czasu, jak to czyni Michelet, jak to czyni nowa szkoła historyczna francuzka, nie analizie prawdy, ale skalpelowi nienawiści,—jest istotnie dziełem moralnego samobójstwa, jest detronizacyą Francyi saméj w jéj własném poczuciu, przekreśleniem jéj wielkiéj przeszłości, przeniesieniem potwornego widowiska zwalenia kolumny Vendomskiéj przez fanatyków kommuny, w dziedzinę moralną. Cóż zostanie Francyi, gdy jéj się weźmie Arcole, Piramidy, Marengo, Austerlic, Jenę i Wagram; gdy się jéj weźmie Kodeks zaopatrzony imieniem Napoleona; gdy się jéj każe zapomnieć owego znanego każdéj chacie francuzkiéj *małego kaprala*; gdy go się strąci w szereg awanturników czy spekulantów, w rząd Ouvrardów czy Pereirów wojny i polityki? Pozostaną Sedan i Metz z wrażeniami beznadziejnéj przyszłości, obowiązek *pokory* skazanéj na rzucenie między stare rupiecie miecza, wzięcie do ręki kądzieli lub obracanie korby machiny fabrycznéj. Taką to przysługę zapowiada w swych naturalnych konsekwencyach francuzkiemu społeczeństwu nowa jego historyczna szkoła, w chwili właśnie kiedy mu potrzeba dodać ducha i podniecić zgnębione uczucie wojennéj sławy. Czyż nazwiemy *taką* przysługę patryoczną? Francuzi *milczą* wobec podobnych objawów swéj literatury, lub piszą chłodne i mierne krytyki, w których nie ma miejsca dla zelżonego ciężko uczucia wielkości i miłości własnéj narodowéj. *My* umiemy czuć za nich. Jeden z najutalentowańszych publicystów naszych, nazwał *L'année terrible* Victora Hugo Sedanem poezyi francuzkiéj. Niechaj nam również, pod względem wartości naukowéj i formy, pod względem moralnego i narodowego stanowiska, będzie wolno dzieło jak Micheletowe dzieje Francyi w XIX wieku, nazwać Sedanem historyografii francuzkiéj.

O TURACH W EUROPIE, ZWŁASZCZA W POLSCE.

przez

Augusta Wrześniowskiego.

Herberstein. Rerum Moscoviticarum Commentarii. Basileae ex officina Opporiniana. 1571. — *Laur. Mizlerus de Kolof.* Historiarum Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae scriptorum collectio magna. Tom 1, Warszawa 1761. — *Paulo Mucante.* Diaryusz podróży i pobytu w Polsce kardynała Henryka Gaetana posła papieża Klemensa VIII. Polski przekład u Niemcewicza: Zbiór pamiętników o dawnej Polsce; wydanie Bobrowicza. Tom 2, Lipsk 1837, str. 97 do 155. — *Pallas.* Description du boeuf à queue à cheval, précedée d'observations générales sur les espèces sauvages du gros betail. Acta Academiae Scientiarum Imperialis Petropolitana. 1777, część 2. str. 233. — *Cuvier.* Recherches sur les ossements fossiles. Wydanie 4, Paryż, 1835, tom 6, str. 228 do 238. — *Bojanus.* De Uro nostrate ejusque sceleto commentatio. 1823. Nova Acta Physico-medica Academiae Caes. Leopoldino - Carolinae Naturae Curiosorum. Tom 13, część 2-ga, 1827. — *Brincken.* Mémoire descriptif de la forêt Impériale de Białowieża. Warszawa 1828, str. 65 i nast. *Jarocki.* O puszczy Białowiezkiéj. Pisma rozmaite wierszem i prozą. Warszawa, 1830, tom. 2, str. 277 do 280. To samo w języku niemieckim. Zubr oder der lithauische Auerochs. Hamburg, 1830. — *Pusch.* Polens Paläontologie. Stuttgart, 1837, st. 195 do 209. — *Pusch.* Neue Beiträge zur Erläuterung und endliche Entledigung der Streitfrage über Tur und Zubr (Urus und Bison). Wiegmann's Archiv für Naturgeschichte. 1840, st. 47 do 137. - *Bär* Nochmalige Untersuchung der Frage ob in Europa in historischer Zeit zwei Arten von wilden Stieren lebten? Bulletin Scientifique publié par l'Academie Impériale des Sciences de St. Peterbourg; tom 4, 1838, st. 113 do 128. Także Wigmann's Archiv für Naturgeschichte. 1839. — *Hermann Mayer.* Ueber fossile Reste von Ochsen. Nova Acta Physico-Medica Academiae Caes. Leopoldino-Carolinae Naturae Curiosorum. Tom 17 część 1-sza, 1835, str. 103 do 119. — *J. Andreas Wagner.* W dziele *Schreber's* Säugethiere; tom 5, część 2, 1838, st. 1483 do 1495. — *Lipiński.* O turach w Mazowszu Biblioteka Warszawska, tom 1, 1843, str. 182 do 189. — *Waga Antoni.* O turach i żubrach z okoliczności znalezienia niedawno czaszki wołu kopalnego w Pruszkowie w Płockiém. Biblioteka Warszawska, tom 3, 1843, st. 131 do 144. — *Brandt.* Die geographische Verbreitung von Ur oder wahren Auerochs (Bos primigenius oder bos taurus silvestris). Записки Императорскаго С. Петербургскаго Минералогическаго Общества. (Verhandlungen der Russisch-Kaiserlichen Gesellschaft zu St. Petersburg.) Serya 2, tom 2, 1867, str. 185 do 227.

Pytanie, czy za pamięci ludzkiéj istniały w Europie, mianowicie też u nas dwa gatunki dzikiego wołu, t. j. żubr i tur, po raz

pierwszy zostało poruszone przez Pallasa w roku 1777; słynny ten zoolog roztrząsając wiadomości o turze, zawarte w dziele barona Herbersteina, przyszedł do wniosku, że Herberstein popadł w błąd biorąc hodowanego w parkach bawoła, za dziki gatunek Polsce właściwy. W kilkadziesiąt lat późniéj Jerzy Cuvier zbił mniemanie Pallasa; dowiódł, że tur Herbersteina w żadnym razie nie mógł być bawołem, przytoczył różne świadectwa przemawiające za istnieniem w Europie dwóch dzikich wołów, i ostatecznie przyszedł do wniosku, że tur był wielkim wołem, którego szczątki często napotykać się dają w najnowszych pokładach; szczątki te posłużyły Bojanusowi do utworzenia powszechnie przyjętego gatunku *bos primigenius*. Za zdaniem Cuviera poszło wielu późniejszych zoologów; jedni, jak Brincken, Bär, H. Meyer, Andrzéj Wagner, Brandt, starali się wątpliwości wyjaśnić, zbijając zarzuty obozu przeciwnego, oraz odszukując nieznane poprzednio świadectwa historyczne; inni znowu, a mianowicie Eichwald (1), p. Kazimierz Stronczyński (2), Owen (3), Pictet (4), Rütimeyer (5), nie dostarczywszy żadnych nowych dowodów, poprzestali na prostém oświadczeniu się za zdaniem wielkiego mistrza.

W obozie przeciwnym panuje powszechna zgoda, że w Polsce i w ogóle w Europie, jeden tylko żubr żył i żyje za pamięci ludzkiéj, a Herberstein został w błąd wprowadzony podwójną nazwą zwierza; w szczegółach daje się spostrzegać pewna odmienność zdań, co późniéj bliżéj rozbierzemy. Do obozu oprócz Pallasa, należy prof. A. Waga, Bojanus, Jundziłł (6), Jarocki i Pusch.

Z tego krótkiego zarysu sprzeczności tura dotyczących, widzimy, że osią całego pytania są świadectwa Herbersteina doty-

---

(1) *Eichwald.* De pecorum et pachydermorum reliquiis fossilibus. 1823 i 1824, Nova Acta Physico-Medica Academiae Caes. Leopoldino-Carolinae Naturae Curiosorum. Tom. 17, 1835, st. 2.

(2) *Stronczyński.* Spis zwierząt ssących kraju Polskiego i pogranicznych. Warszawa. 1839, st. 29.

(3) *Owen.* A history of British fossil Mammals and Birds. 1846; st. 491 i 492, 498 do 503.

(4) *Pictet.* Traité de paléontologie. 1853, tom 1, st. 365.

(5) *Rütimeyer.* Untersuchungen der Thierreste aus den Pfahlbauten. 1861, str. 61; także „über die Art und Rasse des zahmen europeischen Rindes. Archiv für Antropologie: tom 1, 1866 str. 221;“ Versuch einer natürlichen Geschichte des zahmen Rindes. Denkschriften des Schweizerischen naturforschenden Gesellschaft, tom 22 i 23, 1867 i 1868.

(6) Ksiądz *B. S. Jundziłł.* Zoologia krótko zebrana. Wilno, 1807, tom 1, str. 306.

czące turów w Polsce; jest też rzeczą bardzo uderzającą, że za zdaniem Cuviera poszło tylko dwóch naszych uczonych, a mianowicie baron Brincken i p. Kazimierz Stronczyński, gdy tymczasem cały obóz przeciwny, wyjąwszy Pallasa, składa się z uczonych krajowych lub przynajmniéj w kraju osiadłych. Takie zachowanie się badaczów, najlepiéj mogących korzystać ze źródeł krajowych, bardzo usposabia na korzyść bronionego przez nich zdania; nim jednak przystąpimy do rozbioru samego pytania, musimy zastanowić się nieco nad historyą dzikich wołów europejskich, tak żyjących, jako też zaginionych, a to celem przygotowania się do należytego zrozumienia zajmujących nas wątpliwości.

Woły europejskie, z pominięciem hodowanego bawoła, dwojaką przedstawiają postać: żubra (bison) i wołu właściwego (bos). Pierwszy ma czoło szersze niż długie, wypukłe. Brzeg oczodołu mocno wydatny; twarz krótką, ku dołowi raptownie zwężoną, na końcu szczupłą. Rogi obłe, stosunkowo krótkie, rozłożyste na zewnątrz i nieco ku przodowi wyrastające, półkolem wznoszące się w górę, końcami ku sobie nagięte. Podgardle bez obwisłéj skóry, kłąb od zadu wyższy. Włos miękki, na kłębie, szyi, czole, podgardlu i pod brodą znacznie dłuższy i twardszy, tworzący grzywę zstępującą do połowy długości przedramienia.

Woły właściwe mają czoło dłuższe niż szerokie, płaskie; brzeg oczodołów nizki, niewystający; twarz długą, ku dołowi stopniowo zwężoną, na końcu tępą. Rogi obłe (niekiedy spłaszczone), wyrastające w zmiennym kierunku. Podgardle z obwisłą skórą. Włos na całém ciele krótki przylegający.

W Europie jedynym dzikim przedstawicielem obudwóch tych skupień jest żubr puszczy Białowiezkiéj; woły właściwe żyją u nas jedynie jako zwierzęta swojskie, lecz w najświeższych pokładach, w części należących do czasów przedhistorycznych, napotykamy kości wołów właściwych, pomiędzy któremi Rütimeyer odróżnia cztery formy (1): bos primigenius, bos trochoceros, bos frontosus i bos brachyceros. Pierwsza z tych form sięga w pokłady nieco starsze, a jéj szczątki w większości razów należą do zwierząt dzikich; bos trochoceros jest według Rütimeyera samiczą postacią dzikiego bos primigenius, a pomiędzy swojskiém bydłem, rasą przez hodowlę otrzymaną, albowiem u wołów hodowanych rogi w obudwóch płciach przybierają niekiedy postać właściwą samicom dzikiego szczepu. Trzeciego wołu, t. j. bos frontosus, Rütimeyer poczytu-

(1) *Rütimeyer*. Versuch einer natürlichen Geschichte des zahmen Rindes i t. d.

je za rasę sztucznie przez hodowlę wywołaną, lecz pozostaje w wątpliwości czy bos brachyceros jest tylko rasą swojską, pochodzącą od bos primigenius, czyli też należy go uważać za odrębny gatunek, który miał swego odrębnego, dzikiego przodka.

Z tego krótkiego przeglądu wołów kopalnych, pochodzących z czasów przedhistorycznych człowieka, okazuje się, że według dotychczasowych wiadomości, w owych zamierzchłych czasach oprócz żubra istniał drugi wół, t. j. bos primigenius, w części dziko żyjący, a w części oswojony, przedstawiając w tym ostatnim razie trzy rasy: primigenius, trochoceros i frontosus; oprócz tego istniał bos brachyceros, który być może przedstawia odrębny gatunek. Jeżeli tedy na zasadzie źródeł historycznych można dowieść, że istniały u nas dwa dzikie woły, to jeden z nich byłby żubrem, a drugi t. j. tur, byłby albo bos primigenius albo bos brachyceros; później zobaczymy, że tur w żadnym razie nie mógł być tym ostatnim, więc jeżeli istniał, to był pierwszym t. j. bos primigenius. Ostatecznie więc w poszukiwaniach nad turem właściwie chodzi tylko o przekonanie się, czy rzeczywiście w czasach historycznych istniały u nas i w Europie dwa odmienne woły dzikie, znamiona zaś tura już są same przez się wiadome, albowiem znamy jego szczątki kopalne, oraz przyswojonych potomków.

Nim przystąpimy do rozbioru samego pytania, nadmienię jeszcze o znamionach tura kopalnego (bos primigenius), jakie nam paleontologia wskazuje, tym bowiem sposobem będziemy w możności wykazać bardzo ważny fakt, że współczesne wzmianki o turze w zastanawiający sposób zgadzają się z danemi paleontologicznemi.

Tur kopalny był znacznie większy od bydła swojskiego; czoło miał płaskie, dłuższe niż szerokie, brzeg oczodołu nizki, mało wydatny; twarz długą, ku dołowi stopniowo zwężoną, na końcu tępą; rogi wielkie, obłe, przy nasadzie ku przodowi podane, zakreślające obszerny łuk wypukłością na zewnątrz skierowany, końcami na wewnątrz i ku tyłowi zgięte.

Przechodząc do pytania, o ile tur żył współcześnie z człowiekiem, przedewszystkiém zwrócę uwagę, że szczątki tura znaleziono w budowlach palowych Szwajcaryi (1), a w Skandynawii pod warstwą torfu na 10 stóp grubą, która według obrachowań do utworzenia się nie potrzebowała więcéj nad 1000 lat, więc tury na tym półwyspie musiały się znajdować w IX mniéj więcéj wieku po

(1) *Rütimeyer*. Archiv für Antropologie. Tom 1, str. 221.

Chrystusie, t. j. w czasach historycznych (1). Od dowodów paleontologicznych przejdźmy teraz do historycznych.

Najdawniejszą wzmiankę o dzikich wołach Europy znajdujemy u Cezara (2), który opisując lasy Hercynii i mieszkające w nich zwierzęta, pomiędzy innemi mówi: „Jest ich (dzikich bestyi) trzeci rodzaj, który urarni nazywają. Te wielkością mało słoniom ustępują, *gatunku i koloru i postawy wołu.* Wielka jest ich siła i rączość; ani człowiekowi, ani zwierzowi, którego spostrzegą, nie przebaczają. Te chciwie w doły łapane, zabijają. Tą pracą hartują się młodzieńcy, oraz w tym rodzaju łowów się ćwiczą; a którzy najwięcéj ich zabiją, okazawszy publicznie rogi, służące za świadectwo, wielką zyskują chwałę. *Lecz przyzwyczaić się do człowieka nie mogą, nie wyjmując nawet młodo złapanych.* Wielkość rogów i kształt i rodzaj tychże, wielce są od rogów naszych wołów różne. Te z trudem zdobywszy, na brzegach srebrem obwodzą i zamiast czar na najwspanialszych ucztach używają.“ Pomijając przesadę co do wzrostu, w pierwszym ustępie przytoczonego rozdziału, Brandt (3) bezwątpienia słusznie widzi wzmiankę o turze, albowiem trudno przypuścić, aby człowiek tak przenikliwy, jak Cezar, nie dostrzegł uderzającéj różnicy pomiędzy żubrem i wołem domowym; z drugiéj jednak strony tur nie mógł być zbyt trudny do oswojenia, skoro od niego pochodzi nasze bydło, ani się mógł znacznie różnić rogami od wołu domowego; więc też musimy przyznać słuszność Brandtowi, skoro dalszy ustęp rozdziału stosuje do żubra, zkąd wyprowadza wniosek, że w opisie Cezara znajdujemy wzmiankę o dwóch wołach dzikich, t. j. o turze i o żubrze.

Pliniusz w swojéj historyi naturalnéj w następujący sposób mówi o dzikich wołach Germanii: „Najmniéj (zwierząt) wydaje Scytya dla braku krzaków, mało sąsiednia z nią Germania. Znamienite jednak wołów dzikich rodzaje, *grzywiaste bizonty,* oraz siłą i rączością celujące *ury*, którym nieświadome pospólstwo miano bawołów nadaje, kiedy tych Afryka wydaje (4).“

Pliniusz, jako naturalista, zajmuje miejsce bardzo podrzędne;

---

(1) *Brandt.* Die geographische Verbreitung von Ur oder wahren Auerochs i t. d. str. 216.

(2) *C. Julii Caesaris.* Commentarii de bello Gallico. Lib. IV, cap. 28.

(3) *Brandt.* Die geographische Verbreitung von Ur i t. d. str. 205.

(4) *Caii Plinii Secundi.* Historiae Naturalis libri XXXVII. edidit Joannes Harduinus. Parisiis 1723. Lib. VIII, sectio 15, pag. 442.

Cuvier, którego sąd należy do bardziéj przychylnych, w następujący sposób odzywa się o nim (1): „Uważany jako naturalista Pliniusz stoi daleko niżéj od Arystotelesa, z którego często wypisywał, jak się zdaje nie zawsze rozumiejąc. Chociaż pisał w epoce więcéj oświeconéj niż niektórzy dawniejsi naturaliści, przyjmował jednak bez krytyki wszystkie niedorzeczne baśnie, co się znajdowały w ich pismach, a nadto i te jeszcze, w które wierzono za jego czasów. Zdaje się nawet, że miał szczególne zamiłowanie w bajkach. Dzieło jego nadto napisane jest bez porządku, bez metody, każda z nauk w niém zawartych, wyjąwszy geografią, żadnéj klassyfikacyi nie posiada. Pliniusz może być uważany raczéj, jako niepospolity zbieracz, aniżeli jako uczony pierwszego rzędu.“ Inni jeszcze surowiéj sądzą Pliniusza, jak np. Wiktor Carus (2), który wcale nie widzi w nim zoologa, lecz poprostu encyklopedystę, a zoologiczną część jego dzieła nazywa kompilacyą bez krytyki i wszelkiéj wartości naukowéj. W takiém położeniu rzeczy, dla wydania sądu co do przytoczonéj wzmianki o dzikich wołach w Germanii, nadzwyczaj są ważne szczegóły z życia Pliniusza, przekonywające o tém, że miał sposobność naocznie poznać zwierzęta. Cuvier (3) podaje, iż po ukończeniu nauk pod filozofem Apionem zwiedził Afrykę; późniéj zaciągnął się do wojska i doszedł do dosyć znacznego stopnia w jeździe, a pod Lucyuszem Pomponiuszem dowodził legią w Germanii; zwiedził wówczas tę krainę i zebrał różne szczegóły o morzu Północném. Tak więc, pomimo całego kompilatorstwa, które słusznie Pliniuszowi zarzucają, musimy przyznać, że na ten raz nie można odmawiać wiarogodności jego ustępowi o dzikich wołach w Germanii, albowiem według wszelkiego prawdopodobieństwa pisał o nich z naocznego przeświadczenia się.

Powyższe dwa świadectwa wielce prawdopodobném czynią istnienie tura w Germanii za czasów rzymskich, możemy więc pominąć krótkie i mniejszéj wagi wzmianki Seneki i Marcyala, na które zwracają uwagę Cuvier i jego stronnicy.

Z wieków średnich posiadamy różne wzmianki o dzikich wołach Europy, lecz świadectwa te podrzędne mają znaczenie,

---

(1) *Cuvier.* Historya Nauk Przyrodzonych; przekład Gustawa Belkego i Aleksandra Kremera. Wilno 1853, tom I, str. 166.

(2) *V. Carus.* Geschichte der Zoologie. 1872, str. 85 do 87.

(3) *Cuvier.* Historya Nauk Przyrodzonych; tom I, str. 164.

w obec wiadomości z XVI i XVII-go wieku, dotyczących tura w Polsce, te więc ostatnie przedewszystkiém rozpatrzymy.

Pierwsze miejsce przyznać musimy Herberstainowi, który udając się na dwór moskiewski w charakterze posła cesarskiego, zwiedził Polskę w 1517 i 1526 roku, a następnie był posłem przy dworze Zygmunta Augusta.

Ustępy o żubrze i turze brzmią jak następuje (1): „Prócz znajdujących się w Germanii zwierząt, ma jeszcze Litwa *bizonów, urów, łosi*, których inni onagrami czyli końmi dzikiemi zowią. Bizona Litwini w języku ojczystym zowią *suber* (żubr), Niemcy niewłaściwie *Aurox* lub *Urox*, która to nazwa *urowi* przystoi, posiadającemu zupełnie wolą postać, gdy *bizony* gatunkiem są najodmienniejszym. Bizony bowiem są grzywiaste i kosmate na karku i kłębie, z brodą od podbródka zwieszającą się, włosami piżmem woniejącemi, krótką głową, oczami wielkiemi i dzikiemi, jakoby pałającemi, czołem szerokiém, rogami tak rozłożystemi i długiemi, że pomiędzy niemi może się siedzący pomieścić trzech ludzi dobréj tuszy; któréj to rzeczy niebezpieczeństwo król polski Zygmunt, obecnie panującego Zygmunta Augustą ojciec, a o którym wiemy, że był dobréj tuszy i tęgi, wspólnie z dwoma od siebie nie mniejszymi, doznał. Grzbiet jest jakoby garbato wzniesiony, a przednia i tylna część ciała zniżone.“ Daléj następuje opis łowów, zaprawiony myśliwskiemi kłamstwami. Pomijamy go, jako nie mający dla nas znaczenia, i przechodzimy do tura, „Urów ma tylko Mazowsze z Litwą pograniczne, których miejscową nazwą *tura* (thur) oznaczają, my zaś Niemcy właściwie *Urox* zowiemy. Są to bowiem iście woły leśne, nieróżne od wołów domowych, chyba że wszystkie są czarne i mają przez grzbiet niejaką biało poprószoną pręgę (et ductum quendam instar lineae ex albo mixtum per dorsum habent). Niewielka ich liczba: są pewne wsie, na których ciąży czuwanie i straż nad niemi, i nieledwie że tylko w zwierzyńcach niektórych hodują się. Łączą się z krowami domowemi, ale nie bez trudności (sed non sine nota); albowiem takie nie są przez innych urów do stada dopuszczane, a ciołki, rodzące się z takiego pomieszania, nie są do życia zdolne. Zygmunt August dał mi, gdym był u niego posłem, jednego wytrzewionego (exenteratum), który wygnany ze stada, nawpół żywy, przez łowców został ubity; miał jednak wyciętą skórę na czole, co jak sądzę bez zuchwalstwa było dokonane; jakkolwiek przez pewną nierozwagę, nie wy-

---

(1) *Herberstain*. Rerum Moscoviticarum Commentarii, str. 109 i 110.

wiedziałem się, dla czego mają zwyczaj czynić to, jednak pewném jest, że są cenione pasy zrobione ze skóry ura, a prostota mniema, że przepasanie onym połóg ułatwia. Jako takie, królowa Bona, Zygmunta Augusta matka, dwa pasy mi darowała, z których jeden Najjaśniejsza Pani moja Królowa Rzymska, przezemnie ofiarowany, łaskawym umysłem przyjęła.“

Do opisów Herberstain dołącza drzeworyty wyobrażające tura i żubra (str. 111 i 112). Ten ostatni, pomimo całéj niezgrabności rysunku, dobrze jest scharakteryzowany, wyjąwszy tylko, że rogi są nieco zadługie i końcami na zewnątrz wygięte. Trafny opis, oraz charakterystyczny rysunek, bardzo przemawiają za spostrzegawczym talentem Herberstaina, a tém samém przemawiają na korzyść rysunku tura, którego przedstawiono jako długorogiego wołu, o wązkiém, długiém czole, z obwisłą skórą pod gardłem, okrytego krótką siercią na całém ciele, wyjąwszy nieco dłuższy, kędzierzawy włos na czole. Napis nad każdym rysunkiem zamieszczony, jeszcze raz ostrzega o błędném mieszaniu nazwy tura i żubra; tak nad żubrem czytamy napis: „Bizon jestem, po polsku żubr, po niemiecku Bisont. Nieświadomi ura nazwisko mi dali.“ Nad turem znowu widzimy napis: „Urus jestem: po polsku tur, po niemiecku Aurox. Nieświadomi Bisonta nazwisko mi dali.“

Herberstain jest w rzeczy saméj sam z sobą w sprzeczności, albowiem raz mieści tura w Litwie, to znowu powiada, że się tylko na Mazowszu znajduje; w opisie żubra mówi, że go tą nazwą Litwini oznaczają, a w napisie nad drzeworytem powiedziano, po polsku żubr; obyczajem współczesnych pisarzy, powtórzył baśnie o rozłożystości rogów żubra, oraz kłamstwa dotyczące łowów; ze względu na tura powtórzył czy przekręcił jakieś podanie o niezdolności do życia cieląt pochodzących ze skrzyżowania tura z krową domową. Są to niewątpliwie ciężkie zarzuty, skoro jednak zwrócimy uwagę na dobroć opisu i rysunku żubra, powyżéj wytkniętą, tedy pomimo wszelkie wykazane usterki nie odmówimy Herberstainowi wiarogodności i w rzeczach tura dotyczących, a to tém bardziéj, że współczesny mu Konrad Gessner (1) o rysunkach tego dyplomaty mówi: „Ten Ura i Bizona wizerunek we-

(1) Herberstain urodził się 1486 r., umarł 1566 (Mizler, Historiarum i. t. d. tom 1, str. 217). Konrad Gessner urodził się 1516, umarł 1565 r. (V. Carus. Geschichte der Zoologie, str. 274, 276).

dług żywych są oddane, jak nam Wolfgang Lazius zaświadczył, staraniem barona na Herberstainie" (1).

Mając takie świadectwo, zaledwie można powątpiewać o autentyczności rysunku tura, a tém samem o istnieniu zwierza, którego Herberstain widział, będąc posłem na dworze Zygmunta Augusta, jak o tém wyraźnie mówi.

Gessnerowi zawdzięczamy także uzupełnienia, jakich mu dostarczył Bonar i Schneeberger. Pusch (2) przypuszcza, że mowa tu o żupniku Sewerynie Bonarze, czyli właściwiéj Bonerze; ile przypuszczenie jest słuszne, powiedzieć nie mogę, nadmienię tylko, że z owych czasów znajduję dwie wzmianki o żupniku Sewerynie Bonarze, jednę u Schroetera w jego wierszu: „Salinarum Veliceensium Descriptio" z r. 1563 (3), drugą u Jodocusa Willichiusa Rosellianusa: De Salinis Cracovianis observatio" z r. 1543 (4). Kto był Schneeberger, nie wiadomo, przynajmniéj nic o nim dowiedzieć się nie mogłem. Pusch (Wigmann's Archiv, 1840 str. 88 i dal.) z niemieckiego nazwiska słusznie zapewne wnosi, że najprawdopodobniéj był kupcem lub rzemieślnikiem niemieckim, jacy w owym czasie często osiadali w większych miastach polskich; daléj, z tego przypuszczenia Pusch wyprowadza wniosek, że Schneeberger mieszkał w Krakowie, więc nie mógł znać tura; ten samowolnie postawiony, niczém nieusprawiedliwiony wniosek, jest dla Puscha dostatecznym dowodem, że świadectwa Schneebergera żadnéj nie mają wagi. Ponieważ Schneeberger mógł mieszkać tak dobrze w Warszawie jak i w Krakowie, i w każdym razie mógł mieć dobre wiadomości, przeto nie możemy być tak stanowczymi jak Pusch. Schneeberger nie przyznaje turowi owéj biało poprószonéj pręgi i dodaje, że miał rogi ku przodowi podane, co właśnie należy do charakterystyki tura kopalnego, a Herberstain nic o tém nie mówi, nieco błędnie przedstawiając rogi na rysunku; daléj Schneeberger naucza, że polscy łowcy błędnie stosują do ura (tura) miano bison (żubr) i bubalus (bawół), wreszcie powiada, że tury znajdują się tylko koło Sochaczewa. Bonar odróżnia

---

(1) Haec Uri icon et Bisontis ad vivum redditae sunt, ut Vuolfgangus Lazius nobis asseruit, cura Liberi Baronis in Herberstain. *Gessner*. De Quadrupedibus. Lib. I, Ed. Francoforti, str. 145. Nie mogąc porównać samego dzieła, przytaczam według *Brandta*: Die geographische Verbreitung von Ur, i t. d., str. 219.

(2) *Pusch*. Wiegmann's Archiv, 1840 str. 89.

(3) *Mizler*. Historiarum Poloniae i t. d. t. 1, str. 790.

(4) *Mizler*. Historiarum Poloniae i t. d. tom 1, str. 801.

tura i żubra, twierdząc, że pas z turzéj skóry ma porody ułatwiać.

Zestawiając wiadomości o turze, przekazane nam przez Herberstaina i Schneebergera, otrzymujemy obraz wołu, z długiém, wązkiém czołem, długą twarzą, długiemi rogami ku przodowi podanemi, z obwisłą skórą na podgardlu, pokrytego krótkim włosem. Tur kopalny czyli bos primigenius, jak widzieliśmy, takie same miał czoło, długie i ku przodowi podane rogi, oraz długą twarz, a że jest niewątpliwym szczepem bydła domowego, więc niewątpliwie miał pod gardłem obwisłą skórę i ciało krótkim włosem okryte. Tak więc tur Herberstaina w istotnych tych znamionach jest takim, jakim go znamy ze szczątków kopalnych, i jak wnosić ztąd możemy, że jest szczepem bydła swojskiego.

Mojém zdaniem, ta zgodność świadectw historycznych z danemi osiągniętemi drogą poszukiwań paleontologicznych, oraz drogą wniosków na anatomii opartych, niepospolite ma znaczenie, albowiem nie mogąc być przypadkową, silnego dostarcza dowodu, że za czasów Herberstaina istniał w Polsce wół, zupełnie do domowego podobny. Jednέm słowem, ze względu na tura, za dokładnością podań niemieckiego dyplomaty świadczy: dobry opis i charakterystyczny rysunek żubra, zaświadczenie Gessnera że rysunki obudwóch wołów są zdjęte z natury, i wreszcie bardzo ważna okoliczność, że drogą ścisłych badań naukowych, dochodzimy w wielu razach do tego samego wypadku, do jakiego prowadzą wiadomości udzielone przez Herberstaina i Schneebergera.

Drugim ważnym dla nas pisarzem jest Mucante, sekretarz przy kardynale Henryku Gaetano, pośle papieża Klemensa VIII do króla Zygmunta III. Niemcewicz w swoim „Zbiorze pamiętników o dawnéj Polsce" zamieścił polski przekład ciekawych ustępów, rękopis zaś, według tegoż autora, ma się znajdować w bibliotece willanowskiéj.

Dla nas na uwagę zasługują następujące ustępy:

Podczas pobytu kardynała w Warszawie: „W Sobotę dnia 30 (Września 1596) przysłał król Jmci kardynałowi 30 tłustych wołów na kuchnią, *nadto zwierzę jakieś szare, nazwane tur; mówią, że jest niezmiernie srogie i dzikie, król trzyma je z wieloma innemi zwierzętami w zwierzyńcu swoim; nim go zabito, zdjęto mu z czoła skórę i przysłano kardynałowi zapewniając że posiada wielkie cnoty. Kosztowałem to mięso u stołu kardynała, zdało mi się podobne do wołowiny, lecz cokolwiek suchsze i twardsze.* Kardynał posłał królowi kilka wybornych, sławnych mistrzów obrazów, w których się król kochał, królowéj zaś welony bogato haftowane, i konchę

ze spiżem w bogatém zamknięciu, wszystko to warte było przynajmniéj 800 szkudów" (1).

„W Sobotę (5 Października 1596 r.) po obiedzie wyjechał kardynał dla oglądania zwierzyńca królewskiego, leżącego o mil dwie od Warszawy. Udali się z kardynałem nuncyusz Malaspina, i przysłani od króla marszałek w. koronny i wielu wojewodów i kawalerów. *Przybyliśmy do ogromnego lasu ogrodzonego*, *gdzie się trzymają rozmaite dzikie bestye*, *jako to Żubry, Ury, Niedźwiedzie, Dziki, Jelenie*, *Daniele* etc. We środku była wysoka altana, gdzie bez żadnego niebezpieczeństwa mogliśmy na zwierzęta te patrzeć. Obława wieśniaków zaczęła je z różnych stron pędzić ku nam. Przebiegały przed nami jelenie, daniele, i *siedm żubrów razem starych i młodych. Są one podobne do czarnych wołów, lecz nierównie większe, głowa ich mała i kosmata, kark szeroki z niezmierną brodą u dołu. Między temi był żubr niezmiernéj wielkości nierównie większy od wielbłąda. Mówią, iż zwierz ten jest niezmiernie dziki i silny*, *tak*, *że jeźdźca z koniem*, *porwawszy na rogi*, *przerzuca za siebie.*

„Że wiele z tych bestyi nie chciało iść tam, gdzieśmy na nie czekali, i dzień schylał się ku zachodowi, wieczorem powróciliśmy do Warszawy" (2).

„Dnia 26 (Stycznia 1597 r.) przysłał król kardynałowi dwie ogromne bestye i żubra, zabite w lasach litewskich, przez siebie samego. Obydwie te bestye były samice, niemające rogów. Były tak duże jak muły, sierć podobna do jelenia, nie miały zębów u górnych szczęk (3). *Żubr jakem już powiedział*, *jest straszna bestya większa od bawołu*, *maści czarnéj*, *głowa jego niewielka, krótka*, *kędziorawa*, *przód szeroki i wyniosły*. *Smak mięsa podobny do jelenia*" (4).

Według mego zdania, przytoczone ustępy z dyaryusza Mucante'go, prowadzą do wniosku: że Mucante widział i żywe żubry i zabitego zwierza, któremu dobrze się przyjrzał, skoro go dobrze opisał; z drugiéj strony miał przed oczami zabitego tura, w którym musiał widzieć zwierzę od żubra odmienne, w przeciwnym bowiem razie nie nazywałby go *jakimś szarym zwierzem*, lecz poprostu żubrem. Trudno mi też zrozumieć, jakim sposobem przytoczone ustępy dostarczyć mogły Puschowi dowodu, że „te opo-

---

(1) Zbiór pamiętników i t. d. tom 2, str. 119.

(2) Zbiór pamiętników, tom 2, str. 120.

(3) Niemcewicz słusznie objaśnia, że to były samice łosia.

(4) Zbiór pamiętników i t. d. tom 2, str. 133.

wiadania znowu nam wyraźnie pokazują, jak nazwę tur i żubr naprzemian stosowano do tego samego zwierza" (1).

Bardzo ważne wskazówki pozostawił nam Jan hrabia Ostroróg wojewoda poznański. O ile mi wiadomo, Ostroróg dwa razy wspomina o turach. Prof. Antoni Waga w artykule o turach (2) ogłosił list Ostroroga pisany ze Lwowa do niejakiego Jesiotrowskiego, pod datą 24 Januarii 1610 roku, w którym donosi, że ma zamiar przybyć do Zamościa dla połapania łosiów, na co od lat dwóch kwit posiada, a w końcu czyni następujący dopisek: „*Turów i Żubrów wiele W. M. masz, proszę daj mi W. M. znać i wiele samców i wiele samic.*" Brincken znowu (3) powołuje się na rękopism Ostroroga, obejmujący ciekawe szczegóły o zwierzyńcach, w których według Ostroroga nie należy trzymać razem turów i żubrów, z powodu częstych pomiędzy niemi bójek. Brincken objaśnia, że rękopis 1828 r. znajdował się w bibliotece Józefa hr. Krasińskiego. Przywiązując wielką wagę do świadectwa tak światłego myśliwego, jak Ostroróg, pragnąłem zapoznać się z rękopismem, co też urzeczywistniłem, dzięki przyjacielskiemu pośrednictwu prof. Przyborowskiego, oraz uprzejméj a łaskawéj uczynności pana Chomętowskiego, zarządzającego biblioteką ordynatów Krasińskich, gdzie obecnie rękopism się znajduje. Rękopism jest bez daty i nosi tytuł „*Zwierzyniec*". Autor w krótkich słowach wspomina o założeniu zwierzyńca w swéj posiadłości Komarnie na Podlasiu, następnie nadmienia o możliwych chociaż stosunkowo małych pożytkach ze zwierzyńca, i wreszcie samę rzecz zaczyna w następujący sposób: „Ten (zwierzyniec) ma być wielki żeby mógł siła zwierza wyżywić, coby zgoła kilkaset, bo takuchna straż koło najmniejszego jako i koło dobrze wielkiego, kiedy w paszy przedniéj, jakoż taka w moim zwierzyńcu, dość go w objazd w milę, albo kęs mniéj albo kęs więcéj. W nim zwierza mieć co narozmaitszego tém najforemniéj, krom żubrów, bo iż tam ma się na pociechę jeździć, a kto myśliw jakom ja jest, ledwie nie codzień tam bywać i familiarem się zwierzowi jako jakiemu bydłu uczynić, nie trzeba tam mieć takie zwierzę, którego się strzedz trzeba. Więc i o same stróże zwierzyńcowe którzy muszą i powinni się ustawicznie we zwierzyńcu chodzić i zwierza widać, liczyć, znać rochmanie (t. j. płochą zwierzynę), opatrować,

(1) *Pusch.* Wiegmann's Archiv 1840 str. 76.

(2) Biblioteka Warszawska, tom 3, str. 135.

(3) *Brincken.* Mémoire descriptif i t. d. str. 70.

czego abo by czynić nie mogli, abo by w niebezpieczeństwo wdawać się musieli, nie bez grzechu tego ktoby je przymuszał. A okrom dzikich świń, bo te ryją najprzedniejsze pasze i łąki z ohydą zwierzyniecką psują. Ktoby jednak z nich korzystał dla ozdoby stołowéj i obfitéj żywności, osobny zwierzyńczyk zagrodzić im trzeba. *A tu trzeba konfutować rozumienia ladajakie ludzkiéj bajki koło zwierza, że jeden z drugim nie może być w jednym zwierzyńcu, co prawda o żubrach a turach iż są proximae speciei biliby się, ale też tych nie masz krom samego jednego Zamojskiego zwierzyńca.* Ale co piszą o jeleniach i danielach i sarnach, to bajki są i t. d."

Krótkie te wzmianki Ostroroga dostarczają niewątpliwego dowodu, że tur był wołem od żubra odmiennym, oraz że był nadzwyczaj rzadki w pierwszych latach XVII wieku; wprawdzie Ostroróg nie mówi wyraźnie, że widział tury, ale z całego toku rzeczy oczywisty wypływa wniosek, że bywał w zwierzyńcu i że je widział. Dowód jest tu tak oczywisty, że nawet prof. Antoni Waga (1), pomimo całego zaufania, jakie pokładał w powadze Puscha, odrzucającego odmienność tura i żubra, przyznaje, iż przytoczony dopisek do listu nie pozwala uważać tura i żubra za jedno i to samo zwierzę; powaga Puscha zbyt jednak silny wpływ wywiera na prof. Wagę, tak iż ten ostatni nie mogąc odważyć się na wniosek wprost przeciwny zdaniu znakomitego paleontologa, starał się wyjść z trudności, przyjmując mniemanie Pallasa, jakoby tur miał być hodowanym bawołem; o błędności tego przypuszczenia wkrótce się przekonamy. Pusch listu do Jesiotrowskiego wcale nie znał, a o rękopisie „*Zwierzyniec*" mógł sądzić jedynie ze zbyt treściwego przytoczenia u Brinckena; z tych więc powodów żadnego znaczenia nie może mieć zbyt ostry i stanowczy sąd Puscha o świadectwie Ostroroga, że „fałszywém jest twierdzeniem jakoby nie można w jednym zwierzyńcu turów i żubrów obok siebie trzymać (2)." Ostroróg nic podobnego nie powiedział, jak o tém przytoczony dosłownie ustęp przekonywa.

Przytoczone świadectwa właściwie wystarczają dla przekonania, że tur był wołem od żubra odmiennym, że żył za czasów historycznych, a u nas utrzymał się po zwierzyńcach aż do pierwszych lat XVII wieku; dowiedzieliśmy się też o jego powierzchowności, i pod tym względem widzieliśmy zastanawiającą zgodność

---

(1) Bibl. Warsz., tom. 3, 1843, str. 135.
(2) Wiegmann's Archiv, 1840, str. 76.

podań historycznych z wypadkami badań paleontologicznych i zoologicznych, co bardzo silnym jest dowodem. Ściśle mówiąc, możnaby już na tém poprzestać i zwrócić się do rozbioru zarzutów, jakie stawiano przeciwko zdaniu Cuviera i jego stronników, aby jednak nie zasłużyć na zarzut niedokładności, przytoczę i inne świadectwa, aczkolwiek mniejszéj wagi.

Obok powołanych powyżéj świadectw, jako ich dopełnienie nie bez wartości jest starożytne malowidło, o którém mówi Hamilton Smith (1). U pewnego antykwaryusza w Augsburgu, H. Smith widział malowidło, przedstawiające tura, a sądząc ze stylu malarskiego, prawdopodobnie pochodzące z pierwszéj ćwierci XVI wieku. Tura przedstawiono na malowidle z boku, bez grzywy lecz z kosmatym włosem, wielką głową, grubym karkiem, małém wolem, sadzowato czarnéj maści z białym podbródkiem, z rogami ku przodowi a następnie ku górze wyrastającemi, podobnie jak u wołów Romanii; rogi wyobrażono blade z ciemnemi końcami. W rogu malowidła znajdowały się ślady herbu oraz wyraz *Thur*, wypisany prawie zatartemi, złotemi głoskami gotyckiemi. Smith podaje zarys tego dzikiego wołu; jest to byk, a pomimo to posiada wielkie rogi. Zdaniem Hermana Meyera jest to nieznany poprzednio rysunek, wyobrażający dzikiego wołu, nigdzie już nienapotykanego. W przypisku do powyższéj wiadomości, H. Smith czyni uwagę, że ten tur zgadza się z rysunkiem na kamieniu w Klunia (Clunia), gdzie umieszczono podpis celtyberyański, i wyobrażono łowca, stawiającego czoło dzikiemu bykowi.

Morsztyn (2), w swych Historyach uciesznych o zacnéj królewnie Banialuce, pomiędzy innemi taki nam daje opis zwierząt, które o królewnie sprawę dawały:

Rzecz dziwna do słuchania: skoro wróg krzykliwy
Zatrąbił, zwierz się skupił do niego straszliwy;

(1) English Edition of the „Règne animal of Cuvier" by Griffith, Ruminantia. Nie mogąc porównać samego dzieła, o ciekawym rysunku podaję wiadomość według *H. Meyer*: Nova Acta i t. d., tom XVII, część 1, str. 111, oraz *A. Wagner*: Schreber's Säugethiere; część 5, tom. II, str. 1495.

(2) Historye ucieszne o zacnéj królewnie ze wschodnich krajów Banialuce. 1752. Także *Lindego*, Słownik języka polskiego. Lwów, w druk. Zakł. Ossolinskich, tom V, str. 741, tom VI, str. 1163. Hieronim Morsztyn urodził się pod koniec XVI wieku, umarł za Jana Kazimierza. Patrz Juliana Bartoszewicza, [Historya literatury polskiéj. Warsz. 1861, str. 364, 365.

Lew idzie przed tych bestyi wojskiem niezliczonym,
Sprawując je jak hetman ogonem kręconym.
Następują gromadne pułki niestrzymanych:
Łosiów, a potém koni nigdy niehełzanych,
Żubry ciężkie z jadłemi idą niedźwiedziami,
Z drapieżnemi jelenie przyjaźni wilkami.
I prędkonogie łanie, i sarny lękliwe,
Tury szerokonogie, hodyńce gniewliwe,
Niesłonne słonie, z bystrym obok jednorożcem,
A morągie tygrysy z czujnym nosorożcem.
Lampart tarentowaty z wielbłądem garbatym,
I rysie cynkowate z marmurkiem kosmatym:
Szli osłowie leniwi z mułmi powolnemi,
A pierzchliwe zajączki, z liszkami chytremi.
Wiewiórki podbielałe, i ziemne łasice,
Drogokupne sobole, szare popielice:
Gronostaje białemu zrównane śniegowi,
I żbiki domowemu podobne kotowi.
Króliki tak dla prawa większego nazwane,
Bo nad insze te mają wolności nadane,
Że się białe i czarne i srokate rodzą,
Te wszystkie w miłéj zgodzie zawsze z sobą chodzą.
Renifer na ostatku w łowach przestraszony,
Prosł od pustelnika na ten czas obrony:
Widząc, iż on królewicz wedle niego stoi,
Co go gonił, dla czego przystąpić się boi.
Toć dziwna? ale to zaś trudna do wierzenia,
Że pustelnika tego słuchają mówienia:
Lew ryknął, a straszliwe natychmiast rykanie
Uczyniło wysokiéj skały poruszenie.
Mało co odmiennemi konie i z łosiami
Rżały głosami, tylko różne kopytami:
Beczał żubr i z jeleniem, a sarna piszczała,
Łani zaś jeleniowi cienko pochlebiała,
Mruczał niedźwiedź, a wilk wył, hodyńce krzykały,
Tygrys, lampart, ryś warczał, wielbłądzi parskały,
Osieł i muł huczeli, kwikał jednorożec,
Tur jęczał, zając wrzeszczał, parskał nosoroziec.
Popielica z wiewiórką po cichu pryskała,
Żbik mlaskał, po nim liszka jako pies szczekała;
Wszystkie zgoła swym głosem sprawę mu dawały,
Jakoby o królewnie nigdzie nie wiedziały.

Przytoczony ustęp nie pozwala powątpiewać, że Morsztyn uważał tura i żubra za dwa odmienne zwierzęta.

Knapski (1) w swym słowniku stanowczo rozróżnia tura (urus) i żubra (bison, bonason); o pierwszym mówi że według Pliniusza Grecy nieświadomi niewłaściwie nazywają go żubrem, a o tym ostatnim czyni wzmiankę, że Galenius niewłaściwie nazywa go urem.

Inne wiadomości o turze, w kronikach naszych zawarte, mniéj są pewne, z powodu pomieszania nazw tura i żubra, o czém późniéj się przekonamy, dla zupełności jednak przytoczę je, o ile są mi znane.

Kromer (2) poprzestaje na krótkiéj wzmiance, że oprócz innych przytoczonych przez niego zwierząt, w Polsce „zresztą uri, to jest woły leśne, które my turami nazywamy, w samych tylko mazowieckich lasach pod Wiskitkami się znajdują.“

Jędrzéj Święcicki (3) w opisie Mazowsza pomiędzy innemi mówi: „Łowy wielorakie, lecz jelenie, łosie, *żubry* (bisontes) trzymają się tylko w lasach nad rzeką Skwą (in Sequana silva) (4), *tury* (urorum ingentium) zaś w puszczy Jaktorowskiéj (Hectorea silva) (5) w wielkiéj ilości przebywają. To zwierzę dla samych tylko królów jest zachowane; nikomu innemu pod zastrzeżeniem kary śmierci, zabijać ich nie jest dozwolone.“ Następnie znajdujemy przesadne wiadomości o rączości turów, o niedopuszczaniu do stada krów, które się z bykami domowemi odstanowiły, o niesłychanéj sile turów, wyrzucających rogami w powietrze jeźdźca wraz z koniem. Daléj wiadomość, że pasy z kosmatéj, środkowéj części skóry czoła, po polsku *turzywicher* zwanéj, bardzo są poszukiwane, albowiem noszone z niéj pasy przez kobiety ciężarne, chronią od poronienia i połóg ułatwiają. Cała ta część opisu według Puscha (6) ma być dodana przez Zygmunta Święcickiego, który wydał całe dzieło swego ojca; nie wiem jakie dowody posłużyły

---

(1) *Gregorii Knapii,* Thesaurus polono latino graecus. Wydanie 1-sze, 1621 str. 1212 i 1527, wydanie 2-gie str. 1164 i 1453.

(2) *Kromer.* Polonia seu de situ, populis, moribus, magistratibus et Republica Regni Polonici Secunda. editio apud Maternum Cholinum. 1578, str. 39. Także u *Mizlera*, Historiarum Poloniae i t. d. tom I. str. 127.

(3) *Andreae Święcicki.* Descriptio topographica Ducatus Masoviae, 1634. Patrz Mizler, Historiarum i t. d. tom I. str. 484 i 494.

(4) Skwa albo Skrwa wpada do Narwi pomiędzy Ostrołęką i Nowogrodem.

(5) Puszcza obecnie nie istniejąca, pomiędzy Wiskitkami, Bolimowem, Skierniewicami i Mszczonowem.

(6) *Pusch.* Wiegmann's Archiv. 1840, str. 109.

Puschowi za podstawę podobnego twierdzenia; rozstrzygnięcie wątpliwości pozostawiam specyalistom, nadmieniając tylko, że wobec powyżéj przytoczonych świadectw, wiadomości przypisywane synowi Jędrzeja Święcickiego zbyt podrzędne zajmują stanowisko, aby dłużéj zastanawiać się nad niemi. W inném miejscu swego opisu J. Święcicki jeszcze raz wspomina o turach, mówiąc: „Tam zaczyna się puszcza Jaktorowska, znajdowaniem się w niéj *turów* (urorum) w kraju naszym słynna.“ (Mizler, str. 494).

Maciéj z Miechowa (1) opisując Litwę, krótką czyni wzmiankę, że w lasach znajdują się wielkie bestye, a wiele z nich widują i łapią w wielkiéj ilości, „ury i woły leśne, które w języku swoim *turami* i *żubrami* nazywają.“ Wzmianka jest w rzeczy saméj tak krótka, że trudno na pewno powiedzieć, czy tu mowa o dwóch odmiennych wołach, czyli też o dwóch nazwach tego samego zwierza.

Antoni Maria Graciani a Burgo (2) w opisaniu żywota kardynała Commendoniego wspomina i o turach i o żubrach; nawet widział te ostatnie, lecz taki panuje u niego zamęt co do tych dwóch wołów, tyle widać zapożyczonego od Herberstaina i innych, że ostatecznie opowiadania jego żadnéj nie mają dla nas wartości.

Jan Krasiński (Crassinius) (3) mówiąc o turach prawie wprost przepisuje z Herberstaina, więc też na uwagę nie zasługuje.

Erazm Stella (4) w opisie Pruss wspomina o turach i żubrach, czerpiąc wiadomości z Cezara i Pliniusza, więc jest równie bez znaczenia.

Lucas Dawid (5) w swéj kronice pruskiéj, ze względu na wiek XIII głównie posiłkował się zaginioną kroniką Chrystyana, pierwszego biskupa Pruss, który przybył do kraju przed zakonem krzyżackim i umarł prawdopodobnie 1243 r., Mówiąc o odjeździe z Pruss księcia Ottona Brandeburskiego 1240 r., Dawid przytacza:

„Wszakże nim tam odjechał, obdarzył braci wielu darami. Najprzód dał im (tu wylicza zapasy żywności), a że w kraju dużo było zwierza, *Aueroxen* (turów), *Visonten* (żubrów), wiele koni, łosi, wielkich i małych niedźwiedzi, sarn i zajęcy, zostawił im swoje

---

(1) *Matthiae a Miechow*, Descriptio Sarmatiarum Asianae et Europeanae, 1521. Patrz *Mizler* Historiarum Poloniae i t. d. tom I, str. 212.

(2) Niemcewicz, Zbiór pamiętników i t. d. tom I, str. 59 i 60.

(3) *Joannis Crassinii*, Polonia, 1574. Patrz *Mizler* Histori rum Poloniae i t. d. tom I, str. 426.

(4) *Erasmi Stellae Libanothani*, Libri II de Antiquitatibus Borussiae. Patrz *Mizler*, Historiarum Poloniae i t. d. tom I, str. 24.

(5) *Bär*. Bulletin Scientifique, tom IV, str. 122, 123.

sieci i psy i ptaki (sokoły, Federspiele), które z sobą przywiózł, a że był w kraju i tam miał dużo przyjemności i pożytku, zostawił im także swego najwyższego łowczego, który chętnie pozostał w Prusiech i został bratem zakonu.“ W innėm miejscu kroniki, widocznie mówiąc o współczesnych sobie wypadkach, Lucas Dawid powiada, że zakon dla powstrzymania napaści Litwinów, spustoszył kraj na granicy, i dodaje, że pusty ten kraj stał się siedliskiem dzikiego zwierza, jako to wielkich Auer czyli dzikich wołów; a zatém, według Bära, w XVI wieku znajdował się w Prusiech jeden tylko gatunek dzikich wołów, t. j. żubry, co nam tłómaczy, dla czego pisarze następnego wieku o nich tylko wiedzą.

O turach innych krajów Europy spotykamy dosyć liczne wzmianki, jako to:

Leges Allemanorum (1) z VI lub VII wieku wymieniają: bison (żubr) i bubalus (t. j. tur według ostrzeżenia Pliniusza).

Niebelungen (2), bohaterska epopeja z XII mniéj więcéj wieku, pomiędzy innemi mówi o Siegfriedzie:

„Potém wkrótce zabił żubra (Wisent) i łosia (Elch),
Silnych turów (Ure) cztery i gniewliwego szelcha (Schelch).“

Nazwy wisent i ur, według Puscha (3), mają oznaczać krowę i byka żubrzego, elch ma oznaczać samicę łosia t. j. klępę, a schelch lub schelo łosiego byka. Błędność podobnego pojmowania wykazał Brandt (4); nie chcąc wchodzić w wywody lingwistyczne, poprzestanę na wzmiance, że zdaniem Brandta (5) schelch oznacza zaginionego dzisiaj, olbrzymiego jelenia megaceros hibernicus (cervus euryceros).

Ekkehard, mnich z St. Gallen zmarły 1070 r., wyliczając postne potrawy przytacza: (6).

Signet vesontem benedictio cornipotentem
Dextra dei veri comes assit carnibus uri;
Sit bos sylvanus sub trino nomine sanus
Sit feralis equi caro dulcis in hac cruce Christi.

---

(1) *Brandt*, Die geographische Verbreitung i t. d. str. 206.

(2) *H. Meyer*, Nova Acta i t. d. tom XVII, część 2, str. 117. *A. Wagner*, Schreber's Säugethiere, część 5. tom II, str. 1486, odsyłacz. *Brandt*, Die geographische Verbeitung i. t. d. str. 206.

(3) *Pusch*, Wiegmanni's Archiv, 1840, str. 133 do 136.

(4) *Brandt*, Die geographische Verbreitung i t. d., str. 228 i dal.

(5) *Brandt*, Die geographische Verbreitung i t. d., str. 225. 226.

(6) *A. Wagner*, Schreber's Säugethiere, część 5, tom II, str. 1487. *Brandt*. Die geogr. Verbr. str. 210.

Cantaprinus (1), który pisał w 1244 r., mówi że „w Czechach znajdują się *żubry* (zubrones) i inny rodzaj, który Polacy *turami* (thurones) nazywają.

Joh. Marignola (2), w swojéj kronice czeskiéj (1355 r.), wspomina bubali (tury) i bisontes (żubry).

Posiadamy też wskazówki, że przed wielu wiekami tury prawdopodobnie znajdowały się we Francyi (3); lecz przytaczanie wszystkich wzmianek zadalekoby nas zaprowadziło: przejdziemy tedy do rozbioru zarzutów strony przeciwnéj, głównie przeciwko Herberstainowi wymierzonych.

Pallas (4), mniema, że według Herberstaina żubr miał się wyróżniać garbem, dowodzi więc, że garb żubra jest tylko pozorny, albowiem najeżona sierć na przedniéj części ciała czyni ją jakoby wynioślejszą, a daléj podaje, że ta najeżona sierć z wiekiem dopiero występuje, następnie przychodzi do wniosku, że nazwa tur i żubr oznaczała to samo zwierzę, w tym języku, z którego ją wzięto. Widząc, że niepodobna zaprzeczyć, aby Herberstain nie widział zwierza, którego podaje za tura, Pallas mniema, że „jest rzeczą więcéj niż prawdopodobną, (il est plus que probable), iż zwierzę oznaczone przez barona Herberstaina jako tur (thour) i nieposiadające garbu, jest po prostu wprowadzoną rasą bawoła, który zdziczał." Poprzednio już nadmieniłem, że prof. Waga uznając odmienność tura i żubra, a nie mogąc wyłamać się z pod autorytetu Puscha, przyjął zdanie Pallasa. Twierdzenie jakoby przód żubra nie był od zadu wynioślejszy, jest błędne, i nie może przekonać o tożsamości tura i żubra; choćby nawet tak było, tedy tur Herberstaina jako posiadający obwisłą skórę pod gardłem, zupełnie woli łeb i rogi duże, ku przodowi podane, jeszczeby się stanowczo różnił od żubra, który ma odmienną głowę, nie ma wola ani ku przodowi podanych rogów. Tur Herberstaina w żadnym razie nie mógł też być bawołem, który nie ma wola, oraz odznacza się rogami w tył podanemi i w nasadzie spłaszczonemi. Błędne to mniemanie Pallasa nie uszło baczności Cuviera i jego zwolenników, dostrzegł je i Bojanus (5), który znowu goło-

(1) *Brandt.* Die geogr. Verbr. str. 207.
(2) *Brandt.* Die geogr. Verbr. str. 207.
(3) *Cuvier.* Ossements possiles. tom VI, str. 237, 238.
(4) *Pallas* Acta Academiae scienciarum. 1777, część druga. str. 233.
(5) *Bojanus.* Nova Acta i t. d., tom XIII, część 2, str. 421, 422.

słownie oświadcza, że można uważać za rzecz pewną (pro certe haberi potest), że Herberstain opowiadający o urze, wołu tego odznaczającego się wielkiemi rogami, nie miał przed oczami, raczéj zdaje się opisywać wołu zdziczałego odłączonego od stad leśnych. Dowody, jakie Bojanus przytacza przeciwko odmienności tura i żubra, wcale krytyki nie wytrzymują; albowiem przeciwko współczesnym świadectwom powołuje się na Tadeusza Czackiego i na Kluka, którzy w zajmującym nas sporze nic zgoła nie wyjaśniają. Czacki (1) powiada tylko, że w przywileju książąt mazowieckich w r. 1436, dotyczącym wsi Zator, wyłącza się prawo polowania na Centauri i Tigrides, i objaśnia: „Te Centauri nic innego nie są tylko żubry, urami od Cezara, turami od gminu w Litwie zwane. Tigrides nic innego nie są tylko rysie.“ Uwaga ta naucza jedynie, że za czasów Czackiego, lud na Litwie nazywał żubry turami. Kluk (2) ze względu na dzikie woły tak jest chaotyczny, zdradza tak małe pod tym względem wiadomości i taki brak krytyki, że świadectwo jego nie ma żadnéj zgoła wartości, zwłaszcza że widocznie nie znał przytoczonych powyżéj wzmianek i rysunków Herberstaina. Kluk dwa razy powtarza opis żubra, raz nazywając go żubrem, a drugi raz turem, przytém żubra nazywa Taurus urus, a tura Taurus bison, t. j. najniewłaściwiéj, naodwrót stosuje do nich nazwy łacińskie. Daléj Kluk podaje, że historycy naturalni mieszczą tura jednozgodnie w podolskich i ruskich puszczach, gdy tymczasem współcześni mieszczą go na Mazowszu. Widzieliśmy, że tury już w XVI wieku były rzadkością, a wyginęły w początku XVII; cóż więc dziwnego, że Kluk, piszący w końcu XVIII wieku, o znajdowaniu się turów powiada: „Ja ani sam o tém wiem, ani się od kogo o nich dowiedzieć mogłem.“ Czyż świadectwo pisarza tak mało z rzeczą obeznanego, może mieć jakiekolwiek znaczenie? a gdyby nawet miało, tedy Kluk dostarczyłby jedynie dowodu że w końcu XVIII wieku wcale turów nie było, czemu nikt nie przeczy.

Jarocki (3) powołuje się na Hartknocha i Mazekowskiego (Masecovius), którzy pomieszali obiedwie nazwy, jak to późniéj bliżéj rozpatrzymy, a szczególną wagę przywiązuje do zdania Jon-

---

(1) *Czacki.* O litewskich i polskich prawach, tom II, uwaga 1738. Nie mogąc porównać samego dzieła przytaczam według *Bojanusa*, l. c. str. 422, oraz *Puscha*, Wiegman's Archiv. 1840, str. 113.

(2) *Kluk.* Zwierząt domowych i dzikich osobliwie krajowych historyi naturalnéj początki. Warsz., 1795, tom I, część 3, str. 345, 346.

(3) *Jarocki.* Pisma rozmaite, tom 2, str. 272, 277 i 278.

stona, który żyjąc w XVII wieku, pisze, że „wyraz urus oznacza zwierzę, które w Mazowszu i na Żmudzi turem, a w Litwie żubrem nazywają.“ Jonston urodził się w Wielkiém Księztwie Poznańskiém i tam spędził znaczną część życia jako nadworny lekarz Bogusława Leszczyńskiego; mógłby tedy mieć poważny głos, gdyby nie okoliczność, że jego dzieło jest kompilacyą bez wszelkiéj krytyki i wartości. Pomijając nawet nagromadzenie bajecznych zwierząt, jak jednorożec, t. j. koń z wielkim rogiem na czole, z racicami lub wielbłądziemi palcami, leucrocuta, t. j. lew z racicami, manticora czyli lew z ludzką twarzą, kozę z wymionami na piersiach (capra libica), zające rogate, bazyliszki i t. d. i t. d., same już rozdziały o dzikich wołach są wymownym przykładem głębokiéj nieświadomości Jonstona (1). W rozdziale „de Uro“ Jonston objaśnia, że w lasach Mazowsza i Żmudzi nazywają go turem, oraz że Scaliger mówi, iż go Litwini zumbrem (zumbronem) nazywają; więc Jonston będąc tak blizko źródła wiadomości, nie sam dowiedział się o tém, lecz dopiero od Włocha; tym sposobem upada cała wartość słów Jonstona. Ze względu na opisy, w trzech rozdziałach: de uro, de bisonte, de bonaso, Jonston pod trzema nazwami, nieco odmiennie opisuje tego samego żubra, zawsze wypisując z dawniejszych autorów. Bajek nigdy nie pomija, a o rozłożystości rogów, pomiędzy któremi może siąść trzech ludzi, powtarza tak w rozdziale *de uro*, jako też *de bisonte*. Rysunki nic zupełnie nie nauczają; urus jest raz grzywiasty (tablica 19) i nosi nazwę urus jubatus, to znowu jest skopiowany z Herbersteina i bez grzywy, ale z wolem (tabl. 20); bison zawsze jest grzywiasty, lecz cała postawa i kierunek oraz długość rogów, najrozmaiciéj są przedstawione (tabl. 16 i 17); bonasus ma trzy rysunki (tabl. 17, 19 i 30), na każdym rysunku jest odmienny, rogi zupełnie inne, raz nie ma grzywy, posiada wole i rogi wołu domowego, to znowu na innych rysunkach jest mniéj lub więcéj grzywiasty, lecz zresztą zupełnie odmienny. Ze wszystkiego okazuje się, że Jonston wypisywał zkąd się dało, przerysowywał gdzie znalazł rysunek z tym samym podpisem, wcale nie kłopocząc się o jakąkolwiek krytykę; to samo podaje pod różnemi nazwami, i różne przedmioty pod tą samą nazwą; sądzę więc, że tego rodzaju kompilacye żadnego znaczenia mieć nie mogą i nie powinny być powoływane. Jarocki powiada daléj, że nigdy nie znajdujemy kości

---

(1) Historiae naturalis de Quadrupedibus Libri V. cum aeneis figuris. Johannes Jonstonus doctor medicinae concinnavit. Amstelodami, 1657, str. 36 i 37.

tura w ziemi zagrzebanych; myli się, bo jak widzieliśmy, tur jest kopalnym bos primigenius, a ten ostatni należy do pospolitszych zwierząt kopalnych najświeższych pokładów. Do dowodów Jarockiego należy i to, że Holcus odoratus na Litwie nazywają żubrzą trawą, a w Królestwie Polskiém turzą; nie miałem sposobności sprawdzić czy tak jest, ale gdyby tak było, jeszczebyśmy nie mieli dowodu, upoważniającego do zadania fałszu świadectwom Herberstaina i Ostroroga. Wyprowadzanie wyrazu tur od *samowtór* jest o tyle śmieszne, że nie warto nad niém się zastanawiać.

Najdzielniejsze zarzuty przeciwko naszemu sposobowi widzenia rzeczy, z niepospolitą erudycyą zebrał i zestawił Pusch (1), którego imię niemałą cieszy się powagą, jego więc zdanie szczegółowo rozebrać musimy.

Z pomiędzy dowodów przez Puscha przytoczonych, najważniejszemi są te, które mają wprost i bezpośrednio przekonywać o tożsamości tura i żubra, te więc najprzód rozpatrzymy, a przedewszystkiém ustępy kroniki Długosza, gdzie Pusch upatruje stanowczy dowód.

O ile mi wiadomo, *Długosz* w dwóch miejscach swéj kroniki mówi o turach.

Opisując wypadki roku 1107, Długosz pomiędzy innemi daje następującą opowieść o cześniku Sieciechu: Podczas oblężenia miasta Szczecina przez króla Bolesława III Krzywoustego, „znajdował się w obozie jego rycerz jeden nazwiskiem Sieciech (Setegius), młodzieniec krzepki, wymowy raźnéj i w drużynie towarzyszów jego rzadką odznaczający się dzielnością, który urząd cześnika sprawował.“ Pierwszego dnia szturmu, powróciwszy wieczorem do obozu po wielu potyczkach i harcach, Sieciech uczuł trwogę, jakoby nazajutrz przy dobywaniu miasta miał śmierć ponieść; oświadczył więc towarzyszom, że nie pójdzie do walki, póki się wprzód nie wyspowiada z grzechów swoich. Lecz następnego dnia odzyskał męstwo i poszedł do walki o ślubie zapomniawszy. Za powrotem do obozu doznał trwogi, znów ślub uczynił i następnego dnia zapomniał; powtarzało się to przez kilka dni. Gdy po zdobyciu zamku i miasta, zwalczeniu nieprzyjaciół i wzięciu celniejszych obywateli na zakładników, rycerstwo polskie wracało do swego kraju, Sieciech począł chełpić się przed towarzyszami, że nic nie stracił na zaniedbaniu spowiedzi i pokuty, przez to bowiem ocalił życie, które byłby utracił przez spieszne ślubów wykonanie.

---

(1) *Pusch.* Polens Paläontologie, oraz Wiegmann's Achiv, rok 1840.

Następnéj nocy pokazał się mu Święty Izydor (Aegidius), przy pomocy którego Bolesław Szczecin zdobył, i rzekł:

—„Ty się chełpisz Sieciechu że odłożeniem spowiedzi i pokuty uniknąłeś śmierci, a ja ci oznajmiam, że śmierć tuż jest przed tobą.“

Sieciech został widzeniem przerażony, uczuł nawet niemoc w swych członkach, pomimo to jednak nie poprawił się,“ i pociągnął z Bolesławem książęciem, w pięć dni potém łowy odbywającym w lasach usosińskich (saltus de Usosin), gdzie mnóstwo było żubrów (*zumbronum*). A gdy książę Bolesław ubiwszy wiele zwierząt, żubra (*zumbronem*) jednego rzadkiéj wielkości i dzikości, pogardzającego towarzystwem innych, i którego w języku właściwym odyńcem, t. j. jednym, pojedyńczym zowią (et quae lingua eorum odyniec, unicus et singularis), poruszył z kniei, w któréj się ukrywał, a gdy bestya uchodząc przed szczekaniem psów i oszczepami rycerstwa, skuteczną ucieczką wyrwała się z pomiędzy wszystkich zasadzek i przypadkiem wpadła na cześnika Sieciecha, ten za rzecz sromotną uznawszy uciekać lub kryć się wobec książęcia Bolesława i innych patrzących towarzyszów, zeskoczywszy z konia oszczepem dzielnie przyjął bestyą, lecz gdy żelazem bez skutku uderzył, padł na ziemię, aby wściekłości bestyi tém leżeniem uniknąć. Lecz tur *(verum turus)*, który według swéj natury i obyczaju leżących najuporczywiéj napastuje, Sieciecha najprzód racicami, potém rogami ugodził, i w powietrze wysoko wyrzucił, jakby jaką piłkę wielokrotnie rzucał, nakoniec w krzaki i ciernie potłuczonego i nawpół żywego cisnął“ (1).

Drugą wzmiankę znajdujemy u Długosza w opowiadaniu o wypadkach 1422 r. Król Władysław po zawarciu z Krzyżakami układów wieczystego pokoju nad jeziorem Mielnem, przybył do Poznania dla nawiedzenia i uczczenia Najświętszego Sakramentu. „Po złożeniu przeto Bogu dziękczynienia i spełnieniu ślubów uroczystych w Poznaniu, przez Pyzdry i Szadek udawszy się na Mazowsze, w Wiskitkach oddawał się łowom *na woły leśne, które po polsku turami zowią* (in Viskitki venationes taurorum sylvestrium qui in polonico thuri appellantur agebat)“ (1).

Pusch z ustępów tych wnosi, że turami nazywano stare byki żubrze, oddzielnie chodzące, i że następnie nazwę stosowano do wszelakich żubrów bez różnicy płci, a tém samém, że nazwa tur

---

(1) Joannis Długossii seu Longini Canonici quondam Cracoviensis Historiae Poloniae libri XII. Francoforti sumptibus Joannis Ludovici Gleditschii et Mauricii Georgii Weidmanni, 1711. Księga IV, str. 364 i 365.

(2) *Joanni Długossii* Historiae Poloniae i t. d. Księga XI. str. 466.

i żubr oznaczała jedno i to samo zwierzę (1). W rzeczy saméj, gdybyśmy nie mieli dowodów, że tur i żubr były odmiennemi zwierzętami, musielibyśmy zgodzić się z Puschem; skoro jednak poprzednio przekonaliśmy się o odmienności tych dwóch wołów, tedy przytoczone ustępy z kroniki Długosza dostarczają jedynie dowodu, że nazwy najniewłaściwiéj mieszano; poprzednio już widzieliśmy, że Schneeberger zarzucał polskim łowcom ten właśnie błąd, a mianowicie, że tura nazywają to żubrem (bison), to bawołem (bubalus). Wyraźne pomieszanie nazw spotykamy i w innych kronikach i opisach. *Cellaryusz* (2) wspominając o żubrze w opisie Pruss, nazywa go *urem*. *Hennenberger* (3) pod nazwą *Auerochs* bardzo dobrze opisuje i rysuje żubra, a jednocześnie mówi, że Herberstain pod tą samą nazwą opisał innego wołu, i podaje w skróceniu słowa tego dyplomaty. *Hartknoch* (4) żubra nazywa Auerochs, a tura Bison. Skoro taki panował zamęt, i autorowie XVI i XVII wieku o Prussiech piszący tak uporczywie nazywali żubra urem lub Auerochs, cóż dziwnego, że w ten sam sposób postąpił *Mazekowski* w XVIII wieku, i żubra opisał pod nazwą ura (5)? *Jundziłł* (6) do téj nazwy nadanéj żubrowi przez Mazekowskiego, niesłusznie wielką przywiązuje wagę, uważając ją za stanowczy niemal dowód, że tur był poprostu żubrem. Oznaczanie różnych zwierząt tą samą nazwą, bynajmniéj nie należy do rzadkich zjawisk: tak np. Kromer (7) pod nazwą cuniculus wspomina o dwóch bardzo odmiennych szczurowatych, a mianowicie: o suśle i o chomiku czyli skrzeczku; dlatego też wielką należy zachowywać ostrożność, gdy chodzi o nazwy ludowe. Pusch (8) przytaczając dwoiste nazwy jak np. rysia, który i drugie miano ostrowidza, borsuka nazywanego jaźwcem i t. d., sądzi, że przez analogią tém bardziéj można wnioskować, że tur i żubr oznaczały to samo zwierzę; mojém zdaniem analogia nic tu nie naucza, bo w języku ludowym raz jedno

---

(1) *Pusch*. Wiegmann's Archiv. 1840, str. 75, 95, 98.

(2) Andreae Cellarii Regni Poloniae Magnique Ducatus Lithuaniae descriptio. 1659. *Mizler*, Historiarum i t. d. tom I, str. 621.

(3) Erklärung der preussischen grössern Land-Taffel, durch Casparum Hennenbergerum, Königsberg 1595, str. 251.

(4) Hartknoch. Alt und neues Preussen, 1684, str. 211. Według A. *Wagnera* Schreber's Säugethiere, część 5, tom 2, str. 1489.

(5) *Masecovius*. Dissertatio de Uro. 1705. Patrz *Jundziłł*. Zoologia krótko zebrana, 1807, str. 307.

(6) Jundziłł. Zoologia i t. d. str. 306 i dalsze.

(7) *Kromer*. Polonia i t. d. Wydanie 2, 1578, str. 40.

(8) *Pusch*. Polens Paläontologie, str. 198.

zwierzę po kilka nosi nazw, np. kaczka krzyżówka, to znowu jedna nazwa służy więcéj niż jednemu gatunkowi, np. żołna zielona, oznaczająca dwa gatunki dzięcioła: picus viridis i picus canus, i t. d. Jakiéj tu trzeba ostrożności, najlepszym jest dowodem sam Pusch, który błędnie powiada, że Arctomys marmotta w polskim języku nosi dwie nazwy: świszcza i bobaka (1), gdy tymczasem każda nazwa stosuje się do odmiennego gatunku: świszcz, po góralsku świstak (Arctomys marmotta), jest zwierzęciem halskiém czyli alpejskiém, to jest mieszka na wyżynach gór w Tatrach i Alpach; bobak (Arctomys bobak) jest mieszkańcem stepów południowo-wschodniéj Europy i Azyi północnéj. Jeżeli Pusch podobnego dopuścił się błędu, jakże się dziwić Kromerowi, Cellaryuszowi i innym? Jakąż wagę można przywiązywać do téj okoliczności, że Janicki czy Januszewski w XVII wieku, w pieśni godowéj, nazywa żubrzątko turzątkiem (2), że Kojałowicz w swéj „Historia Lithuaniae“ 1650 roku (3) pod nazwą tura mówi o żubrze, którego Gedymin zabił? Wszystkie dowody Puscha, wykazujące, że żubra nazywano turem, najoczywiściéj przekonywają o mieszaniu nazw, lecz w żadnym razie o tożsamości tych wołów.

Lingwistyczne dociekania należą do upodobań Puscha. Dla wyjaśnienia jakim sposobem to samo zwierzę mogło dwie nazwy pozyskać, obszernie dowodzi, że wyraz tur jest właściwy językom słowiańskim, a pomiędzy niemi polskiemu i ruskiemu, gdy tymczasem wyraz stumbras jest własnością języka litewskiego, i że od stumbras powstała nazwa zubr i żubr (4). Na poparcie tego twierdzenia przytacza pośredni dowód, że według Tabelli miast i wsi Królestwa Polskiego, w częściach kraju zamieszkanych przez Litwinów, to jest w Sejneńskiém, Augustowskiém, Maryampolskiém i Kalwaryjskiém, znajduje się 7 miejscowości nazwanych od żubra, a żadnego podobnego nazwiska nie ma ani na Mazowszu, ani na Kujawach, ani w Wielko lub Mało-Polsce, gdy tymczasem od tura nazwano 58 miejscowości od Karpat aż do Litwy, gdzie w powołanych czterech okręgach znajdują się tylko 4 miejscowości od zwierza tego przezwane (5). Obadwa te twierdzenia są błędne. W języku polskim zawsze istniały obiedwie nazwy, tylko że pierwotnie żubr albo zubr nazywał się *zambr* (am nosowe jak we fran-

(1) *Pusch.* Polens Paläontologie, str. 198.
(2) *Pusch.* Wiegmann's Archiv, 1840, str. 217.
(3) *Pusch.* Wiegmann's Archiv, 1840, str. 125.
(4) *Pusch.* Wiegmann's Archiv, 1840, str. 125.
(5) *Pusch.* Polens Paläontologie, str. 202.

cuzkim), a Litwini mają tauras, równoznaczne z turem, jak to pan Mikucki b. adjunkt biblioteki warszawskiéj wykazał (1); to też w dawnym okręgu Sejneńskim, Augustowskim, Maryampolskim i Kalwaryjskim, napotykamy z jednéj strony miejscowości nazwane od żubra lub stumbra, a mianowicie: Stumbryszki, Zubronajcie, Żubrówka nowa i stara, Żubry, Żubryn, Żubrynek, a z drugiéj miejscowości biorące nazwę od tura lub taura, w szczególności: Tauroszyszki, Taurokiemie (tura wieś), Turówka jedna i druga, Tursona, Tursucie, Turyszki (2); tak więc w owych czterech okręgach mamy 8 miejscowości nazwanych od żubra i 7 od tura, a zatém obadwa źródłosłowy zarówno niemal wpłynęły na nadawanie nazw. Dla uzupełnienia dodam, że na Żmudzi, to jest w Kowieńskiéj gubernii, jest wieś Turzany niedaleko Kowna, Tauraragai (przezwane Taurogen), to jest turze rogi, Taurlaukei to jest turze pole, Taurkalnei, to jest turza góra. W pozostałych częściach Królestwa znakomitą mają przewagę nazwy od tura pochodzące, bo napotykamy ich aż 42, nie mniej jednak zambr dostarczył nazw dla 9 miejscowości, a mianowicie: Zambrów (dawny okrąg Łomżyński), Zambrzeniec (Stanisławowski) Zambrzyca (Lipnowski), Zambrzyce janko, króle, nowe, plewki i stare (Łomżyński), Zambrzyków (Łukowski) (3). Tak więc Pusch słusznie twierdzi, że od Karpat do Litwy nie ma ani jednéj nazwy od *żubra* pochodzącéj, ale za to w północnych częściach kraju mamy 9 nazw biorących początek od *zambra*.

Pusch wielką wagę przywiązuje do pisarzy jednego tylko przytaczających dzikiego wołu, to jest żubra; dużo też na tém buduje, że Statut Litewski wymienia tylko żubra; a nie wspomina o turze, czegoby nie zaniedbał uczynić, gdyby tur był od żubra odmiennym (4). Pisarze wspominający o jednym tylko żubrze, dostarczają dowodu ujemnego, a zatém bardzo słabego, a nadto pisarzami tymi według Puscha są: Herodot, Arystoteles, Cezar, Pausanias, Oppian młodszy; widzieliśmy, że Cezar najprawdopodobniéj mówi o dwóch wołach, więc go Pusch niewłaściwie tu pomieścił, co się zaś tycze pozostałych, to Bär (5) słusznie zauważył, że żaden z nich nie znał

---

(1) *Mikucki*. Извѣстія Императорской Академіи наукъ по отдѣленію русскаго языка и словесности. Tom 3. 1854, str. 173, 174.

(2) Tabella miast, wsi i osad Królestwa Polskiego alfabetycznie ułożona w biurze Komissyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Policyi, Tom 2, 1827.

(3) Tabella i t. d. tom 2.

(4) *Pusch*. Polens Paläontologie, str. 208; Wiegmann's Archiv, 1840 str. 114, 116.

(5) *Bär*. Bulletin Scientifique i t. d. tom 4, str. 120.

tych części Europy, w których mieszczą tura, to jest Polski, Czech i Europy środkowéj, a zatém ich świadectwo dowodzi tylko, że w krajach naówczas znanych Rzymianom i Grekom, rzeczywiście turów nie było. Co się tycze Statutu Litewskiego, to Brandt (1) słusznie zauważył, że tury w XVI wieku, jak Herberstain świadczy, już prawie tylko po zwierzyńcach były hodowane, więc nie mogły znaleźć miejsca pomiędzy leśnemi zwierzętami, przytém z owych czasów nikt turów nie mieści na Litwie, wyjąwszy Macieja z Miechowa, o którym sam Pusch (2) mówi, że wzmianka jest zbyt ciemna, aby z niéj można było wnioskować, czy tu mowa o dwóch odmiennych wołach czyli też o dwóch nazwach tego samego zwierza.

Pusch z właściwą sobie erudycyą dokładnie wykazuje, że puszcza Jaktorowska z jednej strony łączyła się z lasami nad rzeką Skwą, a z drugiéj przez lasy pomiędzy Narwią i Bugiem, z puszczą Białowiezką i z innemi puszczami Litwy; daléj Pusch rozumuje, że gdy podobne gatunki większych przeżuwających lub jednokopytnych blizko siebie mieszkają, w takim razie zwykle wyróżniają się odmiennem miejscem pobytu, a że lasy nad Skwą, puszcza Jaktorowska, lasy nad Bugiem i puszcza Białowiezka jednakowy mają charakter jako lasy bagniste, więc jest nadzwyczaj nieprawdopodobne; żeby mała (?) puszcza Jaktorowska była granicą dla wołu odmiennego od gatunku mieszkającego w innych częściach téj lesistéj okolicy (3). Wnioski zdaniem mojém są zupełnie chybione. Jakkolwiek daleko mogły sięgać bagniste lasy łączące się z puszczą Jaktorowską, w żadnym razie nie dowodzi to, aby w lasach tych nie mógł się znajdować obok żubra i inny wół, bo tak obszerna okolica zawsze przedstawia pewną rozmaitość gruntu, odpowiadającą potrzebom różnych gatunków; daléj roztrząsając opisy Święckiego, sam Pusch przytacza, że nad Skwą mieszkały jelenie i łosie, więc pokazuje się, że w téj saméj puszczy mogą obok siebie mieszkać dwa blizkie gatunki dużych przeżuwających, z których jeden wymaga ostępów bagnistych, a drugi kniei suchéj, wzgórkowatéj. Zresztą, że żubr i tur (bos primigenius) mogły się w tych samych okolicach znajdować, mamy na to bezpośredni dowód u Rütimeyera (4), który w budowlach palowych Robenhausen i Wanwyl w Szwajcaryi, znalazł szczątki obudwóch tych wołów, więc obadwa w czasach przedhistorycznych bliżéj siebie mie-

---

(1) *Brandt.* Die geographische Verbreitung, i t. d. str. 225.
(2) *Pusch.* Wigman's Archiv, 1840 str. 101.
(3) *Pusch.* Wigman's Archiv, str. 105 do 108.
(4) *Rütimeyer.* Fauna der Pfahlbauten, str. 70.

szkały, aniżeli tury puszczy Jaktorowskiéj pod Bolimowem i żubry z pod Ostrołęki.

Niemałą część swéj pracy poświęca Pusch krytyce Herberstaina. Najprzód śledzi jego podróże w r. 1516 i 1526 odbyte, skutkiem czego przychodzi do przekonania że do roku 1527 nie zwiedził tych okolic, gdzie się miały tury znajdować (1). Lecz Pusch nie dostarcza dowodu, że Herberstein nie był na Mazowszu wówczas gdy był posłem na dworze Zygmunta Augusta; sam też Pusch wyznaje, że niewiadomo gdzie mianowicie otrzymał owe pasy od królowéj Bony przemieszkującéj w Warszawie; cały dowód jakoby Herberstain na Mazowszu nie był, sprowadza się do tego, że Pusch „nie zna dowodu, aby Herberstain sam był na dworze królowéj Bony, która w Warszawie mieszkała“ (2). Wyznaję, że tego rodzaju dowodzenie wcale mnie nie przekonywa.

Sprzeczności, jakich się Herberstain dopuścił, dostarczają Puschowi silnych argumentów; bajki o rozłożystości rogów i o polowaniu nie uszły też surowego skarcenia (3). Na obronę Herbersteina to tylko powiem, że sprzeczności nie są tak kolosalne na XVI wiek, a bajki także aż nadto były wówczas rozpowszechnione; gdybyśmy dla jakiejś wtrąconéj bajki odmawiali wiary wszystkiemu co autor o pewném zwierzęciu powiedział, to musielibyśmy odmówić wiary temu, co Arystoteles mówi o żubrze albowiem podaje, że zwierz ma rogi tak silnie końcami na wewnątrz podane, iż zupełnie do walki są niezdatne (4).

Ponieważ tur, którego Heberstain widział, był ze stada przez innych wyrzucony i nawpół żywy, więc Pusch wnosi, że to był byk żubrzy, bo stare byki chodzą oddzielnie, a że miał zdjętą skórę z czoła, więc jeszcze dowód. że to był żubr, bo wiadomo, że pasy z żubrzéj skóry miały porody ułatwiać. Zarzuty te nie mają znaczenia. Stare byki żubrze chodzą oddzielnie, bo taki ich obyczaj, lecz nie są nawpół żywe i wyrzucane ze stada, i owszem są właśnie wielkie, dzikie i zuchwałe, jak to sam Pusch z kroniki Długosza przytacza, a Jarocki to samo poświadcza (5) Że pasom z żubrzéj skóry przypisywano cudowne własności, to jeszcze nie dowód, żeby skóra innego dzikiego wołu nie miała być przedmiotem takiego samego zabobonu.

---

(1) *Pusch* Wiegman's Archiv, 1840 str. 51 do 55.

(2) *Pusch* Wiegman's Archiv, 1840, str. 61.

(3) *Pusch* Wiegman's Archiv, 1840, str. 56, 58, 59, 66.

(4) *Cuvier*. Recherches sur ossements fossiles; tom 6, str. 227.

(5) *Jarocki*. O puszczy Białowieżkiéj, str. 269.

Pusch zapytuje, zkąd Herberstain mógł wiedzieć o dłuższych włosach na czole tura, kiedy tur, którego dostał, miał skórę zdjętą z czoła (1)? Pytanie bardzo dziwne. Herberstain mógł widzieć nie jednego tura, albo też mógł widzieć i tura i zdjętą z jego czoła skórę, a tę przyłożywszy na miejsce obnażone, miał dokładny obraz pokrycia skóry tego zwierza. Zresztą, przytoczone powyżéj świadectwo Gessnera o autentyczności rysunków, które Pusch dziwnym trafem pominął milczeniem, daleko silniéj przemawia za wiarogodnością rysunków, aniżeli naciągane dowody Puscha przeciwko nim wymierzone.

Na zakończenie tego rozbioru prac Puscha o turze, nadmienię jeszcze, że szczegółowa krytyka, jakiéj poddaje wiadomości o wołach w dziełach Gessnera i Alberta Wielkiego zawarte, dowodzi tylko tego, co już poprzednio widzieliśmy, że w owych czasach mieszano nazwy rozmaitych zwierząt. Tak Albert Wielki powiada: że urus po niemiecku nazywa się Visent, że Büffel także nazywa się Visent, a w spisie czworonogów pod Visent podaje opis żubra; wreszcie Bubali po niemiecku zwane Voesent, jak się z opisu okazuje są prawdziwemi bawołami (2).

Na zakończenie rzeczy o turze, przytoczę jeszcze to, co wiadomo o geograficznem rozmieszczeniu zwierza. O rozmieszczeniu w czasach przedhistorycznych, posiadamy dowody w kopalnych szczątkach, z których dowiadujemy się, że tury mieszkały niegdyś na ogromnéj przestrzeni od Wielkiéj Brytanii i Francyi, do gór Altajskich w Syberyi, a od południowéj Szwecyi do Włoch, od Kurlandyi do Bessarabii, chociaż zresztą bardzo być może, że w danym czasie rozmieszczenie gatunku było bardziéj ograniczone, a podane powyżéj granice stosują się właściwie do całego peryodu, w którym zwierz żył na powierzchni ziemi (3).

Jeżeli wszystkie wzmianki o urach i bubali rzeczywiście stosują się do tura, tedy zwierz ten w czasach historycznych żył w Polsce, Niemczech, Prusiech, Czechach, Szwajcaryi, Anglii i Francyi, prawdopodobnie także w Rossyi, Skandynawii i Grecyi; wszędzie jednak od wieków uległ wytępieniu. Jak się okazuje ze starannego zestawienia wiadomości o turze, jakie znajdujemy w pracy akademika Brandta, ostatnie wzmianki o zwierzu w Niemczech sięgają XII wieku, w Czechach XIV, i do tego samego wieku na-

(1) *Pusch* Wigman's Archiv, 1840, str. 63.
(2) *Pusch.* Wigman's Archiv, 1840, str. 81 do 84.
(3) *Brandt.* Die geographische Verbreitung, str. 198.

leżą ostatnie wiadomości o turze w Prussiech. W Szwajcaryi po XI wieku nie ma żadnéj wzmianki; w Anglii dzikie woły, prawdopodobnie żubry i tury, istniały do XII wieku; we Francyi w XIV wieku już nie było żadnych dzikich wołów (1). Tury najdłużéj trzymały się w Polsce, bo jak widzieliśmy ze świadectw Ostroroga aż do XVII wieku, i w początkach tego wieku zupełnie wyginęły, lecz już w XVI wieku bardzo były rzadkie.

Widzieliśmy poprzednio, że Długosz, Kromer, Święcki i Schneeberger mieścili tura w puszczy Jaktorowskiéj, czyli też jak ten ostatni, koło poblizkiego Sochaczewa; Sarnicki (2) znowu mówi o rzece Bzurze: „Bzura rzeka pod Łowiczem, gdzie są szlachetne łowy na żubra (bisontum venationes), miejsce to i las nazywają Wiskitkami.“ Z powodu pomieszania nazw, jakie w owych czasach panowało trudno rozstrzygnąć o jakim mianowicie zwierzu pisarze ci wspominają, czy błędnie stosowali nazwę pierwsi czyli też ostatni. W owym wielkim ogrodzonym lesie, dwie mile od Warszawy odległym, gdzie był Mucante z kardynałem Gaetano, znajdowały się i tury i żubry. Pusch (3) wnosi, że las ten rozciągał się pod Błoniem i należał do puszczy Jaktorowskiéj; lecz że Mucante mówi o zagrodzonym lesie i o 2 mile od Warszawy, gdy tymczasem sama puszcza Jaktorowska znacznie daléj była położona, więc ze względu na historyą puszczy, jego opowiadanie nie ma dla nas znaczenia, jako stosujące się do jakiegoś wielkiego zwierzyńca, a wątpliwości polegają jedynie na mieszaniu nazw tura i żubra. Ponieważ istnienie tura w puszczy jest rzeczą bardzo prawdobodobną, a w każdym razie historya wygaśnięcia tak wspaniałéj zwierzyny, jak dzikie woły, dużo budzi zajęcia, przytoczę więc lustracye puszczy Jaktorowskiéj, jakie znajduję u Jarockiego(4) i Lipińskiego (5).

Według lustracyi z r. 1599 puszcza miała półtrzeciéj mili wzdłuż i dwie w szerz. Włościanie we wsi Jaktorowie osiedli byli wolni od wszelkiéj robocizny, lecz byli obowiązani zbierać z przyległych łąk siano dla wołów leśnych, turami zwanych (lustracya 1533 r.). Tury nie miały jednak należytego spokoju, jak to widzimy z lu-

(1) *Brandt.* Die geographische Verbreitung; str. 199 do 226.

(2) *Stanislai Sarnicki.* Descriptio veteris et novae Poloniae. 1585. *Mizler.* Historiarum Polonia i t. d. tom I, str. 242.

(3) *Pusch.* Wiegmann's Archiv, 1840, str. 76.

(4) *Jarocki.* O puszczy Białowiezkiéj i t. d. str. 279, przyp. Lustracye 1564, 1602, 1620, 1630.

(5) *Lipiński.* Biblioteka Warszawska tom 1, str. 187, 188. Lustracye 1533, 1599. Wyrok 1597 roku.

stracyi 1564 r, gdzie powiedziano: „W puszczy Jaktorowskiéj chowają się tury, które gdyśmy objeżdżali, naleźliśmy ich w jednêm stadzie 30, między któremi krów starych 22, turów młodych 3, cieląt 5, turów starych samców nie mogliśmy trafić, bo się były po puszczy rozbiegły, iż była niepogoda; ale nam łowcy powiadali, iżby tych starych turów miało być 18 (1). Między temi krowami jest jedna bardzo stara i chuda, trudno się ma przez zimę przechować. Gdyśmy ich pytali, dla czegoby tak chude tury były, abo czemu się tak nie mnożą? dali do tego przyczynę, iż jest wiele stad koni i bydła, które tamże chodzą, kędy i turowie; przeto też nie mają dobrego wychowania, i mało się ich przychowywa, acz bywa cieląt nie mało.“ To zapewne niepokojenie turów wywołało wyrok wydany 1597 roku, w którym nakazano, aby włościanie Jaktorowa „tam gdzie turowie bywają i pastwiska swoje abo stanowiska swoje mają, bydła swego nie gonili i traw na pożytek swój nie kosili, ani obracali, gdyż ta wieś nie tak dla dobitków ich (włościan) jako dla turów i takiego zwierza wczasu, jest posadzona i wolnościami opatrzona. Starosta ma tego przestrzegać jakoby puszcza Nasza gdzie tur przebywa od poddanych przerzeczonych pustoszona nie była, żeby turowie zwierz Nasz mieli swe dawne stanowiska.“ Opieka nie wiele pożytku przyniosła, bo w lustracyi 1599 roku odbytéj powiedziano: „Tych turów teraz nie masz więcéj wszystkich tylko 24 z młodemi. Kiedyśmy pytali łowców Kozłowskich (to jest ze wsi Kozłowa pomiędzy Łowiczem i Sochaczewem), coby za przyczyna tego, że ich mało, powiedzieli, że częścią zabijają się sami, częścią niemało pozdychało przeszłéj zimy.“ W lustracyi 1602 r. znajdujemy znowu: „W téj puszczy Jaktorowskiéj chowają się turowie, których natenczas nie masz tylko 4, których my sami oglądali, to jest turów trzy, turzyca jedna. Dawali nam sprawę łowcy, że ich przedtêm było więcéj; lecz powietrzem zarażeni od innego bydła, nie mało ich pozdychało. O skórach i rogach od nich pytaliśmy się, i dawał nam sprawę urzędnik pana starosty, że do króla JMści są odesłane. Czy jednak turowie pozdychali, gdy starostwo było administrowane od administratorów do niego od króla JMci danych? Za dzisiejszego pana Starosty tylko jeden jest przestrzelon, o czém inkwizycyą czyni.“

(1) W puszczy Białowiezkiéj, byki żubrze są znacznie od żubrzyc liczniejsze. Brincken podaje, że liczą tam dwa byki na jednę krowę (Mémoire descriptif i t. d. str. 63); możnaby więc w stosunkowéj liczbie obudwóch płci dopatrywać pośredni dowód odmienności tura i żubra. Pusch nic o têm nie wspomina, chociaż znał obadwa przytoczone źródła.

W lustracyi 1620 roku czytamy: „Napisano w lustracyi 1601 roku, że miało być w puszczy Jaktorowskiéj turów 4, turzyca 1. Teraz nie masz jeno jedna turzyca.“ Wreszcie lustratorowie 1630 roku donoszą: „Napisano w przeszłéj lustracyi, że była turzyca jedna, ale teraz poddani téj wsi powiedzieli, że zdechła od lat trzech.“

BULGARYA I BULGAROWIE.

Zarys historyczno-etnograficzny,

przez

BRONISŁAWA GRABOWSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Przeszłość Bulgaryi.

Niewstrzymany prąd wypadków dziejowych, wydobywając na jaw przeróżne kwestye polityczne, zwraca uwagę cywilizowanego świata na kraje i ludy, dotąd mało Europę zajmujące. Świeże wypadki na półwyspie Bałkańskim wysunęły naprzód Bośniaków i Hercegowińców, ów zachodni odłam ludu serbskiego, tyle ciekawy w skutek swych etnograficznych i społecznych właściwości. Po nich oko nasze zwraca się ku Bulgarom, którzy, pomiędzy ludami słowiańskiemi pierwsi wystąpiwszy na widownią dziejową, w kolei wieków upadli tak nizko, że dziś ostatni szczebel w rodzinie narodów słowiańskich pod każdym względem zajmują. „Wiek XIX, który innym ludom tegoż szczepu przyniósł odrodzenie duchowe, nie pominął pod tym względem i Bulgarów; odrodzenie to jednak odbywa się w niesłychanie trudnych warunkach i stosunkowo małe przynosi rezultaty, mimo to lud ów ma przyszłość przed sobą, z zupełną wiarą w nią spogląda i przy rozwiązywaniu kwestyi wschodniéj ważną niewątpliwie odegra rolę. Sieć drogi żelaznéj, łącząca zachodnią Europę ze Wschodem, po większéj części ciągnie się przez kraj Bulgarów; nadto oni mają w rękach swych prawie cały handel na niższym Dunaju, a prócz tego są wybornymi rolnikami, rękodzielnikami i inżynierami, ludem pracowitym, oszczędnym, intelligentnym, a zarazem w wysokim stopniu żądnym

oświaty i, co pod względem politycznym bardzo ważną jest rzeczą, coraz bardziéj przypominającym sobie dawną swą niepodległość państwową.“ Temi słowy charakteryzuje Bulgarów znakomity znawca południowo-słowiańskich ludów, F. Kanitz, we wstępie do najnowszego dzieła swego p. t. *Donau, Bulgarien und der Balkan,* będącego owocem historyczno - geograficzno - etnograficznych studyów i własnéj obserwacyi w podróżach, pomiędzy rokiem 1860 a 1875 odbytych. Idąc za śladem sumiennego badacza, oraz wielu innych, postaramy się w krótkim historyczno-etnograficznym zarysie zapoznać czytelników z owym mało u nas znanym narodem. W historycznéj części podstawą niniejszego artykułu jest najnowsze dzieło syna b. ministra austryackiego, a znakomitego historyka Konstantyna Józefa Tireczka: *Diejiny narodu bulharskeho,* oraz dawniejsze prace Szafarzyka: *Starożytności Słowiańskie* i Hilferdinga *Listy o historyi Serbów i Bulgarów.*

I.

Pierwotne dzieje Bulgaryi.

Prowincya turecka, obecnie nosząca w geografii miano Bulgaryi, a będąca główną bulgarskiego narodu siedzibą, w starożytności nazywała się Mezyą (Moesia u Rzymian, Mysia u Greków). Z północy linia dolnego Dunaju, czyli *Istru,* odgraniczała Mezyą od Dacyi, główny zaś łańcuch gór Haemus, dzisiejszego Bałkanu, oddzielał ją od Dardanii i Tracyi. Od strony zachodniéj Mezya stykała się z Illiryą, a bardziéj na północ z Pannonią, o wschodnią zaś granicę rozbijały się fale morza Czarnego, Pontu Euxinu. Na téj ziemi, długim pasem pomiędzy Dunajem i Bałkanami wyciągniętéj, mnóstwem wód zroszonéj i bogatéj w niwy, łąki i lasy, przewinęło się wiele ludów, nim ostatecznie praojcowie dzisiejszych mieszkańców ustalić się tu zdołali. Nie wszystkie z tych ludów historya zapisała na kartach swoich ku wiecznéj przyszłych wieków pamięci. W prastarych czasach półwysep Bałkański z wyjątkiem klassycznéj Hellady zajmowały ludy trackie i illirskie, niewątpliwie z sobą spokrewnione. Za czasów Herodota na północ Bałkanów, w dzisiejszéj Bulgaryi, mieszkało kilka plemion, między innemi Getowie i Myzowie, do szczepu trackiego należący. Getowie dostali się do Herodotowych dziejów z łaski oporu, jaki

stawili zastępom Daryusza, króla perskiego, przeciwko Scytom ciągnącym. Obok Getów mieszkały tu i inne, prawdopodobnie z nimi spokrewnione ludy. Jarzmo perskie krótko Getom ciążyło, za to po upływie wieku znaleźli się pod zwierzchniczą władzą Odrysów, ci bowiem potrafili wiele tracko-mezyjskich ludów w jeden związek połączyć—związek ten wszakże rozpadł się w niedługim czasie. Macedońskie państwo Filipa i Aleksandra W. oraz następców jego ucierało się z ludami mezyjskiemi, którym przybyli nowi wrogowie w Celtach i germańskich Bastarnach. Odpieranie najazdów ze strony tracko-mezyjskich ludów było spadkiem, który dostał się po królach macedońskich narodowi rzymskiemu, skoro ten posiadł Macedonią jako prowincyą. M. Crassus zawojował Tracyą, legiony zaś Augusta dokonały zaboru Mezyi (29 r. przed Chr.): kraj ten za czasów Trajana został podzielony na dwie części, na Mezyą wyższą i niższą, i dla owego cesarza stanowił ważną podstawę strategiczną w czasie jego zwycięzkich bojów z Dakami. Na równinach naddunajskich i północnych stokach Bałkanu, krzewiła się cywilizacya romańska, a ślady jéj do dziś dnia zachowały się w gruzach klassycznych budowli, na początku średnich wieków zburzonych. Napływ nowych barbarzyńskich ludów zagrażał owéj cywilizacyi; w III wieku po Chr. Goci dotarli do niższego Dunaju, a w połowie IV za Dunaj przechodzić poczęli. Za Gotami ukazali się Hunnowie i Mezya stała się widownią zapasów Cesarstwa Wschodniego, ze straszliwą barbarzyńców potęgą. Goci, napierani przez Hunnów, w roku 376 stanęli na prawym brzegu Dunaju, a we dwa lata potém poraziwszy i zabiwszy cesarza Walensa pod Adryanopolem, zalali całą Mezyą i Tracyą aż do Konstantynopola i Saloniki. Goci wyszli potém jak wiadomo na zachód, Wizygoci pod Alarykiem do Włoch, a pod następcami jego do Gallii i Hiszpanii, Ostrogoci zaś pod Teodorykiem do Italii i tam na dłużéj osiedli — tym sposobem uwolnili Cesarstwo Wschodnie od swego groźnego sąsiedztwa, a raczéj innym ludom wolne pole otworzyli. Ludami owemi byli aryjscy Słowianie i turańscy Bulgarowie; obu tym ludom udało się w ziemiach mezyjskich trwałe zapuścić korzenie.

Najpoważniejsi uczeni, a głównie Szafarzyk, siedziby Słowian w chwili, gdy ci po raz pierwszy w dziejach występują w sposób jasny i pewny, a nie mglisty i zagadkowy jak przedtém, mieszczą na przestrzeni pomiędzy morzami Baltyckiém i Czarném, pomiędzy Karpatami i Donem, źródłami Wołgi aż do Wisły i Odry. Na téj przestrzeni żyli Słowianie mniéj więcéj do piątego wieku po Chr., znani pisarzom starożytnym i średniowiecznym pod imieniem

Serbów (u Pliniusza, Ptolemeusza), Sporów (u Prokopiusza) i Wenetów (u Pliniusza, Ptolemeusza i Jordanisa). Z siedzib owych przechodzili na południe do teraźniejszych Węgier, gdzie prędko przez Ostrogotów zhołdowani, z pod władzy tychże pod moc Hunnów się dostali. Po obaleniu państwa huńskiego przez Ostrogotów i Gepidów, drużyny Słowiańskie posunęły się aż do niższego Dunaju i brzegów morza Czarnego — i wtedy występują już u obcych pisarzy (Jordanisa i Prokopiusza) pod imionami Słowian i Antów (Sclaveni, Sklabenoi, Antes, Antoi). Kiedy prąd wędrówek germańskich zwracał się ku Italii, Słowianie od VI wieku, a może i wcześniéj, zaczęli przechodzić za Dunaj do Mezyi, Tracyi, Dardanii i Macedonii — z początku spokojnemi zapewne gromadami, zajmując opustoszałe ziemie, gdyż przechodzenia owego kronikarże bizantyjscy nie zapisywali w rocznikach swoich. W połowie tego wieku słyszymy już o Słowianach, odgrywających ważną rolę w grodzie Konstantyna; takimi byli Justyn cesarz, siostrzeniec i następca jego Justynian czyli Uprawda, wódz Belizaryusz, oraz kilku innych jeszcze wodzów. Prawdopodobnie spokojnym tym przesiedleniom Cèsarstwo Wschodnie wcale nie przeszkadzało; być może nawet, iż Słowianie owi, zachowując swój rząd gminny, imiennie uznawali nad sobą zwierzchnictwo bizantyjskie. Ale już w połowie VI wieku zbrojne tłumy słowiańskie zaczynają przechodzić za Dunaj i szerzą rzeź i spustoszenie po greckich wsiach i miastach. Chwilibud, wódz Justyniana, Słowianin z pochodzenia, broni przejścia barbarzyńcom słowiańskim, ale w r. 534 ginie w walce i droga na południe staje dla nich otworem. Odtąd niejednokrotnie roczniki bizantyjskie wspominają o najazdach słowiańskich, często bardzo zgubnych dla Greków.

W drugiéj połowie VI wieku widzimy, jak na Słowian napierają nowi barbarzyńcy wschodni turańskiego plemiena, Awarowie. Gdy stutysięczny tłum Słowian najeżdża Tracyą i Macedonią, przedzierając się nawet do właściwéj Grecyi, cesarz Wschodni chwyta się w potrzebie zgubnego środka, niby obosiecznego, noża, i przyzywa na pomoc Awarów, by ci pustoszyli Mezyą, już wówczas całkowicie przez żywioł słowiański zalaną. Wszelako w krótkim czasie nastąpiła zgoda, i Słowianie w związku z Awarami rozpuszczają po cesarstwie zagony. Przeciwko tym to Awarom cesarz Herakliusz przywołał na pomoc z zakarpackiéj krainy Chorwatów, za którymi niezadługo przyciągnęli Serbowie. Oba te ludy zajęły spustoszone przez Awarów ziemie na północo-zachód od Mezyi t. j. starożytne Illiryk i Dalmacyą.

Co się tycze Słowian mieszkających w Mezyi, Tracyi i Ma-

cedonii, ci prawdopodobnie byli najbliżsi pokrewieństwem drugiemu ludowi, który idąc w południowo-zachodnim kierunku, zajął z czasem Korutany, Styryą i Krainę, i dziś nosi imię Słoweńców 1). Wtargnięcie Awarów, a potém przyjście w te strony Chorwatów i Serbów oddzieliło szerokim klinem Słowian mezyjskich i Słoweńców, którzy też odtąd całkiem odrębnie rozwijać się poczęli. Słowianie w Mezyi i Tracyi nie zdołali sami przez się wytworzyć u siebie organizacyi państwowéj; ani połączyć się w jeden związek—żyli oni tak jak i w swéj pierwotnéj ojczyźnie, podzieleni na małe plemiona. Niezadługo przybył w te strony nowy naród, który podbił Słowian i zorganizował ich w jedną całość polityczną.

Ludem tym byli współplemieńcy Awarów, Bułgarowie. W dziejach europejskich zjawiają się oni jako barbarzyńcy koczujący po stepach nadwołżańskich. Bizantyjscy pisarze kraj nad Wołgą nazywali *wielką* alo *czarną* Bulgaryą, i samo imię ludu od nazwy téj rzeki wyprowadzono, co jednak nowożytni uczeni w ślad za Szafarzykiem stanowczo na podstawie lingwistycznéj zbijają 2). Bulgarowie już w V wieku napadali na ziemie naddunajskie, pustoszyli Mezyą i Tracyą, zagrażali Konstantynopolowi, a w roku 559 stali nawet obozem pod bramami onego, i tylko męztwo Belizaryusza ocaliło miasto. Po śmierci wodza swego Kuwrata Bulgarowie w nadwołżańskiéj swéj ojczyznie podzielili się na pięć hord; z tych jedna pod dowództwem syna Kuwratowego, Asparucha (3), przeszła Dniepr i Dniestr i stanęła nad Dunajem. Cała kraina pomiędzy Dunajem i Bałkanami dostała się w ręce najezdców i tym sposobem powstało w VII wieku (678 roku) państwo Bulgarskie.

---

(1) Kopitar, Miklosicz, a za nimi Krek kładą nacisk na to wspólne pochodzenie Bulgarów i Słoweńców. Miklosicz zachodzi tak daleko, iż język starosłowiański, będący właściwie starobulgarskim, nazywa językiem *starosłoweńskim*. Przeciwnie Szafarzyk w Starożytnościach II, 250, i Raczki w Szkicu historyi południowo-słowiańskiéj do IX wieku wyprowadzają Słowian bulgarskich, z krain pomiędzy Dnieprem i Dźwiną, a zatém czynią ich najbliższymi Słowianom ruskim.

(2) Szafarzyk Starożytności słowiańskie wyd. 2 Tom II str. 180.

(3) Tak nazywają go Grecy; w starożytnéj liście władców bulgarskieh do roku 765 nosi on imię Ispericha i Espericha. Zob. Tireczek Diejiny str. 103.

II.

Pierwsze Państwo Bulgarskie.

Bulgarowie nałożyli daninę na siedm plemion słowiańskich (1); jednemu z nich nawet (Siewierzanom) kazali zająć nowe pod Bałkanami siedziby, zapewne dla tego, aby samym rozłożyć się na ich miejscu w północno-zachodnim kraju Mezyi, który jako równina, najwięcéj dogodności dla téj stepowéj hordy przedstawiał. Lubo źródła historyczne nie mówią nic o walkach najezdców z tubylcami, jednakże podobny podbój nie mógł obejść się bez gwałtów i niezadowolenia miejscowéj ludności, gdyż w końcu siódmego i na początku ósmego wieku znowu rozpoczyna się wędrówka Słowian na południe do Tessalii i Epiru, a nawet do Peloponezu, tak, że bizantyjscy kronikarze narzekają, iż niezadługo cała Hellada się zesłowiańszczy. Widocznie byli to wychodźcy, z pod władzy Bulgarów uchodzący. Już to dla tego, że zdobywcy bezwątpienia w niezbyt licznéj przyszli gromadzie, już też że zadaleko oddalili się od swych współplemieńców, i nie zasilali się przypływem rodzinnego żywiołu, zespolili się oni wkrótce z podbitemi ludami tak ściśle, iż przyjęli ich język, obyczaje, a tylko imię im swoje narzucili. Zespolenie to wszakże nie nastąpiło tak prędko, i jak powiada Hilferding (2): „długo jeszcze w Mezyi słychać było dwa języki, bulgarski i słowiański, dlugo monarchom i panom dawano imiona tatarskiego brzmienia, a choć zniknął dawny tytuł władcy bulgarskiego, *chakan*, syn jego dlugo tytuł *tarchana* nosił, długo jeszcze Bulgarowie przysięgając brali psy na świadectwo i rozcinali na dwie połowy, trzymali się buchastego stroju azyatyckiego i nosili buńczuk zamiast chorągwi, — aż nakoniec wiara chrześciańska dała zupełną przewagę łagodnemu, światłemu plemieniu słowiańskiemu nad dzikim zdobywców żywiołem i starła do ostatka ślady azyatycko-bulgarskiéj narodowości.“

W sto lat po podboju Słowianie stają na równi z Bulgarami, a w X wieku pod nazwą bulgarskiego języka należy rozumieć

---

(1) Późniejsze źródła wspominają następne nazwy plemion słowiańskich, w Mezyi osiadłych: Timoczanie, Kuczanie, Bodrycowie, Braniczewcy i Siewierzanie. Szaf. Star. II 175.

(2) Listy o historyi Serbów i Bulgarów, I, 24.

wyłącznie mowę słowiańską, której używała cała ludność, bez względu na to, czy z azyatyckiéj, czy też z czysto-słowiańskiéj krwi pochodziła (1).

Dzieje młodego państwa weszły w przyrodzoną koléj nieprzerwanéj walki z potężnym, ale już upadającym wewnętrznie sąsiadem, z Bizantyjczykami — walki, która z różném szczęściem przez kilka wieków się toczyła. Władcy bulgarscy nie zadawalali się już posiadaniem Mezyi, ale wpadali do Tracyi i Macedonii, gdzie także Słowianie mieszkali. Konstantyn Pogonat zmuszony był prosić Bulgarów o pokój, a syn jego, Justynian II, obawiając się, by Słowianie tracko-macedońscy nie przyłączyli się do państwa Asparuchowego, ogromną ich ilość przesiedlił do Małéj Azyi. Tymczasem Bulgarowie, którzy już byli daleko zaszli za Bałkany, wpadli na cesarza, gdy wracał z Macedonii, i w wąwozach górskich Asparuch ciężką zadał mu klęskę (687 r.). W kilkanaście lat (702) wybuchnął bunt w Konstantynopolu i Justynian zmuszony został uciekać; w potrzebie swéj udał się do następcy Asparucha Terwela. I widzimy dziwne, a zaiste dobrze duch Wschodniego Cesarstwa charakteryzujące zjawisko: — barbarzyńca azyatycki i wróg państwą wprowadza wygnanego cesarza napowrót w mury zbuntowanéj stolicy. Justynian nie znał miary i godności w objawach wdzięczności swojéj, uznał się za hołdownika Terwelowego, sam wyszedł do niego z Carogrodu i nadał mu tytuł *Cesara*, posadził obok siebie na drugim tronie, a lud kłaniał się Terwelowi niby własnemu monarsze. Oprócz bogatych darów przy pożegnaniu, Justynian oddał Terwelowi *Zagorje*, t. j. kraj nadmorski na południe Bałkanów leżący. — Drugi raz Bulgarowie ważną Cesarstwu wyświadczyli usługę, ratując szybkiém natarciem Bizancyum od Arabów, w ogromnéj sile miasto i od strony lądu i od strony morza oblegających (716 r.)

Widocznie władcy z rodu Asparucha, czyli właściwie Dulowicze (2), musieli bardzo zniechęcić ku sobie własnych współrodaków, może być w skutek faworyzowania żywiołu słowiańskiego, gdyż w r. 753 już uzurpator Kornisosz wydziera tron jednemu z Dulowiczów, a w 760 r. Bulgarowie spiknęli się na cały ród dawnych swych władców wybili wszystkich członków domu Asparuchowego i obrali monarchą swym Teleca, młodzieńca wyniosłego i odważnego umysłu. Prawdopodobnie rewolucya ta zwróciła się

(1) Kerk. Einleitung in die slawische Literatur-Geschichte. 1875. str. 67.

(2) Wspomniona już lista ród ten rodem *Dulo* nazywa.

i przeciw Słowianom, ponieważ przeszło 200,000 ich rzuciło ojczyznę, poddało się cesarzowi i osiadło w Małéj Azyi.

Pozbywszy się Dulowiczów, Bulgarowie wołali o wojnę z Bizancyum, gdy zaś nowi władcy nie okazali dostatecznéj energii i powodzenia na wojnie, wypędzali jednego monarchę za drugim, a tymczasem cesarzowi Konstantynowi Kopronimowi, znanemu obrazoburcy, udawało się razić dawniéj groźnych wrogów i pustoszyć ich ziemie. Nakoniec epoka rewolucyjna mija i nowy władca Kardam ustala się na tronie i szczęśliwie z Grekami wojuje. Po Kardamie widzimy na tronie znakomitego wojownika Kruma.

Krum, dzielny i śmiały, bohaterski władca — poniekąd przypomina Bolesława polskiego lub czeskiego Brzetysława; zdaje się jak gdyby losy umyślnie postawiły go w zaraniu nowego państwa, aby lud młodociany do dzielnych czynów prowadził. Nie zadawalał się on pozyskaniem drobnego jakiegoś okręgu, ale śmiało nakreślił plan państwa, sięgającego od Bosforu po Karpaty, stolicą zaś tego państwa w marzeniach swych Konstantynopol naznaczył. Dziwném zrządzeniem losów panowanie Kruma przypadło równocześnie z rządami zachodniego olbrzyma Karola, który wtedy potężnemi ciosami burzył państwo Awarów w Pannonii. Oręż Karola wyzwolił z pod jarzma Awarów różne ludy, a między innymi wydostali się na wolność ci Bulgarowie, którzy, jako cząstka hordy Kuwrata, jednocześnie z zastępami Asparuchowemi ojczyste opuścili stepy, a udając się bardziéj na północ, pomiędzy Cissą i Dunajem dostali się pod moc Awarów. Bulgarowie owi, uwolnieni od jarzma, na odwrót ugięli mieszkających pomiędzy sobą Awarów i przyłączyli się do naddunajskich swych współbraci—tym sposobem państwo Kruma na północ posunęło się aż po wschodnio-południowe odnogi Karpatów. Teraz dzielny monarcha, wiodąc zastępy Słowian, Bulgarów i Awarów, zwrócił się ku głównemu swych pragnień celowi. W r. 809 Sardica (dzisiejsza Sofia, po słow. Sredec) dostała się w jego ręce. Cesarz Nicefor zebrał wszystkich orężnych mężów, a dodawszy jeszcze tłumy hałastry, zbrojnéj w kije i proce, wtargnął do Bulgaryi i nie spotykając oporu, uzuchwalony złupił dworzec królewski w okolicach dzisiejszéj Szumli. Krum łudził Greków pokornemi o pokój prośbami, a tymczasem zamknął wąwozy z tyłu i z przodka zasiekami—i greckie wojsko jak w pułapkę schwytaném zostało. Przerażenie ogarnęło cesarza i wojowników: „Chyba na skrzydłach ztąd wylecimy,“ mówili, chodząc w koło zasiek, niby stado błędnych owiec. W nocy z 24 na 25 Lipca 811 r. Grecy, drżąc z trwo-

gi, usłyszeli zbliżających się ze szczękiem i hałasem wrogów, a z pierwszym dnia brzaskiem Bulgarowie wpadli na obóz i wszystkich Greków w pień wycięli. W ogólnéj rzezi znalazł śmierć sam cesarz, wysocy urzędnicy, patrycyusze, strategowie i cały kwiat wojska. „Nie daj, Boże, dożyć chrześcianom drugiego dnia podobnego!“ woła kronikarz Theofanes. Głowę Nicefora wetknięto na włócznią, a potém z czaszki jego, w srebro oprawnéj, Krum pijał na ucztach *zdrawicę*, jak to znajdujemy u Greka Emanuela Malaxa (1).

Następca Nicefora, cesarz Michał, pościągał różne roty wojenne ze wszech kątów monarchii, aby powstrzymać pochód zwycięzkiego Kruma, który szedł naprzód pustosząc Tracyą i biorąc miasta po drodze. Zbieranina bizantyjska groźną była tylko spokojnym mieszkańcom i dokuczała tymże gorzéj niżli barbarzyńcy; pod Adryanopolem Krum w walnéj bitwie poraził Greków, pozostawił brata swego, aby ten prowadził oblężenie, a sam pospieszył pod Konstantynopol. Pobitego Michała Leon Ormianin korony pozbawił. Krum wkrótce stanął pod Carogrodem; przerażeni mieszkańcy poglądali z murów na pogańskie obrzędy, któremi Bulgar rozpoczynał oblężenie. Krum kazał zabić bogom na ofiarę mnóstwo ludzi i zwierząt, potém obmywszy nogi w morzu, pokropił wojsko wodą i wśród okrzyków narodu przechodził przez tłumy nałożnic swoich, padających przed nim na ziemię i głoszących jego pochwały. Okopawszy się pod miastem, Bulgarowie rozpoczęli oblężenie, ale Krum, nie licząc na pomyślny jego skutek, zawiązał rokowania z cesarzem, stawiając mu jednak twarde warunki—między innemi żądał płacenia daniny i dostarczenia pewnéj liczby dziewic greckich. Gdy dla zawarcia pokoju Krum bezbronny, z czterema tylko towarzyszami, podjechał bliżéj pod miasto i umawiając się z pełnomocnikami zsiadł z konia, wypadli orężni ludzie z zasadzki i Krum ledwie, dopadłszy konia, uszedł z życiem. Wściekłość ogarnęła Bulgarów—zburzyli wszystko, co się znajdowało po za murami, pozabijali jeńców i z ogromnemi łupami, między któremi było mnóstwo pomników sztuki, odstąpili od oblężenia. Po drodze Krum zdobył Adryanopol, a mieszkańców wszystkich wraz z mnóstwem niezliczoném ludu, wziętego w niewolę, kazał przesiedlić za Dunaj, do dzisiejszych Węgier.

Po sześciu latach Krum znowu z ogromném wojskiem, oraz

---

(1) Wyraz ten do dziś dnia u południowych Słowian *toast*, staropolską *pełną prze zdrowie* oznacza.

mnóstwem narzędzi oblężniczych gotował się wystąpić do boju i sięgnąć po Carogród, gdy nagle 13 Kwietnia 815 r. umarł śmiercią taką jak Attyla, t. j. padł rażony uderzeniem krwi do głowy. Następca jego Omortag, czy też Mortagon, zawarł zawieszenie broni z Cesarstwem, którego nie naruszał ani on, ani panujący po nim Presjam; uwagę ich wyłącznie zajmowały sprawy w Serbii i Chorwacyi.

Tłumy chrześcian, przesiedlone przez Kruma do Bulgaryi, zastały podobno już słabe chrześciaństwa początki, krzewiły więc daléj wiarę pomiędzy tamecznymi poganami, co obudziło gniew w Omortagu i ten kazał ważniejszych krzewicieli pozabijać, a innych jeńców przy zawarciu pokoju Grekom powrócił. Krew męczenników zrosiła ziemię bulgarską i użyźniła ją na nowy posiew wiary Chrystusowéj, który miał się przyjąć ostatecznie. Stało się to za panowania następcy Presjamowego, Borysa czyli Bogorisa. Na tego to monarchę, według podań kronikarzy greckich, wpływał podobno pewny mnich bizantyjski, znajdujący się w niewoli, a potém rodzona siostra, która, wpadłszy w dziecięcych latach w ręce Greków, w Konstantynopolu w wierze chrześciańskiéj wychowaną została. Nieszczęśliwe wyprawy wojenne, głód i mór, kraj cały trapiące, wydały się Borysowi karą Bożą za opieszałość w przyjęciu nowéj wiary, którą wpajała w niego siostra, godna stanąć obok Klotyldy, Dąbrówki i Jadwigi. Nauczycielem władcy Bulgarów miał być mnich Metodyusz, rodem z Soluna, syn Leona stratega, Słowianina macedońskiego (1). W r. 864 Borys rozpoczął walkę z cesarzem Michałem III; lubo ta szła Bulgarom pomyślnie, Borys szukał zgody z Grekami, objawił chęć przyjęcia chrześciaństwa wraz ze znakomitszymi panami i zawarł z cesarzem pokój na korzystnych dla siebie warunkach. R. 861 Borys przyjął chrzest, a z nim imię Michała i niezwłocznie nakazał ludowi swemu pójść za swym przykładem. Zmuszeni do chrztu Bulgarowie powstali przeciw swemu władcy, oblegli go nawet w jego własnym zamku, ale Borys z garstką wiernych sobie pobił przeciwników. Znakomitszych panów, podobno w liczbie 52, wraz z rodzinami bez litości na garle pokarał, a ludowi przebaczył — odtąd już dzieło nawrócenia szło bez przeszkody i oporu. Prócz greko-katolików apostołowali między Bulgarami i żydzi

(1) Tireczek wątpi o prawdzie podań o mnichu i siostrze Borysa a nawet o współudziale w téj sprawie Metodyusza, i sądzi, że do przyjęcia chrześciaństwa skłoniły Borysa jedynie pobudki polityczne. Str. 124 i 125.

i heretycy ormiańscy (monofizyci i paulicyanie). Nawrócenie to głównie tyczyło się turańskich Bulgarów, gdyż chrześciaństwo, jak się zdaje, między Słowianami dawniéj było rozpowszechnione, a wtargnięcie pogańskich Bulgarów do Mezyi prawdopodobnie pozornie tylko wiarę świętą między nimi stłumiło. Co się tycze Słowian trackich i macedońskich, ci bez przerwy chrześciaństwo wyznawali i z pośród nich to wyszli wielcy apostołowie słowiańscy ludów, Cyryl i Metodyusz. Święci i mądrzy mężowie owi wkrótce udali się do Wielkiéj Morawii rzucać posiew apostolski, a tymczasem Bulgarya zaplątała się w fatalne koło sporów pomiędzy papieżem rzymskim Mikołajem a patryarchą carogrodzkim Focyuszem. Borys, niechętny Grekom, gdyż ci Bulgarom nawet biskupa dać nie chcieli, starał się u papieża o utworzenie z Bulgaryi osobnego patryarchatu, a przynajmniéj arcybiskupstwa, ale papież zbywał go wysyłaniem biskupów swych wraz z niższymi duchownymi dla prowadzenia daléj apostolskiéj pracy. Ciekawe są pytania, które monarcha bulgarski posłał do Rzymu, radząc się w różnych kwestyach duchownych i obyczajowych — niektóre z nich dziwnie są naiwne. Tak np. Bulgarowie pytają? czy po chrzcie będą mogli nosić nadal szarawary. Zawiedziony ze strony Rzymu, Borys wyprawił posłów na sobór do Konstantynopola (869 r.), gdzie osądzono, iż Bulgarya winna patryarsze carogrodzkiemu podlegać. Patryarcha Ignacy mianował arcybiskupa bulgarskiego, rzymskich kapłanów się pozbyto, i wszystkie starania papieża, by władzę nad Bulgaryą odzyskać, nie przyniosły żadnego skutku. Wkrótce r. 880 nastąpiło rozerwanie się kościołów i Bulgarya przy wschodnim kościele została. Służbę Bożą odprawiano w języku słowiańskim tak jak tego pragnęli Cyryl i Metodyusz — a gdy r. 885 w Wielkiej Morawii poczęto prześladować liturgią słowiańską oraz uczniów Metodowych, ci ostatni w Bulgaryi z otwartemi ramiony przyjęci zostali. — W tymże roku Borys, zapragnąwszy w spokoju oddać się modlitwie i ćwiczeniom duchownym, usunął się w klasztorne zacisze, a władzy starszemu synowi swemu, Włodzimierzowi, ustąpił. Ale odrodny syn, ująwszy berło w ręce, rozpasał się na wszelkie bezprawia, dopuszczał się gwałtów, grabieży, opilstwa i wszeteczeństwa, aż po czterech latach ojciec, niezmiernym gniewem przejęty, porzucił klasztor, pochwycił syna, kazał mu oczy wyłupić i zamknąć w więzieniu. Niezadługo jednak oddał władzę młodszemu synowi, Symeonowi, i w klasztornéj ciszy życia dokonał.

Symeona (888—927) można poczytywać za największego z monarchów bulgarskich. Równie śmiały w zamysłach swoich jak

Krum, równie jak on zamierzał zapanować nad cesarstwem Wschodniém i zasiąść na tronie Konstantyna. Może nie we wszystkiém tak szczęśliwy i bohaterski wojownik jak Krum, przewyższał barbarzyńskiego poprzednika swego przymiotami, jakie daje cywilizacya. Symeon był gorliwym sługą kościoła i znakomitym opiekunem nauki i oświaty. Wiek Symeona nazywają złotym wiekiem starobulgarskiéj literatury. Wygnani z Wielkiéj Morawii dzięki intrygom niemieckich księży, uczniowie Metodyusza, uciekli się za przewodnictwem Gorazda i Klemensa pod opiekuńcze skrzydła Borysa i Symeona, i przynieśli z sobą działalność literacką, głównie na polu duchowném; zaczątki owéj literatury starosłowiańskiéj, któréj pozostałe okruchy dziś jeszcze zachwycają lingwistów pięknością języka, każą nam wnioskować o rozległéj działalności literackiéj bulgarskich księży i piśmienników. Najświetniejszy rozkwit owéj literatury przypadł właśnie na czasy wielkiego syna Borysowego; za jego panowania żyli i pisali Jan egzarcha bulgarski, Konstantyn biskup, mnich Chrabr i inni. Sam Symeon, człowiek tak wykształcony i z językiem oraz literaturą bizantyjską obeznany, iż go w Konstantynopolu *pół-Grekiem* nazywano, nie ograniczał się na bierném mecenasowstwie literatury, ale brał pióro do ręki i z pod tego to pióra wyszedł przekład słowiański wyboru dzieł Jana Złotoustego, noszący tytuł *Zlatostruj*.

Wojny Symeona z Grekami rozpoczęły się z łaski hadlowych interesów. Przez ziemie słowiańskie szły główne drogi handlu europejskiego ze Wschodem, aż do czasu, gdy rozwój marynarki miast włoskich spowodował zwrócenie się owego handlu w inną stronę. Wszelako póki handel ów nie dostał się w ręce Wenecyan, Genueńczyków, oraz innych Włochów, głównymi pośrednikami jego byli Słowianie, a między innymi Bulgarowie. Zazdrośni i chciwi Grecy poczęli ciemiężyć kupców bulgarskich; Symeon zwrócił się z przełożeniami do cesarza Leona Filozofa, a gdy przełożenia nie odniosły skutku, uciekł się do oręża. Symeon wtargnął do Macedonii, pobił Greków i mnóstwo jeńców z urzniętemi nosami odesłał cesarzowi. Leon przerażony wezwał na pomoc *Turków*, jak mówili Grecy, to jest Madziarów, koczujących naówczas w dzisiejszéj Bessarabii pomiędzy Dnieprem a Prutem. Madziarowie, pod wodzą Arpada, przepłynęli na okrętach greckich przez Dunaj, poczęli srodze pustoszyć Bulgaryą, i Symeon zmuszony był zwrócić się z powtórnéj na Bizancyum wyprawy, zabiegł drogę najezdcom, ale został pobity; Węgrzy doszli do saméj stolicy Presławy, a potém ze zdobyczą uszli z Bulgaryi. Symeon ochłonąwszy z przegranéj, sam przeszedł Dunaj i srogą ko-

czownikom zadał klęskę. Madziarowie zwrócili się nie na dawne swe stepy, ale do dzisiejszych Węgier, gdzie na północo-zachód było państwo Wielkiéj Morawii, na wschód zaś ziemie podległe Symeonowi, przez Greków Zadunajską Bulgaryą nazywane. Cesarz Arnulf wezwał barbarzyńców, aby rzucili się na Słowian morawskich, Symeon tymczasem raz jeszcze dał poczuć cesarstwu siłę swego oręża, ale po świetném zwycięztwie zawarł pokój (893); poczém połączywszy się z Pieczyngami, napadł (895) na ziemię madziarską, nad morzem Czarném leżącą, i wszystkich pozostałych w domu Węgrów (główna horda Arpadowa wojowała wtedy w Morawii) w pień wyciął. Madziarowie, wróciwszy do domu, znaleźli ziemię spustoszoną—poszli więc podbijać ziemię pomiędzy Dunajem i Cisą, biorąc sobie żony ze wsi słowiańskich i niemieckich, które przez tyle lat srodze najeżdżali. W przeciągu lat kilkunastu Węgrzy podbili i Wielką Morawią i Zadunajską Bulgaryą, a założywszy monarchią Węgierską w samym środku słowiańskich plemion, pozbawili je centralnego punktu, koło którego ci byliby mogli się skupić.

Symeon pogodził się ze stanem rzeczy za Dunajem, za to zwrócił oko na Konstantynopol i począł pracować nad osiągnięciem celu swych marzeń, nad zdobyciem sobie tronu w Carogrodzie. Za małoletniości Konstantyna Porfirogeneta Bulgarowie (913 roku) podeszli pod stolicę cesarstwa, ale do oblężenia nie przyszło, gdyż Grecy zawiązali rokowania, i młodociany cesarz z patryarchą i pierwszymi dostojnikami państwa wyszedł za mury uczcić odwiedzinami swemi Symeona. Rokowania skutku nie przyniosły i Bulgarowie rozpoczęli kroki wojenne. Cesarzowa Zoe, matka i regentka, ściągnęła wszystkie siły cesarstwa, zawiązała sojusz z Pieczyngami i Serbami. 917 r. wojska greckie ruszyły na północ i wtargnęły do Bulgaryi. Bulgarowie ustępowali przed nimi, aż nagle rzucili się całą siłą na Greków i straszną zadali im klęskę, równą téj, która uświetniła panowanie Kruma. Bitwa owa stoczona została nad rzeką Achelous pod Mesembryą. Po tém zwycięztwie Symeon przyjął tytuł *cara Bulgarów i samodzierżcy Greków* zamiast dawnego tytułu *księcia*. Wyraz *car*, będący skróceniem wyrazu *Ciesar*, odpowiadał w zupełności tytułowi *basileus*, który jedynie cesarzowi wschodniemu nadawano — tym sposobem Symeon postawił się na równi z najdumniejszym z władców chrześciańskiego świata. Tytuł taki bez zatwierdzenia i uświęcenia ze strony papieża lub patryarchy carogrodzkiego, byłby czczém tylko słowem—na patryarchę nie było co liczyć, Symeon więc zwrócił się do Rzymu, i papież Formosus przysłał mu koronę cesarską

wraz z błogosławieństwem swojém. Cesarstwo *być nie mogło bez patryarchatu*, przeto arcybiskupa bulgarskiego na patryarchę wyniesiono. Teraz monarcha bulgarski powinien był z całą energią rzucić się na Konstantynopol, i śmiało sięgnąć po cel swych marzeń i zabiegów, ale Symeon, nie chcąc stawiać na kartę wszystkiego, co dotąd zyskać zdołał, począł postępować wahająco, oględnie i przezornie, i z własnéj winy zatrzymał się na połowie drogi. Pobiwszy jeszcze raz Greków, miał otwartą drogę do stolicy; tymczasem niespodzianie zwrócił oręż swój w inną stronę, a mianowicie na Serbią, z którą wojował z pewnemi przerwami od r. 923 do 927. Korzystając ze sporów o władzę książęcą, Symeon osadzał na tronie takich władców, którzy byliby w zależności od niego, a gdy ci zapragnęli otrząść się z téj zależności, zwalał ich, a innych na to miejsce wprowadzał.

923 roku car bulgarski, zebrawszy znaczne wojsko, wystąpił przeciw Bizancyum. Dla większéj pewności zawiązał stosunki z Kalifem północnéj Afryki, ale Grekom udało się pieniędzmi i darami odwieść Kalifa od zamiaru. Przednie straże bulgarskie podstąpiły pod Konstantynopol, rozbiły Greków broniących okolic stolicy i spaliły zamiejskie pałace i domy. Z niemi połączył się wkrótce sam Symeon, który po drodze wziął był Adryanopol; jednakże po niejakim czasie zawiązał z Grekami układy. Cesarz Roman Lakapen, panujący wówczas wespół z małoletnim Konstantynem Porfirogenetem, z patryarchą wychodzi po za mury dla widzenia się z Symeonem, tkliwemi słowy prosi wroga o powstrzymanie krwi rozlewu i zawiera z nim pokój. Bulgarski władca powraca do spraw serbskich. Sprawy te wplątały Bulgarów w wojnę z Chorwatami, która skończyła się straszną pierwszych porażką. W maju 927 r. Symeon umarł po trzydziesto-dziewięcio-letniém panowaniu. Świetne jego plany co do postawienia bulgarskiéj monarchii na miejscu spróchniałéj budowy cesarstwa Wschodniego padły ze śmiercią ambitnego monarchy; północne krainy, które stracił, nigdy już nie powróciły do Bulgaryi, a nadto krew w ziemiach serbskiéj i chorwackiéj przelana, pomiędzy obiema temi Słowiańszczyzny odłamami postawiła zaporę nieubłaganéj nienawiści narodowéj. Ze wszystkich dzieł Symeonowych pozostała jedynie, jako trwały, niepożyty pomnik jego czasów, bogata literatura, żywicielka duchowa tylu pokoleń, a dziś wdzięczny materyał badań lingwistycznych i starożytniczych.

Car Symeon, umierając, naznaczył następcą po sobie młodszego syna swego Piotra, a rządy państwa i opiekę nad młodocianym władcą zlecił szwagrowi swemu, Sursubulowi. Słaby

i nieudolny syn wielkiego monarchy, nietylko nie zdołał podtrzymać jego planów, ale nadto miał przywieść państwo na samą krawędź zguby i upadku. Wieść o zgonie Symeona wlała otuchę w sąsiadów Bulgaryi, i ci gotowi byli rzucić się ze wszech stron na nią. Piotr, koronowany przez posła papiezkiego na cara, nie czuł w sobie odwagi wstępnym bojem zetrzeć się z wrogami, a pragnąc ułagodzić gotującego się do wojny cesarza Romana, prosił go nietylko o pokój, ale i o ściślejsze z jego domem stosunki. Wkrótce sam Piotr udał się do Konstantynopola i poślubił wnukę cesarską, Maryą, dziewicę cudnéj piękności. Przez związek ten, który dla greckiego cesarza był niesłychaném odstępstwem od zasady strzeżenia się związków krwi z *barbarzyńskimi* monarchami, Piotr został wpleciony w zgubne koło intryg bizantyjskich. Dwór Konstantynopolitański pozornie robił wszelkie ustępstwa Bulgaryi, zostawił w jéj rękach cząstkę zawojowanego przez Symeona kraju, obowiązał się do płacenia dawnéj daniny, przyznał Piotrowi tytuł *cara*, choć jednocześnie uporczywie tytułu cesarskiego Ottonowi W. odmawiał, posłowi bulgarskiemu dawał najprzedniejsze pomiędzy cudzoziemskimi posłami miejsce u stołu dworskiego, nakoniec uznał tytuł patryarszy naczelnika kościoła bulgarskiego. Uśpiony chytrą Danajów sztuką, Piotr od przyrody skłonny do spokoju, a nawet gnusności, wkrótce stał się mimowiednie dogodném polityki greckiéj narzędziem. Rozumie się, iż to wszystko nie musiało przypadać do smaku tym, co pamiętali żywo wyniosłą Symeona względem Carogrodu postawę. Niezadowoleni panowie dwukrotnie podnosili rokosz pod wodzą braci Piotra, ale oba rokosze pomyślnie dla cara się zakończyły.

Za to w stosunkach zewnętrznych niemoc Piotra z każdym dniem coraz bardziéj na jaw wychodziła. Serbski książę Czesław, uszedłszy z niewoli bulgarskiéj, oddał się pod egidę bizantyńskiego monarchy i ten opiekę swą nad Serbią rozciągnął. Groźby Madziarów Piotr zażegnał, pozwalając im przechodzić swobodnie przez kraj własny, do cesarstwa, które ci koczownicy kilkakrotnie w okropny sposób najeżdżali; a gdy Grecy obwiniali go z tego powodu o wspólnictwo z barbarzyńskimi najezdnikami, Piotr nie wstydził się szukać wymówki w niemocy swojéj. Wkrótce Grecy odrzucili ostatek poważania dla krewniaka swoich cesarzy. W roku 963 po wygaśnięciu słabego domu macedońskiego, wstąpił na tron Konstantyna znakomity wódz, Nicefor Fokas. Pobiwszy Arabów i wyparłszy ich z Maléj Azyi, Fokas postanowił dać się i Bulgarom we znaki, i chociaż znieść ich panowanie na południe Bałkanów. Gdy bulgarscy posłowie zjawili się po odbiór zwykłéj

daniny, Nicefor odprawił posłów z oburzeniem, kazał ich zelżyć, i dodał do tego jeszcze obelgę dla samego monarchy, którego *kożusznikiem* nazwał szyderczo. Wszczęła się wojna; Nicefor chytry i ostrożny, obawiając się losu swego imiennika z czasów Kruma, postarał się o wyręczyciela w sprawie podboju Bulgaryi i wyręczyciela owego znalazł w osobie Świętosława, księcia Waregów ruskich, panującego naówczas w Kijowie. Świętosław był z charakteru awanturniczy i śmiały, zuchwały nawet—złudzony darami i obietnicami Greków, z warezką swą drużyną, w liczbie nie większéj nad 10,000 żołnierza, wsiadł na łodzie (967 r.) i wylądował blizko ujść Dunaju. Bulgarskie wojsko nie wytrzymało natarcia i uciekło z pola; Świętosław przeszedł zwycięzko znaczną część kraju i panować począł w Małym Presławie na Dunaju. Nicefor poznał swą omyłkę widząc, iż Świętosław o oddaniu mu Bulgaryi wcale nie myśli, zawiązał więc stosunki z Piotrem i począł zbierać wojsko, gotując się do wojny z Waregami. Ci ostatni strasznie łupieżyli w zdobytym kraju, poczém wrócili do Kijowa, któremu zagrażali Pieczyngowie. Tymczasem car Piotr zakończył żywot po czterdziestu jednym przeszło latach panowania. Synowie jego Borys i Roman znajdowali się jako zakładnicy w Konstantynopolu; pewne więc stronnictwo, przedtém niezadowolone z Piotra, ogłosiło carem jednego ze znakomitszych panów, Dawida, który był synem Szyszmana (t. j. Zygmunta) Mokra, wroga Carogrodu. Szyszman jeszcze za życia Piotra zdołał pozyskać niezależność w pewnéj cząstce zachodniéj Bulgaryi. Cesarz, przerażony tym obrotem wypadków, posyła Borysa i Romana, aby tron swego ojca objęli.

Latem r. 969 Świętosław po raz drugi wtargnął do Bulgaryi, podbił ją bez wielkiego wysiłku, carów Borysa i Romana wziął do niewoli, i przeszedłszy Bałkany, stanął na granicy cesarstwa Wschodniego. Zabójca i następca Nicefora, Jan Cimisces, lubo dzielny wojownik, nie miał chęci wojowania ze Świętosławem, i prosił Warega, by ten zadowolił się pieniężną nagrodą za podbój Bulgaryi i do domu powrócił. Zuchwała odpowiedź księcia uczyniła wojnę nieuniknioną; Świętosław też zwiększał swe siły przez zbieranie Bulgarów, najął Pieczyngów i Madziarów, cesarz znowu ze swéj strony organizował wojsko lądowe i morskie, i sam osobiście stanął na czele zastępów. Wódz Jana Warda, wysłany naprzód, stoczył pod Adryanopolem zaciętą z wrogami bitwę, a lubo obie strony przypisywały sobie zwycięztwo, Świętosław cofnął się, rozpuszczając jednak grabieżcze zagony po ziemiach greckich. Z wiosną 971 r. Jan Cimisces wszedł z wojskiem do Bulgaryi, gło-

sząc po drodze, iż idzie wybawić Bulgarów od jarzma najezdców. W Presławie stał załogą doświadczony, stary Wareg Sweneld, co dziecinne ręce Świętosława zaprawiał do oręża, a potém towarzyszył mu wszędzie w bojach. Pobici pod murami Waregowie, ukryli się w mieście, ale i miasto wzięto szturmem, tylko w zamku carów trzymał się Sweneld z drużyną do ostatka. Obrona zamku była rozpaczliwą, i byłaby bardzo długo się przeciągnęła, gdyby ogień nie był przyszedł w pomoc orężowi. Wśród straszliwéj rzezi Sweneld z nieliczną garstką przerznął się przez całą armią grecką i uszedł do Świętosława, zamkniętego w twierdzy Derstrze (dzisiejszéj Sylistryi). Opuszczony przez Węgrów i Pieczyngów, kniaź zmuszony był w dodatku odebrać broń Bulgarom, gdyż nie mógł liczyć na ich wierność; nadto lud burzył się w około i tylko liczne tracenia podejrzanych i mnóstwo zakładników zdołało otwartemu rokoszowi zapobiedz. Po uporczywym, zaciętym boju pod murami, Waregowie, naciśnięci przez konnicę nieprzyjacielską, wparci zostali do miasta. Trzymiesięczne blizko oblężenie, przy którém oblegający używali wszelkich znanych im sztuk i sposobów, a między innemi tyle strasznego *ognia greckiego*, skończyło się tém, iż Świętosław prosił o pokój i wkrótce Bulgaryą na zawsze opuścił, aby w drodze do domu znaleźć zgubę z ręki niedawnych swych sprzymierzeńców, Pieczyngów. Podbój, rozpoczęty w charakterze najemnika, podtrzymywany zarówno okrucieństwami bez liku jak i czynami męztwa i śmiałości, skończył się złowrogo i dla Waregów i dla samych Bulgarów. Bulgarska ziemia wraz z monarchą swoim znajdowała się w rękach Jana Cimiscesa, i ten bynajmniéj o puszczeniu z rąk zdobyczy nie myślał, zapominając, co był głosił na początku wyprawy. Do miast bulgarskich wprowadzono załogi bizantyjskie. Cesarz z niezmiernemi łupami, z koroną carów bulgarskich i z dwoma synami Piotra, powracał do stolicy, do któréj wszedł w tryumfalnym pochodzie. W pałacu, Jan nakazał Borysowi zdjąć z siebie płaszcz purpurowy oraz inne oznaki królewskie, a za to udzielił mu łaskawie godność *magistra* w swém wojsku! Drugiego syna Romana, zrobiono rzezańcem z rozkazu cesarza. Tak upadło państwo Kruma i Symeona.

Wcześniéj niż mezyjska Bulgarya wpadły w ręce Bizantyjczyków plemiona słowiańskie, rozciągające się na południe od Bałkanów po Tracyi, Dardanii, Macedonii, Epirze, a nawet Grecyi. Ponieważ potomkowie tych plemion, o ile narodowość słowiańską zachować zdołali, zaliczają się dziś do narodowości bulgarskiéj, czujemy się w obowiązku przebiedz i ich dzieje. Kiedy i jak Sło-

wianie przeszli po za Bałkany i w powyżéj wymienionych ziemiach usadawiać się poczęli, trudno oznaczyć, w skutek niejasności i chaotyczności wskazówek kronikarzy bizantyjskich; napływ ten ludów słowiańskich musiał jednak ciągnąć się mniéj więcéj przez wieki VI i VII. W roku 501 Anastazyusz cesarz odgrodził okolice stolicy od morza Marmora do morza Czarnego długim murem, pozostawiając pozostałe ziemie przybyszom, którzy zalewali je do tego stopnia, że tylko warownie utrzymywały się, niby wyspy na morzu. Słowianie w zajętych ziemiach, mieszkając obok dawnych mieszkańców, nie potrafili wytworzyć ani jedności, ani organizacyi państwowéj, tak jak ich rodacy w Mezyi, gdzie najezdnicy bulgarscy silne założyli państwo. Zdrowa polityka, zdaje się, wskazywała władcom nowego państwa bulgarskiego obszary, zajęte przez ludy takiegoż pochodzenia jak większość ich poddanych: na tych to obszarach mogło się rozwinąć państwo młodociane; ale Krum i Symeon marzyli o koronie cesarskiéj i Konstantynopolu, i monarchowie bulgarscy zadawalali się pojedynczemi, drobnemi okręgami tam, gdzie mogli snadno całe prowincye do swych dzierżaw przyłączać. Omyłka ta wyszła na korzyść cesarstwa Wschodniego.

Kiedy w Bulgaryi w połowie VIII wieku trwały zamieszki wewnętrzne, kiedy zwalano tam jednego monarchę po drugim, cesarz Konstanty Kopronim rozpoczął dzieło podboju Słowian. Podboje te z początku były nietrwałe, ale w pomoc orężowi przyszła religia Chrystusowa, ta bowiem krzewiąc się między Słowianami, torowała drogę wpływowi bizantyjskiemu. Od początku IX stulecia przez półtora przeszło wieku trwały zapasy ze Słowianami w Peloponezie, najdłużéj trzymali się Milanie i Jeziercy w górach Pentadaktylos, ale od drugiéj połowy X wieku Słowianie żyją tu już spokojnie, i zlewając się powoli z Hellenami, z czasem toną bez śladu w nowéj narodowości, nowo-greckiéj, będącéj mieszaniną hellenizmu ze słowiańskiemi żywiołami.

Wcześniéj jeszcze i łatwiéj podlegli Słowianie w Tessalii i Macedonii. Już w końcu IX i w początkach X wieku część tych plemion płaciła daninę Bulgarom, reszta zaś podlegała pośrednio lub bezpośrednio cesarstwu Wschodniemu. Plemiona te podbił r. 687 Justynian II, i oddał pod zarząd osobnych *strategów* czyli *wojewodów*. Cesarzowie bizantyjscy podtrzymywali i siłą i fortelem i dobremi środkami władzę swoją nad owymi Słowianami; czasami nawet uciekali się do dziwnych sposobów. I tak cesarz Theofanes, żyjący na początku IX wieku, przesiedlił do Europy kilkanaście tysięcy Turków, przybyłych z Persyi do Małéj Azyi i po-

mieścił ich nad rzeką Wardarą obok Słowian. Turcy ci, Turkami lub Persami Wardaryotami nazywani, bardzo długo zachowywali swój język, obyczaje, strój nawet, nadto, przeszedłszy z islamu na chrześciaństwo, służbę Bożą w swym własnym odprawiali języku. Sprowadzenie tych Turków daje dowód, iż dwór carogrodzki dobrze znał się na zasadzie: *divide et impera*. Tak więc w drugiéj połowie X wieku, po podboju Jana Cimiscesa, cała ogromna massa ludności słowiańskiéj słuchała rozkazów z Konstantynopola wychodzących.

III.

Drugie państwo Bulgarskie.

Cztery lata tylko ciążyło podbitym Bulgarom pierwsze jarzmo obcych rządów; sprawa narodowa znalazła mścicieli i obrońców. Roku 976 Jan Cimisces zszedł ze świata, a tron opróżniony zajęło dwóch młodzieńców, synów cesarza Romana, Bazylii i Konstantyn, którym zaraz na początku panowania los narzucił walkę domową z zuchwałym pretendentem do tronu. Na wieść o śmierci Cimiscesa i wojnie domowéj, Bulgarowie powstali pod wodzą czterech braci, Dawida, Mojżesza, Arona i Samuela-Stefana, synów owego magnata Szyszmana Mokra z Ternowa, który około r. 963 za Piotra carem się był ogłosił. Dzieci Piotra, Borys i Roman, dowiedziawszy się o powstaniu, uchodzą z niewoli; Borys w drodze, wzięty za Greka z powodu swych szat bizantyjskich, padł z ręki jakiegoś Bulgara, Romana zaś ziomkowie ozięble przyjęli, i wnuk Symeona musiał zadowolić się zwierzchnictwem nad jedném z miast bulgarskich. Nowa dynastya założyła stolicę na zachodzie w Prespie i w Ochrydzie, a w krótkim czasie wszystkie miasta ważniejsze w jéj ręku się znalazły. W rodzinie téj najważniejszą rolę odegrał Samuel, najmłodszy, ale najdzielniejszy z braci; jest on trzecim z wielkich królów bulgarskich — bohaterskim wojownikiem, śmiałym i energicznym, ale zarazem chciwym władzy i znaczenia. Pewny bojar zbiegły do Dalmacyi pisze, iż Samuel rodzonemu ojcu wyłupił oczy, a potém zadusić go kazał, co jednak wątpliwém bardzo się zdaje. Gdy dwaj starsi bracia na wojnie zginęli, Arona obwinionego o stronniczość dla Greków, Samuel zabił wraz z całą prawie rodziną. Tym sposobem bratobójca staje się jedynym władcą i wodzem Bulgarów, nad którymi przez czterdzieści lat panuje.

Po śmierci ojca i braci, Samuel poprowadził Bulgarów na wyprawę w Zabałkańskie kraje. Prawdziwie patryotycznym ożywiony duchem, nie zadawalał się grabieżą wrogiego państwa, nie kusił się o panowanie w Konstantynopolu, ale szedł naprzód wszędzie, gdzie Słowian bizantyjskie gniotło jarzmo, i wzywał lud do powstania. Tak przeszedł Macedonią, Albanią i Tessalią, niepokojąc Tracyą tylko podjazdami. W krótkim czasie państwo Samuelowe rozciągało się od Dunaju do Termopilów i Archipelagu, i od granic Tracyi do morza Adryatyckiego. Ośmielony powodzeniem, nowy władca bulgarski zamierzył pójść daléj na południe. Zastępy Samuela wtargnęły za międzymorze, wyzwalając Słowian w Peloponezie.

W Konstantynopolu zrozumiano dobrze, jakie niebezpieczeństwo groziło państwu; postanowiono więc wszystkie poruszyć środki, nie żałować ni ludzi, ni pieniędzy, byle tylko przemódz wzburzonych wrogów. I rozpoczęły się długoletnie zapasy, które miały wiele kosztować oba narody i skończyć się upadkiem jednego z zapaśnikow. W roku 987 cesarz Bazyli ruszył z wojskiem przez wąwozy Bałkanów do Bulgaryi i obległ Sredec (Sofią), warownią w środku kraju położoną. Samuel wrócił z Morei, a korzystając z mężnéj obrony miasta, pourządzał zasadzki po górach i gotował się wciągnąć wrogów w pułapkę. Cesarz lękając się braku żywności, począł wracać przez góry; Bulgarowie wpadli nań, zabrali cały obóz i o mało Bazyli nie doznał losu swego poprzednika Nicefora, który za czasów Kruma w tych samych górach z całém wojskiem grób znalazł — ledwo z ostatkami wojska swego zdołał uciec przed ścigającymi go wrogami. Przez kilka lat Bizantyjczycy pozostawili Samuela w pokoju, a car tymczasem daléj podboje swe w Grecyi prowadził.

Rozszerzywszy państwo na wsze strony, dzielny monarcha bulgarski, nie lękając się już konstantynopolitańskiego cesarza, zwrócił oręż swój ku zachodowi, wziął port Durazzo (Dracz po słowiańsku, starożytne Dyrrhachium), gdzie stała była załoga grecka, zająwszy Dracz, Samuel zwrócił swe oczy na sąsiednią Serbią. Miasto owo w średnich wiekach stanowiło bardzo ważny port na morzu Adryatyckiém, ztąd Grecy, Słowianie, Arbanasowie, Neapolitańczycy i Wenecyanie tylokrotnie ucierali się o jego posiadanie. Kraj ten wówczas dzielił się na cztery księztwa, a jednym z książąt był Jan Włodzimierz, późniéj do rzędu świętych zaliczony. Opowieść o losach świętego księcia, którą u kronikarza Dioklejskiego znajdujemy, należy do najromantyczniejszych ustępów w dziejach południowo-słowiańskich. Włodzimierz w sku-

tek zdrady własnego żupana swego, dostał się do niewoli i w łańcuchach jęczał w ciemnicy w Prespie, szukając pociechy jedynie w modlitwie i w ćwiczeniach duchownych. Córka Samuelowa Kosara, gdy pewnego razu z uczucia pokory chrześciańskiéj głowy i nogi więźniom umywała, zobaczyła dorodnego młodzieńca i gorącą ku niemu zapałała miłością. „Ojcze mój i panie, mówiła do ojca: wiem, że masz dać mi męża po zwyczaju, wydaj mnie więc za Włodzimierza, twego więźnia, albo wiedz, iż umrę raczéj, a-nie poślubię innego.“ Samuel kazał wyprowadzić więźnia z ciemnicy: oddał mu córkę, a z nią dawną Włodzimierza ziemię, i tym sposobem silnémi węzłami pokrewieństwa i wdzięczności do siebie go przywiązał.

Za przykładem Symeona i Piotra, Samuel zawiązał stosunki z Rzymem i od papieża pozyskał tytuł *cesarza* Nieubłagany wróg cesarstwa Wschodniego, starał się wyzwolić Bulgaryą i pod względem kościelnym, ale Jan Cimisces zniósł był patryarchat bulgarski bez najmniejszego wahania. Za Samuela arcybiskupi mieszkający w Ochrydzie, rządzili kościołem bulgarskim niezależnie, lubo z łaski wrogiego Samuela z Carogrodem stosunku, tytułu patryarchy nie zyskali i zyskać nie mogli. Stosunki kościelne zniewalają nas do poświęcenia pewnego ustępu sekcie Bogomilów, która rozwinęła się do znacznych rozmiarów za panowania Samuela. Na ziemi bulgarskiéj przebył jedno stadyum swego rozwoju ów prąd antihierarchiczny, opozycyjny w religii Chrystusa, który tędy przeszedł na Zachód, a znowu po upływie stuleci wynurzył się w Słowiańszczyznie, w innéj wszakże krainie, jako ruch husytyzmu.

Sekty i odszczepieństwa bardzo wcześnie idą w ślad za rozwojem religii Chrystusowéj. Jedną z najwcześniejszych herezyi jest *gnostycyzm*, płód wdzierania się pojęć pogańskich do budowy chrześciaństwa. Gnostycyzm opierał się głównie na zasadzie, iż materya jest złą bezwarunkowo, i wyzwolenie się z jéj więzów za cel dążeń człowieka poczytywał. Z gnostycyzmu wyłoniła się religia Manesa, maga perskiego, który z chrześciaństwem powiązał ściśle dualizm Zoroastra i naukę swą oparł na wierze w dwa niezależne od siebie pierwiastki, Boga i szatana. Manicheizm przez kilka wieków szerzył się wielce w chrześciaństwie, rozpadając się na różne odłamy i odcienia. W granicach cesarstwa Wschodniego, zwłaszcza w Tracyi i Macedonii, pojawiają się w IX stuleciu dwie sekty, pochodzące od manicheizmu: massylianie i paulicyanie. Sam cesarz Jan Cimisces ułatwił drogę drugiéj z tych sekt, osiedlając wielu paulicyanów armeńskich w okolicach Filipopola. Paulicyanie przyjmowali dualizm Manesa, jego ideę iż życie ziemskie i śmierć

Jezusa były pozornemi jedynie, a nadto odrzucali wszelką hierarchią, obrzędy, cześć obrazów i świętych, surowe życie ascetyczne i t. d. U massylian panowała wiara, że każdy człowiek od urodzenia nosi w sobie szatana, którego winien wypędzić *nieustanną modlitwą* i dojść przez to do stanu, w jakim dusza grzeszyć już nie może. Pod wpływem obu tych herezyi powstało bogomilstwo; od pierwszéj sekty przejęło ono dualistyczne dogmata, od drugiéj surowy ascetyzm.

Założycielem téj nowéj sekty był za czasów Piotra Symeonowicza, niejaki pop Bogomil, Jeremiaszem także nazywany; człowiek ów pozyskał wielką wziętość u ludu, i nowa religia nadzwyczaj szybkie po Tracyi i Macedonii robiła postępy, przedzierając się i za Bałkany. Piotr, gorliwy zwolennik kościoła, niewątpliwie prześladował heretyków, Samuel zaś zajęty wojnami z cesarzem, prawdopodobnie żadnego względem bogomilów nie dopuszczał się gwałtu. Sekta owa za jego czasów ogromnie była po całym kraju rozszerzoną, a zwolenników jéj nawet w Konstantynopolu nie brakowało.

Nie możemy się wdawać w dokładny wykład zasad bogomilizmu, gdyż to wymagałoby ram oddzielnego artykułu, ale sądzimy, że krótka o nich wiadomość nie będzie bez pewnego dla czytelników interesu. Podstawą herezyi bogomilskiéj była wiara w dwa Boskie pierwiastki: *dobry* i *zły*; dogmata bogomilskie polegały na stosunku tych dwu pierwiastków do siebie i na wzajemnéj ich walce z sobą, a moralność sekty dążyła do tego, by za pomocą surowego, nienaturalnego nawet ascetyzmu doprowadzić człowieka do zbawienia. Co do najważniejszéj zasady panowały dwa różne poglądy, dwa kościoły: dregowicki (od Dregowiczan, plemienia słowiańskiego w Macedonii), i gorycki (od Gorycy w Tessalii) lub bulgarskim zwany. Pierwszy, wyraźnie pod silnym wpływem paulicyanizmu zostający, przypuszczał odwieczne obu pierwiastków istnienie i walkę ich z sobą bez końca; była to zasada *czystego* dualizmu. Drugi kościół, prawdopodobnie już w łonie samego bogomilizmu powstały, przyjmował jednego Boga dobrego; bóstwo to wszakże miało dwóch synów: złego Satanaela i dobrego Chrystusa. Satanael zbuntował się i został wraz z drużyną swoją z nieba wygnany, a że Bóg go był siłą twórczą obdarzył, stworzył więc świat cały i człowieka, któremu jednak nie zdołał dać duszy i. tę człowiek od Boga otrzymał. Gdy człowiek nie zdołał oprzeć się złemu, Bóg zesłał Jezusa, aby *nauką swą* ukazał mu drogę do zbawienia. Za śladem manichejczyków, bogomilowie utrzymywali, iż wcielenie Chrystusa było tylko pozorném, *wszel-*

kie bowiem ciało od dyabła jest. Sekciarze owi odrzucali chrzest, eucharystyą, z grzechów spowiadali się jawnie i publicznie; a za główny grzech poczytywali wszelkie samowolne zetknięcie się z materyą jako z dziełem nieczystego ducha, potępiali małżeństwo, cześć krzyża, obrazów, Stary Testament nazywali dziełem złego ducha.—Członkowie kościoła dzielili się na dwie klassy: na *doskonałych,* chrześcianami *(kèrstjani)* jeszcze zwanych, i na *wiernych.* Pierwsi tworzyli rodzaj mnichów bezżennych, zobowiązanych do doglądania członków sekty i do najsurowszego ascetyzmu. Wyrzekali się wszystkich dóbr i rozkoszy ziemskich, własności mieć nie mogli, a zarobek swój do wspólnéj kassy składali. Modlitwa, post i nauczanie, stanowiły zajęcia *doskonałych.* Surowość ich życia przebijała się w saméj powierzchowności, mowa ich była poważna, unikali gadatliwości i śmiechu, a twarz blada, wychudła, pomarszczona, opuszczona w dół głowa, znamionowały każdego z tych *prawych chrześcian.* To wszystko na zwolennikach sekty robiło wielkie wrażenie, i lud ze czcią poglądał na doskonałych, skwapliwie dawał im jałmużnę, a z nizkim pokłonem prosił ich o błogosławieństwo, mówiąc: „Błogosław, ojcze, błogosław, dobry chrześcianinie“ — na co ten odpowiadał: „Niech Cię Bóg błogosławi.“ — *Wierni* nie byli zobowiązani do tak surowego życia, za to poczytywano ich nie za członków kościoła, ale za ludzi znajdujących się na drodze do tego. Dążeniem ich było zostać z czasem doskonałymi, choćby na śmiertelném łożu. Jak się zdaje, doskonali zbawieni byli przez własne zasługi, wierni zaś tylko przez zasługi doskonałych.

Bogomilizm przedewszystkiém krzewił się w Macedonii, wkrótce przeszedł do Bulgaryi, do Grecyi, Serbii, a w końcu X lub na początku XI stulecia do Włoch i południowéj Francyi, gdzie wyznawcy dualizmu nosili imię *Katarów* i *Paterenów.* Wycierpiawszy niejednokrotnie wielkie prześladowanie tak ze strony wschodniego jak i zachodniego kościoła, sekciarze miewali jednak chwile szczęśliwsze i spokojniejsze. Zwłaszcza wielkiém powodzeniem bogomilizm cieszył się w Bośnii, gdzie znajdował wielu możnych obrońców — w Bulgaryi za cara Jana Asena na początku XIII wieku, bogomilowie używali wolności wyznawania swéj wiary i jednakowych praw z greko-katolikami. To dało pochop Rzymowi przy pomocy królów węgierskich do wysłania missyonarzy, którzy wielu heretyków, a i niemało wyznawców greckiego kościoła na rzymski katolicyzm nawrócili. Działalność ta trwała przez dwa wieki XIII i XIV. W końcu XVI i XVII stulecia i owi paulicyanie, których ojcowie przez Cimiscesa w okolicach Filipopola usadowieni

zostali, przyjęli katolicyzm, ale do dziś-dnia dawne ich imię nieposzło w zapomnienie i owych Bulgarów-katolików paulicyanami zowią. Najprzód, bo już w XII w., bogomilizm zniknął w swéj ojczyźnie—w Macedonii, nieco późniéj w XIII w., na Zachodzie—dualistyczna, sprzeczna z przyrodą sekta przeszła jak sen i ustąpiła miejsca innym, bardziéj racyonalnym formom opozycyi religijnéj 1).

Po tym ustępie z dziejów wewnętrznych, przejdźmy znowu do losów kraju i jego władcy. Przez siedm lat przeszło wojna z cesarstwem Wschodniém ograniczała się na małoznaczących podjazdach, aż w 996 r. Samuel osobiście staje pod Solunem (Saloniką). Pobiwszy wroga pod murami, car bulgarski ruszył na południe, pustosząc Tessalią, Beocyą, Attykę, a w końcu wtargnął do Peloponezu. Gdy powracał z mnóstwem niewolnika, w skutek nieostrożności doznał ciężkiéj klęski na polach tessalskich nad rzeką Sperchią. Grecy wpadli na obóz w nocy, wybili większą część wojska w ciemnościach. Samuel z synem swoim, obaj ciężko ranieni, o mało nie wpadli w ręce wrogów — udało im się jednak ukryć pomiędzy trupami a potém ujść w ciemnościach nocy do Ochrydy, dokąd za nimi niedobitki wojska pośpieszyły. Odtąd odwraca się karta dziejów Samuelowych.

Cesarz Bazyli postanowił osobiście wojnę prowadzić. Nauczony doświadczeniem szarpał teraz przeciwnika na krańcach jego wielkich, ale zbyt luźnie powiązanych z sobą dzierżaw, nie odważając się zrazu na niebezpieczne w sam środek kraju wyprawy. Ramy obecnego artykułu nie pozwalają nam wdawać się w szczegóły téj walki, w któréj bizantyjski mocarz przy pomocy dzielnych wodzów i wyćwiczonego wojska używał całéj sztuki wojennéj, a gdzie nie wystarczał oręż, tam uciekał się do przekupstwa, zdrady, dla postrachu zaś znaczył drogę swą okrucieństwami, godnemi najkrwawszego barbarzyńcy. Blizko lat dwadzieścia trwała wojna Bazylego z Samuelem aż do śmierci tego ostatniego. Cesarz bizantyjski brał powoli miasto za miastem, już to siłą, już zdradą i w końcu cała naddunajska Bulgarya aż do rzeki Timok, Macedonia i miasto Durazzo z pobrzeżem były w rękach Gre-

(1) W ustępie o bogomilach trzymaliśmy się głównie rozprawy Dra Petranovic'a p. t. *Bogomili, Cèrkwa Bosańska i Kèrstjani* (w Zadrze 1867 roku). Znakomite dzieło o tym przedmiocie napisał znany historyk chorwacki F. Raczki, p. t. *Bogomili i Patareni*. Wyborna jest także charakteryka bogomilizmu w Diejinach Tireczka str. 142—149.

ków—pozostawały tylko do zdobycia niedostępne strony Albanii, Tessalii i Czarnogórza. Samuel stracił w końcu energią i nie śmiał już w otwartém polu stawiać czoła nieprzyjaciołom, za to starał się naturalnemi zaporami powstrzymywać pochód Bizantyjczyków. W tym celu w 1014 roku osadził wojskiem wąwozy blizko góry Biełasicy, w górach Rodopos, przez te wąwozy bowiem Bazyli zwykle wdzierał się w posiadłości bulgarskie. Wstrzymywało to czas jakiś cesarza, ale w końcu oddział grecki obszedł śmiałym marszem górę, natarł z tyłu na Bulgarów, którzy wzięci we dwa ognie, sromotnie rozbici zostali. Samuel uszedł z trudnością, dzięki jedynie męztwu i poświęceniu własnego syna. 15,000 niewolników wpadło w ręce Bizantyjczyków—cesarz Bazyli kazał wyłupić im oczy, a na każde sto ślepych, chromego wodzem postanowił i tak nieszczęśliwych obrońców ojczyzny Samuelowi odesłał. Niezadługo warownia Malenik, od przyrody nieprzystępna, uległszy namowom chytrego Greka, sama poddała się wrogowi. Miary nieszczęść Bulgaryi dopełnił zgon nieszczęśliwego jéj monarchy. Przed Samuelem, bawiącym w Prespie, stanęło kilka tysięcy żołnierzy, z wyłupionemi przez Bizantyjczyków oczyma. Widok ów do takiego stopnia przeraził króla, iż padł na ziemię, a dostawszy bolu serca, we dwa dni życie zakończył 15 Września 1013 roku. Nieszczęśliwy ten monarcha, o którym wiemy tylko, co nieprzyjaciele jego światu zostawili, całe życie niósł brzemię straszliwéj z nieubłaganym wrogiem walki, i po świetnych powodzeniach doczekał klęsk, złowrogą zgubę rokujących. W pracach i artykułach historycznych stoi on pod zarzutem ojco—i bratobójstwa, a piszący biorą pochop do malowania go niby krwiożerczego tyrana. Zarzut ojcobójstwa ma za podstawę jeden tylko dokument dalmacki, Grecy najmniejszéj o tém wzmianki nie czynią, choć z pewnością nie mieli powodu oszczędzać dobrego imienia swego wroga. Zamordowanie brata Arona nie podlega wątpliwości — ale straszny ten czyn nie był rzadkością w rodzinach monarchów średniowiecznych, nadto Aron stał pod fatalnym zarzutem niepatryotyzmu i sprzyjania nieprzyjaciołom kraju.

Po Samuelu, gorącym patryocie i nieprzebłaganym wrogu cesarstwa Wschodniego, nastąpił jego syn, urodzony z niewolnicy Laryssanki, imieniem Gabryel-Roman, po słowiańsku zwany Radomirem—młodzian rosły, silny, mężny, ale nie odznaczający się bystrym umysłem. Na wieść o śmierci Samuela, cesarz Bazyli pośpieszył z wojskiem do Bulgaryi i brał warownie jednę za drugą. Gabryel prosił o pokój, ale cesarz za całą odpowiedź szedł naprzód i daléj miasta zdobywał.

Ż synów Arona, brata Samuelowego, ocalał Jan Władysław, któremu wstawienie się Gabryela życie ocaliło — do tego to Jana Władysława cesarz Bazyli wyprawił skrycie chytrego i zręcznego posła z namową, aby pomścił śmierć ojca i rodzeństwa swego. Władysław usłuchał namowy i na polowaniu zabił swego stryjecznego brata; potém, zawładnąwszy koroną, prosił o pokój. Tym razem cesarz nie sprzeciwiał się i zawarto traktat niewątpliwie na ciężkich dla Bulgaryi warunkach.

Już w pierwszym roku Jan Władysław drugą ohydną zbrodnią splamił panowanie swoje. Aby zagarnąć żupę Kotorską, wezwał on do Prespy Włodzimierza, zięcia Samuelowego, zapewniając pod przysięgą, iż mu się nic złego nie stanie. Mimo to car bulgarski nasłał na Włodzimierza zabójców, którzy odebrali mu życie. Kosara opłakiwała gorzko śmierć ukochanego męża „przez wiele dni wielkim płaczem, którego słowami opisać nie można," jak powiada latopisarz Dioklejski. Ciało zabitego złożyła w kościele Maryi Panny, sama zaś wstąpiła do klasztoru przy tymże kościele, gdzie świątobliwie życie zakończyła. Podanie kronikarskie mówi o cudach, zaszłych przy ciele Włodzimierza, a kościół do rzędu świętych go zaliczył. Zająwszy posiadłości Włodzimierza, Jan Władysław obległ miasto nadmorskie Durazzo, które to miasto zdobył był Samuel, a potém przez zdradę zięcia swego, Ormianina Aszota, utracił. Było to naruszeniem pokoju z cesarstwem; dla tego też Bazyli z wojskiem wtargnął do Bulgaryi i w krótkim czasie zajął bez walki Ochrydę. Wszystkim jeńcom podobnie jak w poprzedniéj z Samuelem wojnie, oczy wyłupiać kazał. Doświadczony wódz bulgarski Iwaca bronił okolic Ochrydy i wyciął w pień całą tylną straż cesarza, czém przerażony Bazyli cofnął się do Soluna. Do nowéj wyprawy cesarz szukał już sprzymierzeńców i znalazł ich w Waregach ruskich, których kniaź Włodzimierz, późniéj świętym nazwany, był szwagrem cesarza, mężem jego siostry. Naodwrót Bulgarowie weszli w stosunki z wrogami Waregów, Pieczyngami. Wojna toczyła się dwa lata, głównie zależała na obleganiu różnych miast warownych. W drugim roku (1017) w okolicach Sieteny Grecy pobili i przymusili do ucieczki Władysława z całém wojskiem, poczém Bazyli powrócił do Konstantynopola. Car bulgarski w następnym roku (1018), ochłonąwszy po porażce, wrócił do oblężenia Draczu, ale w samych początkach tegoż, został śmiertelnie raniony i umarł. Kronikarz Dioklejski opowiada legendę, że Władysław, siedząc przy stole, ujrzał Włodzimierza św. w rycerskiéj zbroi; przerażony, zerwał się, a wołając o ratunek, uciekać począł; wtedy anioł Boży poraził go śmier-

telnym ciosem. Na tym koronowanym nikczemniku, skończyła się dynastya Szyszmana Mokra, a z nią i drugie państwo Bulgarskie. Z królewskiéj rodziny zostały tylko niewiasty i dzieci. Za to dwaj dzielni wodzowie, w szkole Samuela wychowani, towarzysze jego trudów, Iwaca i Nikolica postanowili daléj prowadzić obronę kraju. Lud nie popierał jednak usiłowań tych dwu panów, i wtedy wyszło na jaw, że państwo Samuelowe, nie będąc jednolitą całością, nie miało w sobie wewnętrznéj siły i spójni,— budowa wielkiego monarchy sama rozpadła się, a wróg bez trudu zaborczego dzieła dokonał. Cesarz Bazyli brał bez wysiłku miasto za miastem, z łaski odstępstwa panów bulgarskich, i tak doszedł do Ochrydy. W ludzie, znużonym długoletnią walką, uczucie patryotyczne do tego stopnia upadło. iż witał cesarza jako *zbawcę (!)* swego. Wdowa po Janie Władysławie, Marya, wraz z liczną rodziną swą i dziećmi Gabryela Romana, oddała się w ręce cesarza; najstarszy tylko syn ostatniego cara Frużyn (u Greków Pruzyan), wraz z dwoma braćmi w górach się ukrywał, ale i ten poddał się niezadługo. Dwaj ostatni bojownicy narodowéj wolności, Iwaca i Nikolica także ustąpili z pola; Iwaca przez nikczemny i zdradziecki podstęp Greków został schwytany, a dzielny Nikolica, który przedtém trzykrotnie dostawał się był do niewoli i trzykrotnie z niéj uchodził, przywiedziony do rozpaczy, poddał się Grekom po raz czwarty.

Cesarz Bazyli urządził podbite państwo, podzielił je na prowincye, każdą pod rządami oddzielnego *stratega* czyli wojewody, a pozostawiwszy podbitym dawne ich prawa, nakazał tylko, by zwykłe podatki do skarbu konstantynopolitańskiego wnosili. Następnie Bazyli ruszył do Grecyi, obalił w niéj szczątki panowania bulgarskiego i w Atenach złożył w kościele Bogarodzicy uroczyste dzięki Niebu za odniesione zwycięztwa. W następnym roku (1019) wszedł przez Złotą Bramę w tryumfalnym pochodzie do Carogrodu. Przed wozem tryumfatora postępowała rodzina królów bulgarskich, a lud z okrzykami witał zwycięzcę, który udał się prosto do wspaniałego kościoła Aja Sofia, gdzie złożył dzięki Niebu. W dziejach Bazyli pozostał z przydomkiem *Bulgarobójcy* (Bulgarochtonos). Podboje Bazylego miały nieocenione dla cesarstwa Wschodniego znaczenie—uwolniły je od wroga, który massą swą ciężył niesłychanie monarchii, a zarazem odcinał ją od Zachodu i w Europie w nadzwyczaj ciasnym obrębie zamykał.

IV.

Trzecie Państwo Bulgarskie

170 lat znosił naród bulgarski jarzmo skażonéj nawskroś monarchii Bizantyjskiéj, doznając przeróżnego ciemięztwa ze strony chciwych i niesumiennych wielkorządców greckich. Dwukrotnie Bulgarowie powstawali, raz r. 1040 pod wodzą Piotra Deliana, syna cara Gabryela Romana,—drugi raz przywodził im Konstantyn Bodin, syn króla serbskiego — obadwa jednak powstania nieszczęśliwie się skończyły. Tymczasem w położeniu polityczném niejedna ważna zaszła zmiana. Na północo-wschód od Bulgaryi z małoznaczących żup serbskich, które niby satelity krążą koło losów państwa bulgarskiego, rodzi się nowa dzierżawa serbska i ta pod rządami dynastyi Nemaniczów zagarnia moralną puściznę po upadłém państwie Samuela i stawia czoło odwiecznemu wrogowi, przodując teraz ludom południowo-słowiańskim. W końcu XI wieku rozpoczęły się owe wielkie zapasy krzyżowników z moslemінami—a choć Bulgarya w krucyatach udziału nie brała, tędy szły tłumy niesforne pospólstwa, co wziąwszy krzyż, dążyło do Ziemi św. grabieżąc po drodze i różnych niegodziwości się dopuszczając — to też wielu krzyżowników na ziemi bulgarskiéj z rąk rozwścieczonego ludu śmierć znalazło. W Konstantynopolu także było niemało zmian tronu, sporów dynastycznych, rewolucyi pałacowych, aż wreszcie zasiadł na tronie ród Komnenów, w łonie którego miały się powtórzyć wszystkie dawne walki i zbrodnie władców bizantyjskich, co w końcu w zupełności siły cesarstwa wyczerpnęło. Gdy w r. 1185 objął tron w Carogrodzie pyszny, łakomy a słaby Izaak II Anioł z rodu Komnenów, dwaj bracia z Ternowa, potomkowie starych carów bulgarskich, Piotr i Jan Asien, wywołali powstanie i stanęli na jego czele. Piotr koronował się na cara Bulgarów i *Greków*, a w Ternowie osadzono nowego arcybiskupa, niezależnego od Carogrodu. Z początku Izaakowi udało się pobić rokoszan, ale wkrótce ci wzięli górę. Nowi władcy Bulgaryi znaleźli sprzymierzeńców w dzikich Kumanach i w serbskim Nemanie, i nietylko udaremnili trzy wyprawy greckie do Bulgaryi, ale nawet podjazdami Tracyą niepokoili. Gdy r. 1189 Fryderyk Rudobrody z zastępami krzyżowemi ciągnął przez półwysep, a Grecy w lasach i wąwozach zdradziecko zasadzki mu stawiali, Bulgarowie i Serbowie witali go po przyjacielsku i nama-

wiali do uderzenia na Konstantynopol. Piotr obiecywał mu walną pomoc z warunkiem potwierdzenia tytułu carskiego i otrzymania korony greckiéj, ale Fryderyk myślał tylko o Ziemi świętéj i nie chciał zatrzymywać się w drodze.

Tymczasem w stolicy cesarstwa brat Izaaka Alexy wydziera mu berło i nieszczęśliwego monarchę z wyłupionemi oczyma wtrąca do więzienia. Alexy III, zniewieściały i rozpustny nędznik, szukał pokoju z Bulgarami, których podjazdy daleko w głąb Macedonii sięgały. Tymczasem Jan Asien I wśród zwycięzkiego zawodu swego ginie z rąk zuchwałego bojara Iwanka, we własnym pałacu w Ternowie r. 1196. Rządy objął koronowany car Piotr, człowiek spokojnego charakteru, ale niezadługo i on został zabitym. Nastąpił po nim najmłodszy brat Kalojan (także Joannicesem, lub po prostu Janem nazywany). Był to dzielny wojownik, srogi wróg Greków i znakomity polityk. Miał on wiernych sprzymierzeńców w Kumanach, z których kraju wziął nawet żonę — z nimi więc czynił srogie w ziemiach greckich najazdy i grabieże, tak że aż po samą stolicę zabiegał. Państwo Wschodnie było już tak słabe, że w pojedynczych okolicach pojawiali się wciąż zuchwali przywłaszczyciele i bezkarnie władzy cesarza urągali. W Macedonii naprzykład Iwanko, morderca Asiena, i drugi bojar, Dobromir Striez (Stratius) zdołali utworzyć sobie niezależne państewka i długo Grekom czoło stawiali. Wśród takich i tym podobnych okoliczności Kalojan, pragnąc umocnić się w swych prawach, zawiązał stosunki z papieżem Innocentym III. Przeszkadzali mu w tém Grecy i Węgrzy; królowie tych ostatnich, spowinowaceni z cesarzem Izaakiem, Kalojana za przywłaszczyciela poczytywali; ale mimo przeszkód kardynał papiezki r. 1204 koronował na *króla* Kalojana, arcybiskupa ternowskiego wyświęcił na prymasa, a innym metropolitom i biskupom palliusze i mitry doręczył. Tym sposobem stanął rodzaj unii z papieżem, co jednak miało skutki więcéj polityczne aniżeli religijne.

Przed koronacyą Kalojana zaszedł ważny dla całego półwyspu wypadek. Krzyżowcy zachodni za podnietą Wenecyan zdobyli Konstantynopol i założyli cesarstwo Łacińskie. Feudalizm zachodni rozpostarł się po ziemiach greckich, występując z niewidzianą jeszcze okazałością i przepychem. Kalojan ofiarował pomoc i przyjaźń Łacinnikom, ale cesarz Baldwin I, wstępując w prawa Komnenów, nie chciał uznawać w nim niepodległego monarchy i w niepojętém zaślepieniu przyjaźń Bulgara ze wzgardą odtrącił. Walka była nieuniknioną. Gdy Grecy burzyć się poczęli, wezwali na pomoc Kalojana, i ten z ogromném wojskiem Bulga-

rów i Kumanów nadciągnął. Pod Adryanopolem (1205 r.) stoczono straszną bitwę; zakuci w żelazo rycerze dali się wciągnąć w zasadzkę i padali pod ciosami wrogów; ledwo słabe niedobitki pod zasłoną nocy ujść zdołały. Sam cesarz Baldwin dostał się do niewoli i po kilku miesiącach umarł w niéj, jak się domyślano, gwałtownie życia pozbawiony, gdyż o jego śmierci różne chodziły pogłoski. — Wkrótce Kalojan zerwał z Grekami, a że ci po stronie Łacinników stanęli, car bulgarski, wiodąc wojnę z tymi ostatnimi, straszliwie Greków trapił. Sam Kalojan, łupieżąc i pustosząc, mawiał, że mści się tylko za zbrodnie cesarza Bazylego, i jak tego Bulgarobójcą nazywano, tak on chce na tytuł Romeobójcy zasłużyć. W tych wyprawach władca Bulgaryi r. 1207, oblegając Solun, przez zdradzieckiego Kumana z namowy królowéj w namiocie własnym śmiertelnie raniony, życie zakończył. Grecy opowiadali sobie, że wrogiego cara zabił sam św. Demetryusz, patron miasta Soluna. Odmalowany przez latopisarzy greckich w najczarniejszych barwach, dzielny ów monarcha zyskał u poddanych swych pamięć *wielkiego* i *najpobożniejszego (!?)*, i dotąd żyje we wspomnieniach ludowych.

Po śmierci Kalojana tron zajął siostrzeniec jego Boril, który dla umocnienia się na nim pojął owdowiałą królową za żonę; prawdopodobnie był on wspólnikiem w zabójstwie poprzednika swego. Boril prześladował bogomilów i wojował z cesarzem łacińskim Henrykiem, ale ten ze wszech stron przez wrogów i zuchwałych lenników naciskany, ożenił się z córką Borila, Maryą — co jednak obu stronom nie przyniosło pożytku. Syn Asiena I, Jan Asien, prawy następca tronu, wrócił z oddziałem Rusów, pobił cara, a przyjęty przez lud cały, zapanował nad ziemią bulgarską. Boril zamknął się w Ternowie, gdzie siedm lat podobno go oblegano, ale opuszczony przez stronników, uciekł; złapano go jednak i oczy mu wyłupiono.

Jan Asien II był największym z władców trzeciego państwa Bulgarskiego; za niego państwo, lubo od walk wewnętrznych osłabłe, podniosło się na niezwykły stopień rozkwitu i zyskało granice tak rozległe, jakich już późniéj nie dosięgło nigdy. A jednak nie był to podbójczy wojownik, raczéj polityk oględny, nietylko samym Bulgarom, ale nawet i Grekom miły; mnisi kronikarze wysławiają przymioty jego, a nadewszystko hojność dla kościołów i klasztorów i cześć dla duchowieństwa.

Jan Asien po wstąpieniu na tron szukał związków z sąsiadami, za żonę wziął córkę króla węgierskiego Andrzeja II, o mało nie zyskał opieki nad młodocianym cesarzem Łacińskim Baldwi-

nem II; zawiedziony jednak z téj strony, wszedł w stosunki z cesarzem Epiru Teodorem Komnenem. Stosunki przyjazne zmieniły się wkrótce, i Teodor pogwałcił umowę. Pod wsią Klokotnicą starły się hufce Asiena z daleko liczniejszą armią cesarza Epiru. Teodor pobity dostał się do niewoli, Asien zaś zagarnął większą część jego państwa i ludzkiém swém postępowaniem podbitych serca pozyskał. Państwo Bulgarskie doszło do takiéj rozległości, jakiéj nigdy przedtém ani potém już nie miało, a granice jego trzech mórz dotykały. Zwycięzki monarcha zajął się teraz upiększeniem swéj stolicy, Ternowa, opiekował się handlem, dając ważne przywileje kupcom dubrownickim, wspierał klasztory, ale zarazem nikogo z różnowierców nie prześladował. Wszedłszy w związek z cesarzem nicejskim, Janem Dukasem Vatacesem, w celu obalenia cesarstwa Łacińskiego, wydał córkę swą dziesięcioletnią Helenę za syna cesarskiego Teodora, a przytém pozyskał uroczyste mianowanie arcybiskupa ternowskiego patryarchą, co kościół bulgarski na stopie tyle upragnionéj niezależności postawiło.

Obaj sprzymierzeńcy poczęli Łacinników w Carogrodzie naciskać. Młody Baldwin udał się na Zachód żebrać pomocy, tymczasem papież usiłował Asiena odciągnąć od związku, a gdy to mu się nie udało, rzucił nań klątwę. Wkrótce car bulgarski poróżnił się z Vatacesem i znowu z papieżem szukał pojednania. Nieszczęścia domowe, które Jan Asien za karę Bożą poczytywał, skłoniły go do odnowienia sojuszu z Grekami, ale mimo to Bulgarowie pozwoli Baldwinowi przejść przez swą ziemię wraz z wojskiem, które cesarz zebrał na Zachodzie. W r. 1241 Jan Asien II życie zakończył. Spędziwszy młodość na wygnaniu, po wielu próbach i trudach objął tron z prawa mu należny, i na nim potrafił i granice państwa rozszerzyć, i kraj do kwitnącego przyprowadzić stanu, i wreszcie cieszyć się poważaniem ze strony sąsiadów. Jak niejednemu wielkiemu władcy, tak i jemu losy dały niegodnych następców, co zmarnowali owoc trudów ojcowskich.

Po Asienie II wstąpił na tron dziewięcioletni synek jego, Kaliman I. Za jego panowania kraj ucierpiał wiele od Tatarów, którzy z Chorwacyi przez Bulgaryą na stepy południowo-ruskie wracali. Barbarzyńcy owi jeszcze za życia Jana Asiena w równinach naddunajskich roznosili postrach i spustoszenie. Wypłoszeni ze swych siedzib Kumanowie w znacznéj części do Bulgaryi uciekli i tutaj osiedli. — R. 1246 umarł Kaliman I, a Vataces korzystając z tego zabrał należące do nieboszczyka ziemie w Tracyi i Macedonii. Następcą Kalimana był Michał Asien, pod opieką matki

swéj Ireny Greczynki, która pokój z Vatacesem zawarła. Po śmierci Vatacesa (r. 1254) Michał rzucił się na stracone ziemie i odebrał je, ale nowy cesarz nicejski Teodor II Laskarys potrafił ziemie owe po raz drugi wyrwać z rąk cara i trzyletni rozlew krwi żadnego nie przyniósł rezultatu.

R. 1257 Michał zginął z ręki brata stryjecznego, Kalimana II. Stefan Urosz serbski, teść Michała, wystąpił w obronie swéj owdowiałéj córki, a Kalimana już przedtém gdzieś marnie ze świata sprzątnięto. Na mordercy owym wygasła dynastya Asienowiczów, odnowicieli państwa, któremu już tylko niecałe półtora wieku istnienia pozostawało. W niewoli bizantyjskiéj naród nasiąkł zepsuciem greckiém, a w długoletnich walkach, w sojuszu z barbarzyńskimi Kumanami prowadzonych, zdziczał do reszty. Lud rolniczy wpadł w poddaństwo szlachty i duchowieństwa, a bojarowie wobec własnego interesu całkiem o dobro państwa nie dbali. Od śmierci Kalimana II rozpoczyna się długi okres zamieszek i przewrotów, których szczegóły mogłyby znużyć czytelnika. Ograniczymy się na ważniejszych jedynie faktach.

Obrany carem po Kalimanie Konstanty (1258—1277) był wnukiem Stefana Nemanii serbskiego, po kądzieli zapewne. Lubo dzielny i rozumny, był tylko igraszką intryg. Za niego upadło cesarstwo Łacińskie. Przy końcu panowania Konstantyna zjawił się samozwańczy hajduk Iwajło, który pozyskał sobie wielu zwolenników, pobił cara, a gdy ten po klęsce zabity został, wszedł z wojskiem swém do Ternowa, pojął za żonę owdowiałą królową i koronować się kazał. Cesarz Michał Paleolog popierał drugiego cara Jana Asiena III, z rodem Asienowiczów spokrewnionego. Obu pretendentów usunął bojar Jerzy Tertery, z rodziny kumańskiéj pochodzący, i ten koronowany na cara dał początek energicznéj dynastyi Terterowiczów. I były hajduk i przeciwnik jego szukali pomocy u chana tatarskiego Nogaja. Nogaj przyjął obudwu, brał od nich dary, obiecywał swe poparcie, a obaj pretendenci włóczyli się za nim po stepach! Jednego razu chan, upiwszy się przy uczcie, ni ztąd ni z owąd kazał Iwajłowi gardło poderznąć; Jan Asien ledwo podobnego losu uniknął. — W r. 1285 Tatarzy wtargnęli do Bulgaryi, Tetery nie miał siły oprzeć się ich naciskowi, usiłował więc pozyskać ich sobie dobrym sposobem i córkę swą wydał za syna Nogajowego. I to na niewiele się zdało: Tetery musiał z kraju uciekać, a chan carem mianował bojara Smilca, włożywszy nań obowiązek płacenia haraczu. W Bdynie czyli Widynie założył niepodległe państwo bojar Szyszman, korzystając z nieładu, jaki powstał w skutek najazdu tatarskie-

go; był to praojciec nowéj a ostatniej dynastyi monarchów bulgarskich. Panowanie Smilca ledwie rok trwało; 1293 po śmierci Nogaja, syn tegoż Czoki wyparł Smilca i jako zięć Teterego rościł sobie prawo do tronu przy pomocy szwagra swego Teodora Świętosława. Świętosław, syn Teterego, wkrótce zdradnie uwięził i udusić kazał nienawistnego Tatara i kraj cały od najezdników wyzwolił. Panował lat 28 (1295—1322), broniąc się szczęśliwie Bizantyjczykom; ci bowiem z niechęcią patrzali na ustalenie się jakiegoś ładu w sąsiedniém, a wrogiém sobie państwie i knować intryg i popierać pretendentów nie przestawali, aż wreszcie przy końcu rządów Świętosława kraj swobodnie odetchnął. Tymczasem w Azyi powstała nowa potęga, która miała z czasem ugiąć pod wspólne jarzmo niewoli wszystkie te ludy chrześciańskie, co marnowały siły swe na swarach i zapasach bez końca i nawet w przeddzień zguby nie zdobyły się na to, by podać sobie ręce ku wspólnéj obronie. Wkońcu XIII-go wieku w Azyi drobna horda turecka przybyła z Chorasanu pomagać pobratymczym Seldżukom w bojach z Grekami. W krótce nowa horda pozbyła się zwierzchnictwa upadłych już wewnętrznie Seldżuków i Osman syn Ertogrula na klassycznych niwach małoazyjskich założył nowe państwo Turków-Osmanów, prowadząc do zwycięztw i grabieży zastępy bitne, karne, chciwe sławy i wielkości plemiennéj, a nadto fanatyzmem religijnym przejęte do głębi. Grecy słabo i niepewnie wiedli walkę z przybyszami; w bojach tych niejeden junak bulgarski brał udział, dokazując cudów osobitéj waleczności, niepopartych, niestety, przez męztwo i dzielność tłumu.

Na synu Świętosława, Jerzym Terterym II-gim, który po roku panowania umarł bezdzietnie (1323 r.), wygasła dynastya Terterowiczów. Wśród powstałéj z tego powodu anarchii bojarowie obrali carem Michała, despotę bdyńskiego z dynastyi Szyszmanowiczów, zięcia serbskiego króla Milutyna (1323 — 1330). Około tego czasu w Konstantynopolu wrzała walka dwóch Androników, dziada i wnuka; Bulgarowie i Serbowie mieszali się do tych zapasów stosownie do tego, po któréj stronie własną korzyść upatrywali. Michał, uspokoiwszy się ze strony domowych nieprzyjaciół, zawarł sojusz z Andronikiem młodszym, a oddaliwszy pierwszą swą żonę, pojął wdowę po Świętosławie, siostrę Andronikową. Stefan Urosz III serbski, brat nieszczęśliwéj małżonki, rozgniewany postępkiem szwagra, stanął po stronie Andronika. Chytry Michał niezbyt szczerze popierał swego sprzymierzeńca i tajemnie ze starym Andronikiem wszedł w układy, zamyślając przytém podstępnie opa-

nować stolicę. Niewiele brakowało, by to, co było celem wysiłków i marzeń Kruma, Symeona i Jana Asiena II, nie wpadło w ręce śmiałego i awanturniczego Michała. Drużyna bulgarska, niby popierając starego cesarza, weszła była do pałacu, ale Grecy przeniknęli zamysły bulgarskie i podstęp się nie udał. Niezadługo Andronik młodszy z nienacka wpadł do Carogrodu, dziada swego osadził w klasztorze i zajął tron cesarski. Dla Bulgarów owocem całym była nieszczęsna walka z pobratymczymi Serbami. Michał, marzący o podboju Serbii i w tym celu sprzymierzony z Grekami, Rumunami i Tatarami, w sile 15,000 mężów wyciągnął w pole. W strasznéj bitwie, *jednéj z największych, które Słowianie ze Słowianami stoczyli* (jak mówi Tireczek 1), Serbowie świetne odnieśli zwycięztwo i Michał żywot postradał, Bojarowie bulgarscy oczekiwali, że Stefan państwo ich ze swemi dzierżawami połączy, ale król Serbski nie odważył się na to i zadowolił się jedynie osadzeniem na tronie wygnanéj siostry swéj wraz z jéj synem Stefanem Szyszmanem II.

I całego roku nawet nie pobył na tronie młodociany monarcha; niezadowoleni bojarowie podnieśli rokosz, car z matką swą musiał uciekać, i na wygnaniu po wielu latach i przygodach życie zakończyli. Rokoszanie obrali carem synowca Michałowego, Jana Alexandra (1331—1365). W tymże roku (1331) na tronie serbskim zasiadł Stefan Duszan, najznakomitszy z królów serbskich; przez całe panowanie odgrywał on najważniejszą rolę na całym półwyspie. Alexander bulgarski nie zaniedbał sprzymierzyć się z Duszanem, oddając mu rękę swéj siostry Heleny, a że przytém sam był zięciem Bassaraby księcia Rumuńskiego, więc trzéj spokrewnieni z sobą monarchowie zawiązali koalicyą, głównie przeciwko Grekom skierowaną. Nie będziemy opowiadali szczegółowo wypadków za panowania Jana Alexandra, główną rolę odegrał tu Stefan Duszan. Bulgarya zaś zeszła na drugi plan, jéj władca ustawicznie przechodził na inną ze stron na półwyspie walczących, a tymczasem Duszan rósł w potęgę, i w r. 1346 kazał się koronować na cara *Serbów i Greków* i ustanowił osobny patryarchat serbski. Wśród rozterek i zapasów na półwyspie, które obracały się koło walki o tron pomiędzy Paleologami i Kantakuzenem, Duszan dokonał trzynastu pochodów przeciwko Grekom już to jako sprzymierzeniec, już jako przeciwnik Kantakuzena, nakoniec postanowił sam pochwycić koronę Konstantynową, gdy r. 1356 w pochodzie ku Carogrodowi

(1) Diejiny naroda bulharskeho, str. 255.

życie zakończył. Po jego śmierci za rządów słabego syna Urosza rozterki wewnętrzne strąciły Serbią ze stopnia, na którym ją Duszan postawił, i przygotowały upadek.

Jan Alexander umarł r. 1365. Wojny, których wiele za życia prowadził, nie przyniosły państwu ani sławy, ani korzyści, a stan wewnętrzny kraju był zaiste opłakany, herezye się mnożyły, prócz bogomilów, pojawili się hesychaści, adamici (1) i jeszcze inni, a tymczasem r. 1353 najstraszniejszy wróg chrześciaństwa Turek stanął jedną nogą na stałym lądzie Europy. Turkom sami chrześcianie utorowali drogę, wiecznemi swarami między sobą, a zaślepienie było tak straszne, iż w zapasach o tron i Paleologowie i Kantakuzen pomocy przyszych swych katów wzywali. Chwila ostatecznego upadku dla państw chrześciańskich na półwyspie zbliżała się szybkim krokiem, a ludy i władcy, niby pozbawieni rozumu, ostatek sił w drobnych wyczerpywali rozterkach, staczając się sami w przepaść ostatecznéj zaguby. Zaiste r. 1353, rok zdobycia przez Turków małego zamku w Europie, był już początkiem nieuniknionego upadku dla państw półwyspu Bałkańskiego.

R. 1365 umarł Jan Alexander. Państwo swoje oddał młodszemu synowi Janowi Szyszmanowi III, którego, miał z drugiéj żony, wychrzczonéj Żydówki. Starszy syn Jan Stracimir, urodzony z Rumunki, dostał Bdyń (Widin), kolebkę rodu Szyszmanowiczów. Obaj bracia serdeczną ku sobie pałali nienawiścią. Prócz nich był trzeci jeszcze władca w Bulgaryi, despota Dobroticz, panujący nad morzem Czarném. Tym sposobem nieszczęśliwe państwo rozdarte zostało na trzy części w chwili gdy najwięcéj potrzeba było jedności; Turcy bowiem poczęli kosztem Bulgarów robić zabory w Europie. R. 1365 sułtan Amurat stolicę swą przeniósł z Brussy do Adryanopola, i w tém mieście, które jako najważniejsze stanowisko tyle razy Bulgarowie i Grecy z rąk sobie wzajemnie wydzierali, zasiadł samowładny pan ślepo mu oddanych zastępów, na wsze strony roznoszących zagubę. Szyszmanowi Turcy brali miasto za miastem, i car bulgarski został wkrótce wassalem sułtańskim, zobowiązał się do dawania mu pomocy, a nadto musiał siostrę, pobożną Tamarę,

(1) Sekta hesychastów powstała między mnichami na górze Athos; zwolennicy jéj w ciemnéj celi zamknięci, wpatrywali się we własny pępek i to miało ich niewysłowioną przejmować rozkoszą. Adamityzm krzewili także mnisi, biegając nago po wsiach i miastach i opowiadając, że małżeństwo jest rzeczą niepotrzebną. Zwolennicy téj sekty uciekali w góry i lasy, i tam, chodząc nago, dopuszczali się niezliczonych wszeteczeństw. Inny, temuż podobny adamityzm wynurzył się w Czechach w wojnach husyckich.

oddać do haremu Amurata. Nieszczęsna ofiara w haremie nawet zachowywała wiarę swoją, a pamięć jéj żyje w pieśni ludowéj.

Z drugiéj strony Węgrzy naciskali państwo Stracimira. Ludwik, król polski i węgierski, zdobył Bdyń roku 1365 i cara wziął do niewoli. Król węgierski, gorliwy katolik zabrał się do nawracania nowych poddanych, a przy pomocy ośmiu franciszkanów z Bośnii w krótkim czasie około 200,000 ludu katolikami uczynił. Po pięciu latach Szyszman w połączeniu ze szwagrem swym Władysławem wołoskim wypędził Węgrów i Stracimirowi dział jego powrócił. Początki katolicyzmu poszły w niwecz, pięciu franciszkanów śmierć męczeńską poniosło, a lud do Wschodniego kościoła powrócił.

W Carogrodzie tymczasem trzy stronnictwa: słowiańskie, zachodnie i tureckie (!) borykały się z sobą. Cesarz Jan Paleolog za pośrednictwem duchowieństwa pogodził się z Serbami i udał się w podróż na zachód, żebrząc przeciwko Turkom pomocy. Serbski król Wukaszyn, zabójca ostatniego z Niemaniczów, Urosza III, postanowił barbarzyńców tych wypędzić z Europy i z 60,000 wojska wyruszył w pole. Turcy w liczbie 4,000 pod zasłoną nocy uderzyli nad rzeką Marycą na wroga i zadali mu straszną klęskę (r. 1371). Wukaszyn, kilku napół niepodległych despotów, wielu bojarów i mnóstwo ludu zginęli w boju. Straszna porażka Serbów nie otworzyła oczu zaślepionym Grekom; w stolicy wybuchły rozterki w rodzinie cesarskiéj, jakby umyślnie los chciał nieszczęsnym szaleńcom do reszty rozum odebrać.

I bulgarskich carów groźba niebezpieczeństwa także rozumu nie nauczyła i nie pogodziła z sobą. Stracimir przez nienawiść do Szyszmana oderwał się od patryarchy Ternowskiego i poddał się zwierzchnictwu Carogrodzkiego patryarchy.

Rozumniéj poczynali sobie inni Słowianie. Serbowie, Bośniacy i Chorwaci za podnietą króla Bośnii Stefana Twèrdka zawarli z sobą sojusz dla wspólnéj przeciwko Turkom i Węgrom obrony. Namawiano do tego związku i Szyszmana, ale ten obawiał się jawnie zrywać z sułtanem. Pod Plocznikiem nad rzeką Toplicą związkowi w liczbie 30,000 pobili dwudziestotysięczne wojsko tureckie. To pierwsze, ale zarazem ostatnie konfederacyi południowo-słowiańskiéj zwycięztwo cały półwysep niesłychaną napełniło radością. Szyszman ośmielony jawnie przystąpił do związku. Sułtan srogą pomstę gotował i przez rok cały zbroił się w Azyi i w Europie.

R. 1388 Ali-basza wtargnął do Bulgaryi. Po słabym oporze wziął Tèrnowo i przyjścia sułtanowego oczekiwał. Szyszman, upa-

dły na duchu, upokorzył się, zobowiązał do płacenia dani i posłuszeństwa. W tym czasie, jeśli nie wcześniéj jeszcze Stracimir poddał się Turkom. Po ugięciu Bulgarów, najezdnicy poszli daléj. Na Kosowém polu, w staréj Serbii, zetknęły się oba wojska. Z jednéj strony stali Serbowie pod dzielnym i pobożnym księciem Lazarem, Bośniacy pod wojewodą Wladkiem Hraniczem, Chorwaci pod wodzą bana Iwana Horwata, zbiegowie bulgarscy, Rumuni i wielu możnych Arbanasów, z drugiéj strony Turcy, wojska mahometańskich książąt z Małéj Azyi, wassal turecki Konstantyn macedoński, chrześcianin, a może i drugi wassal Marko królewicz Rano przed bitwą Amurat padł w namiocie własnym z ręki Miłosza Obylicza, syn jego więc Bajazet, przezwany *błyskawicą*, powiódł zastępy do boju 15 Czerwca 1389 r. Walka była zacięta, zwycięztwo zdawało się chylić na stronę Serbów, gdy wtém karta się odwróciła i Turcy wzięli górę. Z chrześcian mało kto uszedł z bojowiska, Lazar został ścięty jako jeniec. Bitwa ta rozstrzygnęła los Słowian na półwyspie Bałkańskim, chociaż Zachód poczytywał ją za zwycięztwo chrześciańskie. Słaby syn Lazara, Stefan, ugiął kark pod jarzmo, zobowiązał się do płacenia daniny, dawania posiłków wojennych, składania corocznego hołdu, a na zatwierdzenie pokoju musiał własną siostrę dać za żonę Bajazetowi.

Teraz przyszła koléj na zupełną Bulgaryi zagładę. Rozgniewany jakiemiś Szyszmana z Zygmuntem węgierskim rokowaniami sułtan, uderzył na Tèrnowo r. 1393. Trzy miesiące trwało oblężenie, w końcu wzięto miasto szturmem. W Tèrnowie w nieobecności Szyszmana pierwszą osobą był patryarcha Euthymiusz. Wśród powszechnego zamieszania święty mąż wystąpił przed sułtanem, prosząc o łaskę dla zwyciężonych. Bajazet ze czcią przyjął patryarchę i poniekąd spełnił jego prośbę, z tém wszystkiém spustoszenie było straszliwe. Kościół patryarszy Wniebowzięcia zamieniono na meczet, w innych świątyniach założono łaźnie lub stajnie. Pałace carskie na górze Carewcu stały się pastwą płomieni.

Bajazet wyszedł z miasta, pozostawiwszy w niém wielkorządcę swego. Ten, obawiając się powstania, zwołał do jednego kościoła możniejszych mieszczan i bojarów, i wszystkich wyrznąć rozkazał. Sto dziesięciu mężów poniosło męczeństwo, żaden o łaskę nie prosił. Patryarchę wywleczono już na śmierć, ale zachowano mu życie—legenda mówi, że cudem ręka kata zatrzymaną została.—Niezadługo przyszedł rozkaz Bajazeta, aby wszystkich mieszkańców, odznaczających się albo rodem, albo bogactwem, lub wreszcie urodą przesiedlić do Małéj Azyi, zarazem Euthymiusza wypędzono do

Macedonii, gdzie umarł ostatni patryarcha ternowski, po śmierci do rzędu świętych zaliczony. Kościół bulgarski znowu Konstantynopolowi podlegać zaczął.

Jaki los spotkał ostatniego cara Jana Szyszmana, nic pewnego nie wiemy. Z niezgodnych świadectw dziejowych okazuje się, iż wzięty do niewoli, w niéj życie postradał. Syn jego Aleksander przyjęciem Islamu żywot ocalił. Podania ludowe nie chcą zgodzić się z nędznym końcem nieszczęśliwego, ale i nierozsądnego władcy, i każą mu ginąć w mężnéj kraju obronie. Również los Stracimira mgła niepewności pokrywa; to tylko pewna, iż Bdyń dostał się w ręce Turków. Państwo Symeona, Samuela i Jana Asiena, stało się nędzną prowincyą nowéj monarchii, na całkiem odmiennych niż reszta Europy urządzonéj podstawach, stało się ziemią ucisku i gwałtu, bezsilną ofiarą stopami dzikiego zdobywcy przez tyle wieków aż do dnia dzisiejszego deptaną.

V.

Wewnętrzny stan Bulgaryi w dobie niepodległości.

Minęły już niepowrotnie owe czasy, gdy księgi dziejów zadawalały się jedynie opowieścią politycznych zdarzeń narodu, jak gdyby prócz czynów orężnych, imion monarchów i wodzów, w przeszłości nic więcéj godnego pamięci nie było. Dzisiaj obraz wewnętrznego stanu narodu, jego urządzeń społecznych, praw, obyczajów, a wreszcie literatury i sztuki stanowi konieczne dopełnienie spisu wojen, bitew, traktatów—i ten ostatni dopiero w połączeniu z pierwszym może złożyć właściwy obraz dziejowy. Z tego powodu, odłożywszy wszelako dzieje literatury do osobnego artykułu, w obecnym rozdziale czujemy się w obowiązku dać rys stanu społeczno-obyczajowego Słowian bulgarskich, takiż sam rys zdobywców, Bulgarów turańskich, a nadto okazać, jaki z tych dwu żywiołów pod wpływem obcych pierwiastków powstał wewnętrzny ustrój państwa w epoce największego rozwoju.

Źródła bizantyjskie, lubo nie dają nam tak dokładnego, jakbyśmy sobie może życzyli, pojęcia o Słowianach bulgarskich, jednakże dość jasne stosunkowo rzucają na nich światło. Ze świadectw owych, przy pomocy innych, niemieckich, arabskich, starano się wyciągać wnioski odnoszące się do całego plemienia słowiańskiego; jednakże wszystko to, co Prokopiusz, cesarze Maurycy, Leon Filozof, Konstantyn Porfirogeneta mówią o Słowianach

w ogóle, głównie do Słowian bulgarskich, jako im najbliższych a zatém najlepiéj znanych odnieść należy. Ogólny charakter plemienia pisarze ci wcale w dobrém przedstawiają świetle; podług nich był to lud zamiłowany w pokoju, pracowity i dobroduszny, próżny złości i podstępu, do starych obyczajów przywiązany i namiętnie zajęcia rolnicze lubiący. Obok rolnictwa oddawali się i handlowi, a póki rozwój marynarki miast włoskich nie dał im możności pochwycenia w swe ręce całego handlu Zachodu ze Wschodem, główne szlaki tego handlu szły przez ziemie słowiańskie i Słowianie pod tym względem ważną odgrywali rolę. Przy zajęciu rolniczém musiał Słowianin zżyć się z przyrodą, na którą nie poglądał okiem zimnego spostrzegacza, owszem z ciepłem serdecznem na nią patrzał przez pryzmat swéj ognistéj, twórczéj fantazyi, ztąd przyroda była mu niewyczerpaném źródłem mitów i poetycznych uniesień. Prostoduszny, nieskażony lud odznaczał się słodyczą serca, co się odbijało w obejściu z obcymi, w gościnności, jednozgodnie przez wszystkich cudzoziemców do dziś dnia wysławianéj. „Są... tak łaskawi," mówi cesarz Maurycy (1), „na podróżnych i z tak rzadką troskliwością o to dbają, aby ich cało i bezpiecznie z miejsca na miejsce, dokąd im iść potrzeba, przeprowadzić, iż jeśli przez opieszałość tego, komu pieczę nad nimi poruczono, szkoda jaka podróżnym się wydarzy, natenczas sąsiad niedbałego przewodnika zbrojno dom mu najeżdża, uważając sobie za cnotę, pomścić w ten sposób obcego podróżnika."

Jeszcze więcéj zaszczytu przynosi im świadectwo Leona Filozofa co do obchodzenia się z jeńcami, których do czasu tylko w niewoli trzymali, pozwalając im późniéj albo wracać do swoich za okupem, albo też osiadać w pośród nich samych na równych z innymi prawach. Jakże ów rys pięknie odbija przy wyłupianiu oczu jeńcom przez chrześciańskiego cesarza Bazylego, lub też przy strasznych ciemnicach na Zachodzie, gdzie jęczeli, a często marli głodową śmiercią brańcy feudalnego rycerstwa. Dobrzy dla obcych, Słowianie niemniéj dobroci i swoim okazywali; starcy, chorzy, ubodzy czułéj doznawali pieczołowitości, a kobieta, gdzieindziéj niewolnica prawie, niemałym stopniem niezależności się cieszyła. Nawet nieraz brały niewiasty udział w walkach, między innemi bowiem Theophanes, kontynuator Prokopiusza, wspomina, iż po bitwie na pobojowisku trupy niewieście znajdowano. Wielożeństwo, owo źródło niewoli kobiecéj, lubo dozwolone, zjawia się

(1) Strategicon XI, 5.

tylko jako wyjątek; ztąd niedziw, że Leon Filozof i inni mogą wychwalać wstydliwość i wierność małżeńską niewiast słowiańskich.

Jeszcze jeden nadzwyczaj ważny rys podają zgodnie źródła, mianowicie niesłychane poczucie wolności, w obec któréj wszystko inne, śmierć nawet, lekce sobie ważyli. Z tego poczucia płynął cały ustrój ich społeczny, świetny pod wielu względami, ale zaiste szkodliwy, jak na owe czasy, gdy ciągłe zachodziły starcia z obcemi narodami, przedstawiającemi silne i dobrze uorganizowane całości. Słowianie Bulgarscy w początkach swego wystąpienia, podobnie jak całe ich plemię, byli narodem w najwyższym stopniu *demokratycznym* i *republikańskim;* tylko podbój lub nieodzowna konieczność, zmuszały ich do przyznania nad sobą jednostkowéj władzy najwyższéj. Podstawą społecznego urządzenia Słowian był ród, żyjący we wspólności majątkowéj pod *wodzą i rządami*, a nie *zwierzchnictwem* obranego przez członków starosty. Forma ta żyje do dziś dnia w południowo-słowiańskich *zadrugach.* Rody rozrastały się z czasem w plemiona, a te tak wielce niepodległość swoję ceniły, iż wiele potrzeba było czasu i sprzyjających okoliczności, by z tych pojedynczych plemion jednostki narodowe się tworzyły. Tę narodową jedność Słowianie w Bulgaryi zawdzięczali jedynie podbojowi obcemu. Pierwotnie u Słowian wszyscy byli równi między sobą; jasna rzecz, że podobny stan utrzymać się nie mógł że ludzie odznaczający się osobistemi przymiotami, albo majątkiem, musieli zawsze brać górę nad innymi i większém cieszyć się znaczeniem, zawsze jednak równość była zasadą, uświęconą prawem i zwyczajem w społeczności słowiańskiéj.

Wszystkie powyżéj wymienione przymioty i zalety słowiańskiego plemienia w ogólności, a w szczególności Słowian bulgar, skich szpeciła niezgoda, brak jedności, źródło nieszczęść i klęsk niezliczonych. Na dzielności i męztwie im nie zbywało, ale pociąg do spokoju nie dozwalał im trwać długo w śmiałych przedsięwzięciach wojowniczych i zaborczych, a ztąd w owych wiekach krwi i żelaza nie odegrali w dziejach świata téj roli, która do dziś-dnia podziw ludzki obudza. Zaiste działalność Słowian w historyi dopiero wtedy należycie zostanie oceniona, gdy zniknie do reszty cześć dla brutalnéj siły, i ludzie, przestawszy bić ślepo czołem powodzeniu, nie sam namacalny rezultat cenić będą.

O religii pogańskiéj Słowian bulgarskich rozwodzić się nie będziemy; nauka, pomimo wielu pojedynczych studyów, jest dopiero na drodze powolnéj odbudowy mitów słowiańskich z drobnych okruchów, jakie pracowicie i starannie ze źródeł historycznych

i podań ludowych się dobywają. Niewątpliwie religia ta, jak u całego plemienia, polegała na czci sił przyrody, uosobionych i pod wpływem fantazyjnéj twórczości przerobionych na żywe postacie. Pojęcia mitologiczne owe nie stanowiły jeszcze zamkniętego systematu, bo ten wytwarza dopiero analiza i synteza naukowa, obca zresztą wierze ludowéj; były one raczéj szeregiem mitów, tworzących się i przeradzających nieustannie, aż w końcu chrześciaństwo wypędziło stare bogi z raju, a te ledwie pod grubą pokrywą w świecie podań i przesądów ukryć się zdołały. Podniesiemy więc tylko niektóre szczegóły, ważne dla objaśnienia pewnych stron życia narodu. Prokopiusz oraz inni pisarze mówią o wierze u Słowian w jedno najwyższe bóstwo, Boga bogów, które to bóstwo jako uosobienie słońca raczéj naczelném, niż zwierzchniczém nam się wydaje. W religii téj grała także ważną rolę cześć dla Czernoboga, bóstwa ciemności i złego, i ten pogański dualizm niewątpliwie utorował drogę dualizmowi bogomilów. Ważną rzeczą także był brak oddzielnéj hierarchii kapłańskiéj, a wreszcie i to, iż ofiar z ludzi Słowianie bulgarscy nie składali.

Z takiemi danemi występują Słowianie do działalności historycznéj, aby przyjąć i strawić w sobie wiele obcych żywiołów. Wielka musiała być siła wewnętrzna obyczaju i charakteru słowiańskiego, gdy ani warstwa dzikich najezdników azyatyckich, ani demoralizujący wpływ zgnilizny bizantyjskiéj, ani pięcio-wiekowe jarzmo tureckie, nie zdołały przerodzić go do tego stopnia, by swe zasadnicze znamiona utracił.

Z zupełnie innemi cechami przyszli turańscy Bulgarowie do ziem naddunajskich. Był to naród dziki, wojowniczy, żyjący bojami i grabieżą. Męztwo i porządek bojowy stanowiły najświętsze każdego Bulgara obowiązki; srodze karano tych, co z bitwy uciekali, lub okazywali nieposłuszeństwo dowódzcy rozkazom. Przed pochodem wysłaniec chana robił przegląd broni i oręża, a kto chybił w czémkolwiek przeciw ustanowionemu porządkowi, gardło dać musiał. W ogóle sądy, prawa i kary barbarzyński miały charakter. Srogiemi męczarniami zmuszano winnych do wyznania prawdy, a kary śmierci nie skąpiono wcale—rokoszan zabijano z całemi rodzinami.

Pogańscy Bulgarowie najmniéj po dwie żony miewali; haremy książąt bywały liczne i wszędzie im towarzyszyły. Kobiety zakrywały twarz po azyatycku zasłonami, a również jak i mężczyzni w szerokich chodziły nogawicach. Mężczyzni golili głowy i turbanami je pokrywali. Był to naród niesłychanie zabobonny, nosił amulety, zwierzęta i ptaki za nieczyste poczytywał,

a nadto jadał tylko mięso zwierzęcia sieczną bronią z wylaniem krwi zabitego. Przed bitwą radzono się wróżb, uważano, czy dzień był szczęśliwy, nadto wykonywano przeróżne czary, jak to w historyi Kruma widzieliśmy.

Urządzenia państwowe miały u Bulgarów uralskich charakter wschodniego despotyzmu z dodatkiem arystokracyi. Chan czyli książę czci niemałéj używał; przy ucztach siedział zwykle sam jeden. Obok księcia stała rada, z sześciu panów złożona. Ciekawa jest etykieta, w skutek któréj poseł bizantyjski, przybywszy na dwór, przedewszystkiém pytał o zdrowie księcia, żony i dzieci jego, potém przechodził do zdrowia *bulias tarchana* i *konartikina*, daléj sześciu bojarów, potém następowało zdrowie pozostałych bojarów, wielkich i małych, a wreszcie prostego ludu. To zapytywanie o zdrowie obcych, z całą litanią jego rodziny, krewnych i przyjaciół, przy ścisłém stopniowaniu, jest i dzisiejszym Turkom właściwém.

Ostro trzymał chan bulgarski swoich poddanych. Podług pisarzy arabskich kraj cały był płotem z cierni ogrodzony i przez liczne pilnowany straże, a ktoby chciał się z kraju wydostać, schwytany, śmiercią zamysł swój przypłacał.

O pogańskiéj religii Bulgarów nic bliższego nie wiemy. Wiara mahometańska szybko przyjęła się u hord pozostałych nad Wołgą, a krzewiciele islamu i do państwa Asparuchowego trafili.

Jaki był z początku stosunek przybyszów do Słowian, o tém żadnych nie posiadamy wiadomości,—wszelako, sądząc z charakteru zdobywców i z wyrażenia kroniki Nestora (1), nielekkie musiało być to jarzmo, lubo, jak się zdaje, z naczelnikami słowiańskimi Bulgarowie żyli w przyjaźni. W czasie pokoju z Grekami, jak mówi Arab Massudi, pacholęta i dziewice słowiańskie do Carogrodu na targowiska przyprowadzali. Bardzo być może, iż oni to zaprowadzili w podbitéj ziemi podległość ludu rolniczego, o któréj już przy końcu IX wieku znajdujemy wzmiankę. Przynajmniéj niewola osobista u Bulgarów wcześniéj, niż u pozostałych Słowian się pojawia.

W dwa stulecia po podboju, zdobywcy i podbici w jednę nierozdzielną zlali się całość. Słowianie, silniejsi i liczebnie i moralnie wzięli górę tak, że obyczaj przybyszów zginął prawie bez śladu. Język ich przebrzmiał bez echa, przyjęli mowę podbitych

---

(1) Bołgare i siedosza po Dunajewi i *nasilnici* Słowienom bysza. Nestor cap. VIII.

i ani słóweczka z dawnéj swéj nie zachowali, a nawet język ten zawsze w dawnych czasach tylko *słowiańskim* się nazywał. Jedynie narzucili imię swe podbitym, i nazwa Bulgarów, państwowa z początku, wkrótce dla obu plemion, a raczéj dla jednego z nich zlewku i narodowe znaczenie pozyskała.

Przejdźmy obecnie do wewnętrznego stanu państwa, które ze zlania się tych dwu żywiołów powstało (1). Bierzemy epokę największego rozwoju, epokę trzeciego carstwa bulgarskiego. Za Jana Asiena II-go dosięgało ono największéj w dziejach swych rozległości; chyba chwilowo za powodzenia oręża Samuela granice jego daléj zachodziły. Zabory wielkiego i mądrego monarchy stracili następcy. Na północ stałą granicą państwa był Dunaj, na wschód fale morza Czarnego. Południowa i zachodnia granica zmieniała się ustawicznie zabiegając niekiedy daleko w głąb Tracyi, Macedonii, Tessalii i dzisiejszéj Albanii. Państwa bulgarskie nazywało się *dèržawa* i dzieliło się na żupy, które zwano *oblasti*, albo z grecka *chory*. Miało ono gęstą ludność, gęstszą nawet od dzisiejszéj. Na téj przestrzeni różnorodna narodowość mieszkała. Przewaga była po stronie Słowian bulgarskich; w ogóle na całym półwyspie najliczniéj przedstawiała się narodowość słowiańska, ta wszelako jeszcze przed najazdem tureckim wiele ziemi straciła. Od połowy X wieku rozpoczęła się hellenizacya plemion słowiańskich, które w Grecyi środkowéj i w Peloponezie osiadły. W Albanii, w Epirze doliny zajęte były przez Bulgarów i Serbów; tu jak wiadomo, koło jeziora Ochrydzkiego, było ognisko państwa Samuela i Jana Władysława, i w górach albańskich zakończyła się walka z Bazylim Bulgarobójcą. Po górach siedzieli Szkipetarowie (Arbanasowie) i Wołosi; ci pierwsi, potomkowie starożytnych Illirów, żyjąc w niedostępnych górach, jako nawpół dzicy pasterze pod wodzą rodowych wojewodów, łupieżczemi podjazdami niepokoili Słowian w dolinach. Z czasem, w XIII i XIV wieku, posuwali się jako zaborcy w doliny i podbijali Słowian, przyjmując jednak od nich prawa i obyczaje, a nadto wiele słów i wyrażeń. W wieku XIV zaczęli na południe po spustoszonéj Helladzie się rozlewać. Po przyjściu Turków Arbanasowie długo pod wodzą Jerzego Kastrioty Skanderbega, Słowianina z rodu, najezdcom czoło stawiali, a potém pokonani, stali się podporą sułtańskiego tronu. Zarówno patryotyzm, jak i religijność ich na słabych stały

(1) Obraz ten możemy skreślić dzięki szczegółom, pracowicie ze źródeł i dyplomatów przez Tireczka (Diejiny naroda bulharského str. 332—376) nagromadzonym.

podstawach; ciągle chwiali się pomiędzy wschodnim i zachodnim kościołem, a potém i wiara Mahometa łatwo się między nimi przyjmowała. Dzisiaj Arbanas katolik powiada: „Bóg Mahometa również jest wielki“, a Arbanas mahometanin z modłami o wyzdrowienie do świętych relikwii pielgrzymuje. U Luryanów podobno mąż mahometanin jada mięso baranie, a żona chrześcianka wieprzowinę, z jednego garnka oboje (1).

Po Bulgaryi, równie jak na całym półwyspie pełno było wszędzie Rumunów czyli Wołochów, *Wlachami* po staroslowiańsku nazywanych—w nowszych czasach Serbowie i Bulgarowie mianują ich jeszcze Cincarami. Ci potomkowie zromanizowanych Trako-Illirów rozsypani byli po całym Półwyspie — i dziś Cincara wszędzie w Turcyi europejskiéj znaleźć można. Byli oni ludem koczowniczym, pasterskim, grubych obyczajów i gwałtownego charakteru—na wysokich górach pasali konie, owce i kozy, a na zimę schodzili w doliny i za pieniądze zimowali u mieszkańców w dolinach. Czasami zajmowali się handlem i karawanami, chodzili po sól do Dubrownika i Kotoru. Wątpliwą bardzo jest rzeczą, czy Rumuni dzisiejszą swą ojczyznę od prawieków zajmowali; bardzo prawdopodobną wydaje się raczéj, iż równiny na północ niższego Dunaju, Mołdawią i Wołoszczyznę, oraz południowy Siedmiogród zajmowali Słowianie, a nadto koczowały tu hordy Węgrów, Pieczyngów i Kumanów. Z czasem pasterze rumuńscy, przechodząc za Dunaj osiadali pomiędzy resztkami Słowian i romanizowali tychże; sami jednakże nadzwyczaj wiele nasiąkli słowiańskim żywiołem. Słowianie Rumunów na chrześciaństwo nawrócili, od Słowian też ci ostatni ustrój państwowy przejęli. Nazwy wielu dostojeństw u Rumunów są czysto słowiańskie, a nadto aż do przeszłego wieku język słowiański panował tam w rządzie i w kościele. Ile wyrazów słowiańskich znajduje się w języku rumuńskim, o tém rozwodzić się nie potrzebujemy.

W państwie Asiena było niemało Greków po miastach. Cesarze bizantyjscy w dobie panowania swego nad Bulgaryą osadzali ich w podbitym kraju, aby nowych swych poddanych lepiéj trzymać na wodzy. Wielkim był wpływ greczyzny na Bulgarów, kościelne i państwowe urządzenia prawie żywcem przechodziły z Konstantynopola do Bulgaryi, w języku też mnóstwo greckich słów znajdujemy.

Niemało także było w Bulgaryi Kumanów; gdy ich bowiem

---

(1) Tireczek, Diejiny naroda bulharského, str 182.

wypędzili Tatarzy z równin na północ Dunaju, część jedna uciekła do Węgier, druga do Bulgaryi. Szlachta kumańska wchodziła z bojarami w związki małżeńskie i wielkiego używała poważania, a nawet jeden z tych panów kumańskich, Tertery, zajął tron państwa. Kumani z postępem czasu całkowicie w żywiole słowiańskim utonęli.

W źródłach historycznych niejednokrotnie czytamy o Ormianach, którzy znaczny wpływ w cesarstwie Wschodniém wywierali. Bulgarom przynieśli oni paulicyanizm. O Turkach Wardaryotach jużeśmy mówili—i Żydzi nie pominęli państwa Symeonowego; upamiętniła się w dziejach piękna Żydówka, w której car Jan Aleksander rozmiłował się tak namiętnie, iż prawą swą żonę, córkę księcia rumuńskiego, Bassaraby, oddalił, a wychrzczoną Żydówkę pojął za małżonkę. Za téj monarchini Żydzi tak wzrośli w pychę, że nawet jakieś zamieszki wywołali.

Z cudzoziemców przebywali tutaj kupcy włoscy, Wenecyanie i Genueńczycy, kupcy ze słowiańskiego Dubrownika, a okrom tego (incredibile auditu!) *górnicy niemieccy*, Sasi z pochodzenia.

Głową państwa był *car;* nazwa owa, będąca skróceniem wyrazu *ciesar'* równała się greckiemu *basileus* i rzymskiemu *imperator.* Sam monarcha tytułował się w dyplomatach *carstwo mi*, coś w rodzaju *majestas nostra.*—Monarchowie trzeciego państwa bulgarskiego przybierali tytuł: *U Christa Boga błagowiernyj car i samodèrżec wszem Bèlgarom i Gèrkom*, co aż nadto jasno malowało ich pretensye i pragnienia. W oznakach zewnętrznych niewolniczo przepych cesarzów bizantyjskich naśladowali. Pod względem następstwa tronu panował nie starosłowiański obyczaj wyboru z pomiędzy członków panującego rodu, ale prawo *pierworodztwa.* Na podobieństwo Greków syn i następca uważany był za spółrządcę i także *carem* tytułowany. W razie małoletniości monarchy, rządy matka sprawowała. Po wygaśnięciu dynastyi wybór nowego władcy od bojarów zależał. W rękach bojarów były także wszystkie urzędy dworskie i państwowe — a greckie nazwy owych urzędów aż nadto dowodnie okazują, iż je wedle wzoru bizantyjskiego ustanowiono.

Car bulgarski, aczkolwiek we władzy swéj przez arystokracyą ograniczony, używał wielkiéj powagi i czci — lubował się on w długich i szumnych tytułach. Władcy trzeciego państwa Bulgarskiego mieli stolicę w Tèrnowie, gdzie zamek, *Carewec* zwany, stał na wysokiéj górze. Jakkolwiek nie wiemy nic o wewnętrznem urządzeniu pałacu, domyślać się jednak możemy wielkiego przepychu i okazałości. Na dworze carskim odbywały się częste zabawy, zjazdy,

wesela, łowy okazałe z psami i sokołami; byli nawet osobni urzędnicy nad owemi zwierzętami. Do dziś dnia jeszcze panowie albańscy wypuszczają wyćwiczonego sokoła na mniejsze ptastwo, choć reszta Europy dawno już o tym sposobie polowania zapomniała.

O monarchach bulgarskich Grecy piszą w niepochlebny sposób, wyrzucając im głównie wiarołomstwo i okrucieństwo względem siebie, i zaiste bywały niemałe grzechy w rodzinach carów; morderstwa własnych krewnych, ze strony Samuela i Jana Władysława, okrucieństwo względem Greków Kalojana, podejrzany postępek żony tegoż, Kumanki rodem, ale mimo to wszystko carowie bulgarscy aniołami się prawie wydadzą, jeśli ich porównamy z tylu potworami okrucieństwa, wiarołomstwa i rozpusty, którzy tron Konstantyna kalali.

Z władców bulgarskich słaby i nieszczęśliwy car Piotr, syn wielkiego Symeona, zaliczony został w poczet świętych, a Jan Asien II, nawet *Grekom był drogim i miłym*, jak powiada Grek Akropolita.

Żony monarchów z rozmaitych pochodziły narodów; z nich najgorszą pamięć zostawiły po sobie Greczynki, intrygantki niesłychanie państwu szkodliwe, jak np. żona cara Piotra Symeonowicza, albo nikczemna córa Paleologów, Marya, wdowa po Konstantynie, co nie wahała się oddać swéj ręki samozwańczemu pastuchowi Iwajle. Z cór królewskich godna pamięci siostra Aleksandra, Helena, zacna i rozumna małżonka Duszanowa. Księżniczki bulgarskie wychodziły za mąż za władców cudzoziemskich, a nawet za dumnych bez granic cesarzów wschodnich; Henryk, cesarz łaciński miał za żonę piękną Maryą Borilową córę, podobnież Bulgarki pojęli Jan IV Laskarys i Andronik Paleolog.

Kościół narodowy bulgarski, będąc w ścisłym związku z greckim, dążył wszelako do wewnętrznéj autonomii i niezależności. Podług ówczesnych pojęć, cesarstwa bez patryarchatu być nie mogło; ztąd carowie usilnie o patryarchat się starali, na co Grecy niesłychanie zawistném spoglądali okiem. Stary patryarchat, za Symeona założony, w X w. przeniesiony do Ochrydu, stracił charakter narodowy, i dla tego też Asienowicze nad wyniesieniem arcybiskupa tèrnowskiego na godność patryarchy tyle pracowali. Patryarchowie carogrodzcy nowego patryarchę stawiali niżéj od innych i zawsze za podwładnego swego *de jure* uważali. Gdy państwo upadło, Grecy rzucili się na kościół bulgarski, niby na przynależną sobie ofiarę, i nieszczęsnemu narodowi duchowne swe jarzmo narzucili. Od patryarchy zależało siedmiu biskupów, z czasowém powiększaniem się kraju liczba tych biskupstw się

zwiększała. Biskupi żyli z dochodu od niższego duchowieństwa, to zaś żyło z ludu, co wszystko niejednokrotnie do zdzierstwa prowadziło.

Patronem państwa był św. Jan Rylski. Pochodził on z ludu wiejskiego, młodość przy zajęciu pasterskiém przepędził. Po śmierci rodziców wstąpił do klasztoru, wkrótce jednak stan mniszy porzucił i poszedł na pustynią w góry Ryl-planina. Przez lat dwanaście święty pustelnik mieszkał w jaskini, potém w wypróchniałym dębie, a następnie na niedostępnéj skale. Jana odwiedzało wielu ludzi, między nimi niejeden bojar, a nawet sam car Piotr Symeonowicz. Umarł r. 946 w 70 roku życia. Pod skałą, na któréj święty mieszkał, postawiono wspaniały klasztór rylski i tam zwłoki jego spoczywają, odbierając cześć od mnóstwa pobożnych pielgrzymów. Klasztor był nader bogaty, hojnie przez carów obdarowany; należały do niego wszystkie okoliczne góry z 23-ma wioskami. Pobożni monarchowie bulgarscy pamiętali również o monastyrach na górze Athos, gdzie mnisi, ze wszech stron łaskami, darami i przywilejami osypywani, prawie w zupełnéj żyli niazależności. W saméj Bulgaryi klasztorów i mnichów nie brakowalo; mnisi ci nie byli bynajmniéj tak ograniczeni jak dzisiaj na Wschodzie, owszem zajmowali się pilnie pisaniem, tłómaczeniem i przepisywaniem książek, tylko że niestety literatura owa zanadto ślepo za bizantyjską kroczyła i tłumiła raczéj, niż rozwijała ducha narodowego. Klasztory cieszyły się wielu przywilejami, wolne były od wszelkich podatków i powinności państwowych, carowie i bogaci ludzie nadawali im włości i klucze całe, a lud prosty, wstępując do klasztoru, majątek swój jemu oddawał. Pielgrzymowało do nich mnóstwo ludu, zwłaszcza tłumy sypały się nieprzebrane, skoro wieść o jakimś cudzie się rozeszła.

Mieszkańcy Bulgaryi dzielili się na bojarów, mieszczan i lud wiejski — Bojarowie (po bulg. boljari) stanowili szlachtę krajową i dzielili się na wielkich i małych. Była to klasa wespół z duchowieństwem panująca w kraju, oni piastowali urzędy cywilne i wojskowe i na sejmach radzili, car zaś był tylko pierwszym między bojarami. Bojarowie po wygaśnięciu rodu panującego mieli otwartą drogę do tronu, a niejednokrotnie śmielsi z nich potrafili w majątkach swych z przyległościami pewną niezależność pozyskać. Mieszkali albo po wsiach w zamkach, których rozwaliny dziś jeszcze na skałach i górach spostrzegać się dają; albo też po miastach, szczególniéj w Tèrnowie, gdzie domy bojarskie zwykle oddzielną część miasta składały. Jak się zdaje, poczet niższéj szlachty był tu tak wielki, jak w Chorwacyi, Węgrzech, Polsce

i w Czechach przed bitwą na Białéj Górze. Turecka władza całkiem wszystkie stany chrześciańskie, jako *raję* porównała, chrześciańskiego szlachcica w Bulgaryi nie znaleźć. Ci z bojarów, którym przywileje stanowe droższe były od wiary, poturczyli się, ale dobrze pamiętają oni o swém pochodzeniu i z wielką starannością chowają pergaminowe dokumenta, o ich rodzie świadczące.

Słowianie, jak wiadomo, pierwotnie miast nie znali, mieszkali po wsiach, a w każdéj żupie znajdował się gród, obronny z położenia lub ręką ludzką obwarowany — gród ów stanowił i siedzibę władz żupy i twierdzę i schronienie na przypadek wojny. Z grodów tych w skutek osiadania pod niemi ludu rzemieślniczego i kupieckiego powstawały miasta, nadto południowi Słowianie, wszedłszy w granice państwa Rzymskiego znajdowali stare miasta greckie i rzymskie i w tychże osiadali. Pojedyncze miasta używały przeróżnych praw i przywilejów, zatwierdzonych *chrysobullami* (złotemi bullami) carów.

O stanie ludu prostego niewiele wiemy. Słowianie, jak wiadomo, niewolnictwa i poddaństwa ludu nie znali, ale niewątpliwie przybywszy na półwysep zapoznali się z niewolnictwem w rozmaitych jego formach. Już przy końcu VIII wieku, w epoce, gdy gdzieindziéj u Słowian znano tylko roboty publiczne, lud pańszczyznę bojarom odrabiał. Liczba swobodnych rolników jeszcze w XIII stuleciu bardzo znaczną była; z postępem czasu liczba owa ciągle się zmniejszała. Rolnicy w Bulgaryi, podobnie jak w Serbii. byli osobiście wolnymi, posiadali mienie i grunt własny, ale od niwy swéj odejść nie mogli — mieli oni obowiązek panom swoim odrabiać pańszczyznę, albo też dawać czynsz w płodach ziemnych. Ani duchowny, ani wojenny stan poddanego nie uwalniał, dopiero wyniesienie do godności biskupiéj; ztąd nieraz jest mowa o popach poddanych. Zupełnych niewolników, którzy z jeńców pochodzili, nazywano *rabami*.

Urządzenie kraju opierało się na starosłowiańskiéj żupie, i przetrwało aż do upadku państwa. Kraj dzielił się na *oblasti*, albo z grecka *chory;* każdy taki obwód miał za punkt środkowy miasto, siedzibę urzędów i duchowieństwa. Na mieszkańcach ciążyły powinności ziemskie i dworskie; do ziemskich należała budowa i naprawa grodu i strzeżenie więzienia. Dworskie powinności były nader liczne i uciążliwe. Gdy car z dworem udawał się w podróż, poddani jego mieli obowiązek odprowadzać go uroczyście z miejsca na miejsce, dawać kwatery i stół dla całego dworu. Inną powinność stanowiły roboty w majątku carskim, od których to robót przywileje monarsze klasztory uwalniały.

Na czele żupy stał jeden z okolicznéj szlachty, jako namiestnik monarszy, sędzia i stróż bezpieczeństwa publicznego — nazywał się on *żupan*, a późniéj z grecka *kefalia*, otaczali go *władąszti* czyli urzędnicy żupy.

Sbory czyli sejmy bulgarskie kilkakrotnie są w dziejach wspominane; na nich zasiadali bojarowie wielcy i mali oraz duchowieństwo pod przewodnictwem cara i następcy tronu — na sejmach stanowiono prawa, wybierano biskupów, arcybiskupa i t. d. — Prawa nie były ujęte w jeden kodeks, ale polegały na starych zwyczajach prawnych, z dodatkiem postanowień sejmowych i carskich. Za rozmaite przestępstwa płacono *globy* t. j. kary pieniężne. — Podatki zasadzały się na tém, że rolnik, mający jeden sprzężaj wołów, dawał rocznie do skarbu kubeł prosa, kubeł pszenicy i dzban wina. Podatek ten, istniejący za czasów Samuela, cesarz Bazyli po zdobyciu kraju utrzymał. Były jeszcze inne podatki, a prócz tego dochody z ceł i myta.

Wojsko bulgarskie składało się z hufców, przez bojarów w stosunku do majątku dostawianych, oraz z cudzoziemskich najemników. Ci ostatni byli albo Frankami, albo koczownikami barbarzyńskimi, Kumanami, Tatarami i t. d. Główna siła wojenna polegała na jeździe. Sztuki oblężniczéj Bulgarowie od Greków się nauczyli, ale przedewszystkiém mieli przewagę w taktyce podjazdowéj — owe podjazdy niejednokrotnie śmierć zastępom greckim w *klisurach* (wąwozach) bałkańskich i rhodopskich zgotowały. Niketas pisze, iż Bulgarowie i Kumani rozpoczynali bitwę od miotania strzał i włóczni, potém udawali ucieczkę, a gdy wróg niebacznie puścił się za nimi, zwracali się na niego i razili dobytemi mieczami.

Co do prawa wojennego, ważném było to, iż u Greków, Serbów i Bulgarów prawo nakazywało poprzestawać na braniu łupów, a nie dozwalało ani ludu zapędzać w niewolę, ani bez bitwy zabijać. W taki sposób postępowano tylko z jednowiercami; prawo to względem Kumanów, Tatarów i t. d. nie zobowiązywało wcale. Wojnie towarzyszyła straszna grabież, pustoszenie kraju, palenie wsi i zabieranie bydła.

Wojowniczość, tyle odbijająca od dzisiejszego zamiłowania pokoju, stanowiła główny rys charakteru Bulgarów, co rozumie się na złagodzenie charakteru wcale nie wpływało. Dzielnych, bitnych junaków w dziejach bulgarskich co niemiara, nadto niejeden śmiały awanturnik służył pod obcemi chorągwiami, zwłaszcza u Greków.

VI.

Jarzmo tureckie.

Trzy były, jak mówi słusznie Jireczek (1), przyczyny, dla których upadło państwo Bulgarskie. Pierwszą przyczyną był zabójczy, niby morowa zaraza, wpływ zgniłego bizantynizmu. „Bulgarowie, przyjąwszy prawa i literaturę, obyczaje i występki przeżytych Bizantyjczyków, przez nauczycieli swoich do wspólnego zostali wciągnięci grobu.“

Wpływ Greków oddziaływał tylko na klassy uprzywilejowane, lud zaś pozostał aż do dziś dnia prawie w zupełnéj czystości prastarego obyczaju.

Drugą przyczyną była ponura herezya bogomilów — podkopywała ona miłość kraju, rozdwajała naród i torowała drogę do niemoralności. Prześladowani tylokrotnie heretycy, w Turkach wyzwolicieli raczéj niż wrogów widzieli, to też tłumnie islam przyjmowali.

Średniowieczny feudalizm był trzecią upadku przyczyną. Szlachcie szło przedewszystkiém o interes kastowy; dla niego osłabiali władzę monarszą, mnożyli rozterki i niepokoje, rozrywali ojczyznę i grożące niebezpieczeństwo nie mogło przywieść ich do rozumu. Z drugiéj strony interes ludu nie zgadzał się z interesem panów; wszelako w Bulgaryi nie przyszło do tego, co w Bośnii się przytrafiło, gdzie lud niechętny szlachcie, dał ucho obietnicom *łaskawych na wieśniaka* Turków, widział w najezdcy oswobodziciela swego, i panów w chwili najazdu opuścił.

Podbicie Bulgaryi przez Turków niesłychanie zaniepokoiło Węgrów, którzy na zasadzie, iż dwukrotnie cząstkę kraju chwilowo dzierżyli i że Stefan V pisał się *rex Bulgariae,* do kraju owego rościli sobie prawo. Król węgierski Zygmunt luksemburski wyprawił posłów z przełożeniami do Bajazeta, ale od niego ci dumną otrzymali odprawę. Zygmunt gotował się do wojny—i zdawało się, że Węgrzy uratują półwysep. Wojna rozpoczynała się pod najlepszemi wróżbami. Jeszcze poprzedniego roku Bajazet, chcący podbić Rumunią, ciężkiéj doznał porażki. R. 1396 wielkie wojsko, pomnożone posiłkami z Zachodu ruszyło na południe. Pod Małym

---

(1) Diejiny naroda bulharskèho, str. 331.

Nikopolem przyszło do bitwy i chrześcianie po długiéj i zaciętéj walce srodze pobici zostali. Kwiat rycerstwa zachodniego trupami zasłał pobojowisko.

Bajazet niezadługo znalazł groźnego dla siebie przeciwnika. Byłto władca tatarski Timur-chan, który, idąc za azyatyckim popędem podbojów i łupieżczych wędrówek, straszne zabory i spustoszenia czynił w Azyi i Europie. Dwóch takich światoburców nie mogło istnieć jednocześnie obok siebie: Bajazet i Timur starli się w strasznym boju pod Angorą, i ku powszechnéj chrześcian radości Bajazet pokonany dostał się do niewoli, w któréj umarł niezadługo. I Timur wkrótce życie zakończył, a z nim rozpadło się państwo jego.

Dzieci Bajazetowe rozpoczęły długoletnią walkę o następstwo po ojcu. Nastała chwila, gdy ludy półwyspu, gdyby chciały działać zgodnie a energicznie, byłyby niezawodnie wyparły Turków i jarzmo zrzuciły. Niestety, były one już zbyt upadłe.

Stefan serbski i Mircza rumuński brali udział w tych zapasach, popierając jednego Bajazetowicza przeciwko drugiemu, ale o wyzwoleniu chrześcian nie myśleli wcale. Konstantynopol kołatał uporczywie o pomoc do mocarstw zachodnich, lecz na Zachodzie nie lubiono Greków, nie ufano im, a nadto patrząc na szarpanie się Bajazetowiczów między sobą, żywiono nadzieję, że państwo Osmanów samo własną zabije się bronią.

Nadzieja owa spełzła na niczém, Amurat II pokonał współzawodników, a potęga turecka podniosła się z taką siłą, jak gdyby w walce wewnętrznéj najmniejszéj ujmy nie doznała. Amurat położył koniec połowicznéj niezależności Serbii, zająwszy ją r. 1439 zbrojną siłą; Carogród zaś r. 1422 ledwie rozpaczliwym wysiłkiem obronić się zdołał. Cesarz musiał płacić daninę, a władza jego po za miastem na nieznaczną przestrzeń się rozciągała.

Z Węgier znowu zabłysnął promień nadziei, na tronie zasiadł młodociany entuzyasta Władysław Jagiellończyk, a wódz jego Jan Huniad, rodem Rumun, groźnym stał się Turkom. Zrobiono wyprawę r. 1443 do Bulgaryi; w wojsku węgierskiém pełno było Słowian, Polaków, Czechów — Serbowie, Bośniacy, Bulgarowie zbiegali się pod chorągwie bohaterskiego króla, a lud witał z zapałem wyzwolicieli i obrońców swoich. Turcy w górach bałkańskich porażeni zostali; zawarli oni pokój z Władysławem 1444 r. I papież i Zachód cały niechętnie patrzali na zatrzymanie się chrześcian na połowie drogi; powszechnie sądzono, że przyszła ostatnia panowania Turków godzina. Legat papiezki wraz z Huniadem, któremu przyobiecano Bulgaryą, nalegali o złama-

nie pokoju, a w całéj Europie pomoc Władysławowi obiecywano. Nowa wyprawa skończyła się znaną powszechnie klęską warneńską, śmiercią Władysława i nieudaniem się próby wyzwolenia Bulgarów oraz całego półwyspu. Ostatnia dla Bulgaryi nadzieja zagasła, a zarazem i Konstantynopol nie mógł już ujść wiszącéj nad nim przez wiek cały zguby.

Roku 1449 tron Paleologów zajął Konstantyn XI Dragases, Słowianin po matce, i wśród powszechnego upadku na duchu chciał ratować stolicę. Ale już było zapóźno, wszystko padło na około, gród cesarski stał jeszcze jeden tylko, niby ostatnia ofiara, czekająca, aż na nią przyjdzie z kolei cios zabójczego noża. 29 Maja 1453 Konstantynopol został zdobyty przez Mahometa II, ostatni cesarz wschodni zginął, jak prosty żołnierz w rozpaczliwym boju, a buńczuki z półksiężycem zatknięto na miejscu dwuramiennego krzyża.

Padła stolica, siedziba tylu cesarzów, władczyni ziem tylu, a zarazem ludów tylu dręczycielka i demoralizatorka; patrzała ona, jak padały wkoło państwa, zabójczym jéj oddechem strute, i ona, największa z nich grzesznica, poznała, iż ją tylko na większe ukaranie na sam koniec pozostawiono. Spór o przewagę na półwyspie skończył się najzupełniéj — trzy narody, Grecy, Bulgarowie i Serbowie, nie chciały żyć zgodnie jako równi z równymi, aż spadła na nich żelazna dłoń zdobywcy i zrównała z sobą, jednakowém jarzmem przycisnąwszy.

Wśród powszechnego upadku Albania długo trzymała się jeszcze, dzięki męztwu i dzielności wodza i władcy swego, Jerzego Kastryoty, przez Turków Skanderbegiem przezwanego. Odważny ten chrześciaństwa obrońca pochodził z rodziny serbskiéj, a złączywszy Arbanasów i wielu Słowian przez lat 24 szczęśliwie z Turkami się potykał, aż wreszcie roku 1468 bohaterski żywot Jerzego śmierć przecięła. Po nim Arbanasowie z łatwością Turkom ulegli, i dziś są oni najwierniejszymi sługami sułtana, główną tronu podporą.

Jeszcze przed zgonem Skanderbega, bo już roku 1463 przyszła koléj na Bośnią. Kraj ten okropnie był przed upadkiem rozrywany niesnaskami religijnemi i zawiścią wzajemną stanów. Bogomilizm liczyl tu mnóstwo zwolenników, a przytém monarchowie i szlachta, sprzyjając częstokroć heretykom, z powodów politycznych ciągle pomiędzy wschodnim i zachodnim kościołem lawirowali. Gdy przyszli Turcy, heretycy żadnego patryotyzmu nie objawili; nadto lud, uciskany przez szlachtę, dał ucho obietnicom tureckim i nienawistnych sobie panów opuścił. Opór najezdcom

był słaby—król Stefan Tomaszewicz dostał się do niewoli i głowę oddał pod miecz katowski. Gdy Turcy dokonali zaboru, szlachta nie życząc sobie spaść do rzędu *rajasów*, ocalenie swych przywilejów odstępstwem od wiary chrześciańskiéj okupiła. To samo zrobili heretycy Patarenowie, a nawet wielu z ludu; lud chrześciański zaś, mimo obietnic zdobywcy, wolności nie zyskał, owszem w gorszą jeszcze popadł niewolę. Tak więc sułtan został zupełnym panem całego półwyspu. Nastał spokój, a właściwie cisza cmentarna, Tacytowskie *solitudo pacis;* ludy chrześciańskie przytłoczyło jarzmo długowieczne, a srogie. Turcy zniwelowali społeczeństwo podbitych, w oczach ich nie było różnych, wyższych i niższych stanów, tylko wierni i giaurowie. Ci ostatni musieli płacić haracz i żadnego znaczenia w państwie nie mieli, choćby nie wiem jak świetnymi szczycili się przodkami. Z bojarów, kto chciał tego zepchnięcia uniknąć, przyjmował islam; ci zaś bojarowie, co wierni religii ojców pozostali, nie zdołali długo utrzymać się na wysokości swéj ponad prostym ludem i z czasem zupełnie w jego massie utonęli—kraje chrześciańskie straszliwie zniszczonemi zostały; mnóstwo miast i wsi wyludniło się do szczętu. Bogate klasztory i kościoły poszły z dymem albo stały pustką na długo. Nawet w czasach pokoju ziemie te przyjść do siebie nie mogły; rządy baszów tureckich były rządami zdzierstwa, gwałtu, niesprawiedliwości i ucisku; o zabliźnieniu starych ran nikt nie myślał, a nowe ciosy sypały się bez końca. Nawet w kołach rodziny nie było bezpieczeństwa i spokoju; piękne córy i żony zabierano do haremów, a urodziwe i silne pacholęta porywano bez litości, aby z nich, w islamie i robieniu bronią wyćwiczonych, tworzyć pułki janczarów, tyle straszne chrześciańskiéj Europie. Taki to charakter miały pięciowiekowe Ottomańskiéj Porty rządy nad półwyspem Bałkańskim, a zatém i nad Bulgaryą.

O PAWLE EDMUNDZIE STRZELECKIM

WEDŁUG RODZINNYCH I TOWARZYSKICH WSPOMNIEŃ

przez

NARCYZĘ ŻMICHOWSKĄ.

„De mortuis aut veritas, aut nihil.“

Paweł Edmund Strzelecki, przed parą laty zmarły w Londynie, niepoślednie zajmował miejsce wśród téj plejady śmiałych podróżników i szczęśliwych odkrywców, którzy granice wiedzy bieżącego stulecia rozszerzyli. Strzelecki w mniéj przenośném znaczeniu nawet, nie tylko wiedzy, ale i osad angielskich granice rozszerzył. Jeśli nie pierwszy jako Europejczyk, to niezawodnie pierwszy jako człowiek wykształcony, z celem naukowym i tytułem uniwersyteckim przedarł się przez łańcuchy gór Błękitnych, tamujących wówczas wszelki rozrost Nowo-Południowéj Wallii, zbadał okolice na zachód Bathurstu, owéj ultima Thule Sydnejczyków położone, a szczęśliwszy do złota, niż Humboldt do brylantów, pierwszy zwrócił uwagę rządu na złotodajny charakter geologicznych warstw nowo poznanego kraju i nie omylił się, — warstwy były złotodajne, a co więcéj znaczy, pierwszy zaznajomił publiczność angielską ze skarbami, jakie staranniejsze zagospodarowanie miejscowych obszarów wydać jéj może, wskazał środki właściwych ulepszeń i znów miał tę pociechę, że ulepszenia istotnie skutecznemi się okazały. Społeczeństwo angielskie wywdzięczyło mu się tytułem i zaszczytami; w kraju rodzinnym jednak nazwisko Strzeleckiego mało komu znane było dotychczas i mało kogo dotychczas obchodzi. W 1840 czy 1841-ym roku dzienniki poznańskie drukowały niektóre opisy z jego podróży, lecz ta wiadomość o nim bez echa przebrzmiała. Odważny ziomek wędrowiec nie wzbudził bardzo żywéj sympatyi, nie wzbudził cieka-

wości nawet; teraz, kiedy Tygodnik Illustrowany wkrótce po jego śmierci zamieścił w szpaltach swoich jego wizerunek i życiorys, nie zdaje nam się, by to w czémkolwiek lody ogólnéj obojętności przełamało. Geografowie specyaliści zaiste wiedzieli i wiedzą o nim, wątpimy tylko czy przeszłoroczni czytelnicy niespecyaliści dziś jeszcze pamiętają o szczegółach podanéj im biografii.

Mamyż więc prawo w jego imieniu uskarżać się na takie zaniedbanie? — Na ten raz, nie,—wcale prawa nie mamy.

Strzelecki wyrzekł się ojczystéj ziemi, zerwał z nią wszelkie stosunki, z Prusaka wylegitymował się na Anglika, żył tylko z Anglikami, pracował tylko dla Anglików; niech więc zostanie Anglikiem jako uczony, jako baronet, jako dobry obywatel, bo z przyjemnością zaznaczyć możemy, że umiał być w Anglii dobrym obywatelem. Wśród nas jest on obcym, bardziéj obcym niż wielu cudzoziemców człowiekiem. Daleko szersza publiczność zajmowała się losami Franklina i Livingstona, niż losem rozbijającego się po przepaściach pana Pawła. Gdyby go Niemcy chcieli swojéj narodowości przywłaszczyć, nie spieralibyśmy się z nimi tak wytrwale jak o Kopernika, i na żadnym placu publicznym, nawet w rodzinnéj pod Poznaniem Głuszynie, ze składkowych groszy polskich nie stanąłby spiżowy pomnik na uczczenie jego pamięci. A przecież choć bez żalu możemy go Albionowi darować, wyprzéć się go bez pewnéj szkody nie możemy. Dla nas jest on wybornym antropo- i etnograficznym okazem; w przydatku jest gotowiusieńkim materyałem do powieści realistycznéj, nie tendencyjnéj, choć mimo to w moralną naukę tak obfitującéj, jak gdyby najtendencyjniéj wymyśloną była. Tygodnik Illustrowany podał tylko szczegóły z własnoręcznych listów Sir Edmunda zaczerpnięte. Była to arcy wiarogodna, lecz arcy-treściwa i arcy-niezupełna autobiografia tylko. Sir Edmund zawiązywał piśmienny stosunek z osobą, która go jeszcze nie znała; jako prawdziwy dżentelmen chciał się uroczyście zaprezentować: powiedział, kim jest — a raczéj nie — kim jest, nie powiedział; objaśnił tylko swoję korespondentkę, jak się nazywa; jakie, na jakiém prawie tytuły nosi w swéj przybranéj ojczyznie, jakie i kiedy zasługi dla téj ojczyzny położył, słowem, zamieścił wszystko, co mogło starczyć jednocześnie za wykaz stanu cywilnego pana baroneta w Londynie. Dziwném zrządzeniem losu, tu w kraju posłużyło to niebawem za jego akt zejścia i nekrolog. Gdyby nie kilka tych ćwiartek na wiatr ku wschodniéj stronie rzuconych, gdyby nie załączona do ostatniéj z nich książka z opisem Nowo-Południowéj Wallii, możeby między Wartą a Wisłą, między Niemnem i Dniestrem nikomu na myśl nie przyszło, by

znakomitego współziemiana słowem wspomnienia na drogę wiecznego spoczynku pożegnać. Co najwięcéj jedno lub drugie czasopismo w efemerydach swoich zamieściłoby podaną przez zagraniczne dzienniki wiadomość o jego zgonie, a wiadomość tyleby czytających po polsku prenumeratorów obeszła, co doniesienie np. o zgonie lorda mayora londyńskiéj City, lub dajmy na to, pierwszego lorda Admiralicyi, choć to przecież dość ważne figury. Przynajmniéj pewni jesteśmy, że Tygodnik Illustrowany nie drukowałby o nim osobnego artykułu, i my sami, czytając ten artykuł, nie przypomnielibyśmy sobie, że o nieboszczyku wiele ciekawych rzeczy napisaćby można, skutkiem zaś tego przepomnienia nie uznali, że je napisać warto, bo niektóre rzeczywiście pouczającą wartość dla psychologów przedstawiają.

O naszym wsławionym wychodźcy, lub właściwiéj mówiąc, o naszym wsławionym zbiegu, mieliśmy już pewne dane z bardzo blizkich źródeł; chcąc jednak w całość zebrać te ułamki zaczęliśmy się pilniéj dobadywać już to rodzinnéj, już po części towarzyskiéj tradycyi. Ze smutkiem wyznać nam przychodzi, że różnostronne starania nader skąpym plonem się opłaciły. Aż strach bierze pomyśleć, jak prędko przeszłość znajomych, krewnych, przyjaciół, ukochanych naszych, a więc i nasza przepada. Strzelecki miał wprawdzie lat siedmdziesiąt kilka, lecz tak niedawno, jakoby wczoraj, lub onegdaj umarł,—wiele stosunków łączyło nas z całą jego rodziną, znaliśmy jego siostrzeńców, siostrzenice, znali jego brata i kochali serdecznie jego rodzoną siostrę; spotkaliśmy też niegdyś kobietę, którą on kochał: jedno z drugiém przecież, gdyśmy własną pamięć i pamięć wszystkich krewnych pod kontrybucyą wzięli, okazały się jeszcze wielkie niedobory. Wiązanka żywych podań przez nas uciułana bardzo jest pod względem dat i piśmiennych dowodów niedokładną, w wielu miejscach przedstawia niczém niezapełnione rozstępy; taka, jaka jest wszelako, zachowała przynajmniéj wytyczne punkta jego burzliwéj po świecie wędrówki. Nam do jéj zebrania pierwszym bodźcem był ogłoszony w Tygodniku Illustrowanym artykuł, ona może znowu kogo do sprostowań i uzupełnień zachęcić — nie dla tego, by literaturze i cywilizacyi polskiéj zależało tak wiele na odratowaniu wszelkich drobiazgów z żywota jakiegoś Plutarchowego męża, ale dla tego jedynie, że ten mąż wcale nieplutarchowy właśnie do nader zajmujących spostrzeżeń otwiera nam pole. On, który się dobrowolnie wyrzekł swéj *narodowości*, mimowolnie zachował całą swoję cechową *plemienność*—i to podług najszerszéj skali, jaką temu wyrazowi nadać można: zacząwszy od cech pokolenia właściwą so-

bie część świata zamieszkującego— od cech szczepu wytworzonego w pokoleniu na pewnym téjże części obszarze, od cech ludu dziejami swemi przywiązanego do pewnéj krajowości, skończywszy na subtelnych odcieniach rozróżniających prowincyą z prowincyą i niemal powiat z powiatem. Wszystko co w jego wadach i zaletach było instynktem, w jego obejściu się z ludźmi pierwszym popędem, w jego rozumowaniach tokiem i trybem, wszystko to z wypadkowéj summy geograficznych, że tak powiemy, wpływów się wytworzyło. Na owém tle plemiennėm, dopiero przy wyższych zdolnościach umysłowych rozwinęła się osobistość niezmiernie oryginalna; typ pośredni między ostatnimi awanturnikami naszymi z końca przeszłego wieku, a rycerskim zastępem bohaterów wiedzy i nauki, którzy bieżące uświetnili stulecie.

Przykro nam, nadzwyczaj przykro, żeśmy przed chwilą wyrażenia „awanturnikami" użyli, mając na myśli takich Beniowskich, Jaszczołdów i wielu innych. Utarte określenie najpierwéj się z pod pióra wymknęło, a jednak trzeba nam koniecznie o inne się postarać, by ten równoważnik, z ponad przedmiotu mającego daleko głębsze znaczenie, raz na zawsze już zdmuchnąć. Jest trochę meteorycznego usposobienia w tych ludziach; nie zdaliby się na mularzy przy *wieży siedmiu wodzów*, ani na szeregowców przy assekuracyi armat. Wyczekiwać—niepokonaną trudnością; stać na miejscu — wstrętną dla nich rzeczą. Coś wiecznie naprzód ich popycha, zawsze jednak są to wichrzyciele raczéj, są to burzyciele nawet, lecz nie wietrznicy w chwilach słoty i niepogody—a i w chwilach jasnego słońca, wiatry nimi jak piórkami nie pomiatają; dmą tylko w rozwinięte żagle ich łódek i na nieznane morza pędzą. Ot, kiedy już o żaglach mowa, czyby nie wolno było „argonautami" ich nazwać? Jak starożytni argonautowie wszyscy oni szalenie odważni, wszyscy hydrom łby skręcać i centaurów zwalczać gotowi, a szczególniéj wszyscy się śmiało na fale losu puszczają. Nie wiedzą gdzie zapłyną, ale po co płyną, to wiedzą. Każdemu z nich trzeba koniecznie złote runo zdobyć; złote runo sławy, bogactwa, szczęścia, potęgi.... czasem jakiéj nieprzystępnéj bezimiennemu, beztytułowemu marzycielowi miłości... więc płyną wśród ciężkich przeszkód i bajecznych niebezpieczeństw. Wielu z nich tonie, wielu o skały się rozbija, lecz choć niejeden z błota się wyrwał, by na okręt wskoczyć, to jest przynajmniéj cechą ich ogólną, że w błocie potém nie ugrzęźnie żaden i żaden w tył się nie cofnie. Tym, co runo zdobędą, czy tym co zasną na dnie topieli, jakiś grecki rapsod czasem, czasem jakiś Juliusz natchniony a rozbolały, pieśń nadgrobową zaśpiewa. I cóż łaskawi czytelnicy, nie

zgadzacież się na to, by nowoczesno-cudzoziemskie miano „awanturnika“ starożytno-cudzoziemskiém mianem „argonauty“ zastąpić? Lub może, wy, nasze obecnéj chwili Syndbady przynajmniéj, jeśli nie Jazony i Tezeusze, wy z pierwszém zuchwalstwem odwagi w młodzieńczéj piersi waszéj, z pierwszą tęsknotą do nieznanego, do trudnego, do niepodobnego, wy może jakie inne wcale nie cudzoziemskie nazwisko wynajdziecie... dla Beniowskich, ma się rozumieć nie dla Strzeleckiego. Strzelecki był, jakośmy rzekli, przejściowym do innego gatunku typem. Młodość miał trochę do Dzierżanowskiego młodości podobną, w wieku dojrzałym zakrawał na Humboldta, zestarzał się spokojnym milionerem, jak pierwszy lepszy nabob. Słowacki o Strzeleckim pewnieby poematu nie napisał. Pan Kraszewski jednak, mógłby napisać bardzo zajmującą powieść. Raz już nawet — ale to chyba na szkolnych, lub uniwersyteckich ławkach — zdarzyło mu się ten przedmiot zaczepić. Sam nie wiedząc o kogo zaczepia, humorystycznie zużytkował rozplotkowaną po całym kraju dykteryjkę i drukiem w małéj książeczce ogłosił. Nieco daléj objaśnimy ten szczegół. Teraz zwracamy się do innych, o tyle zwłaszcza ważniejszych, że w kolei czasu, nieuchronnie musiały, obrobiony przez pana Kraszewskiego, poprzedzić.

A najpierwéj tedy rodowód.

Dziś, gdy solidarność wstępnych i zstępnych pokoleń z dowodności historyozoficznéj zamieniła się już w pewnik nauk przyrodniczych, dziś gdy prawem dziedziczności (fizyologicznéj, nie kodeksowéj) tłómaczą większą część zjawisk życiowych: zdrowie i choroby, popędy i skłonności, bogactwo i ubóstwo władz umysłowych, dziś zaiste przy każdéj biografii nadzwyczaj użyteczną byłaby krótka, najtreściwsza zresztą, ale wiarogodna historya dziadów i naddziadów przedstawianéj biograficznie osobistości.

Niestety! o dziadach i naddziadach Strzeleckiego, jako też pewnie i nas wszystkich cośmy w kalendarzu gotajskim nie zapisan i co nawet w gotajsko-polskim nigdy zapisanymi nie będziemy, bardzo mało jest do powiedzenia. Jeśli gdzie metryk kościelnych z datami ślubów, urodzin i śmierci wojenne pożogi nie zniszczyły, to je szczury dogryzły, a jeśli nie szczury, to je niebaczne ręce na cztery wiatry rozniosły. Znane są przecież dzieje parafialnego w Końskiém archiwum, rozpacz ś. p. Bartoszewicza, ratunek, ocalenie szczątków i t. p. Łatwo ztąd wywnioskować, że jeszcze mniéj śladów się ostało niż archiwalnych zdarzeń i wypadków. Ciekawi jesteśmy, jak się pod tym względem dorastająca obecnie młodzież zabezpieczy? ale co starzejące się obecnie pokolenie, to wiemy, że się bardzo źle zabezpieczyło. Z życia ojców i matek niewiele zna szczegó-

łów; o dziadkach i babkach ledwie że zasłyszało; a o pradziadków, o prababki, to już w niém pytać nawet niewarto nikogo. Różne bo przyczyny złożyły się na ową wynikłość. Posiwiałych naszych głów generacya była przeważnie jakąś sierocą, bezrodzinną niby generacyą. Wstrząśnienia towarzyszące zakończeniu ubiegłego, a początkowi bieżącego stulecia, wojny, wychodźtwa, pierwsze właśnie najśmiertelniejsze przejścia cholery, wszystko to grobowym wałem rozgraniczyło dzieci z rodzicami. Gdzie mogiła nie wyrosła, tam głębsze od jéj wnętrza milczenie zapadło. Jedni zawodów swoich, zmartwień, pomyłek i upadków opowiadać nie lubili, drugich głębokie zobojętnienie ogarnęło i woleli żyć chwilą obecną, zapominać jak Papuasy Nowéj Holandyi, niż potomstwu swemu, jak lirnicy ukraińscy z wątku własnéj przeszłości snuć dumki i skazki; innych znowu onieśmielało, dość rozpowszechnione i teraz jeszcze mniemanie, że tylko znakomite czyny i znakomite nazwiska pamięci młodych dziedziców przekazywać warto. Tradycya rodzinna tak długo była przywilejem kastowym. że w niéj ciągle chcą mieć pewien przywiléj, jeśli już nie od dawnych dziejów to na przyszłe dzieje; coś takiego, coby kiedyś drukować się dało, coby się zaznaczyło świadectwem w polityce, prawodawstwie, literaturze, a tu właśnie do polityki, do prawodawstwa, do literatury, stosy materyałów, tylko owych najpospolitszych lekceważonych drobiazgów z dni powszednich brakuje. Cobyśmy to dali dzisiaj, gdyby nam kto opowiedział konkury, zmartwienia i pociechy, sąsiedzkie stosunki, a choćby domowe kłótnie, gdyby odmalował wady i zalety, dziwactwa i moralne wyobrażenia całego szeregu swoich antenatów!—a gdyby choć w jednéj kamieniczce małomiasteczkowéj, gdyby choć w jednéj wiejskiéj chałupie spotkało się człowieka, coby przed nami rozsnuł całą tkankę losów swéj rodziny od pięciu, od czterech, niechby od trzech pokoleń tylko—jakże wdzięczni bylibyśmy za to! rozwiązałoby się tyle wątpliwych zagadnień, może i usunęło choć kilka społecznych nieporozumień; wszakże to zapomnienie faktów, z brakiem piśmiennych dokumentów połączone, najzaciętszych procesów przyczyną bywa. Lecz cóż robić? ciemny gmin nie nawiązał, gmin trochę oświeceńszy dał sobie wszystkie subtelniejsze niteczki rodowéj tradycyi pozrywać: próżność tylko wyzyskała ją na swoję korzyść i niepróżnych do niéj zniechęciła. Dla tego, że ludzie miałkiéj głowy puszyli się tytułami przodków, szlachetni przestali nawet o ich zasługach wspominać; z niedorzecznéj chwalby i śmiesznéj pretensyi nie wydzielili prawdziwie życiowego pierwiastku, owych wspomnień czysto pamiętnikowéj natury, wspomnień, co grzeszne

czy chlubne, zawsze jako przestroga, jako zachęta, szczególniéj też jako wytłómaczenie naszéj teraźniejszości również są dla nas kosztownemi. Co to za kapitał stracony, stracone wspomnienie!... To też gdy nam z powodu Strzeleckiego nazbierało się różnych szczątków przeszłości, nie mieliśmy odwagi gatunkować ich, by potrzebniejsze od mniéj potrzebnych odłączać, zgarnęliśmy wszystko razem, ot dla tego tylko, że dawne, — a jednak późniéj gdyśmy to koło głównéj postaci rozłożyli, okazało się, że każdy szczątek coś nam tłómaczył, coś dopowiadał czasem na wyrok potępiający, czasem na usprawiedliwienie — i w końcu wszystkośmy też zatrzymali.

Rodzinna kronika Strzeleckich z najdalszéj pamięci wyciągnięta, zaczyna się trochę na podobieństwo baśni Lechowéj: „Lech przybył z Kroacyi nad jezioro Gopło..." tak uczyliśmy się w dzieciństwie i tak nam o Strzeleckich piszą. Nie z Kroacyi atoli jedno z Chrobacyi, nie tuż nad jezioro Gopło, aleć zawsze do ziemi Polan to jest: z Galicyi w Poznańskie przybył roku 1730 Piotr herbu Oksza Strzelecki. Sprzedawszy prawdopodobnie, lub w drodze działów zdawszy ojcowiznę swoję, Dziewankę nad Dniestrem, kupił dobra Koszuty w Wielkopolsce, ożenił się z panną Kęszycką i miał dwóch synów: Andrzeja i Franciszka. Andrzéj umarł kawalerem, straciwszy swój i brata swego majątek, Franciszek ożenił się z panną Raczyńską i był ojcem tego właśnie, który nas zajmuje, Pawła. Tyle wiemy o męzkiéj linii szanownego sir Edmunda. O linii żeńskiéj nieco obfitsze przechowały się wspomnienia. Z téj strony już dziad jego ma odrębną swoję historyą. Nie bierzemy na siebie odpowiedzialności za dokładność wszystkich jéj szczegółów; tak je podajemy, jak nam niegdyś i teraz podane zostały. Wiele być musi faktów poprzekręcanych, żadnego może dzisiaj niktby udowodnić nie potrafił, całość ich ma jednak za sobą prawdę archeologicznéj, że się tak wyrazimy, atmosfery. Pan Raczyński był to właściciel rozległych dóbr zwanych podówczas Kiekrz, Wielki Gaj i Mały Gaj. Dodaliśmy tutaj zastrzegający wyraz „podówczas", bo dziś może niemieckie noszą już nazwiska. Gałąź od Strzeleckich pochodząca, tytułuje go kasztelanem, i to ni mniéj, ni więcéj tylko poznańskim kasztelanem: ponieważ jednak znaliśmy przed laty jednę z córek tegoż Raczyńskiego i nigdy nie szłyszeli, by o téj godności wzmiankę jaką uczyniła, postaraliśmy się o sprawdzenie naszéj wątpliwości i tę przynajmniéj stanowczo rozstrzygnąć nam się udało. W nowém wydaniu Niesieckiego, tom I-szy przez samego Lelewela przeglądany, obejmuje chronologiczne spisy wojewodów, większych

i mniejszych kasztelanów, biskupów, marszałków, słowem wszystkich dygnitarzy dawnéj Rzeczypospolitéj. Nie spotkaliśmy nigdzie żadnego Raczyńskiego kasztelana; mianowicie od r. 1744 do 1793 kasztelanami poznańskimi byli: Stefan Garczyński, Melchior Gurowski, Karol Grudziński, Wojciech Miaskowski, Ignacy Twardowski Józef Mielżyński, Roch Zbijewski, Rafał Gurowski. Na mniejszych kasztelaniach, gnieźnieńskiéj, nakielskiéj, sieradzkiéj, też same niemal spotykają się nazwiska; w ogóle widać, że rodzina Raczyńskich świeżo około tego czasu z tłumu na wierzch wypłynęła, bo Kazimierz marszałek i Ignacy biskup, pierwsi z niéj dopiero między dygnitarzami są wymienieni. Czy pan na Kiekrzu, Wielkim Gaju i Małym Gaju był imiennikiem tylko i współherbowcem, czy istotnie blizkim powinowatym tych sławnych z czasu Targowicy Raczyńskich? tu się jak głowy rakuskiego orła, rozchodzą dwóch szczepów rodowych podania. Naturalnie potężni Raczyńscy zawsze ignorowali śmieszne drobnych pretensye. Kiedy wysoko zasłużony w literaturze i w dziejach miasta Poznania, hrabia Edward Raczyński majorat ustanawiał i w przypuszczalnym braku dziedziców linii prostéj, obwarowywał prawa kolateralnych, Raczyńskich, z Księstwa Poznańskiego zupełnie pomijając żadnéj nawet wzmianki o nich nie zrobił. Łatwo można się domyślić że Raczyńscy poznańscy z wielkim przekąsem mówili o téj niesprawiedliwości i utrzymywali, że chciał tym sposobem zatrzeć wszelkie ślady wyrządzonéj im przez swego stryja krzywdy. Wszystko to przecież ani za pokrewieństwem, ani przeciw pokrewieństwu niczego nie dowodzi. Od najdawniejszych czasów byli magnaci, co się niby ze śniegu w sieni, otrząsali z naleciałości niezbyt świetnych a ciągle protekcyi dopominających się koligatów: od najdawniejszych też czasów byli pełni próżności i nikczemnéj głupoty współimiennicy, którzy się gwałtem do koligacyi magnackiéj wdzierali. Rzecz to wiadoma zresztą, że tożsamość nazwy o tożsamości pochodzenia wcale nie stanowi; są Czartoryscy w Łomżyńskiém, są Zamojscy w Kaliskiém, a pewno im się nie śniło nawet do książęcéj lub kanclerskiéj genealogii przyczepiać. Prawda, iż wielcy Raczyńscy jako „ludzie nowi“ mogli być w bliższym z małymi Raczyńskimi stosunku, lecz jak ta sprawa po słuszności między nimi stała? Tu już ani Lelewela, ani Bartoszewicza wyrok na nicby się nie zdał; przedawnienie zapadło. Bądź co bądź, czy Raczyński z Kiekrza należał do plejady możnych trzech braci, czy nie, jednak że widać ze wspomnień jego własnych dzieci, że miał prawdziwie wielko-pańską dumę, i że wszystkim przesądom szlacheckim jak najwierniéj hołdował. Dumę i rodowe przesądy jego ciężkie

strapienie dotknęło. Gorąco pragnął mieć syna. My dziś takiego pragnienia wyobrazić sobie nawet nie umiemy. Zdaje się, że gdyby syn był warunkiem do otrzymania jakiego bogatego dziedzictwa, to mimo całéj chciwości pieniężnéj znamionującéj bieżącą epokę przedsiębierstw i gründerstwa, jeszczeby go nie oczekiwano ztak namiętną niecierpliwością, jak wówczas, gdy przedstawiał tylko istotę, któréj kiedyś właśnie majątek swój dziedzictwem, spuścić będzie trzeba. Otoż pan Raczyński na Kiekrzu syna się nie doczekał. Żona mu siedm córek jednę po drugiéj urodziła. Biedne, niekochane dziewczęta, w grozie i zaniedbaniu chowały się po służebnych izbach rodzicielskiego domu; gdy rodzice umarli, i te nawet liche izby zamknęły się przed niemi, bo nowi właściciele dwór w Kiekrzu zajęli. Ta, przy któréj kolanach słuchaliśmy tych starych dziejów, jedna z młodszych córek Raczyńskiego, bardzo już wtedy latami i chorobą ku ziemi pochylona, choć z piękną zawsze jak dobroć twarzą, z błękitnemi jak niebo szczerze pobożnych oczami, wzdychając mimowolnie, smutnym głosem powtarzała nam ciągle z równém zajęciem słuchaną historyą swojego dzieciństwa. Pamiętała wybornie ogromne fury, co zajeżdżały przed gumna, piwnice, śpichlerze i sienie dworskie, a odjeżdżały naładowane workami ze zbożem, beczkami z winem, kuframi ze srebrem stołowém; wszystko to szło do pana marszałka Raczyńskiego, któremu według krążących dokoła pogłosek pan Raczyński, jéj ojciec, cały Kiekrz z przyległościami i wszystko co w Kiekrzu było—ma się rozumieć oprócz siedmiu wydziedziczonych córek—na własność przekazał. Nie chciał on podobno żeby jego majątek rozdzielony, rozdrobniony, po kądzieli w obce przechodził nazwiska, i dla tego przy mieczu, choć postronnym, przy nazwisku, choć nie synowskiém, ale takiém samém w całości go zostawił. Wierzyliśmy każdemu słowu opowiadającéj i dotychczas wierzymy; w czasie tych wypadków jednak, przed końcem, lub niezadługo po nieszczęśliwym końcu konfederacyi barskiéj, była ona bardzo młodziutką dzieweczką jeszcze, nikt z nią poważnie o interesach rodzinnych nie rozmawiał, chwytała tylko przypadkowo uderzające o jéj ucho wiadomostki, może tylko wnioski i przypuszczenia sąsiadów lub czeladzi. O stracie Kiekrza każda z wydziedziczonych trochę odmienną przekazywała swoim dzieciom legendę. W jednéj odrośli rodzinnéj mówiono np., że pan marszałek poprostu prawem kaduka kiekrskie dobra zajął; musiał mieć szczęście do podobnych oskarżeń, bośmy się z takiemi samemi w rodzinie Wotpolów spotkali. Tam szło o jakąś babkę Hermanową, nadzwyczajnie bogatą mieszczankę, bodaj czy nie

blizką krewną Hoene-Wrońskiego. Widocznie musiały pewne okoliczności na wyobraźnię ogółu podziałać, bo wielu rodzinom co między 1787 a 1800 majątki potraciły, zawsze się zdawało, że pan marszałek mniéj więcéj był temu winien, tak jak po 1800 r. katastrofy tego rodzaju zwykle na francuzkie wojny spędzano. Nie dowodzi to faktu, ale dowodzi usposobienia w średnich i niższych warstwach towarzyskich wyrobionéj o panu marszałku opinii, rzecz dla nas przynajmniéj bardzo ciekawą się zdaje. Człowiek na jakiejś kartce dziejowéj zapisany, tak odmiennie czasem w życiu prywatném i w sądach współczesnych wygląda. Zdarza się, że domowe grzechy okupują się wielką publiczną zasługą, lub na odwrót ciężka publiczna wina domowe cnoty przysłania, ale tutaj nie było jak widać zbyt wielkiéj sprzeczności między dwiema stronami téj saméj człowieczéj natury; rzadko bo też ona się zdarza; Janusowe charaktery, od lewego boku czyste, od prawego skalane, do najosobliwszych osobliwości zaliczamy. Czy pan marszałek prawnie czy nieprawnie Kiekrz zagarnął, w każdym razie osobliwością nie był, i dla tego zapewne tyle podaniowych pretensyi wyłączniéj koło niego, niż koło biskupa lub generała Raczyńskiego się oplątało, choć właśnie synowie generała biskupi i marszałkowski odziedziczyli majątek. Siostrzeniec Pawła Strzeleckiego, gdyśmy się po objaśnienia rodzinnych stosunków nieboszczyka doń zgłaszali, podał nam wprawdzie trochę inny, ale dość blizkoznaczny wykład postępowania swego pradziada: „Umierając zostawił on dobra Kiekrz, Wielki Gaj i Mały Gaj swoim siedmiu córkom i zamianował pana marszałka Raczyńskiego opiekunem. Pan marszałek tak doskonale opiekę prowadził, że wzwyż wspomniane dobra zabrał sobie.“ Krasicki w swoim panu Podstolim zaświadcza, że taka była wtedy zwykła koléj wszystkich „sierocińskich,“ jak je zwano, wiosek. Łaskawy korespondent nasz dodaje wszelako trochę daléj, że opiekun pupille za mąż powydawał. My, z ust rodzonéj siostry jego babki, a więc rodzonéj także pana na Kiekrzu córki, słyszeliśmy owszem, że dziewczęta rozproszyły się po domach znajomych i powinowatych. Ona sama, ta nasza wielce ukochana pani Tekla, jedna z najmłodszych, bardzo nieszczęśliwie trafiła, bo się dostała jakiejś pani Mycielskiéj, wielkiéj kapryśnicy, która jéj na początek edukacyą swoich... indyków powierzyła; dopiero gdy starsze siostry ujęły się za biedaczką, przeniosła ją do garderoby, a w końcu na pannę respektową posunęła; na każdym stopniu jednak téj dworskiéj karyery nie pomyślała o tém, by swoję wychowankę choćby jakim podartym elementarzem obdarować. Sierotka z własnéj ochoty wyuczyła się

czytać na staréj książce do pacierza, która do starszéj jeszcze, ale bardzo poczciwéj szafarki należała; przez długi czas też i pismo nieprzystępną i gorąco pożądaną było dla niéj sztuką. Kiedy chciała do siostr oddalonych się zgłosić, wtedy z wielkim mozołem drukowane naśladowała litery. Pan marszałek więc wychowanek swoich za mąż nie powydawał. Jest to właśnie dość charakterystycznym zarysem tamtéj epoki, że z wyjątkiem najmłodszéj, lekko na umyśle upośledzonéj, wszystkie panny Raczyńskie mężów sobie znalazły. Pomyślcie tylko dzisiejsze młode osoby—sześć siostr bez posagu, i każda za mąż poszła! Prawda, że były bardzo przystojne, więc mogły się podobać; na panów nie czekały, więc przyjęły prostych szlachciców, gdy się który w któréj zakochał. Łatwiéj jakoś ludzie zakochiwali się wówczas. Utrzymują, że teraz większa oględność, przezorność i rachunkowość młode serca krępuje. Nie zdaje nam się. I wtedy każdy wolał z posagiem, niż bez posagu brać żonę; z większym cynizmem nawet, a raczéj z większą prostotą trzymano się tego zwyczaju; dopiero gdy się kto zakochał to już ani o posag, ani o majątek, ani o tytuły nie pytał. Dziś też nie inaczéj się dzieje. Gdy się kto zakocha, to o posagu, ani o majątku, ani o tytułach nie myśli: w tém różnica tkwi cała, że się to coraz rzadziéj zdarza; przybyło zdolności muzykalnych, malarskich, snycerskich, inżynierskich, technicznych, administracyjnych—ubyło zdolności zakochiwania się. Tymczasem w rodzinie siostr Raczyńskich i w całém ich otoczeniu zdolność ta wcale do nadzwyczajności nie należała; niechby za przykład choć tę pannę respektową przytoczyć. Zjeżdża raz do państwa Mycielskich młody prawnik, w jakimś ich interesie; każą przynieść kawy, panna Tekla przynosi. Z tacką w ręku, z imbryczkami na tacce, ze spuszczoną głową i spuszczonemi oczami raz tylko przeszła przez pokój i młody prawnik zakochał się po uszy. Za drugą bytnością swoją oświadczył się o jéj rękę; w kilka tygodni przywiózł do swego domku, by w nim panią była. Ach jak też ona swego Józieczka i miłością i wdzięcznością ukochała nawzajem! Szkoda tylko, że mieli zupełnie różne stopniem i kierunkiem wykształcenie, a nie mieli dzieci. Pan Józef był fanatycznym zwolennikiem filozofii ośmnastego wieku; pani Tekla była najszczerszą i najprostomyślniejszą katoliczką: ztąd poszły pierwsze—a trzeba przyznać—pierwsze i zaczepne ze strony pana Józefa nieporozumienia byłyby się mgłą rozwiały, gdyby między te dwa, równie zresztą szlachetne i prawdziwie „dobre“ dla drugich serca, para dziatek przynajmniéj łącznikiem stanęła. Oboje mieli wysoko rozwinięty instynkt ojcowstwa i macierzyństwa, raz poraz brali na wychowa-

nie to synowców, to siostrzenice, pielęgnowali, uczyli, pieścili — wszystko to jednak rodzonych dzieci nie zastąpiło. Mąż się zniechęcił, coraz częściéj zaczął wyjeżdżać, coraz dłużéj zdala od domu bawić; czasem przez lata całe nie wiedział co się z żoną dzieje, a żona znów po dawnemu była biedną i biedną aż do śmierci została. Na siedmdziesiątkilka lat życia przeżyła jednak dwa lata jakoby w raju szczęśliwie; nie każdy przecież może się takim odsetkiem pochwalić. Tych dwóch lat wszelako bynajmniéj a bynajmniéj panu marszałkowi nie zawdzięczała. Wpływ pana marszałka na losy pokrzywdzonych sierot nigdy, pod żadnym względem, protekcyjnym nawet nie był; właściwéj protekcyi doznały one nie dla siebie, lecz dla dzieci swoich, i to nie od marszałka, lecz od ks. biskupa; marszałek zawsze zdala od nich się trzymał. Wątpimy jednak, czy szanownym czytelnikom zależy co na tém, by się rzeczywistéj prawdy owych stosunków indukcyjną lub dedukcyjną metodą dobadywać? No, i nam nic na tém nie zależy. Rozpisaliśmy się trochę dłużéj o téj sprawie, dla tego jedynie, że jéj skutki w dość dziwny sposób na młodsze pokolenie oddziałały.

Wszystkie panny Raczyńskie byłyto, jak widzieliśmy, nietylko wyższéj edukacyi, lecz i staranniejszego wychowania pozbawione kobieciny. Same wprawdzie dorosłszy wychowały się bardzo przyzwoicie, nauczyły różnych książkowych, a w towarzystwie już podówczas koniecznych wiadomości, zasłynęły szczególniéj talentem gospodarskim, który istotnie więcéj może niż grammatyka bystrości umysłowéj wymaga, nie brakło im przeto właściwéj pojętności, brakło im tylko pojęć; żyły ciasném życiem, sąd kształciły na zwyczajach, ale zwyczajów nie porównywały nigdy z ogólnemi zasadami. Od lat najmłodszych w domu rodziców przywykły widzieć takiego pana marszałka, takiego pana generała i ks. biskupa otoczonych głębokiemi atencyami — pana marszałka, szczególniéj!.. Zapewne gdy miał przyjechać, sute mu zawsze gotowano przyjęcie; jeśli dziewcząt w ciaśniejszy gdzie zakątek przed nim nie schowano, to im niezawodnie na taką galę odświętne kazano kłaść sukienki; jedno równie jak drugie głębokie musiało czynić wrażenie. Pan marszałek olbrzymiał na monarchiczną figurę. Jeżelić ojciec był względem niego tak pełen uszanowania, to czémże on być musiał? Gale przeminęły, wrażenie zostało, nawet go doznana późniéj krzywda nie zatarła. Rozproszone sieroty wzdychały po dawnym splendorze rodzicielskiego domu, często sarknęły na niegodziwe przywłaszczenie; mimo to, przywłaszczyciel cały urok wyższości dla nich zachował. Jak się często zdarza, między

siostrami są lepsze, są i gorsze. Lepsze panny Raczyńskie były bardzo dobre, łagodne i nieśmiałe aż do bezradnéj rezygnacyi; gorsze panny Raczyńskie były trochę pyszne, trochę chciwe i samolubne aż do zręcznéj przebiegłości. Otoż bezradność i przebiegłość pospołu się w klientelę możnego panka zaciągnęły. Obdarł je, lecz mógł wesprzeć, miał środki po temu. A zresztą klientela we krwi jeszcze krążyła; miazmata jéj w powietrzu jeszcze wirowały, organizm bezwiednie niemi przesiąkał. Drobna szlachta, ubożsi krewni, czy współherbowni, wszystko to byli urodzeni klienci „clientes nati,“ tak jak z prymasa „legatus natus“ bywał zawsze. Dla siostr Rączyńskich dobrodziejstwa ks. biskupa źródło swoje przecież miały w stosunku z panem marszałkiem. Ks. biskup wypuszczał im dzierżawy, łożył na wychowanie ich dzieci, ale to wszystko skutkiem jakiegoś tajnego układu między obu panami, lub skutkiem miększego serca, które poczuwając się do pewnéj korzyści w spełnionem nadużyciu, poczuwało się też do pewnéj za nie odpowiedzialności. Tak sobie przynajmniéj rozumowały panie siostry, Raczyńskie z domu, i kobieca ich logika doskonale jakoś umiała pomieszać zarzuty z prośbami—urazę z wdzięcznością — Dziesięcioro Bożego przykazania z uszanowaniem dla marszałka, generała i biskupa.

Dopiero w główkach dzieci i wnuków dwa te prądy: żal po straconéj wielkości i uniżoność dla wielkich, zupełnie innego rodzaju chaos wytworzyły. Któż bo z własnego doświadczenia nie zaznał tych haszysowych fantasmagoryi, które sobie w dziecinnym wieku wyobraźnia tak łatwo snuje! Wiecznie one mają ten cudowności, bezmiaru i bezgraniczności pierwiastek, jakim się indyjskie i arabskie odznaczają poemata. Każde dziecko jest w pewnych chwilach swoich marzeń Indyaninem i Arabem. Nic dziwnego, że dzieci z rzeszy Raczyńskich liryką macierzyńskich wspomnień kołysane, wspomnienia te, indyjskiemi i arabskiemi pozłociły sobie blaskami; pokorna uniżoność ich matek, przeobraziła się w nich na pretensyą do znaczenia, jakie *byliby mogli* posiadać; żal dóbr straconych, zamienił się w nadzieję odzyskania—czego? juścić nie Kiekrza, bo Kiekrz na wieki wieków przyrósł do pana marszałka—ale odzyskania innych skarbów, *innych* majętności, kluczów, powiatów.... czemuż to sobie żałować?... Los był wydziercą (pan marszałek już z pierwszego planu ustępował), los dłużnikiem został; prędzéj czy późniéj los wypłaćcą być musi. Ze dwie generacye chowały się i rosły na fermencie tych rojeń; summa ogólna dała kilku ludzi z prawdziwie szlachetną ambicyą, bardzo wielu z fatum najnieszczęśliwszych historycznych pretendentów. O! pre-

tendentów cała gromada! Senni dziwną tęsknotą za jakimś świetnym stanem przeszłości, której osobiście nigdy nie zaznali; rozdrażnieni ciągłém wymaganiem wszystkiego, na co w bieżącéj chwili nie stać ich było, pełni próżności z oczekiwanéj restauracyi, która powinna była przecież w jakiémś jutrze do nich nadpłynąć; gotowi na wszelkie awantury, (mówimy na ten raz o wcale nie argonautowych awanturach: o polowaniu na posagi, o nadziejach pomocy, protekcyi, sukcessyi, o wykopaniu skrzyń pełnych złota i t. p.), tylko niegotowi do zwykłéj pospolitéj pracy; noszący się bezprzestannie w głębi duszy z gorzkiém oburzeniem przeciw popełnionéj względem nich niesprawiedliwości—słowem, wszyscy na małą stopę Stuarty, Wazowie, Don Karlosy. A tak łatwo mogli się pozbyć ciężaru swoich dynastycznych pretensyi! Niechby się tylko zastanowili, że o ile pan marszałek Kiekrza i obu Gajów nie skonfiskowałby na swoję korzyść, o tyle, jak dwa a dwa są cztery, tak niezawodnie piękne pięknych włości dziedziczki byłyby za innych konkurentów powychodziły, a ich mężowie byliby się z innemi panienkami pożenili. Mogło więc przybyć na świecie trochę niewiadomych z nazwiska X. X-ów po pannach Raczyńskich, mogło przybyć trochę indywiduów, coby się Rynarzewskimi, Strzeleckimi, Kiedrzyńskimi zowiąc, rozmnożyli się w Sypniewskich, Słupskich, Duglasów, Szyndlarskich i t. d., nigdy wszelako ci, którzy dzisiaj po ziemi chodzą—o panu marszałku z rozżaleniem może mówią, a pewnie samych siebie tak serdecznie przynajmniéj kochają, jak bliźniego... kochać nakazano—ci wszyscy nie żyliby wcale! Wyobrazić sobie—wszyscy! z ojcami, z matkami, dziatkami i babciami, wszyscy, jak gdyby nagłą śmiercią pomarli. Według ścisłego syllogizmu przecież: kto się nie urodzi, ten nie żyje; kto umrze, ten także nie żyje; a więc nie urodzić się i umrzeć na jedno i toż samo wychodzi. Czy chcielibyście kogokolwiek z waszych rodziców lub z waszego potomstwa uśmiercać? Wy, resztki pozostałe jeszcze prawdopodobnie po dawnych pretendentach? Wiemy przecież z pewnością, że każdemu jego osoba dość miła, a jednak gdyby nie Kiekrz stracony, toby téj osóbki właśnie brakowało na świecie—co zaś więcéj jeszcze dla nas w téj chwili znaczy, nie byłoby i Pawła Strzeleckiego, owego arcypretendenta, jedynego pretendenta, z talentem odzyskawczym, lub raczéj nowo-nabywczym.

Dzięki zaborczéj opiece pana marszałka, Paweł Strzelecki urodził się, bo jego ojciec Franciszek Strzelecki nierządem brata zubożony, ożenił się ze zubożoną przez pana marszałka Anną Raczyńską i za resztki upadłéj fortuny kupiwszy o dwie mile pod Poznaniem leżącą wieś kościelną Głuszynę, wraz z żoną swoją w niéj

zamieszkał. Anna była o pięć lat starsza od męża, lecz uchodziła za najpiękniejszą między siedmiu siostrami, i według rodzinnéj tradycyi miała być tak dobrą, że ją w całéj okolicy za świętą uważano; nam zaś teraz, gdyśmy ściągali potrzebne o rodzie Strzeleckich wiadomości, w przesłanéj notatce załączono jeszcze objaśniającą uwagę, że była dobrą, jak ta, co ją najbliżéj znaliśmy: pani Tekla. Przez jednę o drugiéj sądząc, śmiało ręczyć możemy, że to było arcydzieło nieświadoméj siebie, instynktowéj, wesołéj z potrzeby serca jak światło ze słońca płynącéj dobroci. Coś pierwotnego, coś koniecznego w naturze. Bez poczucia ofiary, bez wysileń heroizmu, gotowość poświęcenia się dla drugich, bez żadnych ascetyzmów hartowna niedbałość o własną wygodę i własne upodobania; łatwa bardzo na własne zyski obojętność; przytém obok żywości bez zwłoki i bez ogródki wypowiadających się wrażeń, łagodność temperamentu aż do pozazdroszczenia; obok dowcipnego rozsądku, obok żartobliwéj figlarności, która się latom sędziwym ani smutkom wykorzenić nie dała, jakaś cicha umiejętność pożycia z ludźmi, we wszystkich stosunkach domowych: „oléj wylany imię twoje,“ jak to w godzinkach napisano stoi. Może trochę nawet za nadto tego oleju, może zbyt luźna pobłażliwość. Widać, że jak prywatne, tak i publiczne postępowanie pana marszałka nie budziło dość silnego wstrętu. Że wywłaszczenie zniosły spokojnie, to ich dobra wola; nie gorszymy się tém bynajmniéj; ale że wywłaszczyciel nie spadł nizko w ich opinii—to chyba według tego, cośmy powyżéj mówili, dziecinnemi nawyknieniami da się wytłómaczyć—że zaś pani Strzelecka dodatkowe względem jego domu przyjęła zobowiązania, gdyż panią marszałkową na chrzestną matkę swéj córki zaprosiła, to już nam się w żaden sposób podobać nie może. Mamy pewne dane w naszych wspomnieniach jasno dowodzące, że pierwiastek szlachetności nie był obcym téj dobroci potulnych kobiet; jednak pokazuje się, że niewieścia linia sióstr Raczyńskich więcéj miała władz ukochania, niż sądu i sprawiedliwości. Rosnąc pośród ludzi złych i zepsutych, oswoiły się z tą myślą, że tak wszędzie i zawsze się dzieje; źli i zepsuci nie zdawali im się większą osobliwością niż deszcz i błoto. Można deszczu i błota nie lubić; ktoby tam jednak był tak rozdelikacony, żeby ich ciągle z obrzydzeniem unikał? Panie z domu Raczyńskie tak mało unikały, że ich dzieci, ich wnukowie od obcych dopiero lub z drukowanych książek dowiadywali się o dziejowym charakterze takiego marszałka nadwornego, takiego generała wojsk koronnych, takiego nawet księdza biskupa, a raczéj wówczas już księdza arcybiskupa, co dla zubożałéj swojéj klienteli najpomocniejszym jeszcze się okazał.

Jeśli pani Strzelecka ze względu religijnego była także w pojęciach i skłonnościach do swéj siostry Tekli podobną, a za świętą niewiastę w okolicy głuszyńskiéj uchodziła: przyznać musimy, że to nam daje bardzo poczciwe wyobrażenie o jéj mieszkańcach. Bo i cóż? te panie nigdy żadnéj nowéj formy nie wymyśliły na umartwienie ciała i nabożeństwo. Kwestyami teologicznemi nie zajmowały się wcale. Więcéj daleko wierzyły w katechizm, niż w księdza. Choć aż do zbytku pobłażliwe, zawsze mimo téj słabości moralnego rygoru, silniéj oburzały się łotrostwem niż obcemi wyznaniami. Odwiedzały chore Żydówki bez żadnéj choćby najskrytszéj intencyi prozelityzmu; dzieliły się chlebem powszednim z tymi, którym jeść się chciało; zastawiały na stole wyborną kawę z ciastem dla gości i przyjaciół, nie wiedząc najczęściéj czy oni są katolicy, czy też lutrzy, kalwini, czy nawet farmazony i filozofy, jak ten ukochany mąż pani Tekli, który ją przecież tyle łez kosztował! Ich *praktyki* pobożne były nadzwyczaj proste. Zachowywały wszystkie Bozkie i kościelne przykazania, głęboko przywiązane były do wszystkich obrządków i przepisów katolickiéj religii.

W tułactwie po obcych domach, niedostatku, chorobach, otuchy im dodawała ta myśl, że wejdą kiedyś do Królestwa Niebieskiego, gdzie każda łza ich niewinnie przelana porachowaną im będzie. Żeby tam wejść tylko! grzechów się strzegły, krzywdy ludzkiéj na sumieniu nie miały, ale czy dosyć ludziom dobrego zrobiły? to stanowiło ich jedyną wątpliwość; był czyściec w odwodzie, a zatém i nią się bardzo nie dręczyły, jednak pragnęły co prędzéj do nieba się dostać... tak im gorzko ziemia dała się we znaki! niebo kiedyś wszystko złe wynagrodzi. Taka była ogólna summa ich pobożności—widzimy, że pobożność najpierwotniejsza, najprostsza jaką sobie wyobrazić można. Jeśli sąsiadom głuszyńskim starczyła ona za świętość, jeśli wyższéj się nie dopominali: wszak prawda, że to było bardzo poczciwie z ich strony?

Państwu Strzeleckim w pierwszych latach ich pożycia dzieci się nie chowały; nakoniec raz gdy mała córeczka na świat przyszła, ludzie doradzili matce, ażeby ją za chłopczyka do lat siedmiu przebierała. Cudowna medycyna i sympatyczne środki dziś jeszcze bardzo wiele zwolenniczek mają, a cóż dopiero wtedy. Pani Strzelecka wiernie rady posłuchała i od tego czasu troje dzieci szczęśliwie jéj się wychowało, każde nawet późnego wieku dożyło, co zapewne temu przypisać trzeba, że najstarsza dziewczynka nie siedm, ale dwanaście lat blizko w chłopięcych majtkach i w czamarce chodziła. Polecamy ten fakt wszystkim amatorom i amatorkom osobliwych przyczyn, które w żadnym logicznym związku

ze skutkami swemi nie stoją. Warto co prędzéj go spożytkować, by sceptyk jaki nie wpadł na przypuszczenie, że z męzkiemi sukienkami pierwszéj dziewczynki w systemat wychowania rodzicielskiego pewna amerykańska swoboda się wcisnąwszy, mogła siły fizyczne rozwinąć i zdrowie zahartować. Rzeczywiście, choć państwo Strzeleccy *Emila* prawdopodobnie nie czytali, a pani Strzelecka, gdyby go i czytała nawet, to bezwątpienia nigdyby się do przepisów takiego kacerza filozofa z równą powolnością, jak do rad swych kumoszek nie zastosowała: jednak metoda Rousseau widocznie w instynktach ówczesnéj epoki tkwiła. Dzieciom państwa Strzeleckich wszystko prawie było wolno; dogadzano ich upodobaniom, kochano je bardzo, i co może największą łaską dla nich było, nikt się ich ukształceniem ani ich zepsuciem nie zajmował. Rosły jak polne kwiatki bez sztucznéj uprawy, p łnią tylko słońca, powietrza i przestrzeni. Najstarsza z rodzeństwa, Izabella, mimochodem przypomnimy, że ta właśnie, co to ją pani marszałkowa do chrztu trzymała—z męzkim ubiorem męzkie przejęła gusta. Psy i konie najmilszą były jéj rozrywką; sama po łąkach i polach Głuszyny nauczyła się bez siodła konie ujeżdżać, późniéj też do pięćdziesięciu lat przeszło, gdy jéj było trzeba dzierżawione folwarki zwiedzać, zawsze po męzku, w stosownie na ten cel przykrajanéj amazonce konia dosiadała. Na kształtach, wadach, zaletach tego zwierzęcia lepiéj się znała niż najprzebieglejszy handlarz koni, najsławniejszy berajter. Z końmi wszelako był to jeszcze trochę samolubny stosunek; nieraz sprzedała ulubionego konia; żal jéj go było, lecz jeśli potrzeba nacisnęła, summa bardzo wysoka skusiła—przedała; z psami zaś, to już była prawdziwa przyjaźń, przyjaźń wzajemnie wierna od urodzenia aż do śmierci; przyjaźń bohaterska nawet. Raz w dziecińswie ogromny pies rękę jéj poszarpał, przez całe życie nosiła na niéj ślady jego zębów. Ma się rozumieć w domu hałas, przerażenie, wołają strzelca, żeby psu w łeb palnął, a tu dziewczynka obie rączki na szyję winowajcy zarzuca i płacze, prosi, błaga, aby mu przebaczono: on już na drugi raz taki zły nie będzie, sama go ukarze, rodzice się przekonają! I rodzice się przekonali najpierwéj, że pies nie był wściekły, a potém, że Izabelka, lub raczéj, jak ją powszechnie zwano, Belunia, wziąwszy marchew w zdrową rączkę, bardzo surowo jéj nacią pokrzywdziciela swego wyćwiczyła. Nikt nie miał serca w czémkolwiek się Beluni sprzeciwić, przez długi czas było to śliczne, ale takie wątłe i drobne dzieciątko, że nieraz już trzechletnią pani Strzelecka w kieszeni z sobą na wizyty przywoziła.

Gotowi czytelnicy nasi nie uwierzyć; zwracamy ich uwagę, że wtedy przy rogówkach większe niż dzisiaj noszono kieszenie, zapewne nie na objętość pyzatych Rafaela aniołków, ale o tyle przynajmniéj, że fakt przytoczony był jednak jako nadzwykłość możliwym. W dwunastym roku dopiero swobodnego ptaszka zamknięto do klatki, ubrano jak dziewczynkę, i nad abecadłem po raz pierwszy posadzono. Ksiądz biskup miał ją przez jakiś czas u siebie w Ciążeniu, potém oddał swoim kosztem na klasztorną pensyą, którą zakonnice w Oloboku utrzymywały. Wolno przypuszczać, że Jego Excellencya z domową nauką rozwichrzonéj główki rady sobie dać nie mógł; mimo to widać, nie zraził się do niéj, owszem, powierzając ją obcemu sterownictwu, jak największe dla swojéj małéj faworytki względy zastrzegł. Poczciwe zakonnice i bez tego zastrzeżenia byłyby się przesadzały w pieszczotach dla biskupiéj wychowanki, cóż dopiero po zastrzeżeniu! Szczęśliwa pensyonareczka miewała na obiad kapłony pieczone, a koniecznie w piórka jak bażanty przybrane, bo innych jeść nie chciała; po obiedzie codziennie piła wyborną kawę ze śmietanką i z ciastkami; innych słodyczy, bakalii, pierniczków ad libitum używała, no i uczyła się trochę. W siedmnastym roku wyszła z pensyi, umiejąc już czytać, pisać, trochę po francuzku mówić i trochę brzdąkać na fortepianie, co wtenczas stanowiło bardzo wysoki już stopień prowincyonalnéj edukacyi. Prócz tego słabowite dziecko wyrosło na jednę z najpiękniejszych kobiet w Wielkopolsce; trzeba zaś wiedzieć, że w Wielkopolsce grunt jest na piękne kobiety osobliwie jakoś urodzajny, mogliśmy się o tém niegdyś własnemi oczami przekonać; niemało to więc znaczy, być jedną z pierwszych między pierwszemi.

Panna Strzelecka wysmukła, szczupła, a jednak silnie zbudowana, kwitnąca zdrowiem, czerstwością i prawdziwie klassycznym rozwojem muskułów, twarz miała pociągłą, włosy prawie czarne, oczy szafirowe.... „Ach! co za oczy!"... zawołaliśmy jeszcze, gdyśmy ją po raz pierwszy w szóstym krzyżyku jéj życia ujrzeli. Cerę też miała świeżą jak krew z mlekiem, zęby, których niepokalanéj emalii i trwałości przez kilkadziesiąt lat ludzie jéj zazdrościli, ramiona niby z marmuru dla jakiejś starożytnéj Pentezylei wyrzeźbione.—„Ach! co za ramiona!" musieliśmy także wykrzyknąć, gdy raz w dzień bardzo gorący pozrzucała ciężkie mantylki i okrywki, a w wyciętym staromodnie ukazała nam się staniku. Pod stopą na podbiciu wygiętą niezawodnie wodaby przepłynęła bez zamaczania pięt i palców według arystokratycznych lady Stanhope wymagań; słowem choć posagu nie miała, była to ze wszech

miar godna jakiegoś turniejowego rycerza nagroda. Ksiądz biskup o wielce świetnych dla niéj swatach zamyślał; ale cóż, kiedy nie miał swadźbowego powodzenia w téj całéj rozrodzonéj z siostr Raczyńskich gromadzie; wszystkie dziewczęta były piękne jak Gopllany lub Nereidy, wszystkie chłopaki jeszcze prawie od dziewcząt piękniejsze; zdawało się najłatwiejszą w świecie rzeczą znaleźć im przy protekcyi przyszłego księcia arcybiskupa, wysoko tytułowanych mężów i milionowe bogate żony. Nie byli to wcale marzyciele i chatek w lesie lubownicy; nie były to wcale wyrzekające się światowych powabów i próżności purytanki: przeciwnie byli to i były z małym bardzo wyjątkiem najczystszego typu owi pretendenci, o których mówiliśmy powyżéj, lecz pretendenci z bardzo niewygodną dla pretendentów zdolnością. Zakochiwali się łatwo a szczerze, i potém nic już na ich małżeńskie projekta wpłynąć nie mogło; rady, przestrogi, obietnice, wszystko jak groch o ścianę rzucony, odbijało się daremnie. Książę arcybiskup z warstwy starszych dzieci brał jedno po drugiém, wychowywał, cieszył się postępami i urodą, aż gdy chciał żenić lub za mąż wydawać, wszystko się nagle zrywało, następowały wzajemne urazy, rozżalenia, i w końcu łaskawy dobroczyńca z opieki swéj wypuścił całą tę niepoprawną rodzinę.

Panna Izabela Strzelecka nie uniknęła fatum ciążącego na jéj pokrewnych; wbrew marzeniom, życzeniom, przestrogom wyszła za pana Józefa Słupskiego. Byli tacy, którzy się temu do końca jéj życia dziwili; byli inni, którzy za bardzo zwyczajną rzecz to uważali: miała rok siedmnasty, a pan S. prześlicznie konno jeździł. Co to, to prawda. Chociaż był nizki i potężnéj już tuszy gdyśmy go poznali, jeszcze piękniéj umiał koniem zatoczyć, niż młodzi jego synowie, uchodzący przecież za wybornych jeźdźców między surowymi znawcami rodzinnéj okolicy. Od ciotek pani S., od jéj ciotecznych braci, nasłuchaliśmy się istnie wieczornicowych historyi o téj ich ukochanéj Beluni. Jakieś lasy przebywane samotnie, jakiś Niemiec dezerter, biczem z prędko powożonéj karyolki spychany, jakieś z zimną krwią w czasie pożaru dawane rozporządzenia, szczególniéj jakiś napad zbójców głębokie na dziecięcéj naszéj wyobraźni robił wrażenie. Pani Belunia nocowała raz w zupełnie pustym domu; miała przy sobie tylko trochę pieniędzy, psa i pistolet. W nocy słyszy jakiś szelest przy drzwiach od sieni, coś niby przyciszone a metaliczne skrobanie koło zamka. Wychyla się oknem, choć ciemno, rozpoznaje dwóch tęgich chłopów, zamiaru ich łatwo się domyśla; pies już mruczeć zaczął i sierć najeżył; jeśli do pokoju wejdą trudna będzie z dwoma sprawa; więc

wstaje, jedną ręką psa za pysk przytrzymuje, żeby nie szczekał, w drugą bierze nabity pistolet, lekkim krokiem zbliża się do drzwi wysadzanych, sama je nagle otwiera, strzela na chybił trafił—„pyf, trzymaj!“ woła, psa wypuszczając, i nim złoczyńcy przytomność odzyskać zdołali, znów spiesznie rygiel z wewnątrz zasuwa, a w oknie staje i wszystkich dopiero bywałych, lub niebywałych po stajniach, wozowniach, oborach rozproszonych na noc parobków zwoływać zaczyna. Żartowano z niéj potém, że strasznie długą, dłuższą niż w książce od pacierza wyliczyła litanią, ona jednak ręczyła, że co najwięcéj, to ze dwa lub trzy imiona przydała, bo musiała przecież kilka razy powtarzać te, które rzeczywiście do fornali i pastuchów należały: „człowiek się prędzéj budzi, gdy swoje własne słyszy nazwisko.“ Przy każdém jednak opowiadaniu pani Słupska bardzo się zawsze chwaliła roztropnością.... swego brytana: „tak rozumnie się zachował, jak gdybyśmy się oboje ludzkiemi słowami naradzili względem całego planu.“ Ma się rozumieć, że trzymanego przeciwnika pies nie puścił, aż wtedy, gdy mu go sama pani nadbiegłym ludziom oddać kazała. Ujęto szczęśliwie obu znanych w okolicy rabusiów, i do sądu odwieziono. Koniec przygody zupełnie nas zadawalał; przyznajemy się jednak, że to dobrowolne drzwi uchylenie, prawdziwie dramatyczną onego czasu przejmowało nas grozą; tworzyliśmy różne kombinacye i przypuszczenia, jakimby sposobem naprzykład owéj ostateczności można było uniknąć? tymczasem zaś pani Belunia coraz świetniejszą aureolą bohaterstwa otaczała się przed wzrokiem duszy naszéj; wyobraziliśmy w niéj sobie, co najmniéj, to jakąś drugą Zubrową, która z mężem wszystkie kampanie Napoleońskie odbyła, dosłużyła się stopnia majora i otrzymała krzyż Legii honorowéj. Gdy prócz tego dodamy jeszcze, że raz poraz wspominano przy nas jak Belunia całe gospodarstwo konno objeżdża, jak w dzierżawę bierze i urządza folwarki; jak na męzkiém gospodarstwie zna się nie gorzéj od wszystkich panów obywateli z sąsiedztwa, a pewnie trochę lepiéj od swego własnego męża — gdy to wszystko dodamy, niejeden z czytelników założyłby się niezawodnie, że to pierwowzór chyba sławnéj z braci ślubnych Barbarki,—otoż wcale przeciwnie. Mało kobiet znaliśmy tak potulnych, cichych, ustępnych, więcéj nawet mamy prawo powiedzieć, mało tak jak ona trwożliwych. Droga nasza pani S. żyła w ciągłych obawach, czy temu dobrze? czy tamtemu źle nie jest? czy się ów na owego nie rozgniewa? czy ta na nią o co się nie obrazi? czy do wojny w sąsiedztwie lub w Europie nie przyjdzie? Bała się narazić mężowi; gdy porosły, bała się narazić dzieciom; bała narazić przyjaciołom

znajomym, sługom — bała się plotek, bała się przyjścia chorób epidemicznych, bała rozruchów, kłótni, policyantów, bała się wszystkiego—prócz niebezpieczeństwa. Z niebezpieczeństwem dopiero następowała dla niéj chwila wytchnienia i spokoju. Jakkolwiek to zbyt epizodycznie wygląda, ale dla saméj osobliwości psychologicznéj wielka nas bierze pokusa ten rodzaj bezzamiarowéj, a na każdą niespodziankę gotowéj i wystarczającéj odwagi, porównać z lękliwością, która znów gotową była na każde spodziewane i niespodziewane niebezpieczeństwo się wystawić. Do „lękliwości“ z największą prostotą przyznawała się ciotka Strzeleckich, właśnie parę tu już razy wspomniana pani Tekla. Co prawda, to w porównaniu z wielu dzisiejszemi słabych nerwów kobietami miałaby prawo za wzór męztwa uchodzić. Nie lękała się ani bydła, ani psów, ani indyków, ani gęsiorów, ani myszy nawet, okropnie jednak lękała się czasem ludzi, a ze wszystkich strasznych dla niéj najwięcéj lękała się Szekelego. Wiadomo, że był to w roku 1794 znany srogością swoją pułkownik wojsk pruskich w Poznańskiém. Pani Tekla do końca swego życia głęboko wierzyła temu, że popełniał jakieś attylijskie i dżengishanowe okrucieństwa; drzazgi za paznogcie wbijał, kobietom piersi obrzynał, jeńcom pojmanym bez litosne męczarnie zadawał; słowem, zwykłe, a może trochę tylko więcéj niż zwykłe jego nadużycia wojenne, zolbrzymiały w jéj i w ogółu wyobraźni do nadnaturalnych rozmiarów, bo przecież to się działo w końcu ośmnastego wieku, na scenie europejskiéj, tak źle więc nie było zapewne. Lecz pani Tekla wierzyła, że było, i z tą wiarą nie wahała się ściągnąć na siebie osobistego prześladowania groźnéj pamięci pułkownika. Mąż jéj przyłączył się z małym oddziałkiem do obozu insurgentów, trzeba było żywności dowozić, chorych w cichsze okolice odstawiać, zlecenia różne wykonywać. Pani Tekli w głowie nawet nie postało, by mogła kiedykolwiek, jakiegokolwiek rozporządzenia swego męża nie wykonać, chyba gdyby o post, pacierz lub spowiedź chodziło, ale we wszelkiéj innéj sprawie!... ze strachem w duszy krzątała się więc gorliwie, jeździła, woziła, aż w końcu za jéj ujęcie Szekeli nagrodę ogłosić kazał. Przebrała się wtedy jak chłopka; poczciwe gospodynie dóbr szubińskich to w jednéj, to w drugiéj chałupie ją przechowywały, a ona ciągle przeciw Szekelemu broiła. Kiedy tak z parę tygodni upłynęło, zaczęła się już z nowym trybem życia oswajać; raz, podczas niedzielnego nabożeństwa rozległ się nagle okrzyk: „Szekeli idzie! Szekeli!“ Pani Tekla między wieśniaczkami tuż blizko ołtarza klęczała. Jak się to stało? nigdy sobie tego przypomnieć nie mogła, ale w jednéj chwili, w jedném mgnieniu oka była pod ołtarzem. Kto zna parafialne nasze ko-

ścioły, ten wie, że tam z tyłu, między podłogą a deskami bywa niekiedy rozstęp na dużą piędź szeroki: to też gdy popłoch fałszywym się okazał, gdy hałas przycichł, a głosu wołającéj dosłyszano, niepodobna jéj było z zaimprowizowanéj kryjówki wyciągnąć; musiano deski odrąbywać i ludziska nadziwować się nie mogli, jakim sposobem dobrego wzrostu kobieta przecisnęła się taką szparą, przez jaką trzechletniemu dziecku trudno byłoby się wcisnąć. „Co to strach może!“ kończyła zwykle filozoficzną uwagą opowieść tego zdarzenia; „ale dzięki Bogu, dodawała jeszcze—nic mi to nie zaszkodziło, mogłam wkrótce wybrać się w drogę.“ Po wielu, wielu latach, kiedy już i Józieczka na świecie nie było, znów tak osamotniona, bez opieki w tętniącéj od przechodu wojsk i huku armat okolicy, dobrowolnie zostawszy na straży szczupłego mienia jednego z najukochańszych wychowanków swoich, nowe przebywała postrachy i grozy; raz nawet bagnet już o piers jéj trącił, ale zawsze jakiś obrońca się znalazł. Widok téj cichéj, pogodnie łagodnéj staruszki dzikość nieokrzesanych rozbrajał, z serc szlachetniejszych głębokie poszanowanie wywoływał, a zresztą ludzie czuli, że tam dla nich nienawiści nie było, tylko smutek wielki, wielka litość, wielkie przebaczenie. Ulubiony wychowanek, a po mężu synowiec, choć sam pacierza nie mawiał, zawsze potém głęboko mistyczną wiarą wierzył w to, że jéj zasługom, jéj modlitwom nietylko skromnego dobytku, ale i życia ocalenie w najgęstszym gradzie kartaczy zawdzięczał. Wszyscy też koło niéj, od sąsiadów obywateli, aż do chłopów byli tego samego zdania. I trudno zaprzeczyć—tkwił jakiś dziwny urok, jakiś wdzięk poczciwie czarujący w owym przelękłym heroizmie pani Tekli, równie jak w zatajonéj odwadze pani Beluni. Między ciotką a siostrzenicą inne prócz tego zachodziły podobieństwa. Nie spotykamy już dzisiaj kobiet tak wolnych od towarzyskiéj próżności, tak samych sobą w każdéj chwili, tak swobodnie wypowiadających swoje wrażenia, tak szczerze przyznających się do wszelkich czy to domowych czy umysłowych niedostatków, tak łagodnie pobłażliwych dla tych, których kochały; tylko w pobłażliwości pani S. była przymieszka sporéj dozy macierzyńskiego egoizmu. Dla siebie—nie, ale dla dzieci umiała być ona taką pozytywistką, jak gdyby ze szkoły... juścić że pana Narzymskiego, a nie Mill'a wyszła. Lecz dość już o pani Słupskiéj, ledwo mamy nadzieję, czy nam wybaczą, że zanadto. Postaramy się jednak usprawiedliwić.

We trzy lata po córce urodził się państwu Strzeleckim syn, któremu imię Piotra dali. Piotra wziął także biskup Raczyński na wychowanie i sposobił go do stanu duchownego, i znów, jak

widać fatalnie się rozminął z powołaniem swego pupilla. Piotr w r. 1809 wstąpił do wojska polskiego, odbył kampanią austryacką; w 1812 kampanią rossyjską; w 1813 Murat mianował go swoim adjutantem i ozdobił krzyżem Legii honorowéj; przy boku Murata walczył Piotr pod Benevento, wzięty do niewoli austryackiéj zostawał w niéj aż do 1817 roku. Nie obeszła się jego młodość bez powieściowych nadzwyczajności, lecz to wspomnienie jest wyłączną dwóch rodzin własnością; nie śmiemy go dotykać bez upoważnienia, a po upoważnienie nawet nie wiemy do kogo zgłosićby się można. Dramacik ten zresztą nie miał żadnéj z Pawłem styczności i chyba jako wspólność pewnego fatum wichrzącego młodością obu braci, przytoczyćbyśmy go chcieli. W kilkanaście lat po swoim powrocie ożenił się p. Piotr z młodą bardzo miłą osobą, Raczyńską z domu. (Jakich to Raczyńskich córka, to już nam trudno rozwikłać; Raczyńscy w księztwie Poznańskiém bardzo licznie rozrodzeni byli; nawet z owych siedmiu siostr Raczyńskich jedna za Raczyńskiego wyszła — obecnie z tak rozgałęzionego rodu bardzo mało już zostało odrośli, w przeciągu pięćdziesięciu lat, już z pięć lub siedm domów pamiętamy to śmiercią, to brakiem męzkich potomków, to zupełną bezdzietnością wygasłych). Gdyśmy państwa Piotrów Strzeleckich w r. 1840 poznali, ona sama była jeszcze bardzo ładną kobietką o delikatnych rysach, choć z trochę szablastym nosem Raczyńskich; dzieciaczki wszystkie prześliczne nam się wydały, a pan ex-adjutant Murata, szczupły, nizkiego wzrostu, z twarzą po słowiańsku kościstą, ze świeżą, mocno śniadą przy białych włosach cerą, z oczami tak czarnemi jak gdyby je na jakim kalabryjskim Włochu zrabował, w niczém w żadnym rysie oblicza, w żadnym wymiarze postawy nie był do swéj siostry podobny; bardzo ją przypominał za to ruchami, a jeszcze więcéj niewymuszoném, łagodném, cichém usposobieniem; niktby się w nim dzielnego oficera Napoleońskiéj armii długo może nie domyślił, tak jak w siostrze niktby śmiałéj amazonki i zabiegłego gospodarza nie odgadł. Trudno było nam o nim więcéj spostrzeżeń w czasie kilkogodzinnych odwiedzin uzbierać. W rodzinie mało też zwykle o panu Piotrze mówiono, chociaż gdy się to zdarzyło, zawsze życzliwie, serdecznie i z szacunkiem o nim się wyrażano.

A teraz, kiedyśmy już na tle rodzinném bliższe panu Pawłowi rozstawili osobistości, trzeba nam wreszcie jego samego wprowadzić. Najmłodszy z dzieci państwa Strzeleckich, przyszedł on na świat w sześć lat po Piotrze, a zatém w dziewięć po siostrze swéj Izabeli. Nie wspominaliśmy tutaj o zdolnościach umysłowych

starszego rodzeństwa, bo się nad zwykłą miarę niczém nie odznaczyły i górowały nad niemi inne strony charakteru. Może z tych głów, jednéj tak pięknie, drugiéj tak zaciekawiająco ukształtowanéj, silne tarcie zewnętrznéj konieczności, wydobyłoby jaką świetniéj promieniejącą iskierkę: to pewna przynajmniéj, że czego musieli się nauczyć, tego się nauczyli. Mąż Izabeli nie lubił zajęć agronomicznych, zostawił przy sobie zarząd pieniężny, resztę zdał na głowę żony i żona bardzo prędko obeznała się ze wszystkiém. Piotr już służbę wojskową przyjąwszy, równie też łatwo z księdza wcale dobrym oficerem został. Na stosunki sąsiedzkie, na wymagania towarzyskie, na treść prowadzonych dokoła rozmów, zawsze im ten który mieli rozum wystarczał; — mogli nim zaspokoić wszystkie bieżące życia potrzeby; lecz te potrzeby właśnie dość były ograniczone. Średnio-majątkowa szlachta wielkopolska w téj epoce na bardzo małém poprzestawała; brakło więc konieczności zewnętrznéj, a wewnętrzna obcą im była. Zupełnie inaczéj rzeczy się miały z Pawłem. Od urodzenia przyniósł on już w sobie jakiś nadmiar zdolności, które się gwałtem zastosowania i użytkowania domagały. Bystry pojętny, z żywą wyobraźnią, z błyskotliwym jak dyament dowcipem, z nieustraszoną odwagą starszego rodzeństwa, z naturą wrażliwą i namiętną, był prawdziwie „niespokojnego ducha,“ jak to nam w przesłanych objaśnieniach napisano. Niespokojność jego wszelako błąkała się tylko pośród trudnych, lecz zawsze możliwych do spełnienia życzeń i możliwych do wykonania pomysłów. Nie widać tego, by w którymkolwiek życia ustępie kwestye metafizyczne sen mu z powiek spędzały, lub żeby wszechwładna żądza ideału, jak Habakuka za włosy ująwszy, w powietrze go wzniosła i choć na pół godzinki młodości od ziemi oderwała — nie — pod tym względem w jego biografii żadnych danych nie spotykamy. Od niemowlęctwa do późnéj starości, był to ciągle umysł trzeźwy, choć dziwaczny, niezwykłemi chodził drogami, lecz ku zwykłym celom. Duch niespokojny uciszył się pierwszą pracą, która wszystkie jego władze inteligencyjne zajęła i pierwszém, ba! nawet jedynem dziełem, które mu wraz ze sławą imienia, znaczenie i stanowisko towarzyskie zapewniło. Nie od razu jednak, nieprędko na ten sposób trafił.

Siostra jego opowiadała nam, że gdy był jeszcze bardzo małym, najlepiéj lubił się w „księdza“ bawić; całe dnie prawie spędzał przy téj rozrywce. Państwo Strzeleccy, jak to się już wspomniało, z wielką pobłażliwością dogadzali upodobaniom swoich dzieci. Izabelka miała swoje psy i konie; Pawełek miał swój osobny pokoik, w którym mógł, ile chciał tylko nabożeństw od-

prawiać. Urządził go zupełnie w kształcie kapliczki, z ołtarzem, z dzwonkiem sygnaturkowym na sznurze wiszącym, a szczególniéj z amboną na lekkiém w odrzwiach wzniesieniu. Rówieśnik jakiś codzień przychodził do mszy mu usługiwać; ambona zaś codzień kazaniem lilipuciego prałata się rozlegała. Pani S. mówiła, że tym kazaniom nigdy sensu i związku nie brakło, a nie jednego starsi mogli z przyjemnością i z pożytkiem słuchać. Naturalnie, wszyscy pewni byli, że się to jakieś osobliwe powołanie kapłańskie rozwija, a to znaczyło po prostu, że książę arcybiskup, największym blaskiem otoczony członek rodziny, największe też na umyśle chłopczyny zrobił wrażenie i Pawełek nie do kapłaństwa, tylko do godności arcybiskupiéj się przygotowywał. Jak trochę podrósł, czytać i pisać się nauczył, ogarnęła go znów inna, dramatyczna mania. Po całych rankach pisywał komedyjki, a wieczorem sam je odgrywał przed domowych widzów zgromadzeniem; huczne dawano mu oklaski, co nas zresztą nie dziwi, bo te próbki musiały już być tu i owdzie prawdziwym dowcipem ożywione, a prócz tego aktor, według świadectwa wspominających, miał gest swobodny i charakterystyczny, głos dziwnie miły i giętki, prześlicznie czytał, zachwycająco deklamował i te dwa talenta, nierównie dłużéj od komedyopisarskiego, bo podobno do końca życia zachował. Sporym już musiał być podrostkiem, gdy go wyprawiono do szkół warszawskich, pod opiekę Ksawerego Kiedrzyńskiego, mecenasa. Zdaje się, że już wówczas arcybiskup porzucił swoich niegodnych życzliwego swatania klientów. Nowa opieka nie była ani zbyt surową, ani dostatecznie imponującą nawet. Pomimo lat znacznie starszych i dość już poważnego w hierarchii społecznéj stanowiska, Kiedrzyński, brat rodzono-cioteczny, sam młody, wesoły i koleżeński, mógł skutecznie dopomódz Pawłowi w dalszéj jego „karyerze," ale w żaden sposób nie mógł nań pedagogicznego wpływu wywierać, owszem pokazało się, iż niebawem on sam wpływowi swego wychowanka uległ.

Trudno byłoby może całą biografią Pawła zrozumieć, gdybyśmy tutaj nie wspomnieli o pewnéj zdolności a raczéj pewnéj władzy odrębnéj, ni umysłowéj, ni moralnéj, ni zasługą nabytéj, ni pracą wyrobionéj, ale która pewnym osobistościom jak talizman zdaje się być udzieloną i od kolebki do grobu im towarzyszy. Władzę tę pospolicie *szczęściem do ludzi* zowią. Nie chodzi ona w parze z cnotą lub rozumem, niezawsze trzyma się wdzięku i ładnéj powierzchowności. Widzieliśmy strasznych nicponiów, bardzo płytkich półgłówków, bardzo niezgrabnych i przesadzonych energumenów, którzy tę dziwną władzę i ten książęcy posiadali przywiléj; zauważaliśmy-

prócz tego, że jest to niekiedy dziedziczna wspólność pewnych rodzin. Nieraz dla spokojności własnego sumienia, potrzebowaliśmy jasno zdać sobie sprawę z téj siły: przyszliśmy nakoniec do tego wniosku, że jest ona po stronie tych, którzy mają żywszą i szybszą wrażliwość. Nie chodzi tu o trwałość tylko, o natężenie chwilowe téj wrażliwości. Są tak bogate natury, że im starczy materyału na poczucie — objawienie — i stałe zachowanie doznanego wrażenia; są inne daleko uboższe, które jednak zupełnie tak samo oddziaływają jak bogate, ponieważ na pewną daną okoliczność tak samo pewną daną summę z wewnętrznych swoich zapasów ekspensują. Bogacz rzuci sto dukatów w podarku, oni chudo-pachołcy rzucą sto, a czasem sto jeden może; dla przyjmującego, złoto niczém się nie różni od złota, hojniejsza ręka milszą się staje mimowoli. Czasu dopiero trzeba, by się przekonać, że skarbu bogacza żadne podarki i żadne obowiązkowe spłaty nie wyczerpią, gdy przeciwnie ubodzy marnotrawcy po klejnotami skrzących upominkach, nie mają czém się uiścić niekiedy z najskromniejszego złotówkowego podatku. Któżby tam jednak był do tego stopnia nieufnym, czy roztropnym, żeby ciągle miał się na ostrożności i czekał a czekał co to daléj będzie. Widzisz przed sobą człowieka, który ci się raduje, który się z tobą smuci i rozrzewnia, zachwyca się i oburza, a nie słowem tylko lub przez grzeczność salonową, lecz najszczerzéj, najserdeczniéj, najprawdziwiéj. Choćby głos cię oszukał, to nie oszuka promienny wyraz oblicza, współczuciem lśniące oko, bladością lub rumieńcem zachodzące lica. Nie wierzyłbyś licom i oku? Przyłóż rękę do serca, weź za puls, przypatrz się drganiu muskułów — wszystko będzie rzeczywistością i wszystko jest rzeczywistością. Może on późniéj sam siebie i ciebie wyszydzi, ale w obecnéj chwili czuje, kocha, boleje, do słońca jak orzeł skrzydłami bije, do życia jak dziecię z uciechy w dłonie klaszcze. Jakiś nadmiar ciepła jego własną duszę przenika, więc i twoję ogarnia, jakiś prąd elektryczny z jego piersi się wydziela, więc i w twoję płynie. Chcesz, czy nie chcesz — przyjdzie ci co z tego czy nie przyjdzie, on koniecznie „szczęście do ciebie“ mieć musi, bo owo szczęście jest prawdziwością pięknych wrażeń i siłą ich objawu; wszystkie do koła chłodniejsze natury z wdzięcznością jéj się dają pociągnąć, zwyciężyć i opanować. Gdyby wrażenia dłużéj trwały, gdyby rozwinęły się w zapowiadane gatunkiem swoim zdarzenia i czyny, toby już nie były szczęściem do ludzi, tylkoby przeszły we wzajemną przyjaźń ludzką, w sprawiedliwość, uznanie, szacunek i t. p. Otoż Paweł Strzelecki miał w młodości swojéj, a pono i przez całe życie swoje sza-

lone szczęście do ludzi. Ten jeden szczegół mógłby nam już wiele stron jego usposobienia wytłómaczyć, choćbyśmy innych wskazówek nie mieli; lecz właśnie dostarczyła nam ich bliższa znajomość z wielu jego krewnymi, którzy tę rodzinną niejako cechę w wyższym prawie stopniu, bo przy niższych posiadali zaletach. Szczęście Pawła mogło nikogo nie dziwić — i tutaj-to odwołać nam się wypada do rzuconego zastrzeżenia, gdyśmy się trochę dłużéj o siostrze jego rozpisali. Paweł był z nią bliźnięco, jak mówiono, podobny: takież same klassyczne rysy i kształty, takaż miękka łagodność w obejściu, takiż wstręt do cierpienia wszelkich stworzeń żyjących, takaż odwaga spokojna, powierzchownością i temperamentem zupełnie jedno drugiemu za wierny konterfekt służyło, dopiero wyrób temperamentu i charakter stanowczo jedno z drugiém różnił. Pani Izabela roztaczała dokoła siebie całą błogość cichéj i niewymagającéj natury; Paweł przynosił z sobą wszystkie niebezpieczeństwa „niespokojnego ducha“ — sam ich nie przewidywał i drudzy nie przewidywali. Łatwo można więc sobie wyobrazić, jaki to czarodziéj być musiał ten Antynous, zdolny, dowcipny, kiedy mu się zdawało, że kogoś bardzo wysoko ceni, albo też bardzo głęboko kocha!

Xawery Kiedrzyński przywiązał się do niego, bodaj czy nie więcéj jeszcze niż do rodzonych braci—trzeba zaś wiedzieć, że do rodzonych braci bardzo był przywiązany. Jako starszy wychowywał ich, wspierał na każdym kroku życia; dziesiątek i setek tysięcy nie żałował im w potrzebie; mówiono jednak, że do Pawła miał oprócz tego przywiązania, wyraźną jakąś słabostkę. Nie można powiedzieć, że go kochał jak syna, gdyż właśnie zupełna między nimi poufałość i równość panowała, ale kochał go jak to starsi poczciwi bracia młodsze siostrzyczki kochają niekiedy; pysznił się jego towarzyskiém powodzeniem, jego pięknością, jego rozumem, dał mu się nawet trochę zawojować i miał nadzieję, że go drogą świetnéj przyszłości daleko poprowadzi — gdy wtém, jednego pięknego poranku, według francuzkiego wyrażenia, choć poranek może był właśnie słotnym i ciemnym wieczorem —jednego dnia tedy, Paweł znika. Wziął z biurka pieniądze, z szaf i kufrów co mu do ubrania potrzebne było, i przepadł jak kamień w wodę. Tymczasem trzeba na to zwrócić uwagę, że łaski jednego z najznakomitszych mecenasów ówczesnych dość miały nietylko uczuciowéj, lecz i materyalnéj wartości, by w pewném kółku stosunków dużo zazdrości wzbudzić. Z różnych stron w rodzinie podniosły się głosy niechętnych, lub po prostu klepiących za panią matką pacierz:—„Strzelecki uciekł! Strzelecki okradł Kiedrzyń-

skiego!" — Niejedna obojętna pamięć zatrzymała te słowa, bez sprawdzenia ich wiarogodności. Trudno zresztą, by każdy o każdym w razie krążącéj potwarzy wyprowadzał śledztwo urzędowe, badał świadków, porównywał zeznania i t. p. Jest to wielką lekkomyślnością zaiste, ale bez złéj woli, bez osobistego interesu powtarzamy drugim cośmy od jednych słyszeli i... powtarzać będziemy do skończenia świata. W téj sprawie jak i w innych, ktoś z zazdrosnych do niespodzianéj wieści pożądaną sobie formę przykroił, a dalsi, w dalszych stronach uwierzyli. Biedny chłopiec, co miał takie wielkie szczęście do ludzi, niemiał wśród swoich najbliższych tego drobniuteczkiego szczęścia, by zapotrzebowali stanowczo się dowiedzieć, co jest prawdą, a co fałszem w téj pogłosce było. Notatka rodzonego siostrzeńca dyplomatycznie dziś nawet omawia tę chwilę z przeszłości Pawła krótkiemi wyrazami: „uciekł do Krakowa". — Co do nas, myśmy najpierwéj nie wiedzieć zkąd — ot, pewnie z powietrza ostrzejszą wersyą w ucho pochwycili. Późniéj, kiedy już zaczęły nas dochodzić niewyraźne posłuchy o odkryciach jakiegoś podróżnika Strzeleckiego, — „Czy to nie ten Strzelecki, pytaliśmy, co Xawerego okradł i do Krakowa uciekł?" — Na szczęście zapytanym był rodzony siostrzeniec Xawerego, blizki owych wypadków wiekiem i stosunkami. Wyraźnie oburzyło go echo téj dawnéj niesprawiedliwości; spiesznie ją odpierając: „Strzelecki, rzekł on, nie potrzebował okradać Xawerego, ani uciekać potajemnie. Xawery byłby mu chciał nieba przychylić; obchodził się z nim dziwnie po bratersku; pieniędzy mu nie wyznaczał, rzeczy swoje, jak gdyby i do Pawła należały, zawsze na wspólny użytek mu zostawiał; Paweł miał więc prawo sądzić, że wolno, gdyż rzeczywiście było mu wolno z biurka i kufrów Kiedrzyńskiego wziąć co chciał i kiedy chciał, a z sobą zrobić wszystko, co mu się podobało i kiedy podobało." — „Czemuż więc tak nagle tak doskonałego opiekuna opuścił?" pytaliśmy jeszcze. — Na to nie było odpowiedzi. Strzelecki nigdy się nie wytłómaczył, lub jeśli przed kim wytłómaczył, to jego słowa nie rozeszły się tak szeroko jak słowa oskarżających. Dla czego się oddalił? zostało dotychczas nierozwiązaną tajemnicą; przez jakiś czas nawet i to było tajemnicą, że się oddalił do Krakowa.

A jednak, jednak....

Przypominamy sobie jakąś historyą, którą nam bardzo oględnie pani Izabela opowiadała bez nazwisk i szczegółów w najogólniejszych zarysach jedynie. Paweł bałamucił trochę starszą od siebie mężatkę; siostra zjechawszy na miejsce, wpływem swoim

rozerwała intrygę, lub dosłowniéj wyrażeniem jéj się posługując, „uratowała biedną kobiecinę“—przekonała ją—jakże to rzadko się zdarza zakochanych przekonać! Pani Izabeli ten cud się udał podobno i przekonała zakochaną, że nie warto spokoju sumienia, dobréj sławy i szczęścia całego życia poświęcać dla takiego „wietrznika,“ co nigdy w jedném miejscu dosiedzieć, ani w jedném uczuciu długo wytrwać nie potrafi. Paweł jednakże potrafił wytrwać w zażaleniu do siostry za jéj skuteczne pośrednictwo. Sama to nam kilka razy powtarzała, że „odtąd mniéj ją zaczął kochać, a pierwéj bardzo dobrym dla niéj był bratem, bardzo serdecznie ją kochał.“ Teraz, kto wie, czy ów tajemny wyjazd z Warszawy nie miał pewnéj łączności z bałamuconą mężatką? miarkując po chronologii późniéjszych wypadków, zdaje się, że te dwa poprzednie na współczesną sobie mniéj więcéj przypadają epokę. Jest to wszelako naszém osobistém przypuszczeniem Faktem stanowczo uzasadnionym jest to, że Piotr z niewoli wracając przez Kraków, odnalazł tamże Pawła w bardzo smutném położeniu i zabrał go z sobą do księztwa Poznańskiego. Obadwa przez czas jakiś u państwa S. mieszkali; boć większy, czy mniejszy, zniszczony, czy niezniszczony, ale zawsze taki, jaki był po rodzicach majątek, cały i niepodzielny w ręku państwa S. zostawał. (Już wtedy, jeśli się nie mylimy, sprzedawszy Głuszynę, zastawem od państwa Wołłowiczów wzięli Skubarczewo, w regencyi Bydgoskiéj leżące). Piotr zresztą mógł był pierwéj cząsteczkę swoję odebrać, ale widoczną jest rzeczą, że w żadnym razie Paweł swojéj nie odebrał wcale i ówczesnym zwyczajem nimby na własną rękę co rozpoczął, osiadł przy siostrze. Wyobrażamy sobie, że takiemu Pawłowi nie bardzo gładko szło życie pod jednym dachem ze szwagrem. Mieli niektóre wspólne wady, a żadnéj wspólnéj zalety. Skończyło się na tém, że—jak leżąca przed nami notatka opiewa—szwagier „oddał Pawła do wojska pruskiego“ do 6-go pułku ułanów, który to pułk wówczas polskim się nazywał. Jakim sposobem mógł oddać? namową? zastosowaniem przepisów ogólnego poboru? dzieci pana S. pewno nie pamiętają, a może nigdy nie wiedziały—dość, że oddał. Ślicznym, ale bardzo niezadowolonym ze swego losu ułanem, musiał być biedny Paweł. Służba wojskowa! z musztrą i karnością pruską, bez wojny! Toć to mogłoby dziś jeszcze do rozpaczy przyprowadzić niejednego w leśnéj swobodzie rozmiłowanego Kurpia, lub Litwina, a cóż dopiero takiego Magiellana in potentia, taką w nieświadomych sobie instynktach klującą się mewę o szerokich skrzydłach, żądną powietrza, przestrzeni i oceanu!... Strzelecki długów narobił podobno, a jak tylko

na podchorążego zaawansował, natychmiast podał się do dymissyi przyjechał znowu do państwa S., i pomimo wszelakich rad, próśb przedstawień, napomnień, do wojska już wracać nie chciał. Pobyt u siostry wkrótce jednak sprzykrzył się Pawłowi; zapewne się odnowiły dawne kwasy i nieporozumienia: więc na czas jakiś oddalił się, i w domu, czy też w sąsiedztwie pana T. zamieszkał. Pan T., kiedyśmy go we dwadzieścia kilka lat późniéj znali, był już dziaduniem czworga wnucząt po synu; miał czarne, jakby węglem mocno zarysowane brwi, czarne oczy, a bielsze od mleka, po obu stronach twarzy aż na ramiona z kokieteryą pewną wijące mu się włosy; szczupły, średniego wzrostu, prawdziwie, według wielkopolskiego wyrażenia, fertyczny — lubił namiętnie tańczyć, bawić się—no, i dobrze, a raczéj smacznie jadać. Przypuszczamy, że przed dwudziestu kilku laty, jeszcze namiętniéj lubił tańczyć, bawić się, smacznie jadać, tylko zamiast czworga wnucząt, miał jednego synka i jednę córkę Adynę. Paweł Strzelecki celował właśnie w podtrzymaniu ochoczéj zabawy; towarzystwa sąsiednie na wyścigi wyrywały go sobie, nic dziwnego, że i pan T. rad go widywał u siebie. Tymczasem fatum zadzierzgiwało pierwszy węzełek przyszłéj Pawła Odyssei. Córka domu, piętnastoletnia dzieweczka, zakochała się w dwudziestoletnim gościu swego ojca; gość się zakochał w dzieweczce. Niestety! ową piętnastoletnią, myśmy dopiero w czterdziestym roku jéj życia ujrzeli! Czy piękna była?... Cudownie zachowała swego włoskiego pochodzenia koloryt, lice jakby trochę rozpuszczonego w słońcu złota, bistrem podmalowano; oczy jakby z czarnéj lawy Wezuwiuszu; włosy jakby z najpołyskliwszych piór tego ptaka, co to Rzymianom od prawéj strony szczęścia wróżbą bywał; ale rysy twarzy — smutna rzecz; rysom twarzy lekka tusza nadała wyraz dość gminny i pospolity. Żeby zrozumieć całą rozciągłość téj przykrości, trzeba wiedzieć że panna T. była właśnie najartystyczniejszém wcieleniem tego wszystkiego, co nie jest ani gminne, ani pospolite, co owszem wręcz jest gminnemu i pospolitemu przeciwne. Jakkolwiek jednak główka jéj dałaby się na ramiona pierwszéj lepszéj Marysi albo Kasi obsadzić i niktby się nie domyślił, że nie jest na swojém miejscu—to znów pocieszyć się mogła, że gdyby jéj nóżki i rączki choćby u Marysi w kuchni, albo u Kasi w garderobie bystry wzrok dośledził, toby zaraz każdy zmiarkował, że mu wypada z salonową grzecznością kapelusza uchylić. Prócz tego panna Adyna miała ruchy bardzo dystyngowane; nizka i opiekła, robiła wrażenie drobnéj, szczupłéj, leciutkiéj, a nadewszystko panna Adyna ubierała się bardzo rozumnie—nie cofamy tego określnika — bardzo rozumnie.

Każda młoda loretka w Paryżu potrafi się ubrać do twarzy, każda majętna kobieta przy pomocy swéj modniarki potrafi się ubrać elegancko; wszystkie wielkie panie warszawskie prawem tradycyi ubierają się gustownie: — lecz mieć lat czterdzieści, szczupłe fundusze, mieszkać ciągle na prowincyi a ledwo że nie ciągle w téjże saméj parafii, niczém śmiesznéj pretensyi nie zdradzić, żadnym szczegółem najwykwintniejszéj równie jak najskromniejszéj tualety nigdy uwagi nie zwracać, i zawsze jéj całością ogólnie wszystkim mężczyznom i kobietom się podobać—na to już rozumu trzeba, i to było rzeczywiście najwyższym panny Adyny rozumem; nie dlatego, byśmy inne jéj władze umysłowe poniżać chcieli, tylko dlatego, że ta władza dała jéj rzeczywiście władzę nad otaczającym ją światem. W trzech amtach co najmniéj, w wielu zamożnych domach reszty księztwa z głosem panny Adyny, trzeba się było liczyć koniecznie. Ani jéj tak chwalony praktyczny— ach! niestety! — pokazało się, że najniepraktyczniejszy właśnie rozsądek, ani gruntowna znajomość przepisów etykiety i dobrego tonu, jak znaki wolnomularskie tajemniczo od arystokratycznych pałaców i salonów przekazywana, ani sąd nieomylny w rozpoznaniu tego co wypada, od tego czego nie wypada czynić—nic może na całą pewną warstwę towarzyską tak silnego nie wywarłoby wpływu, gdyby p. Adyna nie umiała jednocześnie sama bardzo pięknie się ubierać i drugim doradzić jak się bardzo pięknie ubierać mają. W domu brata rządziła despotycznie. Cichy to był, niewidzialny, jedwabny i aksamitny despotyzm, każdy się niemal wpraszał pod jego jarzmo, ale niech tylko raz przed nim głowę pochylił, nim się spostrzegł, już mu na zawsze ster życia z rąk się wysunął. Brat własnéj żonie o interesach majątkowych rzadko kiedy słówko jakie powiedział, lecz nigdy nie omieszkał z p. Adyną o nich się naradzić. Bratowa sarknęła trochę czasem, zwyczajnie jako bratowa; gdy się zdarzyło jednak, że Adynka na dłużéj wyjechała do jakiéj hrabiny ciotki lub kuzynki generałowéj, to wszystkie ważniejsze sprawy bratowéj: różne kupna, urządzenia domowe, projekta względem dzieci, wszystkie powrotu Adynki czekały. Tak przynajmniéj ludzie nam mówili. Głos opinii powszechnéj twierdził, że Adynka powyprawiała siostrzeńców i siostrzenice do tych i owych zakładów drezdeńskich, że ona wydała za mąż starszą siostrę, a drugą młodszą, piękniejszą, wielką faworytkę swoję z ojcem, matką i kilku milionami po babce odziedziczonemi do Paryża wywiozła, na dwór cesarski odkomenderowała, na cesarskie bale ustroiwszy posłała, aż nakoniec po dwóch czy trzech latach, z bratem, bratową i siostrzenicą, znowu do polskiéj, rodzinnéj wioski wróciła: miliony

tylko w Paryżu zostały!... Miły Boże! ta wieś polska, tak cudnie przecież, tak cicho, zielono nad jeziorem się rozkładała! świeżo odbudowany jéj kościołek tak zalotnie gotyckiemi wieżyczkami piął się ku niebu, trzypiętrowy pałac tak dumnie cofał się za szmaragdowe trawniki, do cienistych klombów ogrodu! A w tym ogrodzie jakie gęste szpalery, jakie w labirynt wijące się ulice—ile tam lip, jesionów, nie mówiąc już o gruszach, o jabłoniach, ile modrzewi i brzóz, „co rozpuszczają sploty swych warkoczy.“ Może o któréj z nich właśnie Mickiewicz po raz pierwszy pomyślał te słowa, gdy całemi tygodniami w gościnnym, szczerze, serdecznie gościnnym domu tutejszym przebywając, siadywał sobie na swojéj ulubionéj ławeczce i słuchał śpiewu słowików. Ile bo też tu słowików na wiosnę! a jaki głos mają dźwięczny! chyba dźwięczniejszy niż gdzieindziéj. Mógłby Jagiełło rok po roku przy ich koncertach bez żalu umierać. Cóż dopiero, gdy roje świętojańskich robaczków po drzewach, po trawach, po białych różach, w powietrzu, wszędzie dokoła rozpryśniętą illuminacyą zamigotają! Za ogrodem jak oko dosięgnie falują łany żytem i pszenicą, albo się krają w brunatne wstęgi długich, długich zagonów. Właściciel kochał te zagony, te swoje pola starannie uprawne, dumny był ze swych ulepszeń i planów gospodarskich. Właścicielka, wdzięczna, pełna szlachetnych popędów istota, zupełnie dostatecznie szczęśliwą się czuła w swoim świetnie urządzonym pałacu, gdzie miała przepyszne kwiaty, najświeższe książki, stosy nót Haydna i Beethovena, od czasu do czasu wesołe zebrania krewnych i znajomych, a na chwile nieuniknionéj w tém życiu troski miała—coraz dziś rzadszą—wyłączną, osobistą przyjaźń kilku serc zacnych i prawdziwie ją kochających. Nikt więc w domu tak bardzo do życia wśród obcych, zwłaszcza do stosunków z rodziną Bonapartych nie tęsknił. Co najwięcéj, to jakaś artystyczna ciekawość do paryzkich teatrów, nadreńskich ruin i włoskich muzeów nęciła — ale spadła sukcessya; p. Adyna uznała, że wyjechać trzeba i wyjechano. Dziwnym bo trybem sprawy ludzkie się toczą! Obok p. Adyny, w innym zamożnym rodzie wielkopolskim, żyła niezamężna także, a trochę od niéj starsza kobieta. Każdy byłby przysiągł, że gdy o kierowanie losem najbliższych swoich chodzi, to owa kobieta w stokroć szczęśliwszém i odpowiedniejszém ku temu znajdowała się położeniu. Wyższa zdolnościami umysłowemi, wyższa ukształceniem naukowém, wyższa miłością prawdy chrześciańskiéj, wyższa zasługami czynnego i pełnego poświęceń życia, wyższa ogólnym, nietylko całéj prowincyi, lecz i kraju całego szacunkiem, niedość na tém—kobieta bogata „tante à succession“ co

się zowie—i ta kobieta przy najusilniejszych staraniach nie mogła swoich siostrzenic i siostrzeńców z salonów i stajeń powyprowadzać: gdy przeciwnie panna Adyna tak łatwo nie pragnących tego, na dworskie uroczystości i książęce księcia Plon-Plon bale wprowadziła!

Cóż czynić! niech jéj sąd ludzki lekkim jednak będzie jak brabancka koronka! Raz gdy sentymentalno-żartobliwą rozmowę „o zamążchodzeniu" toczono, słyszeliśmy ją szepleniącą własnemi koralowemi usteczkami te słowa: — „Jeślibym nie kochała, tobym się krokiem nie ruszyła, a jeślibym kochała, tobym się odważyła i za ocean do Ameryki popłynąć"... Według niepewnie dolatujących wieści Strzelecki miał być jeszcze w Ameryce podówczas. Nie zapomniała więc o nim! Po długich latach rozstania i bezlistownego milczenia, ona w swém sercu szanowała zawsze pierwszą, dziecinną miłość swoję!... Te kilka słów naiwnie rzuconych osobom, które mogły się domyślać ich rzeczywistego znaczenia, przejęły nas głębokiém dla mówiącéj współczuciem. Ileż to kobiet nietylko byłoby z pamięci wymiotło romans, ale byłoby starało się wszelkim sposobem uroczyście awanturze zaprzeczyć. Panna Adyna lepszą drogą poszła. Nie wstydziła się téj chwili swéj przeszłości i témsamem nie dała się nią także nikomu zawstydzać. Co do nas, przestaliśmy się od téj chwili dziwić miłości Strzeleckiego. Może go zrazu próżność pociągnęła: świetne koligacye, wykwintne ułożenie, czysta francuzczyzna—bo chociaż panna Adyna szepleniła po polsku, jéj francuzkiemu akcentowi nic nie było do zarzucenia—pan Paweł nigdy zapewne piękniejszego w całéj rodzinie swojéj nie słyszał; — może więc te wszystkie podrzędne dodatki najpierwéj wyobraźnię jego rozkołysały, lecz wkrótce musiał go potężniejszy urok ogarnąć. Ta ciemna, z pączka zaledwie wychylająca się różyczka, sama przez się już głowę zawrócić mogła; ale gdy jeszcze prawdziwém ukochaniem rozbłysła, jak płomykiem najcudowniejszego z owych niedawno tu wspomnianych świętojańskich latawców — to chyba czoło tylko przed nią schylać, a ręce ku niéj wyciągać. Strzelecki byłby ręce do gwiazdy na niebie wyciągnął.. Między różyczką a ubogim podchorążym, co gorzéj nawet: między różyczką a zadłużonym podchorążym, przepaść niezgłębiona leżała: Strzelecki już i wtedy żadnych przepaści się nie lękał, on, co miał kiedyś w jednéj z australskich trzy dni i trzy noce bez wody i pożywienia spędzić; więc najpierwéj sięgnął śmiało.

Bawiła przy pannie Adynie jakaś młoda guwernantka, prawdopodobnie jakaś Francuzka, boć innych wtedy panienki z mo-

dnego świata nie miewały nigdy; tę guwernantkę zjednał sobie szczęśliwy do ludzi chłopiec. Guwernantka wzięła na siebie pozór celu i przedmiotu wszystkich jego nadskakiwań, grzeczności i westchnień—aż tu raz, niespodzianie elewka zniknęła. Pan Paweł wykradł pannę Adynę. Spostrzeżono dość wcześnie jéj nieobecność; odkryto zaraz powód; pospieszono za uciekającymi i w kilka godzin kochankę kochankowi wydarto. Bardzo podobny wypadek przed półwiekiem wpłynął na losy Kościuszki: teraźniejszy o losach Pawła rozstrzygnął. Było to jedyne pono między tymi dwoma ludźmi podobieństwo. Cały dalszy ich życia kierunek różnicami chyba dałby się w parallelę ująć.

Po nieszczęśliwém z panną Adyną zajściu, młodzieniec „niespokojnego ducha" w świat się rzucić potrzebował jak rozbitek z potrzaskanego okrętu w morze. Siostra obiecała mu pułkowe długi jego spłacić i dała 400 talarów na drogę, Piotr dał drugie czterysta, a Paweł po raz drugi z oczu ludzkich zniknął. W ostatnich latach, kiedy już rodzina coraz ciekawiéj o niego dopytywać się zaczęła, pani S. wspominała niekiedy swym dzieciom, że jeszcze z Karlsbadu, dokąd udał się naprzód, odebrała od niego list bardzo długi i serdeczny, w którym ją za wszystkie uchybienia swoje przepraszał i za spłacenie długów dziękował. Był to pierwszy list po rozstaniu, a ostatni w życiu. Staruszeczka nigdy jednak nie chciała wierzyć zupełnemu zobojętnieniu swego brata: „Niech tam co chcą gadają, że się z niego Anglik zrobił i że wstydzi się swojéj rodziny; ja wiem, że gdyby mię zobaczył, toby się bardzo ucieszył"... Nieraz słyszeliśmy od niéj te słowa—ha! może miała słuszność; lecz wróćmy do poprzednich zdarzeń.

Działo się to wszystko roku 1821. Po różnych kółkach towarzyskich naszego kraju wyczerpały się, a raczéj ogadały się już wtedy ważniejsze wieczornych rozmów temata; nowe jeszcze się nie nasnuły, więc od każdéj ploteczki głośniejsze, zwyczajnie jako w pustkach, rozlegało się echo. Wykradzenie panny z ojcowskiego domu nie było na ową epokę zbyt wielką osobliwością; lecz zaszła drobniutka okoliczność, która posłużyła do nadania wykradzeniu p. Adyny szczególniéj właśnie „osobliwego" rozgłosu. Podobno, że gdy biedne dziewczątko—mówimy „biedne dziewczątko" nie dla tego że się w Pawle o niespokojnym duchu zakochała, nie dla tego nawet, że pójść za niego nie mogła, ale dla tego, że ją rozwód rodziców macierzyńskiéj opieki pozbawiwszy, na opiece tak wesoło bawiącego się ojca zostawił,—biedne dziewczątko więc, gdy bawialny pokój opuszczało, by się na oznaczoną do ucieczki godzinę stawić, może tkliwszym niż zwykle głosem do ojca przemówiło, może go

niespodzianie ze wzruszeniem w rękę pocałowało, może też on się zdziwił, może tak po prostu z przypadku i bez myśli zapytał: „Gdzie idziesz?“—„Idę na podwieczorek“ (czy na kolacyą? nie ręczymy za ten szczegół).—„A co tam macie?“— „Mleko z kluseczkami,“ i oddaliła się prędko. Pan S. sam bardzo lubił mleko z kluseczkami; po kilku chwilach, jakkolwiek to nie była zwykła jego pora do wieczerzy, wybrał się wszelako za córką. W jadalnym pokoju ani córki, ani kluseczek z mlekiem nie zastał; ztąd zadziwienie, poszukiwania, odkrycie tajemnicy i dwom życiom wyrok na losy nieznane.... W całém sąsiedztwie rozeszły się szczegóły chybionego porwania. Mleko z kluseczkami uszczęśliwiło zaraz wszystkie prowincyonalne harfy eolskie; niezadługo potém, jako synonim przygód romansowych za granicę księztwa się wysunęło; po Królestwie kongresowém długo się tułało w anegdotkach o dwudziestu czterech przynajmniéj innych pannach wykradzionych; przepłynąwszy Wisłę bez imion własnych, zmieniło się na różne kuchenne wyroby: piwko grzane, drobną kaszkę, wodziankę i t. p, aż nakoniec, po latach kilku, czy kilkunastu, wiatr ułamki tego wspomnienia aż nad brzegi Willi uniósł i koło uszu młodego akademika niemi powionął. Akademik w lot przytrzymał zabawną historyjkę, wpakował ją między inne humorystyczne obrazki, wydrukował na bibulastym papierze pod tytułem: „Książeczka do zapalania fajek,“ i w świat między ludzi puścił. Czy pan J. I. Kraszewski przypomina sobie to dzieciątko bez opieki, bez przyznanego ojcowstwa w świat wyprawione? Spotkaliśmy je przypadkiem na stoliku u byłego kolegi autora z czasów jeszcze szkół bialskich, a spotkali w czasach, które na trzy, czy cztery lata uprzedziły powiększenie formatu Gazety Warszawskiéj. Niepozorna dziecina tak wesoło szczebiotała, że przez parę tygodni była ulubionym przedmiotem rozrywki, żartów i przytoczeń dla licznie na jakieś święta zebranéj krewnych i przyjaciół drużyny. Pan Kraszewski pewnie już zapomniał o téj swojéj broszurce; nie ma jéj osobno wymienionéj w zbiorowém wydawnictwie wszystkich dzieł jego; a przecież, choć to dzieła ważniejsze, piękniejsze, choć więcéj wpływowe, wątpimy, czy które z nich miało tak świetne powodzenie, czy się tak zespoliło z życiem swoich czytelników. Ludzie chyba wtenczas tylko umieją czytać jak się należy, kiedy nic lub prawie nic do czytania nie mają. W książeczce np. był paragraf, który się tak zaczynał: — „Są ludzie konie, są ludzie woły, psy, koty...“ a kończył się wyborném rozgatunkowaniem ludzi osłów od ludzi cieląt. — Wszyscy dokoła przekomarzali się, zaczepiali, drażnili jedni drugich szeregiem tych porównań — a ktoś na nutę

ludowéj piosenki zanucił: — „Przyszła do nas nowina—talent nam się narodził...“ I nie omylił się augur, choć tylko z kilku bibulastych kartek wróżył. Ostatnie kartki zajmowały mniéj już szczęśliwie przytoczoną dykteryjkę o kluseczkach, bodaj ażali na kaszkę już nie przerobionych. Mimo przeróbki główna treść jednak pierwotne swoje rysy dość wyraźnie jeszcze zachowała, by niektóre osoby z towarzystwa natychmiast je rozpoznały. Po raz pierwszy wtedy zasłyszeliśmy o przygodach Pawła Strzeleckiego. Ktoby nam był powiedział, że kiedyś, kiedyś, autor *Książeczki* sam na siebie, z własnéj głowy i własną ręką, napisze więcéj tomów niżeśmy ich we wszystkich razem wziętych całego powiatu bibliotekach widzieli — albo że Strzelecki na znakomitość wyjdzie — albo szczególniéj, że my o nim do druku pisać będziemy—że do druku choćby nie o nim zresztą — tegośmy nigdy nie przypuszczali...

Strzelecki zmuszony księztwo Poznańskie opuścić, udał się najpierwéj do Karslbadu, jak mówi notatka; do Włoch, jak nam ktoś z obiegających w swoim czasie pogłosek wspominał. Na skrzydłach wiatru zaleciała pana Kraszewskiego wielkopolska anegdota; na skrzydłach wiatru zaleciał nas dowcip wielkopański: — „Sapieha przywiózł sobie z Włoch papugę, małpkę i Strzeleckiego...“ Można wszelako z Karlsbadu jadąc po drodze do Włoch wstąpić. Taka marszruta pogodziłaby sprzeczne podania. Bądź co bądź, we Włoszech czy w Karslbadzie, to pewną jest rzeczą, że książę Franciszek Sapieha zapoznał się ze Strzeleckim. Jak niegdyś Xawery Kiedrzyński, jak późniéj różne kółka towarzyskie, jak guwernantka, panna Adyna, a chwilowo sam jéj ojciec nawet, tak też książę rozmiłował się w szczęśliwym do ludzi młodzianie, zabrał go z sobą do kraju i oddał mu w zarząd wszystkie swoje dobra; a miał ich według ówczesnéj taksy na 30,000 dusz podobno. W gubernii Mohylowskiéj w kluczu Bychowskim 12,000; w gubernii Grodzieńskiéj w kluczu Dereszyńskim 12,000; na Żmudzi w Szkudach 6,000. Być pełnomocnym rządcą takiego małego państewka, dla dwudziestokilkoletniego człowieka, ślizkie i pełne pokus położenie, zwłaszcza gdy ani jemu pierwéj nikt, nigdy, z niczego rachować się nie czuł obowiązanym, i gdy on sam przez długi czas widzi, że nigdy, nikomu, z niczego także rachować się nie potrzebuje. Ślepa ufność starego księcia jeszcze zgubniéj niż onego czasu braterska pobłażliwość Kiedrzyńskiego, wpłynąć musiała na tę bogatą umysłowo, a dziecięcą zaledwie w moralném wykształceniu naturę. Kiedy widzimy władzę nad czémkolwiek w ręku dziecka, a miecz w ręku szalonego, to zawsze

strach nas bierze o tych, co blizko stoją; lecz równa niemal przejmuje niespokojność o dziecko i o szaleńca. Blizko stojący mogą się bronić; mogą ucieczką ratować. Oni sami od siebie nigdzie nie uciekną; sami przed sobą bronić się nie potrafią! Ten czas plenipotencyi jest najmętniejszym ustępem w biografii Strzeleckiego.

Kto temu winien?

Oto w pół na pół — książę Franciszek i... poczty.

No tak, poczty. Nie wszędzie dochodziły; po całych miesiącach list z prowincyi do prowincyi niosły, a do odległych wiosek i miasteczek ledwo czasem raz lub dwa razy na rok go przesłały. Ludzie zwyczajni byli nie pisywać do siebie; po pewnym czasie przywykali nic o sobie nie wiedzieć. Mnóstwo znaliśmy rodzin, po większéj części nawet kochających się rodzin, które tym sposobem w zapomnienia falach potopiły najbliższych członków swoich. Jedna matka z owéj epoki przez dziesięć lat nie wiedziała o śmierci swego syna, właśnie dla tego, że był jéj ulubieńcem wśród innych, i ci inni złą wieścią martwić jéj nie chcieli. Takie rozluźnienie stosunków serdecznych, takie usunięcie wpływów, do których osobistości bezwiednie w pierwszém zaraniu życia już się nałożyły, musiało szkodliwie oddziaływać na obie strony. Paweł z Karslbadu wdzięczném słowem do siostry się odezwał, lecz słowo to czytała po raz pierwszy, gdy już Pawła dawno w Karlsbadzie nie było. — Więc gdzie go szukać?... Paweł drugi raz się nie zgłosił: pani Izabella nie wiedziała gdzie się zgłosić, i odtąd już się na zawsze z oczu stracili. Jemu ubyła jedyna możliwa kontrola: t. j. wspólność rodzinnéj odpowiedzialności—jéj także trochę rodzinnéj cnoty z serca ubyło, za nadto się oswoiła z tą myślą, że „Paweł gdzieś przepadł“ — i nie szukała go w chwilach gdy koniecznie godziło się poszukać.—Istotnie, dobrze urządzone poczty są nader umoralniającą instytucyą.

Do jakiego stopnia zobojętnienia rodzinnego dojść można było wtedy, najwymowniéj zaświadcza ta drobna okoliczność, że gdyśmy się teraz u siostrzeńców i siostrzenic niektórych objaśnień dopominali, nikt nie umiał nam powiedzieć u jakiego to Sapiehy i jak długo ich wuj przebywał. Ze świata niegdyś słyszeliśmy, że mu jego pryncypał tysiąc dusz w testamencie zapisał, że spadkobiercy prześladowali go za to, i że on przecież ze wszystkimi dał sobie radę. — Rzecz zdawała nam się dość prosta. — Jeśli co prawda zapisujący miliony (1,000 dusz liczyło się w wartości miliona) jeśli tedy zapisujący pryncypałowie są wielką osobliwością, to gniewający się na zapis prawni spadkobiercy, są tak pospoli-

tym i naturalnym wyrobem społecznym, że temu jedynie dziwić by się wypadało, gdyby ich przy odpieczętowaniu testamentu zabrakło. Spadkobiercy prześladowali Strzeleckiego—od czegoż byli możnymi panami? Podburzyli przeciw niemu opinią całéj prowincyi. — Cóż łatwiejszego!—Plenipotent i nadużycie, nie są to koniecznie w słowniku blizkoznaczne wyrazy; ale plenipotent i nadużycie tworzą silne stowarzyszenie pojęć w umyśle ludzkim, „association d'idées" tak chemicznie spowinowaconą, że nic łatwiejszego jak wzmianką o jedném, hypotezę o drugiém wywołać. Znajomy nasz dobry, pewny obywatel wołyński, gdy sam jechał do Bobrujska, spotkał się w drodze z wiezionym do sądu Strzeleckim, na własne oczy widział, że był w dyby zakuty; wyminęli się dość szybko — lecz widział dyby i mocno był tém zgorszony. My się przyznajemy, że nie byliśmy zgorszeni. Nam inna znów kombinacya szybciéj jeszcze tworzyła się w głowie, niż połączenie plenipotenta z nadużyciem: kombinacya nadużycia z siłą — z siłą wszelkiego rodzaju Maćkowéj pięści, Rotszyldowskiego złota, książęcéj na gronostajowym płaszczu mitry. Przyjemnie nam też było usłyszeć, że pan Paweł, obcy przybysz, bez krewnych, bez przyjaciół szczerych, nie pozwolił zgnieść się na miazgę możno-pańskiéj ręce, i gdzie stu innych byłoby z kretesem przepadło, on jednak na wierzch wypłynął; widać że nie od kształtu, nie dla tego tylko iż była piękną, głowę na karku nosił. To było nasze przekonanie od r. 1843 aż prawie po chwilę bieżącą. Pragnęliśmy tylko poprzeć je w niniejszém wspomnieniu nazwą geograficzną miejsca i chrzestném imieniem owego księcia Sapiehy. Jedna z notatek wcale nam pod tym względem zadość nie uczyniła, ale przynajmniéj utwierdziła nas w zaufaniu ku dawniejszym tradycyom i wnioskom. Sapieha był z Wołynia:—„Paweł przy swoim „naturalnym rozumie, chęci i woli wyprostował i uregulował in„teresa księcia, co tenże zawdzięczając zapisał mu *jeden klucz(!)* „w dożywocie; lecz młodzi książęta nielubiący Pawła, ułożyli się „z nim wypłaciwszy mu gotówką 12,000 dukatów, i temi to pie„niędzmi zaczął robić w Petersburgu bankierskie interesa." — Rzecz tym sposobem przedstawiała się dość czysto, nawet interesa bankierskie, o których znów w innéj formie plątało się podanie, tutaj na właściwém miejscu się znalazły, by początek majątku starczącego na high life w Anglii wytłómaczyć.—Szkoda, że tak nie było! ach! jeszcze większa szkoda, że było trochę ba, zupełnie inaczéj. Z sąsiedztwa rodzonéj siostrzenicy pana Pawła przyszła notatka obejmująca bardzo smutne, lecz datami i nazwiskami objaśnione szczegóły.

Najpierwéj pokazuje się według notatki, a raczéj według świadectwa kolegi, który niegdyś z Pawłem razem w administracyi księcia służył—i nawiasem mówiąc, dziś jeszcze staruszek powtarza, że nigdy nie widział piękniejszego od Pawła mężczyzny — że książę protektor był księciem Franciszkiem, a żadni młodzi książęta nie mogli być jego dziedzicami, bo zostawił jednego tylko syna po sobie, księcia Eustachego (1). Pierwsza wzmianka o księciu Eustachym już nas bardzo z tropu zbiła. Niechaj cierpliwość czytelników raz jeszcze krótki epizod przebaczy. Wielu z nich pewnie domyśliło się, że nie jesteśmy czcią zbyt głęboką dla starych rodów naszych historycznych przejęci. Jeśli do współki ze ś. p. Bartoszewiczem nie mogliśmy kochać Jezuitów, to do współki przynajmiéj, on ze swojéj niewyczerpanéj, my z naszéj ograniczonéj i bardzo niedostatecznéj wiedzy dziejowéj, złożyliśmy się na to przekonanie, że wszystkie rody ciężko w końcu zawiniły, i wszystkie według energicznego wyrażenia pana Juliana „w strzępki“ za to poszły, lub pójdą. Choćby nawet i wszystkie, to książę Eustachy niezawodnie odznaczający się wyjątek stanowił. Może zresztą nieodznaczający się—właśnie to było główną jego charakterystyką, że się nie odznaczał: ale niemniéj przeto był ciekawym, szczególnym wyjątkiem, był wyjątkiem prawdziwie szacunku godnym, choć nie odznaczającym się. Istotnie, ostatni potomek hetmańskiéj linii Sapiehów ani portretowo ani legendowo nie przywodził na myśl swych przodków. Zdarzyło nam się kilka razy siedzieć w tym samym gdzie i on był pokoju, nie zapamiętaliśmy rysów jego twarzy choćby w tak grubszym szkicu jak pamiętamy rysy np. pana Piotra Strzeleckiego, którego przecież jeden raz widzieliśmy; zdaje nam się, że był ledwie średniego wzrostu, szczupły i dobrze już szpakowaty, lecz gdyby kto powiedział, że miał czarne lub blond włosy, nie śmielibyśmy się z nim sprzeczać. Jakkolwiek zapomnieliśmy rysów, wybornie za to niektóre słowa pamiętamy: „Och! my z księciem, tłomaczył komuś, nie lubimy się spotykać od ostatniéj naszéj rozmowy w Warszawie.“ Na pierwsze jego wezwanie co prędzéj pędzę, przedstawiam się. „A ty tu po co?“ z frasobliwą miną pyta mnie książę. Po rozkazy WKsiążęcéj Mości według odebranego pisma. Wcale niepotrzebnie, wielcy właściciele ziemscy jużby powinni wiedzieć o tém, że ich pierwszym obowiązkiem majątków swoich nie tracić...“ i t. d. „Wszystko to

---

(2) Książę Eustachy miał brac:, ale przyrodnich, choć wspólnego nazwiska Sapiehów, z innéj jednak zupełnie linii.

prawda, lecz mnie się zdawało, że co kto swojém nazwiskiem podpisuje, to bez domyślnych wyjątków za swoje przekonanie przed każdym uznać jest gotów...“ W innéj znów okoliczności wielka pani z jego świata pytała: „Objaśnijcież mnie, co to jest ten jakiś Lamennais?“ (przepraszamy za złą polszczyznę naszą, ale rozmowa szła po francuzku i chcielibyśmy wiernie jéj charakter zachować). „Lamennais, odrzekł książę Eustachy, to bardzo znakomity człowiek, najlepszy dziś pisarz we Francyi.“ „Słyszałam, że waryat i podżegacz—un fou, un incendiaire.“ „Cóż znowu? nieposzlakowanéj prawości, można się z nim na niektóre rzeczy nie godzić, ale częściéj jeszcze słuszność przyznać mu trzeba. Znakomity człowiek“—raz jeszcze powtórzył.

Mniejsza jednak o słowa; w księciu Eustachym ceniliśmy zajęte przez niego stanowisko. Umiał nie być. Gdzie inni się krzątali jak muchy przy wozie, na wyścigi się tłoczyli w pierwsze rzędy i przed oczy—ach! nie miło dziś wspominać—bardzo niechętnych lub zupełnie o czém inném myślących widzów — on z godnością stał na boku, nigdzie się nie cisnął — i nic, a szczególniéj za rozgłosem nie ubiegał. Może było w tém trochę zmęczenia życiem, trochę gnębiącéj tęsknoty. W krótkim rozstępie czasu dwa ciosy na serce mu padły: śmierć żony i strata ogromnego dziedzicznego od wieków majątku. Żal po ogromnym dziedzicznym majątku mógł być wspólny nie jednemu zresztą w jego sferach, lecz żal po żonie młodéj i pięknéj córce bankiera, angielskiego, którą z miłości poślubił, to już stanowiło wyłączniejszą osobistości jego właściwość. Rzecz widać była niezwykła, gdyż niezwykłe daleko nawet i wysoko budziła współczucie. Kiedy kosztowny jego skarbiec do Petersburga przywieziono, a w jednéj szkatułce znalazła się prześliczna miniatura nieboszczki ze złotym puklem jéj włosów, cesarzowa osobiście tę drogą pamiątkę przesłać mu do Londynu kazała. Była też to jedyna podobno, która mu z wielu innych po ukochanéj została, gdyż zrzekł się dobrowolnie zapisanych sobie w jéj testamencie milionów. Przypuszczamy więc, że ciche odosobnienie księcia przypadało z razu do jego żałoby, a potém do jego przywyknień, jednak wyglądało też na jedyną dumę niknącym rodom stosowną: „Hetmanem być nie mogę, ani kanclerzem, ani wojewodą nawet, niechże lepiéj nic o mnie ludzie nie wiedzą.“ Podobno, że dopiął swego celu, i ludzie bardzo mało o nim wiedzieli; bodaj czy dzisiaj wiedzą choćby cokolwiek. Nie słyszeliśmy nawet, czy książę Eustahy Sapieha dobroczynnością zasłynął; kilka razy wspominano nam tylko, że wyborny z niego w potrzebie i nieszczęściu kolega bywał.

Teraz wróćmy do Strzeleckiego. Mały autor i aktor Głuszyńskich komedyek zaczyna niebezpieczne przedstawienie dramatu pod tytułem: „Niewierny Szafarz,“ według lekko zmienionego tekstu ewangelicznéj przypowieści. Stary książę Franciszek około r. 1828 polecił mu rozprzedanie dóbr Bychowskich. „Strzelecki sprzedawał bardzo tanio, przyjaciołom swoim, żeby mieć z nich wspólników; prawie darmo porozdawał folwarki: Józefowi Szaniawskiemu Dunajek, Sławińskiemu Zołotnie, Kiersnowskiemu Sahadów, sam dla siebie pod imieniem Miłosza wziął Horodźce.“ Już takim sposobem 9,000 dusz rozposażono, gdy książę Franciszek umarł za granicą, a dziedzic jego książę Eustachy, przestrzeżony o marnotrawstwie pełnomocnika, osobiście do Bychowa zjechał. Tutaj zajść miała gwałtowna scena. Książę Eustachy dopominał się o księgi kassowe; Strzelecki nie chciał mu ich złożyć; książę sam je wziął ze skrzyni; Strzelecki przy pomocy kassyera Kiersnowskiego wydarł je z rąk księcia i... i na tém się skończyło. „Strzelecki po tych zajściach z księciem z małym funduszem wyjechał do Warszawy. Darowizny od księcia (pewnie Franciszka) nie otrzymał żadnéj. Sądownie pociąganym nie był.“ Dwa tu szczegóły nie przypadają ani do innych świadectw, ani do miary rzeczywistych natury udzkiéj objawów. Najprzód, o ile co w tém życiu nieprawidłowém, kometarném, dowieść można, to prawie dowiedzioném się zdaje, że w tym czasie zamętu i dziejowych przełomów Strzelecki nigdy nie był w Warszawie, sprawy bychowskie przeszło dwa lata czasu mu zajęły; w kłopoty z ich powodu zawikłany, przedewszystkiém o własnym musiał myśleć ratunku... Aby go też do sądu nie pociągano, to rzecz po prostu niepodobna. W razie nawet gdyby awantura z księgami kassowemi mniéj brutalną miała formę, jeszczeby książę Eustachy łatwiéj przeniewierstwo pieniężne, niż osobiste uchybienie wybaczył. Wszelkie okoliczności zdają się więc potwierdzać to, cośmy od wołyńkiego obywatela o podróżném spotkaniu ze Strzeleckim słyszeli. Zapewne wypadki z roku 1830 i 31 położenie jego na lepsze zmieniły; przeciwnik się oddalił, sprawiedliwości ręce bezczynnie opadły; a ludziom uszy na wieści tego rodzaju stępiały, wielu się nie dowiedziało nigdy, inni zapomnieli.

W skrusze serca przyznajemy się czytelnikom, że mamy wielką ochotę na tych dwóch niedokładnościach całą obronę Strzeleckiego ugruntować. Wiernie aż po tę chwilę trwaliśmy w bezstronności naszéj, lecz im daléj brnąć nam przychodzi po tych bajorach nierzetelności, a w bawełnę nie obwijając, po tych kałużach prostego oszustwa, tém goręcéj wzdychamy do jakiéjś by też

najwęższéj ścieżyny, przez którą z nim razem moglibyśmy na otwarte pole się wydostać. Jednak on późniéj w rzędzie najczystszéj sławy bohaterów stanął—jako bezkrwawy zdobywca ziem, skarbów i prawd nowych zabłysnął; choćbyśmy nie chcieli jego samego, to w nim jeszcze potrzebujemy uszanować godność nauki A kto wie zresztą, czy mamy prawo go potępiać? Stawione przeciw niemu oskarżenia, na całéj kuli ziemskiéj przy wszystkich rozprzedażach i zakupach, przy wszystkich rozdawnictwach i obdzieleniach się słyszy, czy o dobra bychowskie, czy o zupę rumfordzką chodzi. Jesteśmy pewni, że gdyby współczesny Józefowi Egipcyanin pamiętniki swoje w jakim sarkofagu lub w jakiéj piramidzie zostawił, toby w nich było dowiedzionêm lub raczéj dowodzoném, że Józef na rozprzedawaniu zboża a skupowaniu gruntów egipskich, z krzywdą Faraona wyborne robił interesa. Każdy gotówby był przysiądz, że jego sąsiadowi pełniejsze worki, zdrowszém i piękniejszém ziarnem nasypuje, dla swoich własnych widoków. Od sąsiada do sąsiada niechęć się rozszerza, coraz głośniéj szemrać zaczyna—wtém, wyobraźmy sobie—Faraonowie się zmieniają, syn po ojcu na tron wstępuje—zwykła podejrzliwość następcy przeciw ministrom poprzednika łączy się z naciskiem opinii publicznéj—upokorzenia gradem kamieni sypią się na pyszną głowę Józefa—Józef jest hardy, zuchwały niecierpliwy... ostatecznie biedaka w dyby zakuwają. Powieść się gładko jak z płatka rozwija—wierzylibyśmy jéj silniéj niż kto kiedykolwiek przez siebie samego wyśledzonéj powieści uwierzył—gdyby—już w 1831 r. Strzelecki dość bogatym z Petersburga nie wyjechał, by najdroższą (pod względem utrzymania) Anglią zamieszkać, trzy lata między wyższą jéj szlachtą spędzić i nakoniec w podróż na około świata się wybrać. Bankierskie interesa pierwszéj notatki usprawiedliwiłyby późniejszą zamożność—lecz to strapienie nasze właśnie, że od 1828 do 1831, czasu jak najwyraźniéj do innych, prócz bychowskich i sądowych interesów brakuje. Odłóżmyż wszystkie razem na bok z dobrodziejstwem niezupełnie rozgmatwanéj wątpliwości, i wraz ze Strzeleckim nową kartę zacznijmy.

(Dokończenie nastąpi.)

KRYTYKA.

O prawie granicznem polskiém, napisał St. Ł. Warszawa 1875 r. str. 80.

Praca, o któréj słów parę mam powiedzieć, wchodzi w skład drugiéj seryi wydawnictw Biblioteki Umiejętności Prawnych. Autor oznajmia w krótkiéj przedmowie, że pisał ją przed szesnastu laty, wyłącznie w celu przedstawienia naszych urządzeń granicznych w stopniowym ich rozwoju, nie wdając się w krytykę i komentowanie przepisów. Tak wypowiedziane zdanie określa z góry samą pracę, która istotnie jest przedmiotowém zestawieniem przepisów dotyczących prawa i procesu granicznego polskiego w różnych epokach jego rozwoju. Tylko dawniejsze czasy, dla których źródła zawarte są przeważnie w dyplomatach, zmuszają autora do wyprowadzania własnych wniosków. Treść główną poprzedził pan Ł. we wstępie ogólnemi wiadomościami o zasadach prawa granicznego, o rozróżnieniu akcyi petytoryjnéj od posesoryjnéj i o naturze własności ziemskiéj u Polan.

Rozwój prawa granicznego polskiego podzielił autor na 5 okresów, a mianowicie: 1-szy do panowania Władysława Łokietka, 2-gi do wydania statutu Warckiego (1420), 3-ci do uchwały Piotrkowskiéj z roku 1523, 4-ty do końca XVIII wieku, i 5-ty czasy późniejsze. Podział ten jest zewnętrzny, oparty prawie wyłącznie na naturze źródeł, nie zaś na zmianach wewnętrznych w saméj zasadzie prawa granicznego,

Źródła do pierwszego okresu są bardzo ubogie — wyłącznie dyplomata i to w niewielkiéj ilości. Wiadomo z nich jedynie, że książęta nadając prawo sądu prywatnym osobom, wyłączali z nich dla siebie sprawy graniczne, że sami objeżdżali granice w celu ich ustalenia, że byli już osobni urzędnicy (komornicy i podkomorzowie) do załatwiania spraw granicznych na gruncie, że wreszcie, ustalone i określone szczegółowo granice, stwierdzano listem książęcym. Już w tym okresie dopatruje się autor zasady, coraz bardziéj rozwijanéj w epokach późniejszych, że każdy ma prawo żądać rozgraniczenia z sąsiadem dobrowolnie lub sądownie.

Okres drugi znacznie już bogatszy w materyał. I tu wprawdzie dyplomata przeważną odgrywają rolę; obok nich jednak

występują zapiski sądowe (autor czerpał je przeważnie z VI t. Hist. pr. słow.), a nawet parę przepisów prawodawczych. I tak: statuta Wiślickie mówią o naruszeniu znaków granicznych i o zmianie biegu rzeki granicznéj; statuta Mazowieckie z r. 1377 i 1397 określają czas przedawnienia w sprawach granicznych (1). Błędném jest wszakże co autor w tym okresie mówi o rozróżnieniu spraw posessoryjnych od granicznych i o ich podsądności, (str. 15). Utrzymuje mianowicie, że istniało już wtedy ścisłe rozróżnienie spraw granicznych od posessoryjnych, tak że pierwsze podlegały jurysdykcyi *wieców* (termini generales) drugie zaś *roczków* (termini terrestres, judicia terrestria), które to roczki, nigdy nie miały prawa rozstrzygać spraw granicznych ani w ogóle petytoryjnych. Że w saméj rzeczy prawo polskie wcześnie już przeprowadziło z całą konsekwencyą rozróżnienie spraw posessoryjnych od petytoryjnych, mamy na to niezbite dowody, ale dopiero w XVI wieku. Zwód zwyczajów mazowieckich Goryńskiego w art. „De expulsis inducendis“ (2), dozwala każdemu gwałtownie wyrzuconemu z majątku żądać w ciągu roku od panującego lub jego wicesgerenta, powrócenia do majątku drogą summaryczną bez zachowania zwykłych form i terminów sądowych; korrektura Taszyckiego z r. 1532 (3), jaśniéj jeszcze się wyraża, odsyłając sprawy posessoryjne do grodu a petytoryjne rezerwując sądom ziemskim (roczkom). Co się jednak tycze rozróżnienia tego w wiekach XIV i XV, to wyznać należy, że dowody przytoczone przez pana Ł. wprost zbijają jego zdanie. Są to mianowicie dwa wyroki z r. 1402 i 1374. W pierwszym z nich sąd ziemski sochaczewski rozstrzyga sprawę między dziedzicami z Orłowa i dziedzicami ze Szczytna, o granice zrobione przez ostatnich, i o wieś Rudę. W sentencyi sąd przekonawszy się, że wieś Ruda kupioną była przez dziedziców z Orłowa od zakonników czerwieńskich, przysądza ją tym dziedzicom na własność (4), o granicach zaś nic nie wspomina. Pan Ł. wnosi ztąd, że sąd wstrzymał się od wyrokowania co do granic, jako niekompe-

---

(1) Autor wspomina tylko o statucie 1397 r., a wcześniejszy z r. 1377 pomija.

(2) Jus Polonicum str. 411.

(3) Starodawne prawa polskiego pomniki t. III, wyd. komit. hist. akad. um. w Krakowie str. 198, 199.

(4) Rzyszczewski i Muczkowski, t. I, 274, „premissam hereditatem Rudam, premissis validis viris heredibus de Orly et eorum legitimis adiudicavimus et adiudicamus *perpetuis temporum successis*, cum omnibus et singulis utilitatibus etc... Premissisque nobilibus viris heredibus de Szczithno et eorum legitimis, et qui ad premissa spectare videbuntur, perpetuum silentium imponentes.

tentny, sprawę zaś o wieś Rudę, rozstrzygnął jako posessoryjną. Ze słów dyplomatu widzimy, że sprawa nie była posessoryjną, lecz petytoryjną, bo przysądzono jéj własność wieczystą nie zaś posiadanie, i to sprawdziwszy tytuł własności, co nigdy nie ma miejsca przy akcyi posessoryjnéj. Sąd przeto rozstrzygając o własności całéj wsi, mógł témbardziéj wyrzec co do granic, jeżeli zaś tego nie uczynił, to w każdym razie nie z tych przyczyn, które przytacza pan Ł. Że zresztą sprawy graniczne rozstrzygały sądy ziemskie mamy prosty dowód w wyroku 1397 r. (1) ustanawiającym granice między dobrami biskupa płockiego i dziedziców ze Ślepowron. Drugi przytoczony przez pana Ł. wyrok sądu łęczyckiego z roku 1374 również nie dotycze wyłącznie posiadania, jak to twierdzi autor. Spór toczy się między Januszem z Niewodowa powodem i biskupem Zbytutusem pozwanym o granice. Biskup bronił się przedawnieniem i sprawę wygrał na wieki (2). Z powyższych przykładów widać, że sprawy petytoryjne przychodziły pod rozstrzygnięcie sądów ziemskich (co zresztą sam autor w innėm miejscu (str. 24) przyznaje), pomimo że statut wiślicki wyraźnie tego zabronił. Statuta Mazowieckie nie zawierają wcale przepisu wyjmującego sprawy graniczne z pod jurysdykcyi sądów ziemskich, nie wiadomo więc dla czego autor twierdzi przeciwnie (str. 16), jakkolwiek w okresie następnym sam przyznaje, że sądy ziemskie były w tém księztwie jedyną właściwą instancyą do spraw o granice (str. 28).

Dopiero 3-ci okres od statutu Warckiego 1423 r. do Piotrkowskiego obfituje w źródła prawodawcze. Kwestya granic dość żywo poruszaną była w ustawodawstwie Jagiełły, Kazimierza Jagiellończyka, Jana Alberta i Zygmunta I. Wydano przepisy dotyczące rozgraniczenia dóbr rządowych od prywatnych, i sprawy te oddano osobnym sądom komissarskim. Sprawy prywatne graniczne pozostały w zasadzie przy sądach wiecowych aż do r. 1523; dla uchronienia interesów osób trzecich, nakazano wzywać sąsiadów, ażeby byli obecnymi przy prowadzeniu duktu i sypaniu kopców. W końcu tego okresu podaje autor przepisy graniczne obowiązujące w Mazowszu, a czerpane ze Zwodu zwyczajów Goryńskiego 1536 r.

Obszerne przepisy graniczne zawarte w statucie Piotrkowskim 1523 r. otwierają okres czwarty, przedstawiający prawo gra-

---

(1) Kodeks dyplomatyczny ks. Mazowieckiego st. 127,8.

(2) Rzyszczewski II, 322... ipsi Janussio et successoribus suis ad repetendum dictas granicias *perpetuum silentium imponimus* et imponi mandavimus cum effectu.

niczne w pewnéj zaokrąglonéj całości, na którą składały się poprzednie epoki. Nowe postanowienia, wydawane w tym okresie, mają charakter przeważnie dopełniający; dotyczą one osób przeznaczonych do ułatwiania tego rodzaju spraw, jak: podkomorzych komornych, komissarzów lub pojedynczych szczegółów proceduralnych. Przebiegłszy chronologicznie ważniejsze konstytucye, autor zbiera w końcu wszystkie szczegóły w jednę całość i daje nam pełny i szczegółowy obraz przebiegu spraw granicznych w sposób zwięzły i jasny, z uwzględnieniem możliwych modyfikacyi, wypływających z natury dóbr rozgraniczanych lub innych przyczyn. Prawo graniczne litewskie począwszy od przywileju Kazimierza Jagiellończyka 1492 r. do statutu ostatniéj redakcyi kończą okres czwarty.

Okres piąty obejmuje czas od sejmu czteroletniego. Przepisy wydawane w tym czasie dążą do ostatecznego zakończenia spraw granicznych, za pomocą normalnego rozgraniczenia. Prawa wydane w tym względzie dla Litwy i Korony w r. 1791, a różniące się znacznie między sobą co do wewnętrznéj wartości, nie miały czasu wejść w życie. Podobnież nie doprowadziło do zamierzonego celu prawo z r. 1818. Tym sposobem sprawy graniczne pozostały do dziś dnia na porządku dziennym; pan Ł. podaje w końcu swéj pracy krótki rys obecnego postępowania.

Całość pracy pana Ł. przedstawia się jako gruntowna źródłowa praca, która stanowi szacowny nabytek w literaturze prawa polskiego.

Karol Dunin

Statystyka porównawcza Królestwa Polskiego, opracowana przez W. Załęskiego Ludność i stosunki ekonomiczne. Warszawa 1876 r.

Dążenie wieku naszego do oparcia się na indukcyi przy poszukiwaniach naukowych spowodowało, że na polu nauk społecznych coraz częściéj bywa stosowaną metoda statystyczna, że do wniosków z téj dziedziny na cyfrach opartych, coraz większe w ogóle przywiązują znaczenie, że wreszcie uznaną została potrzeba podziału pracy w sferach téj samodzielnéj nauki, zwanéj statystyką.

Nauka statystyki jest wynikiem całego obecnego prądu umysłowego i każdy uznający ważność zdobyczy naukowych, osiągnię-

tych na drodze doświadczenia, nie może zaprzeczyć statystyce wielkiéj jéj doniosłości.

Statystyka w najwierniejszy i najpewniejszy sposób kreśli obraz danych stosunków społecznych. Podział pracy co do sfery, wybranéj przez różnych badaczów, wypływa z rzeczy saméj Każdy zwraca przedewszystkiém uwagę na to otoczenie, które mu jest najbliższém, zajmuje się stosunkami swojego kraju.

Postępując w ten sposób, idzie drogą najnaturalniejszą, gdyż bada stosunki, które mu są najlepiéj znane, co do których najłatwiéj mu zatém wyrzec swe zdanie; a daléj oddaje usługę nietylko saméj nauce, ale zarazem zaznajamia współobywateli swoich ze stosunkami, na które w szczegółach codzień patrzą, ale co do ogółu których bardzo często nie potrafią sobie zdać sprawy.

Ku najwłaściwszemu też celowi skierował pan Załęski swe poszukiwania, gdy sobie położył za zadanie: zestawienie i opracowanie tych danych statystycznych, jakie istniały co do Królestwa Polskiego. Słuszném było, ażeby pierwsza większa oryginalna praca statystyczna, u nas się pojawiająca, tym przedmiotem się zajęła. Że się tak stało, tém godniejszém jest uznania, że materyał, do tych stosunków się odnoszący, jaki istnieje, niełatwy jest do odnalezienia, że używać go należy z największą ostrożnością, że wreszcie jest materyałem surowym w całém znaczeniu tego wyrazu. Praca przy korzystaniu z niego nadzwyczaj jest mozolną, daleko więcéj przedstawiającą trudności, aniżeli użycie materyału dobrze opracowanego, do stosunków obcych się odnoszącego.

Pan Załęski po krótkim wstępie, w którym wykazuje znaczenie poszukiwań statystycznych, zajmuje się powierzchnią i ludnością Królestwa, ruchem téj ludności, stanem gospodarstwa wiejskiego i produkcyi rolniczéj, przemysłem fabrycznym, nareszcie podatkami i opłatami w Królestwie Polskiém.

Z tego krótkiego wyliczenia działów rozbieranéj książki łatwo się przekonać, że bynajmniéj nie jest ona wyczerpującą, że wiele stosunków społecznych, których rozbiór wchodzi w zakres statystyki, zupełnie poruszonych nie zostało. Wypowiada to sam autor w przedmowie do swéj pracy i uznaje, że książka jego może być tylko uważaną „za początek i punkt wyjścia dla prac następnych na tém polu.“

Z tego też stanowiska i my pracę pana Załęskiego oceniać zamierzamy.

We wstępie, mówiąc o znaczeniu poszukiwań statystycznych, pan Załęski trzyma się teoryi Drobischa. Zapatrywania się zre-

sztą autora na kwestyę ogólne teoryi statystyki znane są z obszerniejszéj pracy jego p. t. „Kilka słów o teoryi statystyki.“

W rozdziałach dalszych dane statystyczne zebrane są głównie za 3 lata od 1871—1873 r. włącznie; jako materyał dla Królestwa Polskiego użyte są przedewszystkiém sprawozdania, składane przez gubernatorów o stanie powierzonych im gubernii.

Dla porównania uwzględnione są nadto dane statystyczne, dotyczące Cesarstwa, a daléj Galicyi, niekiedy i dalszych stron, a głównie Francyi.

Nie tu miejsce rozbierać, o ile cyfry dotyczące Królestwa Polskiego, a służące autorowi do dalszych wywodów, są dokładne. W każdym razie są one jedyne, jakie istnieją; kwestyą więc postawić sobie należy w ten sposób, czy użyć ich dla rozpatrzenia się w stosunkach krajowych, czy też o poznanie tych ostatnich przy pomocy statystyki nie starać się zupełnie dla tego, że materyał, jakim rozporządzać możemy, jest nieraz wadliwy.

Przechylamy się stanowczo za korzystaniem z tego, co posiadamy, i dla tego z całém uznaniem notujemy pojawienie się pracy pana Załęskiego.

Materyał, którym mógł rozporządzać autor, zestawiony jest z wielką starannością, i zaledwie kilka przytoczyćbyśmy potrafili miejsc, w których cyfry nie są podane w taki sposób, ażeby bezpośrednie porównanie ich z sobą było możliwém; tak np na str. 39 liczba urodzeń dzieci nieprawych w Królestwie podaną jest w stosunku do 100 ludności, gdy w dalszym ciągu na str. 40 dla Galicyi urodzenia dzieci nieprawych podawane są na 100 urodzeń ogólnych.

Dotąd mówiliśmy wyłącznie w jaki sposób spełnioném zostało w rozbieranéj pracy jedno z zadań, jakie sobie stawia statystyka, a mianowicie dążenie do przedstawienia za pomocą cyfr stosunków społecznych danego kraju. Oprócz tego celem statystyki jest wyprowadzanie wniosków z zebranych cyfr, wniosków co do przyczyn stałych wywołujących zmiany w szeregach cyfr, określających ten sam stosunek w różnych krajach lub różnych epokach. Takie doświadczalne wykazanie przyczyn normujących pewien stosunek prowadzi do wykrycia prawa statystycznego. W tym celu jednakże niezbędném jest zebranie znacznego materyału statystycznego. Jeżeli więc idzie o wykrycie zmian zachodzących w pewnym stosunku w różnych czasach, to koniecznem jest zebranie danych z dłuższego szeregu lat. Wnioski wyprowadzane z cyfr odnoszących się do krótkiego stosunkowo czasu, mogą bardzo łatwo być zupełnie błędnemi, a w każdym razie rękojmia, że są prawdziwe, jest słabą.

Uwagi te nastręcza nam wniosek, który znajdujemy na str. 52 książki pana Z., że „zwiększająca się liczba urodzeń nieprawych w Królestwie Polskiém jest skutkiem utrudnienia zarobku i sposobów utrzymania rodziny.“ Cyfry podane jako podstawa do tego wniosku odnoszą się do trzech lat od 1871—1873 r. Mowa jest wprawdzie w przypisku i o latach poprzednich, ale cyfry żadne co do dawniejszego czasu nie są podane, a nadto wspomina tam autor tylko, o zmniejszeniu się liczby zawieranych rocznie małżeństw i o zmniejszeniu się liczby rocznéj urodzeń. Wniosek sam jest wielkiéj doniosłości, wkracza w różne sfery życia społecznego; sądzimy zaś, że podstawa na któréj jest oparty, bardzo jest chwiejna, a materyał do postawienia go niewystarczający. Wiadomo, że warunki społeczne w ciągu wziętych pod uwagę 3 lat, nie zmieniły się o tyle, ażeby jako wypływ nie przyczyn przypadkowych, lecz raczéj jednéj stałéj, uważać należało wykazane zwiększanie się urodzeń nieprawych z jednego na 563 ludności w 1871 roku, do jednego na 418 ludności w 1873 r.

Cenny materyał zebrany przez p. Załęskiego jest dla nas, jak to sam autor we wstępie powiada, i myśmy powyżéj już przytoczyli: „punktem wyjścia dla prac następnych na tém polu,“ do stawiania jednakże pewnych wniosków jest niewystarczającym.

Zakończyć możemy sprawozdanie nasze tylko życzeniem, ażeby na podstawie téj, inni pracownicy dalszego budowania w blizkiéj przyszłości się podjęli.

Karol Strasburger.

Danae i Perseusz na wazie cesarskiego Ermitażu w Petersburgu. Rozprawa archeologiczna A. Mierzyńskiego. Warszawa 1875 r., str. 22, kart nieliczbowanych 2, jedna karta ze światłodrukiem, w ćwiartce.

W Ermitażu petersburskim, będącym skarbnicą różnorodnych pamiątek, znajduje się między innémi cennemi zabytkami waza grecka, znaleziona w *Caere* (we Włoszech) 1844 r. Na czarném tle wazy znajdują się po obu jéj stronach rysunki czerwonawe, tu i owdzie biało lub brunatno cieniowane, z napisem *Danae*, brunatną barwą nakreślonym. Samo to nazwisko objaśnia, z jakiego mitu przedstawione są sceny. Przypatrzenie się rysunkom utwierdza nas w przekonaniu, że jest to illustracya podania o Danai i Perseuszu. Na jednym z nich widzimy Danaę, ubraną w dłu-

gi chiton, siedzącą na bogato zasłaném łożu, z bosemi nogami na podnóżku. Na łóżku znajduje się ozdobne wezgłowie, opodal wisi okrągłe zwierciadło z rączką, nieco daléj zaś pasek lub czepek podług *Campany* i *Gerharda;* „nakrycie głowy w kształcie kaptura,“ podług p. Mierzyńskiego. Danae miała się właśnie położyć spać, gdy zobaczyła ze zdumieniem krople deszczu złotego, spadającego z góry na jéj łono. Ręce jéj, trzymające opaskę, na włosy, „jakby zastygły i skrzepły w swych ruchach.“—Na drugim rysunku, w samym środku spostrzegamy skrzynię, ozdobioną 10-ciu gwiazdkami i trzema kółeczkami. Po prawéj stronie téj skrzyni stoi mężczyzna w długim, fałdzistym chitonie, z zarzuconym na jedno ramię płaszczem, mający berło w lewéj ręce, prawicę zaś wyciągniętą na znak rozkazu. Jest to ojciec Danai *Akryzyusz*. Z drugiéj strony stoi człowiek nieco pochylony, który odmyka czy próbuje rodzaj zamka lub zatrzasku; u nóg jego leży młot. W skrzyni nareszcie, któréj wieko jest odemknięte, stoi nieszczęśliwa Danae; na głowie ma rodzaj dyademu, sięgającego aż do ucha; przepaska przytrzymująca włosy spada w obfitych strzępach na peplos, w uszach kolczyki, odziana jest w fałdzisty chiton i peplos. Na lewéj ręce trzyma młodziutkiego syna (Perseusza), a prawą ma wpół zgiętą z dłonią na zewnątrz obróconą. Perseusz spokojnie bawi się *piłką*, którą trzyma w prawéj ręce.

Oto jest mniéj więcéj dokładny opis dwu scen z życia Danai, córki Akryzyusza, króla Argosu, znajdujących się po obu stronach wazy. Cóż one oznaczają? Mit o Danai i Perseuszu najdokładniéj opowiada logograf (kronikarz) *Ferecydes*, jak to wykazuje p. Mierzyński (str. 3). U niego też znajdujemy objaśnienie i powyższych dwu scen. Wyrocznia delficka przepowiedziała Akryzyuszowi, że Danae urodzi syna, który dziadka zabije. W skutek tego król Argów kazał wystawić w podwórzu pod ziemią komnatę spiżową i tam zamknął córkę wraz z jéj niańką. Ale Zeus, pokochawszy dziewicę, spłynął z dachu na jéj łono w postaci złotego deszczu, a następnie pokazał się w swéj własnéj osobie. Danae urodziła syna Perseusza, którego ukrywała przed okiem ojca. We trzy czy cztery lata potém, usłyszał Akryzyusz krzyk dziecka; wybadawszy rzecz całą, zamyka córkę wraz z synem w *skrzynię* i rzuca ich w morze. Skrzynia przybyła do wyspy Seryfu, gdzie Danae i Perseusz znaleźli przytułek. Dalszy ciąg mitu, który nas tu już nie obchodzi, opowiada, jak przepowiednia delficka pomimo tylu ostrożności ze strony Akryzyusza, spełniła się co do joty.

P. M. wyliczywszy dotychczasowe prace o wazie z Ermitażu,

zastanawia się nad spożytkowaniem mitu o Danai przez pisarzy greckich. Wylicza więc epików, liryków, logografów i dramatyków, którzy albo samo podanie nam przekazali, albo też na tle jego utwory swoje osnuli. Ustęp ten (str. 2 do 7) jest skróceniem obszerniejszych i wyczerpujących badań, które p. M. złożył w rozprawie o Perseuszu, po rossyjsku napisanéj (1). Nie wdając się w rozbiór szczegółów tu podanych, przytoczymy przynajmniéj ogólne a na źródłach oparte określenie granic, wśród których mit o Danai się rozpowszechnił: „Ostateczną granicą jego na zachód — powiada p. M. — była Italia, dokąd także dopłynąć miała Danae z dzieckiem Perseuszem; mianowicie *umiejscownil* się mit w Ardea i Rzymie. Następnie znajdujemy go wzdłuż wybrzeży Afryki północnéj, w Libii, Egipcie, Etyopii. Głównie zaś rozszedł się szeroko po krajach Azyi, dotarł do Izauryi, Cylicyi, Persyi, Assyryi; przed innemi rozpowszechniali go królowie Pontu, wyprowadzający ród swój od Achemenidów i Perseusza. Na północ przechodzi nawet *do krajów Scytyjskich, za morze Kaspijskie i za Dunaj*.“ Żałujemy, że p. M. nie podał nam bliższych szczegółów, jeżeli są, o tém rozpowszechnieniu się mitu w krajach Scytyjskich, coby dla nas miało specyalny interes.

Następnie p. M. zaznacza, że co do sztuk pięknych, niewiele mamy zabytków, któreby nam przedstawiały sceny z mitu o Perseuszu i Danai. Największą ich część stanowią obrazy samego Perseusza, jego wypraw lub postaci, mających związek z temi wyprawami; daleko mniéj posiadamy wizerunków Danai, a nader rzadkie pomniki sztuki wyobrażają Akryzyusza. Do rzadkich tych zabytków zalicza się właśnie waza z opisanemi już rysunkami. P. M. tłómaczy i objaśnia oba rysunki, polemizując po części z Gerhardem, i dochodzi do tego przekonania, że rysunki te są dziełem znakomitego artysty, który umiał wybrać i chwile odpowiednie i obrobić szczegóły udatnie. Zkąd artysta mógł zaczerpnąć temat? P. M. krytykując domysły Gerharda, podaje własny, że źródłem natchnienia artysty mógł być utwór liryczny *Symonidesa* (556—496 przed Chr.). Oto jest pieśń ta w przekładzie prozą p. Z. Węclewskiego (zob. Historyą literatury greckiéj, Warsz. 1867 r., str. 95.):

Kiedy wiatr w misterne naczynie szumiący i wzburzone morze pogrążyło ją (Danaę) w trwodze, z licem łzami zwilżoném

(1) Изслѣдованіе о Персеѣ у древнихъ эпиковъ, логографовъ, лириковъ, трагиковъ и комиковъ. Варшава, 1872 str. 156.

objęła Perseusza ręką drogą i rzekła: „O dziecię, jakiejże doznaję przykrości! Ty, niemowlęce serduszko, śpisz w smutnym budynku, zbitym spiżowemi gwoździami, ciemnym, w czarnéj mórz pomroce; ty na fale, po nad wywiędłym twym włosem gęstym się przewalające, nic nie zważasz, ani na poświst wiatrów, purpurową otulony opończą, ty, moja piękna źrenico! Gdyby dla ciebie straszném było co jest strasznego, moim słowom nieco nadstawiłbyś ucha. Nie! każę, śpij dziecino! niech też uśnie morze! niech się uśpi niezmierzona niedola! Niech jaka zmiana nastąpi w wyroku, Zeusie ojcze, za twoją przyczyną i — co, zaiste, zuchwałém jest słowem—błagam: dla dziecka przebacz mi!“

Piękny to, cudownie rzewny ustęp! Ale już sam p. M. zauważył, że tu Symonides przedstawił chwilę, w któréj Danae znajduje się na morzu, gdy tymczasem na jednym z obrazów artysty, ma być bohaterka nasza dopiero w skrzyni zamkniętą. P. M. stara się okoliczność tę na korzyść domysłu swego wytłómaczyć. „To właśnie — powiada p. M.—znamionuje jednego jako prawdziwego poetę — drugiego jako znakomitego artystę. Ostatni niechcąc być trywialnym, nie mógł nam przedstawić na obrazie cierpień matki, *zamkniętéj w skrzyni;* dla liryka znów zupełnie *nieodpowiednie* (sic) opiewać srogie ojca rozkazy i przygotowania do ich wykonania, słowem to, co wyraził artysta na kraterze.“ Pomijając tu kwestyą estetyczną granic malarstwa i poezyi, musimy powiedzieć, że chociażbyśmy nawet przyjęli w zupełności pogląd p. M., czego w drugiéj jego połowie zrobić nie możemy—to jednak nie wiedzielibyśmy bynajmniéj, co było *źródlem* natchnienia dla artysty, czy Symonides, czy inny poeta, czy samo podanie w ustach ludu przechowywane. Wówczas bowiem dopiero moglibyśmy się zgodzić *stanowczo* na wyprowadzenie pomysłu artysty z pieśni Symonidesa, gdyby sytuacye u jednego i drugiego były *też same* lub też *bardzo podobne*—a wszakże tak nie jest. To też w dzisiejszym stanie kwestyi, musimy poprzestać na tém, że wspólném źródłem tak dla pieśni Symonidesa jak i dla artysty przedstawiającego Danaę, było po prostu podanie greckie czy to spisane czy ustne.

Co do wieku wazy, p. M. zgodnie z innymi uczonymi oznacza go na V stulecie przed Chrystusem, nie podając na to szczegółowych dowodów.

Najciekawszą niezaprzeczenie jest ostatnia część pracy p. M. (str. 12—17), w któréj wyjaśnia mit o Perseuszu i Danai ze stanowiska mitologii porównawczéj.

Wiadomo, że podług badań najnowszych wszelkie mity pier-

wotne ze zjawisk przyrody wyprowadzone być mogą. Ugrupować się one dadzą w dwie gromady, z których jedna przedstawia *bóstwa światła* a druga — *bóstwa ciemności*. „W burzach, nawałnicach i w ogóle w strasznych, niszczących zjawiskach przyrody widział człowiek walkę bóstw, w któréj po jednéj stronie stają bóstwa światłości a po drugiéj siły nieczyste ciemności,“ (str. 13). Tłomaczenie powodów i przyczyn bierze się oczywiście ze sfery czysto ludzkiéj: Perseusz jest bezwątpienia przedstawicielem światłości. P. M. opierając się na jego symbolach (dysk, piłka), genealogii (Zeus, Linceusz, Herakles) i na wyraźném wreszcie świadectwie starego scholiasty, poczytuje go za przedstawiciela *słońca*. Płynienie po morzu jak tego dowodzą analogiczne podania o Heliosie (słońcu) i Heraklesie, oznacza nieobecność słońca podczas nocy. Z tém wyobrażeniem złączyło się drugie, t. j. zmniejszenie działalności słońca podczas zimy; dla tego Perseusz płynie w skrzyni *zamkniętéj*, a dopłynąwszy do wyspy Seryfu, chowa się aż do czasu, kiedy mu siły pozwolą stanąć na stropie niebieskim. Ta wyspa, to bezwątpienia ciemny kraj podziemny—*Hades*. Ponieważ wreszcie sądzono, że z każdym dniem lub z każdą wiosną zjawia się nowe t. j. młode słońce; nic więc dziwnego, że i Perseusz przez *wiek dziecinny* przechodził. Matką tego młodego słońca jest Danae. Dotychczas uważano Danaę za przedstawicielkę *ziemi*, opierając się głównie na kruchym etymologicznym wywodzie. P. M. bardzo słusznie zauważył: 1-e że niepodobna sobie wyobrazić, jakim sposobem *ziemia* ze *słońcem* (Danae z Perseuszem) mogą płynąć po morzu i przypłynąć do *ziemi*; a 2-e, że nie ma żadnego mitu, w którymby słońce było synem ziemi. P. M. zestawiając podania o Danausie i Danaidach, dowodzi, że oba podania mają związek z wodą, z chmurami, i na podstawie analogii wnosi, że Danae oznacza *dżdżystą chmurę*. „Ciemna chmura — powiada — jest matką słońca takiém samém prawem, jak biały dzień jest dzieckiem czarnéj nocy i Erebu t. j. ciemności“ wedle Hezyodowéj Teogonii. Zresztą i matka Apollina Latona ma znaczenie ciemności, jak możemy wnosić z jéj epitetu: *czarno-szata*. Ten sposób pojmowania rzeczy polega na wyobrażeniu, że wprzódy istniała ciemność i ciemna noc niż jasny dzień, który z niéj powstał. Okoliczności towarzyszące głównéj treści podania o Danai znajdują właśnie wytłómaczenie w pojęciu *czarnéj chmury*. Jakoż z początku mieszka Danae w *ciemnéj*, *spiżowéj*, *podziemnéj* komnacie, a potém płynie w *ciemnéj* bo *zamkniętej* skrzyni.

Zeus, który często w postaci złota schodzi na ziemię, jest upostaciowaniem epizodów burzy, kiedy wśród *jasnych błyskawic*

deszcz rzęsisty użyźnia ziemię. To zapłodnienie ziemi przeniesiono następnie na niebo i zastosowano do chmur (Danai).

Akryzyusz wreszcie oznacza według p. M. *Pana wysokości, Saturna*, ztąd łatwo wytłómaczyć sobie, że jest ojcem Danai — chmury; ale—dodajmy ze swéj strony—trudno zrozumieć, dla czego Saturna zabija Perseusz — słońce. Objaśnienie Akryzyusza najmniéj jest, zdaniem naszém, zadawalające. Na wszystkie inne wywody zgodzić się musimy, gdyż są w wysokim stopniu przekonywające, a szczególną zasługę p. M. upatrujemy w wyjaśnieniu postaci *Danai*.

Cała rozprawa p. M. napisana jest stylem jasnym, i przystępnym. Aparat naukowy, bardzo obfity i staranny, dołączony został na końcu w przypiskach (str. 18—22). Za tę pracę winniśmy wdzięczność szanownemu professorowi, który u nas prawie sam jeden w zakresie mitologii porównawczéj pracuje. Zwrócimy jednakże uwagę autora na germanizm: *przedstawienie* (str. 16, 17 i in.) zamiast wyobrażenie, i na rusycyzmy, np. częste użycie spójnika i zam. też, wreszcie na niewłaściwe użycie: *rzekomy* w znaczeniu: wzmiankowany, imiesłowu: *nastąpiony* i t. p.

P. Chmielowski.

Marya. Powieść przez Antoniego Malczewskiego. Warszawa 1876. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1876.

Nie po raz pierwszy, a może i nie ostatni, arcydzieła mają przywiléj echa tysiącami odgłosów odbijającego się po skalistych złamach a ginącego gdzieś dopiero w dali i odległym czasie. Gdy jednak echo z czasem słabnie i ginie, arcydzieło i po długich latach odbić się może w zwierciedle duszy żywo i potężnie.

Maryi myśl i ducha odzwierciedliły dzieła sztuki już wielokrotnie to w pojedynczych obrazach, to w cyklach illustracyjnych; mało było jednak tak szczęśliwych utworów w pojedynczych nawet scenach, jak jest obecny w całości

Pierwsze, jeżeli mnie pamięć nie myli, cyklowe illustracyjne wydanie nakładem Maurycego Wolffa uskutecznione, zaopatrzone było w rysunki Fredry; nie mogę powiedzieć ozdobione, wiele bowiem z nich szpeciło i wykrzywiało piękności poematu.

Drugie dokonane mniéj dyletancką ręką niż było Fredry, to jest Antoniego Zaleskiego, kosztowniejsze i ozdobniejsze zewnętrznie, ry-

ciny bowiem były nie drzeworytnicze, ale na stali ryte; pod względem artystycznym pełne jest jednak usterek, których artyście z powołania nie możnaby nigdy wybaczyć, i które zatém jako uwiecznione drukiem, zasługują na wskazanie. Streszczają się one do kilku określeń. Rysunek słaby a częstokroć nieudolny, wyrazu z małemi wyjątkami brak zupełny, kompozycya czyli układ prawie żaden, témbardziéj, że oprócz sceny z maskami i bitwy, nie wchodzi w działanie więcéj nad dwie osoby, pierwszy zaś i ostatni obrazek, to jest wojewoda i miecznik nad grobem Maryi z jednéj tylko postaci. Zupełnie naiwnie obmyślane są: pożegnanie Maryi z Wacławem i miecznik z Wacławem przy obozowém ognisku, gdzie po obudwu stronach, drzewa, stojąc nachylają się ku sobie jak dwie z suchych konarów kulisy. Cóż więc przemawiało za temiż rysynkami, że je na miedzi, czy na stali wyrytować dano?... nie wiem, kilka głów o dobrym wyrazie stanowi całą wartość téj roboty. Wojewoda, klucznik wzbraniający się otworzyć wrota... i postać miecznika umarłego, oto wszystko. Bitwa chociaż lepsza od innych i Wacław przy ognisku jaki taki, nie usprawiedliwiają bezbarwnéj i pełnéj anachronizmów pod względem ubiorów całości, która mogła nieźle wyglądać w dyletanckiéj tece, na widownię publiczną jednak występować, miała więcéj odwagi niż prawa.

Trzecie jest obecne wydanie, ozdobione prawdziwie, fotografiami podług rysunków Andriollego.

Zacznijmy od wytknięcia tego, co nas pod względem artystycznym razić może, abyśmy potém z całą swobodą mogli się oddać wymienieniu zalet, częstokroć pierwszorzędnych, na których tym illustracyom nie zbywa.

W pierwszym obrazku, gdzie wojewoda pozornie pogodzony z synem przez długi szpaler sług do godowéj zmierza sali, perspektywicznie nieusprawiedliwione są drzwi, które sługa otwiera. W obrazku maskarady, która ma być obrazem polskich zapust, zamało jest téj własnie charakterystyki miejscowéj i zamieszanie nieco przesadne, tak iż postaci prawie rozeznać nie można. W obrazku najtrudniejszym ze wszystkich, przedstawiającym Wacława przy zwłokach Maryi, ruch rozpaczającego afektowany, niewiadomo bowiem co wyraża, czy łamanie rąk, czy chęć rzucenia się na zmarłą, czy cokolwiek innego. Niejedna zdolność plastyczna rozbiła się o szkopuł, jaki przedstawia wyrażenie téj okropnéj, a tak poetycznie opisanéj przez Malczewskiego chwili; możemy ją artyście wybaczyć, jeżeli zwłaszcza nie miał sobie zostawionego wyboru przedmiotu lub jeżeli go skłaniało do tego poczucie konieczności i stosowno-

ści, przeprowadzenia postaci poematu przez najważniejsze fazy cyklowo a dokładnie.

Co pierwszy obrazek silnie podtrzymuje w dobrém i właściwém znaczeniu, oto wyrazista postać wojewody i w ogóle przeprowadzenie wyrazu uroczystości przez wszystkie twarze i postacie, ztąd charakterystyka w nim wyborna.

Co innym nadaje wartość artystyczną, co w nas budzi upodobanie i pociąg do wpatrywania się w nie, to znów wyraz głęboko poczuty i wyrażony z rzadką wytwornością i siłą.

Wyraz smutku w postaci miecznika i Maryi pod lipą, a smętnie w dal pełną złowieszczych przeczuć zapatrzone ciemne oczy nieszczęśliwéj tulącéj się do Wacława małżonki, przejmują patrzącego tém samém uczuciem, jakiém tchnie poemat; zatém plastycznie dopełniają go, spełniają znaczenie obrazowego objaśnienia, czyli tego, co pospolicie zowie się illustracyą wzorową.

Życie wielkie tchnie z każdéj postaci, z każdéj cząstki, z każdego powiedziałbym palca ręki; płynie potokiem rwącym w scenie bitewnéj i w zapustowych skokach, a spokojne i głębokie w tęsknéj zadumie i dramatycznéj postaci miecznika, słowem cała skala uczuć poetycznych wyrażona tu rysunkiem ożywionym i poprawnym.

Niemniéj pełne poetyczności otoczenie figur, zwłaszcza gdzie jest niém krajobraz, dodaje powabu obrazkom, którym pod względem układu malowniczego, cechującego artyzm istotny, trudnoby było jakikolwiek zarzut uczynić.

Wydanie całe jest pod względem typograficznym zajmujące, jako nader staranne, pięknie wydrukowane, na bardzo pięknym i trwałym papierze. Księgarnia p. Gebethnera i Wolffa zasłużyła się istotnie tém wzorowém wydaniem arcydzieła literatury naszéj. Szata godowa odpowiada uroczystości, z jaką się zawsze w to arcydzieło zagłębiamy.

W. G.

Album widoków i pamiątek, oraz kopie z obrazów galeryi Willanowskiéj. Warszawa 1875 roku.

Wyszedł drugi już poszyt téj publikacyi obrazowo-pamiątkowéj, odznaczającéj się niebywałą w wydawnictwie krajowém ozdobnością. Zwrócimy na nią uwagę ze względu na artystyczne jéj znaczenie.

Polega znaczenie to na usiłowaniu obudzenia uwagi zwiedzających lub znających tylko z wieści Willanów i skierowania jéj ku głębszemu wniknieniu w wielce zamujące szczegóły, z jakich się ta urocza a znakomita całość składa.

Tym celem oprócz widoków zewnętrznych pomieszczano w niém wnętrza pokojów i w ogóle miejscowości w skład pałacu wchodzących. Z tych zaś miejscowości wybrano wszelkiego rodzaju zajmujące szczegóły, mające znaczenie czy to wprost artystyczne jak obrazy i rzeźby, czy pamiątkowe jak portrety lub sprzęty, czy też stanowiące części ozdobień zewnętrznych budowli lub też wewnętrznych ścian i mebli, a będące wyrobem rękodzieł ze sztuką spokrewnionych lub na niéj opartych. Szczegóły te służąc ku powiększeniu ozdobności wydania, dowodzą wielkiéj skrzętności prowadzących wydawnictwo, a co więcéj, służyć mogą za wskazówkę jak tego rodzaju monografie obrabiane być mogą.

Bogactwo materyału jest wprawdzie bardzo wielkie, tak iż wystarczyłoby niewątpliwie nie na jeden tom z dwunastu poszytów, jaki jest zamierzony, ale na drugi jeszcze takiż sam; niemniéj jednak to co już zrobiono i co po dotychczasowéj części publikacyi przewidywać można, jest nowością takiéj wagi, iż się nad nią tu jeszcze nieco zastanowimy.

Pałac willanowski, jakim jest dziś, powstał i dopełniał się w ciągu całych dwóch stuleci, a dziś nie minie ani jeden rok, by w nim co nie przybyło. Tym sposobem nagromadzone zostały zasoby budownictwa, rzeźby, malarstwa, ornamentyki i rękodzielnictwa, dające nam możność uczynienia żywego, obrazowego przeglądu tego, co w ciągu tych dwóch wieków na wzmiankowanych polach dokonano, i więcéj nad to, bo zarówno założyciel Willanowa jak i jego spadkobiercy jak też i dzisiejsi posiadacze w zamiłowaniu dzieł nauki, sztuki, pamiątek i rękodzieł, sięgali nieraz myślą wstecz w odległe wieki, zkąd niejeden przedwieczny skarb pamiątkowy do zbiorów swoich wnieśli.

Tak określiwszy stanowisko poglądowe, na którém się redakcya *Zbioru* postawiła, pokrótce obejrzymy, jak plan ten jest w czyn wprowadzony na pierwszych 32 stronicach.

Okładka już rozpoczyna obrazowość albumu (zbioru); umieszczone na niéj gipsaturowe ozdobienia stropu głównéj sali bibliotecznéj, wprowadzają nas od razu w całość Willanowa zamykającą się do dni naszych pomiędzy Janem III a rodziną Potockich, pośród ozdobień bowiem rzeczywistych ornamentacyjnych znajduje się medalion Sobieskiego, w środku zaś za tło tytułu dzieła służy tarcza herbu Pilawa w armaturze i floresach wciętych, jak w tekscie umieszczona litera *S* objaśnia, ze zbroi jednego z Potockich znajdującéj się w Willanowie (1).

Takich liter początkowych przedstawiających każda jakąś pamiątkową wartość, mieliśmy do tego czasu już sześć; stanowią one jednę z ozdób używanych we wszelkich wydawnictwach pięknych. Do tejże saméj kategoryi zaliczyć należy przedziałki tekstu, nagłówki i zakończenia rozdziałów; wszystkie zaczerpnięte z ozdobności zbiorów pamiątek willanowskich. A dobierane umyślnie do tytułów tekstu świadczą, iż cały plan wydawnictwa został we wszystkich swych częściach z góry obmyślany, a teraz tylko w czyn wprowadza go pilna staranność o utrzymanie się przy programacie.

Programat ten do téj pory w niektórych częściach już zupełnie widoczny, w innych oglądającym i czytającym Album Willanowskie musi się jeszcze niezupełnie jasno i dokładnie przedstawiać, co naturalnym biegiem rzeczy dopiero po ukończeniu dzieła rozświetlić się będzie mogło. Do takich na dziś jeszcze niezrozumiałych rzeczy należy brak wnętrza pokojów, które jednak już opisane zostały. Czytamy tylko w tekscie, że przez tego lub owego artystę wymalowane lub wyrysowàne zostały, ale nie znajdujemy ich; przyjdzie na nie jednak koléj.

Wnętrza, jakie mamy przed sobą, oprócz jednego przysionka, odznaczają się dokładnością i powabem rysunku, szczęśliwie obmyślanemi efektami i wykończeniem rytowniczém wzorowém.

Toż samo powiedzieć można o wielu portretach i obrazach, które w oddzielnych odbitkach dodawane, będą zapewne objęte osobnym spisem, wskazującym miejsca ich właściwe.

Pozostanie niewątpliwie po skończeniu dzieła niejedno czytelnikowi samemu sobie ugrupować w myśli, lub w ciągu czytania i przeglądania, ściśle obserwować odsyłacze, prowadzące do

---

(1) Rysunek téj okładki będzie zapewne zamieniony na stemel do wytłaczania okładek introligatorskich; byłoby najwłaściwiéj zużytkować go w ten sposób.

tego uporządkowania, jak to już spostrzedz można na tego rodzaju szczegółach jak wazon z zastawy stołowéj z początku tego wieku, stanowiący część przedziałki, którego dopełnienia przez resztę téj zastawy, w stylu nowo-antykowym używanym za pierwszego cesarstwa we Francyi, doczekamy się zapewne później w rysunkach; w opisie zaś nieprędzéj jak pomiędzy wiadomościami z ostatniéj epoki, kiedy Willanów przeszedł był już w ręce rodziny Potockich.

Im bardziéj się myślą zapuszczamy w materyał jaki do badań dwóchsetletniego bytu sztuki i w ogóle postaciowéj strony życia przedstawia ta siedziba króla, książąt i magnatów, tém bardziéj rośnie nam bogactwo zasobu, jego różnorodność i wielostronność; tém bardziéj cieszyć się przychodzi, iż dzieło monograficzne to zostało podjęte, a pragnąć i życzyć, aby szczęśliwie dokonane, nie ostatniém, ale pierwszém było w szeregu innych tejże natury.

W.

Źródła dziejowe. Tom I. Krzysztofa Grzymułtowskiego wojewody poznańskiego Listy i Mowy. Wydał A. Jabłonowski. Warszawa 1876 r. str. 120+152.

Tom pierwszy *Źródeł dziejowych* ukazał się bez wstępnego słowa. Piszemy więc na tém miejscu przemówienie nasze, zamiast krytyki lub sprawozdania. Zbyteczną byłoby rzeczą powtarzać, co od dawien dawna, inni uczeńsi od nas wypowiedzieli mężowie, jak do zgłębiania dziejów naszych w całéj rozległości niezbędném jest wydobywanie na jaw wszelkich pomników, zabytków piśmiennych, zamkniętych w zbiorach publicznych lub prywatnych. Zachodzi w téj mierze najzupełniejsza zgoda. Świadczą o tém dzieje historyografii polskiéj nietylko naszego stulecia, ale i poprzednich wieków. W ostatnich zwłaszcza latach téj nieodbitéj potrzebie coraz żywiéj czyni się zadość. Mrówcza praca się mnoży, zwiększają się szeregi skrzętnych zbieraczy, rośnie coraz więcéj materyał dla mistrzów, którzy kiedyś z drobnych cegiełek wystawią gmach wspaniały wieków ubiegłych. Każde pokolenie nadchodzące, idąc torem poprzednich, garnie się do téj pracy, w miarę sił i możności uprawia i zasiewa tę niwę rozległą. Zdaje się nam, że i my dług, jaki na nas ciąży, spłacić winniśmy. W poczuciu tego obowiązku, składamy na poczet naszego długu pierwszy, niewielki, nieokazały tom *Źródeł Dziejowych.* Nie poprzestaliśmy na samém tylko wydaniu Listów i Mów Krzysztofa Grzymułtowskiego; pragnąc żywsze nieco obudzić zajęcie w kołach

czytelników, dla których historya ubiegłych wieków nie jest obojętną, zjednaliśmy sobie chętną pomoc pana A. Jabłonowskiego, który poprzedził obszerną monografią o Grzymułtowskim, także przez siebie przygotowany do druku zbiór Listów i Mów wojewody poznańskiego. Zapewne w prywatnych zbiorach znajdzie się jeszcze niejeden list Grzymułtowskiego, który przyczyni się do rozjaśnienia jego życia publicznego, choć wyznać musimy, że nie szczędziliśmy starań, by zebrać zewsząd wiadomości o znajdującéj się gdziekolwiekbądź korrespondencyi wojewody poznańskiego. Jeśli się ta kiedy ukaże, cieszyć nas będzie, że *Źródła dziejowe* utorują drogę. Drugi tom, którego druk się rozpoczął, zawierać będzie materyały do dziejów zjednoczenia Ormian w Polsce w XVII w. z kościołem rzymsko-katolickim. Materyał ten stanowią dwa pamiętniki dwu cudzoziemców, którzy głównie do przeprowadzenia téj unii religijnéj wpływali. Oba te pamiętniki dajemy w przekładzie polskim, dotychczas nieznane, a przechowywane w rękopiśmie. Jeden z rękopismów pisany jest po włosku przez O. Ludwika Maryą Pidou, który był przełożonym missyi i kollegium papiezkiego O.O. Teatynów we Lwowie. Jako sam czynny w sprawie unii, opisał jéj dzieje szczegółowo, doprowadzając je do roku 1669. Drugi rękopis po łacinie, obszerniejszy, zawiera dzieje téj unii aż do roku 1676. Oba te pamiętniki dorzucą wiele szczegółów do prac, które przygotował już biegły w dziejach Ormian polskich ks. Sadok Barącz. Nie będzie zbyteczném przypomnieć, że zjednoczenie Ormian należy do zdarzeń większych, jakie zaszły w ciągu nieszczęśliwego panowania Jana Kazimierza. Na ponurém tle owego czasu — wojen i klęsk powszechnych, odbija jasno ta zdobycz dokonana drogą dobrowolnych układów.

A. Pawiński.

Archiv für Slavische Philologie. Unter Mitwirkung von A. Leskien und W. Nehring, herausgegeben von V. Jagić 1. Bd. 1. Heft. Berlin. 1875. 8-o. 4 i 160.

Wśród pracowników, poświęcających się badaniom w zakresie filologii słowiańskiéj, oddawna już uczuwano potrzebę czasopisma naukowego, któreby kojarząc rozproszone usiłowania pojedynczych uczonych, śledziło postęp badań nad językiem i literaturą każdego z narodów słowiańskich, a notując ostateczne rezultaty nauki, stało się dla filologii słowiańskiéj takim *organem centralnym*, jakiemi inne nauki cieszą się już oddawna.

Ten istotny brak zapełnić ma czasopismo, którego wydawnictwo, pod tytułem na czele wypisanym, przedsięwziął Dr. V. Jagić, professor języków i literatur słowiańskich przy uniwersytecie berlińskim, wezwawszy do współudziału w redakcyi A. Leskiena w Lipsku i ziomka naszego W. Nehringa we Wrocławiu, a nadto zapewniwszy sobie współpracownictwo uczonych slawistów wszystkich narodów słowiańskich.

Archiwum filologii słowiańskiéj ma dwa cele przed sobą: z jednéj strony pomieszczanie samodzielnych badań w kwestyach w zakres filologii słowiańskiéj wchodzących; z drugiéj, przy pomocy przekładów, wyciągów, recenzyi, notatek bibliograficznych, przedstawienie treściwego obrazu badań i wyników w dziedzinie filologii słowiańskiéj, które w każdéj z literatur słowiańskich zasługują na uwagę ze względu na istotną wartość naukową. Połączenie obu tych celów zapewni bezwątpienia czasopismu to międzynarodowe stanowisko, które sobie już z góry zakreśliło. Archiwum pomieszcza rozprawy w języku niemieckim i francuzkim, pozostawiając wolny wybór współpracownikom. Tym sposobem stanie się ono niejako przedstawicielem nauki słowiańskiéj w obec europejskiéj rzeczypospolitéj uczonych. Świat uczony europejski będzie miał sposobność zapoznać się bliżéj z usiłowaniami naukowemi narodów słowiańskich; dla Słowian zaś, pomimo obcéj a nieuniknionéj formy zewnętrznéj, sama już treść wewnętrzna przedstawia interes.

Filologią słowiańską pojmuje prof. Jagić w obszerniejszém znaczeniu; nietylko badania czysto językowe pomieszczać będzie Archiwum, ale także studya literackie, archeologiczne, mitologiczne; pieśni, powieści i podania ludowe, opisy zwyczajów, wierzeń i innych stron życia ludowego i t. p.

Dla naszéj publiczności Archiwum przedstawia szczególny interes. Oprócz bowiem prof. Nehringa, jako głównego współredaktora, kilku jeszcze innych naszych pracowników przyjęło w niém udział; tak, iż rzeczy polskie znajdą w Archiwum więcéj uwzględnienia, aniżeli to dotąd miewało miejsce w czasopismach zagranicznych.

Na czele pierwszego zeszytu pomieścił prof. Jagić początek swych studyów nad głagolicko-słowieńskim kodeksem (Zographos-Evangelium), którego oryginał znajduje się w bibliotece publicznéj w Petersburgu.

Badania te, nader szczegółowe, doprowadzone zostały do półsamogłosek ъ i ь wewnątrz pierwiastków.

W opracowaniu tego zabytku prof. Jagić kierował się tém słuszném zdaniem (str. 3), iż tylko na podstawie dokładnéj analizy gramatyczno-leksykalnéj każdego z najdawniejszych pomników staro-słowiańskich, a następnie porównania ich między sobą, można zyskać prawdziwy obraz języka staro-słowiańskiego.

W drugim artykule prof. A. Leskien, nader dowcipnie i kunsztownie objaśnia powstanie form rosyjskich *двумя*, *тремя*, *четырьмя*, drogą działania wielu momentów fałszywéj analogii, a głównie pomieszania i skojarzenia dwu końcówek instr. plural-*mi* i dat.—instr. dual.—*ma*.

Daléj czytamy tegoż uczonego objaśnienie przejścia w starosł. grup spółgłoskowych *sk* na *st* i *zg* na *žd*.

Prof. Nehring rozpoczął studya swe „O wpływie literatury staro-czeskiéj na staro-polską". Obecny zeszyt obejmuje ustęp i rozprawę o pieśni Bogarodzica.

We wstępie autor daje krótki przegląd historyczny stosunków wzajemnych między Czechami i Polską, przez które da się objaśnić wpływ piśmiennictwa czeskiego na polskie do wieku XVI. Stosunki te autor odnosi do następujących danych:

1) Polacy przyjęli światło nauki chrześciańskiéj przeważnie z ust kapłanów czeskich.

Dowodzi tego wiele form czeskich w terminologii chrześciańskiéj polskiéj, jak również cześć szczególna, jakiéj doznają w Polsce dwaj święci czescy św. Wojciech i św. Wacław.

Szkoda, że autor zestawia formy wyrazów nowo-polskich z nowo-czeskiemi, nie zaś starożytne z zabytków. Zresztą jednakowe brzmienie wyrazów przyswojonych (jak *msza, bierzmowanie, nieszpory*, *pacierz*), jak również podobne formy wyrazów rodzimych, (jak *wielkanoc*, *kazanie*, *błogosławić*), nie dowodzą jeszcze koniecznie bezpośredniego wpływu jednego języka na drugi. Podobieństwo to terminologii chrześciańskiéj możnaby wyjaśnić jednakową energią fonetyczną w przyswajaniu wyrazów obcych z jednéj strony, jak również wspólną twórczością etymologiczną, które dadzą się wykazać w całym ustroju obu tak pokrewnych sobie języków, jakiemi są polski i czeski. Ciekaweby było, a dotąd o ile wiem nie podjęte studyum, wykazujące porównawczo sposób przyswajania jednych i tych samych wyrazów obcych w dwu lub więcéj językach słowiańskich w dánéj epoce. To pewna, że np. wyraz *żak* w téj formie przeszedł do polszczyzny przez czeski; nowa bowiem polszczyzna grupę *dj*, przyjmując ten wyraz z ruskiego, przemienia w *dź dźak* obok *djak*, rs. *djàk*.

Czy jednak w epoce przyjęcia chrześciaństwa język polski podlegał takimże prawom fonetycznym—niepewna.

2) Z następnych wieków mało pozostało śladów wpływu czeszczyzny. Kilka napisów na nagrobkach we Wrocławiu z imionami przypominającemi dźwięki czeskie, jakiś napis czeski na łacińskim psałterzu w Trzebnicy—oto i wszystko. Autor widzi nadto wpływ czeszczyzny w pisowni imion własnych polskich, znajdujących się w dyplomatach łacińskich z XII i XIII wieku.

3) Pod koniec wieku XIII i w wieku XIV stosunki między Czechami i Polską ożywiają się, szczególniéj od czasu założenia uniwersytetu prazkiego i ruchu husyckiego. Od czasu zaś wstąpienia królewicza polskiego Władysława na tron czeski w r. 1471 wpływ czeszczyzny w Polsce ustala się coraz bardziéj. Zachowano z téj epoki wiele zabytków czeskich przez Polaków pisanych; język czeski zaczyna wchodzić w użycie nietylko w stosunkach urzędowych, ale nawet w prywatnych.

4) Daléj autor cytuje autorów XVI wieku, jak Reja, Górnickiego, Bielskiego i innych, którzy świadczą o użyciu czeszczyzny w Polsce.

W końcu podaje autor dwa teksta polskie: Modlitwy Pańskiéj, Ave i Credo z w. XV z rękopismów, zachowanych w bibliotece uniwersytetu wrocławskiego, wykazujące nadzwyczaj silny wpływ czeskiego języka.

W drugiéj części rozprawy o pieśni Bogarodzicy autor podaje rys historyczno-bibliograficzny wszystkich tekstów tego zabytku. Daléj wyróżnia w nim trzy rozmaite części: 1) właściwą pieśń do Bogarodzicy, 2) urywek pieśni wielkanocnéj i 3) pieśń passyjną. Wykazawszy następnie, jak w kolei czasu pojedyncze zwrotki się powiększały, zwraca się autor do kwestyi autorstwa pieśni. Podanie o tém, jakoby ją złożył św. Wojciech, jest późnego pochodzenia. W XIV i XV wieku nic o tém nie wiedziano. Dopiero w wieku XVI Łaski, Herburt i Skarga ustalili to mniemanie. Że jednak pieśń ta jest tłómaczona z czeskiego, wykazuje to autor gruntownie, porównywając oddzielne strofy z pieśniami staro-czeskiemi, z któremi pojedyncze zwroty zupełnie się zgadzają. Co więcéj, końcówki wierszów, które wcale się nie rymują w tekscie polskim, dopiero w formie czeskiéj jako-tako prawidłom rymowania odpowiadają. Nakoniec w zewnętrznéj formie Bogarodzicy, t. j. w trójdzielnéj strofie, widzi autor wpływ poezyi czeskiéj.

Oprócz prac powyższych, poszyt pierwszy Archiwum zawiera rozprawę prof. Jagića p. t. „Chrześciańsko-mitologiczna warstwa

w rossyjskiéj poezyi ludowéj"; pracę prof. Grzegorza Breka, p. t. „Przyczynki do mitologii słowiańskiéj. Veles. Volos i Blasius"; a nakoniec krótkie notaty i rozprawki.

L. M.

Pod tytułem *La France et les Polonais* 1) ukazało się niedawno w Strasburgu dziełko, napisane przez „un ami des deux nations." Autor jak widać — dobrze obeznany z dziejami Polski i dzisiejszym jéj stanem politycznym i społecznym, przeznaczył pracę swą dla narodu francuzkiego w tym celu, aby wykazać mu z całą ścisłością historyczną, jak dalece zgubny wpływ wywierała polityka rządu francuzkiego na koléj dziejów narodu polskiego. Zgodnie z powyższém założeniem rozpatruje stosunki między Polską i Francyą od czasów najdawniejszych aż do wypadków 1863 oku włącznie. Czasy Piastowskie i Jagiellońskie, nieobfitujące w stosunki polityczno-dyplomatycznéj natury, o które rzeczywiście autorowi głównie chodziło,—nie mogły mu żadnego dostarczyć materyału. Zaznaczywszy tedy cywilizacyjny wpływ oświaty chrześciańskiéj, krzewionéj w Polsce przez Francuzów, przechodzi autor do okresu królów obieralnych, kiedy elekcye otwierając gabinetom wszystkich mocarstw europejskich szerokie pole do stosunków dyplomatycznych, zwróciły na Polskę baczniejszą uwagę i rządu francuzkiego. Odtąd i praca bezimiennego autora staje na pewniejszym gruncie; przynajmniéj wie, czego szukać i czego się trzymać. Dotyka tedy, ale pobieżnie — całego szeregu intryg gabinetu francuzkiego, knowanych podczas każdéj elekcyi i za rządów Władysława IV, Jana Sobieskiego i t. d. Nieco szerzéj rozwodzi się nad ostatniemi czasami, począwszy od wstąpienia na tron Stanisława Poniatowskiego,—a przebiegłszy stuletni ten okres czasu, zamyka swą pracę szeregiem przestróg i rad dla Polaków odnośnie do kwestyi podtrzymywania i zachowania indywidualności narodowéj. Podniesienie dobrobytu narodowego za pośrednictwem pracy i nauki, krzewienie oświaty i uprawianie literatury—

---

(1) La France et les Polonais. Aperçu historique depuis le dizième siècle jusqu'à nos jours. Par un ami des deux nations. Strasbourg, 1875 str. 164.

oto środki gorąco zalecane przez autora. Nie będziemy roztrząsali praktyczności i trafności tych rad i przestróg, już chociażby dla tego, że całe dziełko zostało przeznaczone dla Francuzów, jak to sam autor na początku swéj pracy mówi. Dalszy ciąg z wyjątkiem owych przestróg — wyraźnie okazuje, że założeniu swemu autor wiernym pozostać usiłował przynajmniéj o tyle, iżby praca jego zaznajomiła ogół francuzki z temi punktami dziejów polskich, na których wpływ polityki francuzkiéj widocznie się odbił. Nie można bowiem powiedzieć, że cały materyał został tu wyczerpany. Przeciwnie, autor zbywa wszystko dosyć pobieżnie, zaznacza raczéj niż wyczerpuje fakta. Może tedy z niejaką korzyścią być czytanym przez ogół francuzki, który zdaniem samego autora (str. 3); bardzo niedokładne zwykł miewać pojęcia o dziejach innych narodów Europy. Czytelnik zaś polski w pomienionéj pracy wyczyta pokilkakroć tę oddawna mu znaną, niemniéj wszakże gorzką prawdę, że jego przodkowie nie mieli zmysłu politycznego; że znajdując gorącą sympatyą w narodzie francuzkim, dopatrywali się jéj uporczywie i w polityce rządu francuzkiego, często bez żadnéj podstawy, chociaż z drugiéj strony i rząd francuzki, wyzyskując sympatyą Polaków dla Francuzów, często posługiwał się ich łatwowiernością dla osiągnięcia własnych celów. Ale naród francuzki nie może być odpowiedzialnym wobec Polski za nadużycia swojego rządu, który zresztą tak częstym ulegał zmianom.

W salonach naszych na stołach ukazuje się w polskiéj szacie Gustaw Doré w towarzystwie Lafontaina. Czy tak bardzo był pożądanym w tym kształcie znakomity illustrator, nie rozstrzygamy tego obecnie; ale kto wie, czybyśmy się nie rozglądali chętniéj w najnowszych rysunkach Dorégo, któremi się w téj chwili zachwycają Francuzi. Doré illustruje znakomite dzieło historyka Michauda: Wojny krzyżowe 1). Dla rysownika wspaniały przedmiot, tak blizko związany z Pismem Św. Główną widownią — ta

(1) Histoire des Croisades, par Michaud, illustrée par Gustave Doré. Paris, 1875. (Całość 25 Zeszytów, po 6 franków jeden).

sama Ziemia Św. i przyległe kraje,—to samo niebo, te same góry, powietrze, tylko ludzie inni i czasy inne. Dorégo talent znajdzie tu pełne pole: bohaterskie czyny Gotfrydów, Tankredów, Ryszardów, Fryderyków, dostarczą niemało materyału. Pierwszy zeszyt który mamy przed sobą, mieści cztery wspaniałe illustracye: bitwa pod Antyochią przedstawia piękny, ujmujący obraz. Za podstawę do illustracyi wzięto dzieło francuzkiego historyka Michauda († 1839), którego liczne wydania znane są we Francyi. Jest to dzieło klassyczne stojące nierównie wyżej od pracy podobnéj, którą posiada literatura niemiecka, od dzieła Wilkena, lubo jedno i drugie w wielu razach nie odpowiada wymaganiom obecnéj nauki. Zawsze Michaud wielką ma wartość. Od tego czasu nikt nie jął się tego przedmiotu, aby go przedstawić w całości, tę epokę wielką w życiu narodów średniowiecznych, kiedy po długich wiekach odosobnione ludy Europy zerwały się do czynu wspólnego, podniosłego. Dziś w nauce wszystko się rozdrabnia, wszystko ginie w szczegółach, nie jest więc bez korzyści, kiedy nam mistrzowskie pióro kreśli szeroki obraz, choćby nawet drobniejsze szczegóły mniéj trafnie dokonane były. Czy Michaud przełożony na język polski z dodaniem illustracyi Dorégo nie byłby piękniejszą i pożyteczniejszą od Lafontaina bajek ozdobą naszych salonów? niech na to pytanie nasi panowie wydawcy odpowiedzą.

W książce napisanéj przez dwóch Niemców, poświęconéj opisom cesarstwa Rossyjskiego 1), spotykamy kilka rozdziałów bliżéj nas obchodzących. Jeden z autorów p. Lankenau, bawił dłuższy czas w Warszawie i na prowincyi, podróżował nad Niemnem i Bugiem, był także w Krakowskiém, czytał to i owo i swoje wrażenia i wspomnienia uwiecznił w wydaném u Spamera dziele. Opowieść nie tchnie nienawiścią, owszem czuć w słowach pewną życzliwość, sąd nieraz bezstronny, widać obserwacyą dość trafną. Opisując Warszawę, autor zatrzymuje się na Krakowskiém-Przedmieściu i podziwia piękną statuę „genialnego Polaka, Kopernika.“ Jest to już wiele. Potrącając o dzieje powstania naszego grodu, wspomina autor, że podobno Warszawa winna swój początek

(1) Das heutige Russland, von Lankenau u. Oelsnitz. Leipzig, 1876, str. 452.

w IX wieku Konradowi Mazowieckiemu! Dziwi nas taki gruby błąd, ile że w krótkim rysie dziejów Polski, który autor podaje, widać dość dobrą informacyą. Życie warszawskie w cukierniach, restauracyach, obserwował turysta niemiecki pilnie i uważnie, choć niezawsze trafnie. Sympatycznie wspomina o zwyczajach i obyczajach ludu wiejskiego. Daje obraz wesela na wsi, dołączywszy do tego illustracyą. Z tych luźnych notatek jednak ani my o sobie, ani Niemcy o nas niewiele się dowiedzą. Dość tylko wspomnieć, że autor nie maczał pióra swego w żółci. Jeśli jeszcze raz przyjedzie do Warszawy na dłuższy czas, będzie mógł dokładniejszy nakreślić obraz ku poinformowaniu swoich współziomków.

KONIEC ZESZYTU DRUGIEGO.

Redaktor i Wydawca *H. Benni*.